

FORGET ME NOT

JULIE SOTO



JULIE SOTO

**FORGET
ME NOT**

Przekład
Anna Hikiert-Bereza

Tytuł oryginału: *Forget Me Not*

Pierwsze wydanie: Forever, New York 2023

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media Pamela Magierowska-Kobus

Ilustracja na okładce i projekt okładki oryginalnej: Nikita Jobson

Zdjęcie autorki na okładce: Debbie Soto

Redaktor prowadząca: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Agnieszka Trzebska-Cwalina

Korekta: Monika Ulatowska

Copyright © 2023 by Julie Soto

The right of Julie Soto to be identified as the Author of the Work has been asserted by him in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o.,
Warszawa 2024

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

ul. Domaniewska 34a

02-672 Warszawa

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-9212-2

Opracowanie ebooka
Katarzyna Rek

*Dla Mar i Cat
Dzięki za trzymanie mnie za rękę przez wszystkie te lata.*

1

Ama

MARZEC

Aby z powodzeniem zaplanować ślub, kieruję się pięcioma zasadami (cóż, to nie do końca prawda; jestem pewna, że mam ich znacznie więcej, ale wiem również, że gdybym powiedziała któremuś z klientów: „Mam siedemdziesiąt sześć zasad i za chwilę je wszystkie wyłożę”, chyba nie chciałby skorzystać z moich usług).

Zasada numer jeden: żadnych zwierząt. Zwierzaki zjadają obrączki, gryzą małe druchenki i załatwiają się, gdzie popadnie.

Zasada numer dwa: „zrób to sam” nie oznacza, że przyjęcie weselne zrobi się samo. Oznacza, że para naoglądała się zdjęć na Pinterescie, i teraz konsultantka ślubna ma problem.

Zasada numer trzy: DJ z nocnego klubu to nie to samo, co DJ weselny.

Zasada numer cztery: nigdy nie zostawaj sam na sam z drużbą.

I ostatnia zasada, numer pięć: zawsze wybijaj im z głowy altankę. Zawsze.

Idę alejką między krzesłami, a mięśnie ud palą mnie od brnięcia przez podmokły trawnik. Dywan ma zostać przywieziony o dwunastej

i cieszę się, że się na niego uparłam, bo inaczej panna młoda ugrzęzłaby gdzieś w połowie drogi do prowadzącego ceremonię.

Moja fotografka i ulubiona była przybrana siostra, wysoka pół-Hinduska, która bywa mylona z Priyanką Choprą co najmniej dwa razy dziennie, leży na brzuchu na środku parku z obiektywem wycelowanym w altankę, w której moi asystenci pozują do próbnych zdjęć w zastępstwie pary młodej.

– Mar, kochanie – mówię, siląc się na uśmiech. – Jake naprawdę ma co robić. – Gdy strzelam palcami, Jake, mój przybrany brat, zbiega po schodkach altanki i wraca do strefy rozładunkowej, w której powinien dyrygować dostawami. – I wypożyczyłam ci Sarah tylko na dziesięć minut!

Mar dźwiga swoje szczupłe ciało z trawy, a gdy spogląda na mnie z góry, na jej ślicznej twarzy pojawia się kwaśny grymas.

– Ale... altanka, Ama? Serio?

– Młodzi nalegali. Wiem, że nienawidzisz altanek...

Mar chwyta mnie za rękę, przyciąga do siebie i pokazuje mi okienko podglądu w aparacie.

– Kratki. Te. Pieprzone. Kratki.

Przyglądam się zdjęciom przewijanym na wyświetlaczu. Sufit altanki jest ażurowy, a tak się składa, że pogoda dziś dopisała i dzień jest bardzo słoneczny. Twarze Jake'a i Sarah całe są pokratkowane od cienia. Mar pochyla się w moją stronę.

– Wyglądają całkiem jak...

– Szarlotki. Ich twarze wyglądają jak szarlotki z kratką z ciasta na wierzchu. – Wypuszczam z sykiem powietrze z płuc, popatrując na słońce. Na zachodzie zbiera się nieco chmur, ale czy dotrą tu na czas? – Co masz w samochodzie?

– Stertę sprzętu, który będzie wyglądał koszmarnie podczas ceremonii.

Kiwam głową, łypiąc gniewnie na altankę. Mar zna mnie dość dobrze, aby wiedzieć, że potrzebuję chwili do namysłu. Przeczesauję palcami ciemne włosy, nadal nie mogąc się do końca przyzwycząić do tego, że są krótsze – mimo że minęły jakieś dwa lata, odkąd sięgały mi do połowy pleców (właściwie to dokładnie wiem, ile czasu minęło od chwili, kiedy wparadowałam do salonu fryzjerskiego, błagając fryzjerkę, żeby „coś z nimi zrobiła”).

Odwracam się do Sarah, która przycupnęła na schodkach altanki.

– Moja droga, jak tylko ceremonia się zacznie, weź od Mar kluczyki i podprowadź jej samochód do strefy dostaw. Zabierz dyskretnie sprzęt, który będzie jej potrzebny, i ustaw go przy tym wielkim drzewie, a gdy tylko młodzi powiedzą sobie „tak”, rozstaw, co trzeba. Przyprowadzimy pastora i nowożeńców i zrobimy kilka zdjęć, na których nie będą wyglądali jak wypieki.

Sarah, moja kolejna była przybrana siostra, która kompletnie nie ma rozeznania w planowaniu ślubów – co wyraźnie po niej widać – mruga nieprzytomnie, przyglądając mi się sennym wzrokiem.

– A kto da sygnał DJ-owi?

– Chyba ja. – Zerkam na zegarek i patrzę na Mar, unosząc brwi, a ona kiwa głową. – W porządku, Mar. Podczas ceremonii rób zdjęcia, jak się całują, pstrykaj ważne momenty, ale przede wszystkim skup się na wzruszonych do łez członkach rodzin.

– Wzruszonych członków rodzin mam w małym palcu.

Zostawiam je obie w altance i macham do dostawcy kwiatów. Podczas gdy asystentka florystki rozwiesza girlandy róż między krzesłami, lustruję kwiaty w poszukiwaniu zbrązowiałych płatków i je obrywam. Za każdym razem, gdy to robię, asystentka zaciska wargi, ale jest na tyle mądra, aby nie komentować.

Cofam się i obrzucam spojrzeniem całą scenerię. Już niemal wszystko gotowe. Muszę jeszcze powiesić oznaczenia i sprawdzić nagłośnienie, ale wszystko powoli zaczyna wyglądać, jak trzeba. Przyjeżdża dywan. Nie znam gburowatego kierowcy ciężarówki, który go przywozi. Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów i pyta, czy jestem asystentką Amy Torres. Gdy wyprowadzam go z błędu, patrzy na mnie nieufnie, całkiem jakbym nie wyglądała na osobę, która potrafi równo ustawić krzesła, nie mówiąc już o koordynowaniu ślubu, ale mimo to wzrusza ramionami i rozwija dywan we wskazanym miejscu.

Gdy przyglądam się, jak DJ sprawdza nagłośnienie, słuchawka w moim uchu piszczy – zgadza się, używam zestawu słuchawkowego – i odbieram:

– Tu Ama...

– Eee... cześć! – odzywa się nieznajomy głos. – Czy rozmawiam z konsultantką ślubną?

– Owszem – potwierdzam, siląc się na życzliwy ton. – Z kim mam przyjemność?

– Z tej strony Erica, kuzynka pana młodego.

Ach, druhna, która w ubiegłym tygodniu postanowiła ufarbować włosy na zielono.

– Cześć, Erica! Czy coś się stało?

– Hmm, cóż, tak jakby. Eloise zamknęła się w łazience. – Zastygam w bezruchu. – Reszta dziewczyn mówiła, żebym do ciebie nie dzwoniła, ale ona siedzi tam już czterdzieści pięć minut, a makijażystka powinna już ją zacząć malować...

– Jasne, rozumiem. Dzięki za informację, Erica. Za moment tam będę.

Stukam palcem w słuchawkę w moim uchu niczym złoczyńca z któregoś z filmów o Bondzie, robię w tył zwrot i maszeruję do hotelu po drugiej stronie ulicy. Goście panny młodej są ulokowani w niewielkiej sali konferencyjnej, którą hotel sprytnie przekształcił w apartament po tym, jak nastąpiła moda na organizowanie przyjęć weselnych w centrum miasta. Idę prosto do recepcji, gdzie Bernie, mój ulubiony konsjerż, sięga już do szuflady.

– Sytuacja awaryjna? – pyta.

– Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić. – Uśmiecham się do niego promiennie i biorę uniwersalny klucz, który mi podaje.

Przemierzam szybkim krokiem lobby i idę prosto do apartamentu. Nie zawracam sobie głowy pukaniem. W moją stronę odwraca się natychmiast sześć idealnie uczesanych główek, a Erica udaje, że jest równie zaskoczona moim przybyciem, co reszta drухen. Carmen, świadkowa czuwająca pod drzwiami łazienki, odrywa głowę od ściany – najwyraźniej próbowała właśnie przemówić pannie młodej do rozsądku. Wygląda, jakby na mój widok poczuła ulgę, jednak wydaje się też nieco przygaszona, że to nie jej przyjdzie odgrywać rolę tej, która uratowała przyjęcie weselne.

Niestety, tak się składa, że to moja fucha.

Podchodzę do zamkniętych drzwi.

– Carmen, wszystko będzie dobrze, nie martw się. Czy mogłabyś dopilnować, żeby makijażystka zaczęła malować Eloise za

pięć minut?

Carmen patrzy na mnie i mruga półprzytomnie, a ja otwieram drzwi kluczem, wchodzę do łazienki i zamykam je za sobą, nim udaje jej się wykrztusić choć słowo.

Łazienka została urządzona w stylu lat czterdziestych, z witrażowymi kloszami i ozdobnymi płytkami. Pod ścianą stoi wanna na mosiężnych lwich nóżkach, a w niej siedzi Eloise Już-Wkrótce-Reynolds; śnieżny szyfon jej sukni wylewa się na zewnątrz, spływając po białej porcelanie. Nie patrzy na mnie – zamiast tego gapi się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

Moje obcasy stukają o czarno-białe płytki, gdy do niej podchodzę, aby się upewnić, że nie odkręciła kranu – uff, żadnych powtórek z katastrofy, jaką okazał się ślub Winchellów w 2022 roku. Bogu niech będą dzięki. Wyjmuję z ucha słuchawkę, zdejmuję buty, wchodzę do wanny i siadam naprzeciwko niej.

Gdy rejestruje moją obecność, przez chwilę mruga, otumaniona, a potem wargi zaczynają jej drżeć i z jej gardła wrywa się zduszony jęk. Podnosi dłoń do twarzy, a po jej policzkach zaczynają spływać łzy. Nie odzywam się ani słowem, dopóki się nie wypłacze. W końcu wciska pięści w oczodoły i przechyla głowę do tyłu, starając się powstrzymać kolejne łzy.

– Gdybyś mogła w tej chwili zmienić jedną rzecz, co by to było, aby uczynić ten dzień idealnym? Jedną jedyną – pytam rzeczowo.

Przygryza wargę, wbijając wzrok w ścianę.

– Pan młody.

Och. Cóż. Na to akurat nic nie mogę poradzić. A przynajmniej nie z marszu. Kiwam głową, jakbym doskonale ją rozumiała, jakbym zastanawiała się nad odpowiedzią.

Patrick Reynolds nie należał do moich ulubionych przyszłych panów młodych. Oświadczył się podczas meczu baseballowego, na telebimie i z całą tą rozdmuchaną otoczką. Zawsze uzyskuję dobre rozeznanie na temat pary, gdy pytam o ich historię zaręczyn. Nie twierdzę, że to sprawdzona metoda potwierdzająca, czy im się uda, ale... Panny młode z najpiękniejszymi historiami zaręczynowymi to te, którym nie organizowałam przyjęć weselnych dwukrotnie.

– Chcesz się wymknąć? – pytam ją. – Ukradkiem? Mogłabyś wyjść tylnymi drzwiami...

Eloise wydaje z siebie pełne goryczy parsknięcie.

– Mówisz poważnie?

– Tak – potwierdzam. – Mogłybyśmy dać stąd nogę. Tylko ty i ja. Albo ty i Carmen. – Kiedy nadal wpatruje się we mnie, zbity z tropu, dodaję: – No wiesz: wzięłam już forszę, więc tak naprawdę nie obchodzi mnie, czy ślub się odbędzie, czy nie.

Ponownie parska i przesuwa dłonią po twarzy.

– A co z dostawcami usług? Firmą cateringową? DJ-em?

– Obawiam się, że nie podlegają zwrotowi w dniu ślubu. Będziesz jadła kurczaka lub rybę przez następne pięćdziesiąt siedem dni.

Znowu drżą jej wargi.

– Czy to dziwne, że gorzej czuję się z powodu odwołania przyjęcia niż samej ceremonii?

– Nie. Wierz mi, to całkowicie normalne, że jesteś bardziej podekscytowana perspektywą imprezy w gronie przyjaciół niż złożeniem przysięgi małżeńskiej.

– A czy nie moglibyśmy po prostu... zrobić przyjęcia bez ślubu? – mamrocze, machinalnie pusząc fałdy swojej sukni. Uśmiecham się i daję jej czas do namysłu. – Naprawdę czuję się koszmarnie z myślą, że będę musiała przez to wszystko przechodzić, skoro i tak nic z tego nie będzie. Nie chcę skończyć jak moi rodzice – nic tylko harować, dopóki dzieci nie pójdą do college'u. – Wzdycha. – Czy to źle brać ślub dla zabawy, skoro wiesz, że to nie będzie twój ostatni?

Przełykam ślinę. Obiecałam sobie, że przestanę to robić – przestanę się spoufalać z moimi klientami. To nigdy nie kończy się dobrze. Eloise zaprosiła mnie na swój wieczór panieński, bo i tak już zbytnio się do niej zbliżyłam. Ale moim zadaniem jest dopilnować, żeby została doprowadzona do ołtarza. Robię więc głęboki wdech i przestaję się powstrzymywać.

– Moja mama wychodziła za mąż szesnaście razy.

Eloise wpatruje się we mnie, jakbym właśnie cisnęła jej tortem weselnym w twarz.

– Ile?

– Szesnaście. Mój ojciec był piąty. Jestem jej jedyną biologiczną córką. Mar, wasza fotografka, jest w naszej wielkiej rodzinie córką

numer dziewięć. Mam ponad dwadzieścioro przybranych sióstr i braci na terenie i w okolicach Sacramento, między innymi dwójkę moich asystentów, którzy są tu dziś ze mną.

Niemal widzę, jak trybiki w jej mózgu się obracają, gdy próbuje ogarnąć to umysłem.

– To... okropne. Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna... – dodaje prędko.

– W porządku. To było naprawdę trudne, kiedy byłam młoda – tak się tułać od jednej przybranej rodziny do drugiej. Ale koniec końców poznałam naprawdę fajnych ludzi. – Odchrząkuję i ponownie się skupiam. – Mówię ci to tylko po to, żebyś uświadomiła sobie, że mimo iż naprawdę chcesz, żeby to był twój jedyny ślub, to wcale nie musi tak być. Moja mama za każdym razem organizowała ceremonię i przyjęcie. Tylko jeden z tych szesnastu ślubów odbył się w ratuszu. Tak więc, jeśli zechcesz wziąć kolejny ślub za, dajmy na to, trzy lata, wciąż będziesz mogła zaprosić, kogo ci się żywnie podoba. Wesela nigdy się nie nudzą. Zaufaj mi.

Powoli kiwa głową.

– To dlatego zostałam konsultantką ślubną?

Uśmiecham się.

– Między innymi. W wieku osiemnastu lat wiedziałam już na temat wesel całkiem sporo. I zajmowałam się dosłownie wszystkim: od sypania kwiatków, poprzez druhnowanie, aż po didżejkę.

Eloise parska śmiechem.

– A czy... Czy kiedykolwiek sama wyszłaś za mąż?

– Nie – zaprzeczam. – Nigdy nie czułam takiej potrzeby – dodaję i gryzę się w język, żeby nie wypalić, że nie wierzę w długoterminowe związki – nie w momencie, w którym próbuję ją nakłonić do wyjścia za mąż. Zamiast tego robię głęboki wdech i dodaję: – Masz więc wybór, Eloise. To twoja decyzja. Możesz wyjść, zjeść tort, zatańczyć i podjąć solenną próbę dotrzymania przysięgi. Albo możemy się wymknąć tylnymi drzwiami. Mogłabym wysłać asystentkę, żeby wszystko odwołała. – Sięgam po jej dłoń i ściskam ją pokrzepiająco. – Przyjęcie weselne to nie małżeństwo. Małżeństwa nigdy nie będą idealne. To ciągła praca. Ale wesele? Wesele to tylko chwila w czasie, którą możemy uczynić idealną. Pozwól mi stworzyć dla siebie idealny moment, Eloise.

Eloise przygryza dolną wargę i wpatruje się w swój pierścionek zaręczynowy. Kiedy spogląda na mnie, wiem już, że mi się udało.

Wychodzimy z wanny, a gdy otwieram drzwi łazienki, Carmen wciąż pod nimi stoi, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Już wszystko w porządku. Drogie panie? – zagaduję do dziewczyn. – Mamy trochę roboty, jeśli chcemy, żeby wszystko poszło zgodnie z planem, ale z pewnością nie przyjdzie nam nic dobrego z wypytywania Eloise, co się działo przez ostatnią godzinę, rozumiemy się?

Mrugam do panny młodej, która kiwa z wdzięcznością głową.

Kiedy oddaję Berniemu klucz, próbuję przekonać samą siebie, że dobrze zrobiłam, otwierając się przed Eloise. To w końcu dzień jej ślubu. Wbrew temu, w co kazano mi wierzyć, dawanie odrobiny siebie nie jest niczym złym, prawda?

Gdy wracam do parku, Jake biegnie w moją stronę z zaaferowaną miną.

– Właśnie dzwonił aprowizator – mówi i słyszę w jego głosie panikę. – Nie dotarły jeszcze obrusy...

Szlag. To zupełnie nowa firma, z której usług wcześniej nie korzystałam – chciałam ich przetestować. Splatam przed sobą dłonie i zaczynam się bawić zawieszonym na szyi długim łańcuszkiem.

– Jake... – wzdycham – Przypomnij mi, proszę, ile ci płacę?

– Eee... Sto dolarów? – przebąkuje.

Jake jest trochę jak Muppet. Studiuje na drugim roku na uniwersytecie w Sacramento, na kierunku teatralnym. Miałam nadzieję, że będzie w związku z tym świetnie radził sobie z zarządzaniem sceną, ale najwyraźniej dostałam kogoś specjalizującego się w dramatach. Jest obecnie formalnie moim jedynym przybranym bratem, bo jego ojciec to aktualnie mąż mojej matki. Mówię „aktualnie”, ponieważ... Cóż... To tylko kwestia czasu.

Szukam w telefonie numeru do firmy od obrusów. Po chwili odbiera ktoś z obsługi Linens and Love, a ja mówię:

– Dzień dobry. Z tej strony Ama Torres. Wasza firma spóźnia się już niemal godzinę z dostawą obrusów. Czy moglibyście to wyjaśnić?

Mężczyzna na drugim końcu linii jąka się przez chwilę, aż w końcu wydusza z siebie:

– Już do was jadą. Po prostu... Był jakiś problem z samochodem i...

Wyciągam z torby kluczyki do auta i pytam:

– Czy mogę kogoś po nie wysłać, skoro opóźniacie nam przygotowania do przyjęcia?

Facet od obrusów tłumaczy mi, gdzie zatrzymała się ciężarówka, a ja przepraszam go na chwilę, zawieszam połączenie, chwytam Jake'a za ramię i ciągnę go w stronę parkingu.

– Jake, teraz płacę ci dwieście dolarów, bo za chwilę pojedziesz na stację benzynową przy Howe. Załadujesz wszystko do mojego samochodu – mam na myśli wszystko, zamocujesz pudła na dachu, jeśli będzie trzeba – a potem natychmiast wrócisz i dopilnujesz, żeby nie było dalszych opóźnień. Czy to jasne?

Jake znów zaczyna się jękać, na co mówię mu wprost:

– Albo w ogóle nie dostaniesz kasy. Bo w tej chwili raczej mi nie pomagasz.

Przełyka ślinę, bez słowa kiwa głową, a potem maszeruje posłusznie w stronę mojego samochodu. Gdy odjeżdża, wracam do Mar w altance i odwieszam połączenie z gościem od obrusów.

– Mój asystent za chwilę podjedzie do waszego kierowcy. Proszę go poinformować, że jeśli wasze spóźnienie wyniesie godzinę, ponosicie koszt dostawy. I proszę też przekazać kierownikowi, że Ama Torres jest bardzo, ale to bardzo niezadowolona. Nie dodam Linens and Love do mojej listy sprawdzonych dostawców.

Zaczyna mnie przeproszać, ale się rozłączam. Robię głęboki wdech, poruszam ramionami w tył, żeby je rozluźnić i podchodzę do Mar stojącej na drabinie i praktycznie zwisającej z sufitu altany podczas próby zamocowania małego reflektora. – Wszystko w porządku? – zagaduję ją, a ona odpowiada pytaniem:

– Co się znowu stało? Widziałam, że szłaś do hotelu.

– Panna młoda prawie zbiegła, ale wyperswadowałam jej ten pomysł.

Mar unosi jedną ciemną brew.

– Jak?

Zaciskam usta.

– Opowiedziałam jej o mojej mamie. I o tym, że w przeciwieństwie do wesel, nie wierzę w instytucję małżeństwa.

Mar parska krótkim śmiechem.

– Odważnie!

Wzruszam ramionami.

– Jedną nogą była już za drzwiami. Pomyślałam, że pora postawić na szczerłość.

Mar schodzi z drabiny i mówi:

– Jeśli ktokolwiek jest zdolny przekonać kogoś, że pierwsze małżeństwo nie ma znaczenia, to z pewnością córka Cynthii Jones Rutherford Reed Dyer Lee Torres...

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś w stanie to wszystko spamiętać!

– ...Smith Smith Nelson Jaswal Matthews Andrews Evans Benjamin... plus trzy kolejne. – Mar zaczerpuje głęboko tchu, jakby właśnie wynurzyła się spod wody. – Zapamiętywałam je, dopóki, Cindy wychodziła za facetów o nazwiskach brzmiących jak imiona.

– Po twoim ojcu poszło już z górki – mówię, a ona podnosi aparat, aby zrobić mi zdjęcie. – Dziewczęta będą gotowe za dziesięć minut. Panna młoda i świadkowa nie zaczęły się jeszcze malować, gdy wychodziłam.

Mar marszczy nos i sprawdza swój telefon.

– Czy będziemy mieli opó...

– Nie waż się wymawiać tego słowa! – Wycelowuję w nią oskarżycielsko palec, odwracam się na pięcie i idę w stronę samochodu celebranta, który zatrzymuje się właśnie w pobliżu.

Reszta przygotowań przebiega bez przeszkód i w czasie krótszym, niż zajmuje wypowiedzenie przysięgi ślubnej, zaczynają zjawiać się goście. Po przybyciu parkingowego mogę wrócić do hotelu. Kiedy wchodzę do apartamentu, Mar pstryka Eloise wyglądającą przez okno, skąpaną w świetle słonecznym przenikającym przez koronkowe zasłony. Eloise ogląda się na mnie przez ramię i kiwa z uśmiechem głową.

Wygląda na to, że lada chwila możemy zaczynać.

Panna młoda idzie do ołtarza w takt *A Thousand Years*, jak zawsze, a ja stoję z tyłu obok jakiegoś krewnego z marudzącym dzieckiem, czekając, aż rozpocznie się kolejny utwór. Kiedy Eloise i Patrick idą ramię w ramię pośród swoich gości, świeżo poślubieni, widzę, jak panna młoda uśmiecha się do niego z oczami mokrymi od łez.

Cóż, to się może udać...

Zabieram ich na prawo, z dala od wyjścia dla gości, i czekam z nimi, dopóki nie dołączą do nas druhny, aby Mar i Sarah mogły przygotować wszystko do pozowanych zdjęć. Ciotka któregoś z młodych próbuje się do nas podkraść i widzę, jak Eloise rzadnie mina, gdy stanowczo mówię starszej pani, że to strefa prywatna i nikt poza parą młodą nie ma do niej wstępu. Prycha, ale odchodzi, zniesmaczona. Wyczuwam potężnego focha.

Uwielbiam to, co dzieje się po części formalnej. Najtrudniejsze już za nami – zarówno w przypadku moim, jak i młodej pary – a resztę załatwiają wynajęci usługodawcy. W tym momencie to w zasadzie jak pilnowanie dzieci, doprowadzanie przyjęcia weselnego z punktu A do punktu B. Kiedy Mar fotografuje, nie znosi błakających się samopas druzhen ani przypadkowych członków rodziny kręcących się w pobliżu. Ma coś w rodzaju magicznego daru, który sprawia, że jest naprawdę świetna w swoim fachu, bo jest wystarczająco energiczna i zaangażowana, aby zauroczyć druhny, ale i wystarczająco pociągająca, aby drużbowie chciwie spijali każde słowo, które pada z jej zmysłowych ust.

I tak jak ja, nie zapomina o zasadzie numer 4 – nigdy nie zostawaj sam na sam z którymś z tych ostatnich.

Idziemy do sali, w której ma się odbyć przyjęcie – pora na tort. Jake, nabuzowany, jakby przyćpał, uwija się jak w ukropie. Składa serwetki – niemal jak trzeba – a gdy do niego podchodzę, informuje mnie, że kierowca bardzo, ale to bardzo przepraszał.

Cóż, przeprosiny nie wystarczą. Linens and Love nie trafią do mojego wizytownika (owszem – mam takowy; jest z lat pięćdziesiątych i jest uroczy).

Kończę składać z nim serwetki, poprawiając te, które schrzanił, a potem zjawiają się goście.

Tym, czego brakuje mi najbardziej z czasów, gdy byłam zatrudniona w dużej firmie organizującej przyjęcia ślubne, jest fakt, że mogłam wyjść, gdy tylko pokrojono tort. Kiedy pracowałam w Whitney Harrison Weddings, zawsze miałam do pomocy trzech takich Jake'ów, którzy zajmowali się obsługą przyjęcia. Teraz, gdy pracuję na własny rachunek, muszę osobiście nad wszystkim czuwać od początku do końca. Cóż, pewnego dnia też dotrę do punktu,

w którym będę miała labę. Pewnego dnia będę organizowała trzy wesela w sobotę i dwa w niedzielę, jak Whitney. Ale w tej chwili mogę ogarnąć tylko jedno dziennie i muszę oferować mniejsze pakiety w niedziele, ponieważ jestem niedostępna na dzień przed ceremoniami odbywającymi się w ostatni dzień tygodnia.

Tym, czego naprawdę potrzebuję, aby dotrzeć do tego punktu, jest artykuł autorstwa Marthy Stewart lub notka na TheKnot.com, tak jak przydarzyło się to Whitney w wieku dwudziestu lat. Znalazła się w centrum uwagi dzięki ślubowi córki burmistrza i to właśnie dzięki Whitney Sacramento znalazło się w samym sercu mapy branży ślubnej. Kiedy dla niej pracowałam, miała już za sobą dwadzieścia pięć lat kariery i mnóstwo kontaktów w San Francisco. Prawie nigdy nie pojawiała się w dniu ślubu – chyba że w grę wchodziło wydarzenie, które trafiało na pierwsze strony gazet.

Właściwie to bardzo lubię dni przyjęć ślubnych. Lubię gorączkowy zgiełk ceremonii, miłe niespodzianki, ale i wyzwania; uwielbiam moment, w którym para młoda tańczy swój pierwszy taniec. Co nie zmienia faktu, że pewnego dnia chciałbym zarabiać na tyle dobrze, aby zatrudnić jeszcze dwóch asystentów, dzięki czemu mogłabym po prostu dyrygować wszystkim zdalnie, bez konieczności osobistego nadzorowania przebiegu imprezy. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że to wymagałoby ode mnie zrzeczenia się modelu mojej marki, która do tej pory była ukierunkowana na klasę średnią, z opcją dostosowania do konkretnych potrzeb.

– Dlaczego tak się krzywisz, patrząc na DJ-a? – pyta Mar. – Znowu przyłapałaś go na wciąganiu koki w kiblu? – Pstryka zdjęcie, stojąc obok mnie.

– Naprawdę myślisz, że nadal pracuję z tamtym gościem? – parskam. – Wpisałam go na moją czarną listę. Robi teraz pewnie wyłącznie na weselach zaprawianych białym proszkiem.

– Cudnie. – Mar zmienia obiektyw. – Myślisz o jutrzejszym dniu?

Cóż, właściwie to nie, nie myślałam o nim. Ale teraz, gdy już o tym wspomniała...

– Nie denerwuję się – zapewniam ją pośpiesznie, na co Mar reaguje śmiechem.

– To dobrze. Bo nie ma się czym denerwować. Albo cię wezmą, albo nie. Nic więcej nie możesz zrobić.

Kiwam głową, robiąc głęboki wdech.

Bo skoro już mowa o przełomach, to niewykluczone, że jutro może nastąpić jeden z nich. Mianowicie: Hazel Renee, influencerka z 4,2 miliona obserwujących na Instagramie i 8 milionami subskrybentów na swoim kanale na YouTube, zakochała się w dziewczynie z Sacramento. W zeszłym miesiącu zamieściły na Instagramie informację, że się zaręczyły, i pomyślałam od razu: „Któryż ze szczęśliwych konsultantów ślubnych z LA będzie miał fart zorganizować ten ślub?”.

Cóż, wygląda na to, że ja również mam na to pewne szanse, bo narzeczona Hazel, Jacqueline Nguyen, pragnie wziąć ślub w swoim rodzinnym mieście. Dwa tygodnie temu wysłała mi e-maila z pytaniem, czy mogłybyśmy umówić się na rozmowę. Staram się nie robić sobie nadziei. Jestem w pełni przygotowana na to, aby powiedzieć im, co oferuję, a czego nie. Nawet jeśli planują utrzymać listę gości poniżej trzydziestu osób, istnieją agencje, które mają znacznie większe doświadczenie ode mnie, jeśli chodzi o styl, w jakim chciałyby wydać przyjęcie ślubne (czytaj: prawdopodobnie z wielką pompą).

Ale gdyby udało mi się złapać tę fuchę... Gdybym zorganizowała ślub, z którego relację obejrzą miliony obserwujących ich konta....

To wszystko, czego mi trzeba, aby moja kariera nabrała rozpędu. To złoty bilet do świata elit.

Muszę się tylko upewnić, że jestem na to gotowa.

Eloise podchodzi do mnie pod koniec przyjęcia, bosa i pijana miłością, całuje mnie w policzek i mówi, że decydując się na zatrudnienie mnie, dokonała najlepszego wyboru w swoim życiu. Odsyłam ją do samochodu, uśmiechając się do siebie pod nosem.

Przypominają mi się chłodne niebieskie oczy Whitney Harrison, a w uchu słyszę jej matczyny głos, którym zawsze się do mnie zwracała: „Bądź ostrożna, Ama. W końcu jesteś konsultantką ślubną, a nie świadkową. Nie dawaj tyle z siebie ludziom, których nigdy więcej nie zobaczysz – ludziom, którzy prawdopodobnie nawet nie pożegnają się z tobą, gdy wieczór ich ślubu dobiegnie końca”.

Cóż, a co byś powiedziała na to, Whitney?

Wzdycham, pocierając czoło. Próbowalam wyznaczać granice. Być stanowcza. Jednak od zawsze miałam z tym problem, jeśli

chodzi o klientów i kontrahentów. Uwielbiam poznawać ludzi i dowiadywać się, co czyni ich szczęśliwymi. Ale przekraczanie tych granic zawsze wpędza mnie w tarapaty.

Zawsze.

2

Ama

MARZEC

Podjęcie decyzji, w co się ubrać na spotkanie z kimś, kto ma własną linię kosmetyków do makijażu, trzy będące w trakcie realizacji projekty opublikowane na IMDb, a jego twarz regularnie gości na reklamach na Times Square, to jakiś koszmar.

Byłam w szkole średniej, kiedy Hazel Renee trafiła pierwszy raz na okładkę „Marie Claire”. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, więc odsadziła mnie i moich przyjaciół na naprawdę imponujący dystans. Śledzę jej Instagram od dziesięciu lat, więc dokładnie wiem, czego się spodziewać, gdy za godzinę wejdzie do kawiarni.

Zwykle podczas pierwszej rozmowy z przyszłą parą młodą ubieram się pod klientów, z którymi mam się spotkać, a przeglądając ich media społecznościowe, jestem w stanie określić, czy w danej sytuacji odpowiedniejszy będzie komplet od Stelli McCartney, czy coś bardziej artystycznego i odrobinę mrocznego. Hazel i Jacqueline są młode i podążają za trendami. Stella nie zrobi na nich wrażenia. Wkładam więc po prostu dżinsy, do których dobieram dopasowaną czarną bluzkę i czarny żakiet, i wsuwam stopy w czarne szpilki.

Następnie poświęcam mnóstwo czasu na wykonanie starannego makijażu, bo to wszak Hazel Renee, a ja używam jej linii kosmetyków. To dzięki niej i jej filmikom na YouTube nauczyłam się konturowania, kiedy byłam nastolatką – i nadal robię to w ten sam sposób, bo bez odpowiedniego makijażu z moją okrągłą twarzą ludzie cały czas biorą mnie za gówniarę.

Jeszcze tylko odrobina perfum i, żegnana prychnaniem mojej kotki, wyruszam na spotkanie w ten ciepły marcowy ranek.

Kilka lat temu kupiłam dom z dwiema sypialniami w uroczej części Miasta Drzew. Czy może raczej: wprowadziłam się do domu z dwiema sypialniami, bo jego oficjalną właścicielką zostanę za... jakieś osiemdziesiąt cztery lata. W miejscu takim jak Sacramento trudno uniknąć współlokatora w samym centrum Midtown. W promieniu pięciu przecznic można się poczuć trochę jak w Nowym Jorku – bar pod mieszkaniem, minimarket na rogu i brak konieczności posiadania samochodu. To uzależniające. Mar nadal mieszka w Midtown, ale zjawia się u mnie, pokonując piętnaście przecznic na wschód, kiedy potrzebuje „wakacji”. Postanowiłam zerwać ze stereotypem millenialsa, kiedy przestałam się tułać po wynajmowanych lokalach (spokojnie – nadal wydaję 6000 dolarów rocznie na tosty z awokado; pozwolili mi zachować kartę członkowską. To znaczy, nie do końca – jeśli faktycznie jest coś, na co wydaję sześć kaffi rocznie, to są to donuty).

Gdy przekraczam próg J Street Donuts, pan Kwon kiwa mi głową znad ramienia kobiety, którą akurat obsługuje, a kiedy podchodzę do lady, pakuje już do pudełka moje sześć pączków.

– Niech zgadnę – mówi. – Nowi klienci?

– Skąd wiedziałeś?

– Wyglądasz, jakbyś bardzo się starała zrobić jak najlepsze wrażenie. – Zamyka pudełko i bierze ode mnie banknot dziesięciodolarowy. – Ten z masłem orzechowym jest po lewej, zawinięty w papier.

– Dziękuję, panie Kwon.

Wychodzę, nim kobiecie przede mną udaje się wyciągnąć z portfela kartę, żeby zapłacić.

Pan Kwon wie, że nie musi wydawać mi reszty – podobnie jak wie o tym, że chociaż jego pączek Peanut Butter Dream to

prawdziwy bestseller cukierni, jestem uczulona na fistaszki. Kiedyś pakował donuty dla klientów w osobne pudełko, ale po kilku latach przekonałam go, że wystarczy je oddzielić od reszty.

Pączki to mój język miłości. Przynoszę pudełko na każdą imprezę składkową, przyjęcie, spotkanie przy drinkach – zawsze, gdy nadarza się ku temu okazja. Jestem święcie przekonana, że nie ma na świecie takiego problemu, którego nie dałoby się rozwiązać za pomocą kęsa doskonałego pączka (to znaczy pomijając oczywiście poważne problemy globalne, choć myślę, że nawet w ich przypadku, gdybyśmy wszyscy usiedli i zjedli wspólnie po pysznym donucie, można by załagodzić nawet najbardziej kryzysowe sytuacje).

Pączki są również taktyką, dzięki której lepiej poznaję swoich klientów. Dowiaduję się na przykład, które przyszłe panny młode rozpoczęły dietę, aby dobrze wyglądać w sukni ślubnej, którzy przyszli panowie młodzi wolą, aby ich narzeczone nie jadły słodczy, a które pary zajadają stres. I przy okazji sama mogę zjeść donuta. Albo sześć, jeśli faktycznie klienci są na diecie. Moja mama przechodziła na szalone, intensywne diety przed jakąś jedną trzecią swoich ślubów – i za każdym razem jej zachowanie wiele mówiło o tym, jaki ma stosunek emocjonalny do przyszłego męża, jego przyjaciół, jak się czuje w tym momencie swojego życia – i tak dalej, i tak dalej.

Parkuję przed Weatherstone, modną kawiarnią w budynku z czerwonej cegły, w którym niegdyś mieściły się stajnie. Nie wiem, kiedy dokładnie, ale... cóż, dawno. Tutejsi bariści też mnie znają, bo zamawiam od nich kawę na przyjęcia. Dwa lata temu zorganizowałam tu nawet wesele na trzydzieści osób – dlatego barista z kozią bródką przymyka oko na to, że przynoszę własne pączki.

Zajmuję wolny róg rustykalnego stołu na środku kawiarni i odwracam się w stronę drzwi. Zamawiam kawę parzoną przelewowo – przynoszą ją w małej karafce, dzięki czemu można poczuć się luksusowo – zamiast mojego zwykłego espresso z cold brew. I tak już jestem wystarczająco nabuzowana.

Nigdy wcześniej nie byłam tak zdenerwowana przed spotkaniem z klientami. Może z wyjątkiem tego pierwszego – ponad trzy lata temu, gdy Whitney przysłała do mnie pewną parę, która nie zgodziła

się na jej ceny. I choć brzmi to żałośnie, wydarzyło się to w punkcie mojej kariery, w którym dojmująco potrzebowałam każdego wsparcia, nawet jeśli było ono udzielone z litości. Decyzja o opuszczeniu Whitney Harrison Weddings mogła okazać się najbardziej kolosalnym błędem w moim życiu, ale na szczęście Whitney była – i nadal jest – po mojej stronie.

Dwie minuty po dziewiątej drzwi się otwierają i zajmuje mi dobrą chwilę, nim naprawdę dociera do mnie, że widzę osobę, którą kiedyś mogłam oglądać głównie na ekranie telefonu. Spodziewałam się modelki rodem z wybiegu, ale moim oczom ukazuje się zwykła dziewczyna z sąsiedztwa. Hazel ma na sobie džinsy i kardigan, a jej ciemnoblond włosy są upięte na czubku głowy; jedyną rzeczą sprawiającą, że wygląda jak celebrytka, są okulary pilotki, których nie zdejmuje nawet w środku. Trzyma za rękę Azjatkę o okrągłych policzkach i jasnobrązowych oczach – to musi być Jacqueline. Gdy widzi, jak do niej macham na powitanie, wyciąga rękę w moją stronę.

– Cześć! Ama, jak się domyślam? – Jacqueline stawia torbę na stoliku obok mnie i podaje mi dłoń.

– Ty musisz być Jacqueline? – pytam.

– Wystarczy Jackie – mówi. – A to Hazel.

Ściskam rękę Hazel.

– Miło mi cię poznać.

Ma mocny uścisk dłoni i piękną twarz, a cała ta sytuacja sprawia, że czuję się lekko skołowana.

– Rany, masz cudowną cerę! – komplementuje mnie, czym totalnie mnie rozbraja już na samym wstępie.

Sięgam odruchowo palcami do policzków i przebąkuję:

– Och, dzięki! To... Cóż, właściwie to zasługa twoich kosmetyków.

– Coś niesamowitego! Super! – Błyska zębami w olśniewającym uśmiechu i odwraca się do Jackie. – Latte z syropem orzechowym?

Jackie kiwa głową i zajmuje miejsce naprzeciwko mnie, podczas gdy Hazel podchodzi do kasy. Jacqueline już, już ma coś powiedzieć, gdy jej wzrok przykuwa różowe pudełko leżące na stole między nami.

– Jeśli to są pączki, to chyba oszaleję!

Uśmiecham się do niej i otwieram pudełko. Piszczy, jakbym to ja padła właśnie przed nią na kolana z pierścionkiem z diamentem,

i lustruje uważnie zawartość w poszukiwaniu najsmakowitszego kęsa.

– Jeśli lubisz masło orzechowe, to ich specjalność. To ten. – Wskazuję na donuta zawiniętego w woskowany papier.

Sięga po niego bez wahania i odgryza pokaźny kęs, a ja w tym momencie jestem już niemal całkiem pewna, że uwielbiam tę kobietę.

– Rany boskie! – mamrocze z pełnymi ustami, a gdy Hazel wraca do stolika, dodaje pod jej adresem z zachwytem: – Słońce, musisz koniecznie tego spróbować!

– Mniem! – Hazel otwiera szerzej oczy. – Wyglądają pysznie!

Fantastycznie. A więc mogę je oficjalnie polubić.

Zawsze lubię grać na zwłokę, nim przejdę do interesów – i myślę, że dzięki temu wszyscy zainteresowani czują się lepiej podczas rozmowy o tej koszmarnej niezręcznej rzeczy – ślubie. Whitney jest co prawda innego zdania; lubi od razu przechodzić do konkretów. Ale kiedy jest się Whitney Harrison, ludzie milkną, gdy tylko otwierasz usta.

– No to... Dorastałaś tutaj, w Sac? – zagaduję Jackie, która kiwa głową, popijając swoje latte i mlaskając z rozkoszą.

– Chodziłam do Rio Americano. Rocznik dwa tysiące piętnaście.

– Och, ten sam co ja!

– Serio? Do której szkoły uczęszczałaś?

– Do St. Joseph's – wyjaśniam, odrobinę zawstydzona.

W oku Jackie dostrzegam jakiś błysk, gdy mówi:

– Ach, tak.

Moja matka nigdy nie narzekała na brak pieniędzy. Wydawała je na dwie rzeczy: moją prywatną szkołę i swoje wesela. Kiedy mówię ludziom, że chodziłam do St. Joseph's, jednej z czterech prywatnych szkół katolickich w Sacramento, patrzą na mnie... inaczej. Nienawidzę tego. Obecnie nie mam żadnego pożytku z pieniędzy mojej matki, bo nadal wydaje je rok w rok na wymyślne nakrycia i kwartety smyczkowe, ale i dlatego, że nie chcę o nie prosić, skoro jakoś rozpaczliwie ich nie potrzebuję. Nie potrzebowałam ich, odkąd tuż po ukończeniu szkoły średniej zaczęłam pracować dla Whitney. A fakt, że nie poszłam do college'u po ukończeniu St. Joseph, to w zasadzie plama na ich nieskazitelnej reputacji. Jednym z nielicznych plusów tego, że tam uczęszczałam, jest fakt, że moi

przyjaciele i znajomi, których tam poznałam, nadal biorą śluby. Niektórzy mogą sobie pozwolić na skorzystanie z usług Whitney, ale wielu z nich na przestrzeni trzech ostatnich lat odzywało się do mnie.

– A... czym się zajmujesz? – pytam Jackie.

– Jestem dyrektorem do spraw prawnych w Kapitolu.

– Super! To znaczy, brzmi fajnie. – Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia, co to znaczy. Jackie parska śmiechem, a ja uśmiecham się do niej i zwracam do Hazel: – Bo jeśli chodzi o ciebie, to nie muszę pytać, ma się rozumieć. Co jednak ściągnęło cię tutaj, do Sacramento?

– Jackie – rzuca prosto. Gdy spoglądają na siebie, widzę, że obie lekko się rumieniają. – Od zawsze chciała wziąć ślub właśnie tutaj.

– To wspaniałe miasto – przyznaję. – I mamy tu kilka naprawdę niesamowitych miejscówek na ślub. A skoro już o tym mowa...

– Właściwie to wybrałyśmy już miejsce. – Jackie uśmiecha się promiennie, odwracając się w moją stronę.

– Fantastycznie! A czy zaklepałyście już może termin?

– Jeszcze nie – mówi Hazel. – Jackie chciała się upewnić, że znajdziesz dla nas czas w swoim grafiku.

Zamieram z dłońmi zanurzonymi już w torbie w poszukiwaniu segregatora.

– Och, to... – Otrząsnąwszy się, wyjmuję segregator i kładę go na stole. – To znaczy, chciałam powiedzieć, to mi naprawdę schlebia, że zechciałyście się ze mną spotkać. Może „schlebia” to nie jest właściwe słowo, ale naprawdę jestem niesamowicie podekscytowana. Bardzo mnie to cieszy! – Wodzę wzrokiem od twarzy jednej do drugiej, podczas gdy one przypatrują mi się z wyczekiwaniem, w milczeniu. – Chciałabym tylko mieć pewność, że wybieriecie najlepsze z dostępnych opcji. Nie znam jeszcze żadnych szczegółów – jak duże ani jak wystawne chcecie mieć przyjęcie – ale jest wiele firm, które mają doświadczenie w planowaniu wesel na różną skalę. Whitney Harrison Weddings są naprawdę świetni, sama tam przez jakiś czas pracowałam.

– Słyszałam kilka... niezbyt pochlebnych rzeczy o Whitney Harrison – mówi Jackie, krzywiąc się lekko.

– Och, jasne, rozumiem. – Staram się uśmiechać pogodnie, ale nie mogę przestać się zastanawiać, kto mógłby źle ocenić Whitney i przeżyć, aby rozgłaszać podobne informacje.

– A ty – wtrąca Hazel – masz wiele dobrych opinii.

Otwieram usta, żeby podziękować za nieoczekiwany komplement, ale nigdy nie byłam w tym dobra, więc mamrocze tylko:

– Rety, cudownie! – po czym odchrząkuję. – Porozmawiajmy w takim razie o tym, co mogłabym wam zaoferować, i sprawdźmy, czy to faktycznie to, czego oczekujecie.

Obie przytakują zgodnie niczym figurki z głowami na sprężynkach. Odwracam tymczasem segregator w ich stronę i go otwieram lekko drżącymi dłońmi. Miałam niewiele ponad cień nadziei, że to faktycznie wypali. Nie mam nawet pojęcia, czy zdołam spełnić ich oczekiwania, jeśli zdecydują się rzeczywiście skorzystać z moich usług – ale wiedziałam, że chcę, muszę spróbować. Ten segregator to zasadniczo moja przepustka do świetlanej przyszłości, więc chwytam się go jak tonący brzytwy i przystępuję do prezentacji.

– W tej wysoce konkurencyjnej branży ślubnej specjalizuję się w... cóż, w realizacji tego, na czym zależy wam. We wcielaniu w życie waszej wizji. To wasz ślub. Mam sześć rodzajów pakietów, w zależności od wielkości waszego budżetu... – Niemal dodaję półzartem coś na temat tego, że pieniądze prawdopodobnie nie grają tutaj roli, ale w porę gryzę się w język, mówiąc zamiast tego: – I stylu, w jakim chcecie zorganizować ślub. – Odwracam stronę, przechodząc do mojego *pièce de résistance*, mojej dumy i chluby, zbioru zdjęć – dziesięciu stron prezentujących fotki ze ślubów, z których jestem najbardziej zadowolona. – Tym, co mam do zaoferowania, w przeciwieństwie do mniejszych agencji, jest doświadczenie w realizacji projektów dopasowanych idealnie do waszych osobowości i marzeń. Inne butikowe firmy zatrudniają projektantów za dodatkową opłatą lub pobierają więcej za projekt. Ja tego nie robię. Jestem... cóż, samowystarczalna. Działam kompleksowo.

– Och, ale zdecydowanie powinnaś bardziej się cenić! Powinnaś liczyć sobie za swoje usługi więcej!

Rozchyłam usta, gotowa do dyskusji na temat stawek, ale Hazel mamrocze coś pod nosem i ponownie gryzę się w język, podczas

gdy ona spogląda na mnie znad stron ze zdjęciami z moich przyjęć.

– Przepraszam, że wchodzę ci w słowo – mówi. – Ale po prostu... Naprawdę powinnaś rozważyć pobieranie wyższych opłat za swoje usługi. To jest... – Wskazuje na zdjęcia z mojego ulubionego wesela, zorganizowanego w Willow Ballroom, eksplozję wiosny wewnątrz dawnych magazynowych wnętrz. – To wygląda naprawdę niezmiernie. Lepiej niż cała moja tablica na Pinterescie razem wzięta! Masz do tego prawdziwy dryg – i powinnaś się adekwatnie cenić!

Wybąkuję słowa podziękowania, czując, jak się rumienię.

– Cóż, niewykluczone, że masz rację. Może faktycznie powinnam żądać za swoje usługi więcej. Ale prawda jest taka, że... uwielbiam to, co robię. I właśnie to odróżnia mnie od konkurencji.

Hazels mruczy z namysłem i upija łyk swojej flat white.

– Kiedyś sama robiłam sobie makijaż do reklam prasowych. Publikowałam wówczas na moim kanale na YouTube tylko samouczki, więc przychodziłam na plan w pełnym make-upie, a fotograf nic nie mówił. Dopiero później dotarło do mnie, że wynajęta przez nich wizażystka nadal otrzymywała wynagrodzenie – za pracę, której nie wykonała. Bywało też, że to właśnie jej przypisywano wykonanie makijażu, a więc to jej przypadały w udziale wszelkie pochwały. – Drapie się za uchem. – Ma się rozumieć, jestem pewna, że doskonale wiesz, co robisz. Nie próbuję ci mówić, jak masz prowadzić swój biznes. Ale jako osoba, która zarabia na życie w świecie, w którym liczy się przede wszystkim wygląd... Cóż, piękno zawsze ma swoją cenę. Możesz, a wręcz powinnaś żądać tyle, ile jesteś warta.

Czuję w piersi dziwny ucisk, a włoski na skórze stają mi dęba. Jestem skrzępowana, ale i dumna z komplementu – bo to w końcu komplement.

– Wybacz. – Hazel parska krótkim śmiechem. – Chcę przez to po prostu powiedzieć, że doceniam to, co robisz, serio!

– To cała ona – dodaje Jackie, przewracając figlarnie oczami. – Każdego chce uczyć, jak się robi interesy.

– Nie, nie – mówię pośpiesznie. – Spokojnie, jasne, rozumiem. Jestem po prostu... oszołomiona, to wszystko. Faktycznie, powinnam chyba o tym pomyśleć. – Staram się wziąć w garść i odnaleźć wątek,

który straciłam, bo... cóż... Bo Hazel Renee powiedziała mi właśnie, że za mało się cenię!

Hazel dostrzega najwyraźniej moje zmieszanie, więc dodaje pośpiesznie:

– Opowiedz nam, proszę, coś więcej o swoich pakietach.

– Jasne! – Przewracam stronę. – Zaczniemy od tego, że nie myślę w kategoriach liczby gości. Jasne, to zaważa oczywiście na kosztach, ale jeśli rozmawiamy o usługach, myślę przede wszystkim o tym, czego ode mnie oczekujecie. Jak to ma wyglądać.

– Chcemy wszystkiego – wchodzi mi w słowo Jackie. – Darujmy sobie drobnostki. Chcę, żebyś sporządziła projekt, wybrała dostawców usług, poprowadziła nas do ołtarza...

Niemal się krztuszę, podczas gdy Hazel dodaje:

– W tym roku będę... dość zajęta. Jeszcze tego nie ogłoszono publicznie, ale mam wziąć udział w kolejnym projekcie Greta Gerwig. Premiera w przyszłym miesiącu.

Wytrzeszczam na nią oczy.

– Niesamowite! Ona też jest stąd, wiesz?

Jackie kiwa głową.

– Naprawdę cieszę się z powodu Hay – ściska ramię Hazel – ale wiem, że to oznacza, że sporo spocznie wyłącznie na moich barkach.

– Bez przesady – protestuje Hazel, a ja wręcz rozpląwam się na widok troski widocznej na jej zmarszczonym czole. – Wiesz, że zrobię, co w mojej mocy...

– Tak, wiem, kochanie. Ale obie zdecydowałyśmy, że nie chcemy przeciągać tego o kolejny rok. A to oznacza, że będę musiała na tym wczesnym etapie podejmować decyzje samodzielnie. – Jackie zwraca się do mnie: – I właśnie dlatego potrzebujemy twojej pomocy. Czy twoja oferta obejmuje całodobowe wsparcie SMS-owe w razie ataków paniki?

Gdy dociera do mnie, że żartuje, parskam śmiechem, ale prawda jest taka, że kiedyś faktycznie tak robiłam. To był głupi nawyk, którego musiałam się wyzybyć.

Kiedy na chwilę milkniemy, popijając kawę, orientuję się, że to będzie... Cóż, nie lada wyzwanie. Polubiłam je. I to bardzo. Serce tłucze mi się w piersi niespokojnie, jakbym była na idealnej pierwszej

randce – i oczyma duszy widzę już niemal, jak to wszystko zorganizuję.

– Myślę, że dojdziemy do porozumienia – mówię. – Chętnie wysłuchałabym, co macie już ustalone i jakie są wasze priorytety. – Wyciągam z torby iPada i otwieram aplikację do robienia notatek, a potem tworzę nową, zatytułowaną „Hazel i Jackie”.

– Ogród Różany w McKinley Park. To było moje marzenie, odkąd byłam mała – oznajmia Jackie, lekko się rumieniając, a Hazel obejmuje ją ramieniem.

– Jest piękny! – mówię, zapisując skrupulatnie tę informację. – Organizowałam tam kilka wesel, więc dobrze znam to miejsce. Mieszkam w pobliżu. Wiem jednak, że mają mocno napięte grafiki...

– Fakt – potwierdza Hazel. – Ale dzwoniłam już do nich i mają kilka wolnych terminów. Chciałyśmy jednak poczekać z potwierdzeniem, dopóki się z tobą nie skonsultujemy...

Wlepiam w nią wzrok, mrugając półprzymkniętymi oczami. Rany, to brzmi, jakby naprawdę zależało im na współpracy ze mną, co wprawia mnie w osłupienie. Czuję, jak na policzki występuje mi rumieniec, gdy otwieram aplikację kalendarza i pytam:

– Jakie opcje brałyście pod rozwagę?

– Siódmy października byłby super, ale jeśli to nie wchodzi w grę, jest też szósty kwietnia...

– Październik... tego roku? – mamroczę, lustrując kalendarz.

To za siedem miesięcy! Kwiecień przyszłego roku jest zdecydowanie lepszą datą. Ale zanim udaje mi się przekazać im tę informację, Hazel wspiera łokcie na stole z rozmarzonym uśmiechem i oznajmia:

– Zawsze chciałam wziąć ślub jesienią!

I może to właśnie dlatego, że mam do czynienia z Hazel Renee, a może dlatego, że już widzę oczyma duszy te artykuły w mediach... Albo dlatego, że Jackie wydaje się lubić pączki tak samo jak ja (co mówi mi o niej w zasadzie wszystko, co muszę wiedzieć), ale... Cóż... Po prostu nie mogę im powiedzieć prosto z mostu, że to za mało czasu.

„Dam radę zorganizować ślub w siedem miesięcy” – postanawiam sobie twardo w myślach. Urządziłam już wiele przyjęć

weselnym w mniej niż rok – a mimo to były naprawdę niesamowite. A poza tym... Siódmego października póki co nie mam nic w planie.

W końcu łapię się na tym, że chyba odrobinę zbyt długo milczę, wpatrując się w skupieniu w mój planer i przeglądając notatki na temat dużych przyjęć na ten rok. Pomijając dwa wesela we wrześniu... mogłabym im poświęcić pełną, niepodzielną uwagę tuż po zakończeniu gorącego sezonu ślubnego.

Gdy podnoszę na nie wzrok, widzę, jak Jackie zagryza wargę, a Hazel próbuje przeczytać mój kalendarz do góry nogami – z napiętym wyrazem twarzy.

– Cóż... To wykonalne, ale czuję się w obowiązku uprzedzić was, że będzie... hm, ciasno. Mam naprawdę napięty grafik.

Jackie piszczy, a Hazel całuje ją w policzek.

– Ciasno? Lubimy, jak jest ciasno! – wykrzykuje Jackie. – I nie mam na myśli tylko seksu! Ups!

Hazel wybucha śmiechem, a Jackie się rumieni.

Śmieję się razem z nimi, patrząc, jak Jackie pąsowieje uroczo, a Hazel chichocze, wtulona w jej ramię. Ich entuzjazm jest zaraźliwy. Są uwodzicielskie. Widzę oczyma duszy te następne siedem miesięcy. Widzę ich ślub. Widzę siebie oznaczoną na każdym zdjęciu. Widzę przyjęcie ślubne Hazel opisane w „People”. Może nawet w „Entertainment Weekly”? Widzę reporterów, którzy dobijają się do moich drzwi. Widzę, jak „The Sacramento Bee” zamieszcza relację z ich imprezy w dziale ślubnym. A tuż przed tym, jak ich śmiech cichnie, a one ponownie skupiają całą swoją uwagę na mnie, widzę Whitney dzwoniącą, aby mi pogratulować. Czuję się, jakby nagle porwała mnie fala, prąd przyływu unoszący mnie coraz dalej i wyżej.

– W takim razie zapisuję was na siódmego października – oświadczam. – Zadzwońię jeszcze dziś do Ogrodu Różanego i wszystko załatwię. Aczkolwiek jest kilka rzeczy, które warto wiedzieć o Ogrodzie Różanym, zanim się na niego ostatecznie zdecydujemy. Nie jestem do końca pewna, którą dokładnie lokalizację wam polecić. A może macie już jakieś pomysły?

– Jeszcze nie – odpowiadają unisono.

– W porządku, a więc to ustalimy później, ale szczerze powiedziawszy, nie widzę tego przyjęcia w samym parku – informuję

je, automatycznie przechodząc na język biznesowy. Przejmuję kontrolę nad tym weselem: mówię szybko i pozwalam, aby kierowała mną adrenalina. – Jeśli spodobał się wam ogólny klimat tego wesela w Willow Ballroom – mówię, wskazując na wciąż otwartą stronę w moim segregatorze – to zaczniemy kombinować w tym kierunku.

Zgodnie kiwają głowami.

– Po drugie, ponieważ to ogród uznawany za historyczny, tylko kilka kwiaciarni ma uprawnienia do działania w jego obrębie...

– Tak! A my mamy to szczęście, że możemy skorzystać z usług jednej z nich! Bo florysta, z którego usług chcemy skorzystać, działa na jego terenie! – wykrzykuje Jackie.

Słowa, które chciałam wypowiedzieć, więzną mi w gardle, a język dosłownie kołowacieje. Prąd, z którym płynęłam zaledwie kilka sekund temu, totalnie się rozmywa. Wir wciąga mnie pod wodę, głęboko w bezdenną toń.

Spośród pięciu kwiaciarni w Sacramento przy Ogrodzie Różanym tylko jedna jest prowadzona przez mężczyznę.

Mam wrażenie, że wokół mojej klatki piersiowej zaciskają się nagle żelazne kleszcze i zaczyna mi brakować tchu. Zmuszam się do uśmiechu i pytam:

– Czy to znaczy, że wybrałyście już kwiaciarnię?

– Tak! Rany, wybacz. Kwiaciarnia i miejsce ślubu to jedyne rzeczy, które naprawdę już wybra...

– Czy to znaczy, że macie już jakieś oficjalne ustalenia, czy może mogłybyśmy... – bełkoczę gorączkowo, bezpardonowo wchodząc im w słowo.

Jackie mruga nieprzytomnie, a Hazel zatrzymuje swoją filiżankę z kawą w pół drogi do ust.

Ja tymczasem próbuję jakoś się pozbierać.

– Mam na myśli znalezienie najlepszego usługodawcy... – wyduszam z siebie wreszcie.

– Myślę, że już mamy kogoś takiego. – Jackie się śmieje. – To Blooming. Elliot...

– Cudownie! – Uśmiecham się tak szeroko, że wydaje mi się, że lada chwila pękną mi kąciaki ust. – I... ma wolny termin? W sensie: wspomnieliście mu o październikowej dacie? – Czuję, jak mój puls przyspiesza. To chyba niemożliwe, żeby się z nim wcześniej

spotkały... A jeśli tak, to powinien być skierować je do kogoś innego lub odmówić – tak jak ja to robię konsekwentnie od dwóch lat!

– Nie, jeszcze nie. Ale to przyjaciel rodziny – mówi Jackie. – Pracuję z jego matką w Kapitolu.

Mam wrażenie, że na dźwięk jej słów w moim mózgu zachodzi jakaś gwałtowna reakcja chemiczna.

– Och, cudownie! – mamroczę ponownie i nim Jackie wypowiada kolejne słowa, wszystkie kawałki tej szalonej układanki wskakują na swoje miejsca.

– To Laura cię poleciła. Była tobą zachwycona! Dwa lata temu organizowałaś jej drugi ślub.

Ponownie czuję, jak do głowy uderzają mi bąbelki z szampana. Powolny taniec i ciepła dłoń na moich plecach... Jednak wizja znika równie szybko, jak pojawiła się w moim umyśle, a w piersi czuję znowu jedynie ten dziwny ucisk i lodowaty chłód.

– Ach, jasne – mówię dziwnie zduszonym głosem. – Senator Gilbert to wspaniała kobieta. I była wzorową klientką, że się tak wyrażę. – Nagle mam wrażenie, jakby moje ciało napęczniało od wzbierającego we mnie strachu. – Byłaś na jej ślubie? – pytam, zaciskając palce na kubku z kawą.

– Niestety, nie dałam rady – wzdycha z żalem Jackie. – Przebywałam poza miastem, w Chicago... Gdzie po raz pierwszy spotkałam Hazel!

– Och, fantastycznie! Chętnie dowiem się o was więcej – mówię, nie posiadając się z radości, że jej tam nie było, i niewypowiedziane wdzięczna za tę zmianę tematu. – Później porozmawiamy o dostawcach usług.

Dzwoni mi w uszach i drętwieją mi stopy. Zamykam iPada i staram się skupić na tym, co mówią, podczas gdy one przekomarzają się ze śmiechem, spierając o to, która z nich zakochała się w drugiej jako pierwsza. Wiem, że powinnam robić notatki. Wiem, że powinnam skrzętnie zapisywać w umyśle każdą ich uwagę, aby potem dopasowywać ich słowa do siebie i stworzyć z nich większy obraz, układać je jak puzzle. Powinnam zanotować w moim iPadzie datę 7 października 2023 roku, dodając ją do dymku z ich imionami.

Ale zamiast tego ich słowa przelatują przez moją głowę jak przez sito, mieszając się z obrazami rustykalnych stodół i obrusów w kolorze kości słoniowej. „Entertainment Weekly” i „People” ulatują z wiatrem.

Ponieważ wiem, że nie zorganizuję tego ślubu.

Elliot

PIĘĆ LAT, CZTERY MIESIĄCE, TRZY TYGODNIE I PIĘĆ
DNI TEMU

Kurewsko nienawidzę kwiatów.

Co drugi pączek róży więdnie i zwisa smętnie z łodygi, a płatki brązowieją. Lustruję je, jeden po drugim, ustawione na głównym stole w namiocie na świeżym powietrzu, upewniając się, że będą wyglądały dobrze przynajmniej od strony panny młodej i z miejsc głównych ujęć fotografów.

Tata wciąż powtarza, że nabiorę wprawy, ale tak naprawdę wcale tego nie chcę. Kwiaty to jego działka, nie moja. Mój ojciec kocha kwiaty. Ma do nich rękę. Potrafi czynić z nich cuda. Kiedy dorastałem, mawiał: „Kwiaty są lepsze od ludzi”.

Uważałem, że to głupie.

Wyjaśnił mi, że myśli tak dlatego, iż kwiaty potrzebują do życia jedynie trzech rzeczy: światła, wody i odrobiny uwagi. Gdy miałem piętnaście lat i byłem wiecznie wkurzony, bo byłem za wysoki, zbyt kościsty i pyskаты, stwierdziłem: „To samo można powiedzieć o ludziach”.

Roześmiał się wówczas. „Dobrze by było... – Urwał, a potem powtórzył tylko: – Dobrze by było”. Teraz zaś, gdy miętolę te nieszczęsne róże na oczach personelu od cateringu, aby zabić jakoś czas, nim zjawi się tata z resztą wiązanek i bukietów, jestem niemal całkiem przekonany, że zarówno kwiaty, jak i ludzie są tak samo wkurzający.

Puszę girlandy najlepiej, jak potrafię, starając się nie zastanawiać zbytnio nad tym, co mój ojciec miał na myśli, mówiąc, że nabiorę wprawy. Całkiem jakbym któregoś dnia miał zapamiętać cały ten zbiór losowych faktów, anegdotek i informacji o różnych gatunkach. Powinienem uczyć się do egzaminu końcowego z teorii i krytyki projektowania architektonicznego, ale gdy tylko przypomnę sobie poranny kaszel taty, uznaję, że to bez znaczenia. Mama zadzwoniła do mnie w ubiegłym miesiącu i powiedziała, że gdy zajrzała do kwiaciarni, odniosła wrażenie, że tacie przydałaby się dodatkowa para rąk do pomocy. Nie wspomniała jednak, na jak długo. Moi rodzice są po rozwodzie, jednak mama nadal czasem sprawdza, co u mojego ojca – i dobrze, bo nie wiem, jak inaczej dowiedzielibyśmy się o tych guzach w jego płucach. Na pewno nie od niego.

Przeczesuję ciemne włosy palcami i ponownie obrzucam główny stół krytycznym spojrzeniem, nie bardzo wiedząc, czy kwiaty wyglądają teraz lepiej, czy może wszystko jeszcze pogorszyłem.

Z zewnątrz dobiega śmiech, odbijając się od ścian namiotu, a ja czuję się, jakbym to ja był obiektem drwin. Gdy oglądam się w stronę jego źródła, obok krzesel widzę szatynkę stojącą z drużbą ubranym w spodnie od smokingu i koszulę. Jeszcze bardziej rozeźlony, niemal obrywam z frustracji jeden z pączków.

Pomagam tacie przy ślubach zaledwie od pięciu tygodni, ale nienawidzę, gdy goście weselni zaczynają się wtrącać w nieswoje sprawy. Nagle okazują się ekspertami w każdej dziedzinie. Patrzą zmrużonymi oczami, jak druhna się odwraca, żeby wskazać kwiatowy łuk, a drużba przysuwa się do niej, żeby „spojrzeć na niego z jej perspektywy”. Czekam na nieuchronny moment, w którym usłyszę nieubłagane: „Masz rację. Przechyła się trochę na lewo”.

I wtedy widzę iPada w jej dłoni i dostrzegam, że nie jest umalowana ani uczesana. Cóż, a przynajmniej nie jest umalowana

i uczesana jak druhna. Wcześniej tego nie dostrzegłem, bo wygląda naprawdę szykownie. Elegancko.

Wodzi wzrokiem od swojego iPada do łuku i z powrotem, a ja gapię się na nią stanowczo zbyt nachalnie, czekając, aż się odwróci i zapyta o „osobę odpowiedzialną za koślawy łuk”, więc nie umyka mi, jak mężczyzna nachyla się do jej ucha, szepcze coś do niej, a potem... kładzie jej rękę na pośladku.

Odskakuje od niego jak użądłona. Widzę, jak patrzy na niego otwartymi szeroko oczami, mrugając zawzięcie, a z twarzy odpyływa jej cała krew. Cofa się jeszcze o krok, ale on podchodzi do niej ponownie, nie dając za wygraną. Gdy pochyla się, żeby ją objąć i pocałować, upuszczam kwiat, który akurat obskubuję, i rozdziawiam usta, kiedy jej pięść w mgnieniu oka trafia go w nos.

– Kurwa! – Drużba zatacza się w tył, chwytając za nos, a jego palce pokrywają się lepłą czerwienią.

Zastygam w bezruchu, wstrząśnięty, patrząc, jak dziewczyna podnosi dłonie do rozchylnych w zaskoczeniu ust. Widzę, jak przeprasza, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką, żeby mu pomóc...

– Pieprzona suka!

Moje dłonie zaciskają się odruchowo w pięści.

Dziewczyna mówi coś do niego rozgorączkowanym szeptem, z plecami wygiętymi w łuk jak u zjeżonego kota, wyjmując jednocześnie paczkę chusteczek z torebki i próbując go nakłonić, żeby odchylił głowę w tył.

Cała uwaga personelu jest skupiona na nich. Koordynatorzy biegną już w ich stronę, ale Whitney Harrison dociera do nich jako pierwsza, na swoich wysokich obcasach i uzbrojona w nieodłączną podkładkę z klipsem. To ktoś, z kim należy się liczyć, dlatego gdy pstryka palcami, żądając lodu i ręczników, asystenci wypełniają jej rozkazy bez szemrania. Na jej widok dziewczyna chowa głowę w ramiona, wyraźnie skruszona, a tymczasem drużba cedzi pod jej adresem zjadliwe słowa, wymachując dziko ręką. Gdy wyprowadzają kolesia, Whitney odwraca się na pięcie, zamyka łokieć dziewczyny w żelaznym uścisku i przyciąga ją do siebie, sycząc:

– Zachowuj się jak profesjonalistka!

Mówi do niej coś jeszcze, ale nie słyszę już co.

Wciąż stoję jak wryty, wpatrując się w nie z mojego miejsca przy stole. Słyszę, że ludzie wokół mnie wracają do wykonywania przerwanych czynności: rozkładają obrusy, poszeptując między sobą. Skupiam się ponownie na różach, obrywając zbrązowiałe płatki, a potem wyprowadzam z namiotu wózek i wracam z nim do furgonetki, próbując się nie gapić na dziewczynę, która kiwa głową, ociera policzki i ze spuszczoneymi oczami idzie do namiotu, żeby pomóc przy nakrywaniu stołów.

Whitney poprawia tymczasem swoją sukienkę, odrzuca włosy na plecy i przywołuje na twarz swój firmowy uśmiech. Gdy idę do samochodu, podchwytuje mój wzrok i kieruje kroki w moją stronę.

– Tak bardzo mi przykro, że musiałeś być świadkiem podobnej sceny, Elliot... – mówi gładkim tonem, w którym pobrzmiwają jednak ledwo zawoalowane ostre nuty. – To było absolutnie niedopuszczalne... i zamierzam wyciągnąć wobec niej odpowiednie konsekwencje.

– On się do niej dobierał – wyjaśniam. – W bardzo nachalny sposób.

Whitney uśmiecha się do mnie, zaciskając wargi.

– Co za pech... Niestety, tak się składa, że już trzy razy powtarzałam jej, że powinna bardziej zwracać uwagę na to, aby zachowywać odpowiedni dystans wobec klientów. Stanowczo za bardzo się angażuje. – Oglądając się przez ramię na dziewczynę, która składa drżącymi palcami serwetki, dodaje: – Na miłość boską, zaproszono ją na wieczór panieński! Tak czy inaczej, nie chcę, byś myślał, że popieram flirtowanie mojego personelu z gośćmi weselnymi. Tak jak mówiłam: wyciągnę wobec niej konsekwencje.

Czuję, że ściska mnie w gardle.

– Większość osób nie rozkwasza nosów ludziom, z którymi flirtują...

Whitney uśmiecha się do mnie zwodniczo słodko, z politowaniem.

– Większość osób uczy się na swoich błędach. – Ściska lekko moje ramię i rzuca na odchodnym: – Pozdrów ode mnie mamę!

Whitney to jedna z osób, którym się wydaje, że znajomość z moją matką, senatorką, zapewnia im chody. Całkiem jakby, gdy

zajdzie taka potrzeba, mogła załatwić im coś, wykonując jeden telefon.

Whitney maszeruje z powrotem do namiotu, piorunując po drodze wzrokiem swoją niesubordynowaną asystentkę, a ja tymczasem ładuję na wózek kolejne wazon, starając się ochłonać. Może Whitney ma rację? Może tamta dziewczyna naprawdę potrzebuje nauki...

Kątem oka widzę, jak upuszcza serwetkę na ziemię, bo próbuje ją złożyć jedną ręką – drugą dłoń przyciska do brzucha, posiniaczoną i pokiereszowaną od zadanego ciosu.

W uszach słyszę głos mojego ojca: „Przyjęcia weselne są super, Elliot! Nie komplikuj sobie i innym spraw”.

Jego słowa cały czas dźwięczą mi w uszach, gdy porzucam wózek i podchodzę do baru, żeby poprosić o nieco lodu. Kostki parzą mi dłonie, gdy je niosę. Inni omijają dziewczynę szerokim łukiem, więc nikt oprócz mnie nie słyszy, jak pociąga nosem, próbując ponownie złożyć serwetkę. Gdy się zbliżam, podnosi na mnie wzrok i ociera z policzka łzę.

– Cześć, Elliot – mówi cicho, wyraźnie spięta. – Czy twój tata potrzebuje pomocy?

Nie mam pojęcia, skąd zna moje imię. Nie wiem, jak ona się nazywa.

Odwraca się do mnie plecami, żebym nie widział, jak płacze, nie przerywając przy tym prób złożenia serwetki. Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc wyjmuję tylko z kieszeni jedną z chusteczek.

– Elliot!

Gdy się odwracam, widzę, jak mój tata parkuje drugą furgonetkę z boku namiotu i macha do mnie, żebym mu pomógł. Oglądam się na dziewczynę, która przeszła już do kolejnego stołu. Nie może mieć wiele ponad dwadzieścia lat.

Nie wiem, co jej powiedzieć. Podać jej po prostu chusteczkę z lodem? Dodać, że powinna tamtego natręta rąbnać na dokładkę kolanem w jaja? Zapytać ją, czy mam go dla niej sprać? A może nawrzeszczyć na Whitney?

Gdy więc oddała się ode mnie, idę do taty z dłonią zdrętwiałą już od trzymania lodu.

– Wszystko w porządku? – pyta ojciec z rzeżeniem, które wcale, ale to wcale mi się nie podoba, i wysiada z samochodu. – Jakies problemy z różami?

– Taak... Powinieneś chyba na nie zerknąć – mamrocze.

– Po co ci ten lód?

Opuszczam wzrok na swoją poczerwieniałą z zimna dłoń.

– To dla... tej dziewczyny. Asystentki Whitney. Stłukła sobie rękę, więc... – Pokazuję mu zawiniątko z lodem. – Zabiorę bukiety. Poszedłbyś do niej?

Bierze ode mnie chusteczkę i patrzy na mnie dziwnie.

– Czemu nie zrobisz tego sam?

Wzruszam ramionami.

– Wiesz, że nie radzę sobie zbyt dobrze z ludźmi.

Uśmiecha się do mnie półgębkiem i idzie do niej.

– Z kwiatami też nie! – rzuca przez ramię, śmiejąc się z żartu, a ja piorunuję go wzrokiem.

Załadowuję wózek, obserwując kątem oka, jak do niej podchodzi. Kilka sekund później dziewczyna śmieje się już, rozbawiona czymś, co powiedział, podczas gdy on owija jej chusteczkę wokół knykci, a ona ponownie parska śmiechem, który brzmi jak dźwięki otwierających się wiosennych pąków.

Ustawiam resztę wazonów sam, pozwalając tacie czynić tę jego magię, którą tylko on zna.

4

Ama

MARZEC

Wychodzę z kawiarni, obiecując dziewczynom, że zadzwonię jutro, abyśmy mogły się umówić na kolejne spotkanie. Wzięłam od nich e-maile i mam im wysłać listę moich najlepszych dostawców usług.

Nie zrobię tego.

Potrzebuję trochę przestrzeni i czasu, aby ustalić, w jaki sposób im odmówić. Muszę wymyślić przekonujące kłamstwo. Czy „nie współpracuję z tą firmą” wystarczy? Czy może powinnam im wyznać prawdę? Czy wszystko i tak wyszłoby na jaw, gdyby Jackie zaczęła wypytywać przyjaciół rodziny, co się wydarzyło? Czy wówczas powierzą organizację ślubu Whitney Harrison?

Nie myślę jasno – jestem tak skołowana, że niemal jadę prosto do domu, dopiero w ostatniej chwili przypominając sobie, że mam dziś ślub Fergusonów. Zawracam i jadę do centrum, żeby sprawdzić, jak idą przygotowania.

Przestawiam się na autopilota, pozwalając, aby mój mózg zamartwiał się grafikami i ewentualnymi spóźnieniami dostawców.

Jestem przekonana, że idzie mi całkiem nieźle – do czasu, aż Mar nie odciąga mnie na bok podczas przyjęcia i nie mówi:

– Halo? Ziemia do Amy!

Wówczas wszystko do mnie wraca; zaczyna mi się kręcić w głowie i biegnę do łazienki, w której spryskuję policzki zimną wodą i w której Mar odnajduje mnie, gdy kończy pilnować krojenia tortu.

– Nie udało ci się dostać tego zlecenia od Hazel Renee? – pyta.

– Udało mi się – mamroczę. – Chcą zatrudnić Blooming jako dostawcę kwiatów. – Gdy tylko wypowiadam te słowa, czuję, jak zaczyna mnie mdlić.

Mar przeklina pod nosem, a kiedy podnoszę na nią wzrok, widzę, jak odchyła głowę, wbijając wzrok w sufit. Zerkam na niego, żeby sprawdzić, czy przypadkiem w świetle jarzeniówek nie objawią mi się odpowiedzi na moje pytania i rozterki.

Nic z tego.

Mar opada plecami na ścianę obok mnie i zdejmuje szpilki, żeby zniwelować odrobinę dzielącą nas różnicę wzrostu. Całe szczęście, że jest tu dywan.

– Dasz radę.

– Dam... radę? Serio tak myślisz? – Odwracam się do niej, ale niepewność wypisana na jej twarzy mówi mi, że ona również w to nie wierzy.

Milczy przez chwilę, po czym podejmuje:

– A gdybyś załatwiła wszystko za pośrednictwem e-maili? Mogłabyś im wyjaśnić, że jest pewien... problem, ale że spokojnie to ogarniesz.

Zastanawiam się przez chwilę nad jej słowami. To by było zdecydowanie nieprofesjonalne. Gdybym tak postąpiła, dałabym im do zrozumienia, że jestem słaba.

– Naprawdę sądzisz, że zdołałabym zorganizować ten ślub, ani razu się z nim nie spotykając?

Mar zaciska usta.

– Może nie będą chciały zbyt dużo kwiatowych dekoracji?

– Jeśli korzysta się z usług Elliota Blooma, to bez dwóch zdań celuje się w całe mnóstwo kwiatowych ozdób.

Samo wypowiedzenie jego nazwiska sprawia, że ponownie ogarniają mnie mdłości. Gdy zamykam oczy, widzę białe dalie i astry.

Odwracam się do Mar.

– Idź i pstryknij jeszcze kilka fotek. Nic mi nie będzie.

– Mogłybyśmy pogadać o tym wieczorem przy kilku drinkach. Ja stawiam. – Z tymi słowy wychodzi z łazienki, a ja zerkam na telefon, żeby sprawdzić, która godzina.

Mam cztery tysiące nowych powiadomień.

Cztery. Tysiące. A dokładniej cztery tysiące dwieście dwanaście.

Gdy otwieram Instagram, żeby sprawdzić, o co chodzi, widzę na samym szczycie moich treści zdjęcie Hazel i Jackie pozujące dzisiejszego ranka pod kawiarnią, w której się umówiliśmy.

Podpis głosi: „Spotkałyśmy się dziś na kawie z naszą cudowną konsultantką ślubną – @WeddingsbyAma. Koniecznie zajrzyjcie na jej profil!”.

Mam dwa tysiące nowych obserwujących. I trzydzieści wiadomości od nieznajomych w skrzynce. Liczne powiadomienia o zapisaniach moich pinów z Pinteresta. I dwa e-maile od blogerek pytających, czego można się spodziewać podczas ślubu Hazel Renee.

Przychodzą kolejne powiadomienia. Wracam na nogach jak z waty na przyjęcie ślubne i próbuję jakoś nad wszystkim zapanować. Pod koniec wieczoru liczba moich obserwujących wzrasta dwukrotnie. I dostaję jeszcze sześć e-maili od dziennikarzy.

Gdybym i tak już tego nie żałowała, z pewnością zaczęłabym właśnie teraz. To zdecydowanie zbyt przytłaczające – nie czułam takiej presji, nawet pracując dla Whitney. I chociaż oznacza to nowe możliwości, zwiększa również powagę konsekwencji, jeśli coś pójdzie nie tak. Każdy ślub ma w sobie element ryzyka, ale niewiele niesie ze sobą potencjał gwałtownego przyspieszenia – lub zrujnowania twojej kariery – za sprawą jednego małego potknięcia.

Gdy Mar i ja siadamy w końcu w hotelowym barze o jedenastej, Mar wbija znużony wzrok w telefon, przeglądając mój Instagram, aż w końcu przeciera twarz dłonią.

– Nadal możesz się z tego wycofać – mówi, ale brzmi to niemal jak pytanie.

Kiwam głową, wbijając wzrok w moje martini.

– Mogę.

– Albo spróbować to wszystko pociągnąć. Zachować się jak na profesjonalistkę przystało.

Przymykam oczy i wciągam powietrze przez nos.

„Zachować się jak profesjonalistka” to fraza, która mnie prześladowa. Mar nie wie, że właśnie władowała mnie na minę, więc po prostu oddycham głęboko, żeby oczyścić umysł.

„Zachowuj się profesjonalnie”. Czy właśnie nie tak powiedziałaaby Whitney? Mam ochotę do niej zadzwonić i spytać o radę, ale wiem, że wówczas musiałabym jej opowiedzieć, co się wydarzyło na ślubie senator Gilbert. I co się działo przez pół roku przed nim. I z kim. Ona zaś powiedziałaaby: „Ama...”, tym swoim głosem, którego samo brzmienie wystarczało, by dać mi do zrozumienia, że ją rozczarowałam. Dowiedziałaaby się, że nigdy nie przyswoiłam lekcji, którą próbowała mi wpoić – a zamiast tego przekroczyłam kolejną granicę.

– Omówmy najgorszy z możliwych scenariuszy – proponuję.

Mar siada prosto na stołku i zaczyna:

– Wchodzisz do jego kwaciarni. Natychmiast wybuchasz płaczem. Hazel Renee wszystko nagrywa i wrzuca na żywo na Instagram relację zatytułowaną: „Kobieta żałuje zbyt pośpiesznie dokonanego wyboru...”.

– Wiesz, że nigdy nie nazwałaby mnie „kobietą”.

– Masz rację. „Pomniejsza przedsiębiorczyni z Sacramento mogła mieć tak wiele... Więcej w wiadomościach o jedenastej”. Sądzę, że „E!” chętnie by kupiło tę historię.

Siedzimy w barze jeszcze przez chwilę, a gdy wracam do domu, wysyłam Hazel i Jackie listę dostawców, zgodnie z obietnicą. Całkiem jakbym naprawdę zamierzała zorganizować im ślub ich marzeń.

Gdy budzę się w poniedziałek rano, lekko skacowana, w skrzynce mam już odpowiedź od Jackie o treści:

„Czy mogłybyśmy się spotkać z Elliotem prędzej niż później? Chciałabym, żeby Hazel wybrała razem ze mną kwiaty, zanim wyjedzie na zdjęcia”.

Wybucham śmiechem – i śmieję się, dopóki nie zaczynają mną wstrząsać suche torsje. A potem mokre. Gdy kończę wymiotować, uzupełniam elektrolity i zerkam w kalendarz.

Tym, co zwraca moją uwagę, jest spostrzeżenie, jak idealnie ślub Jackie i Hazel wpasowuje się w moje życie. Kilka miesięcy temu, gdy się zastanawiałam, jak będzie wyglądał ten sezon ślubny,

pomyślałam, że cudownie byłoby móc w tym roku zorganizować przyjęcie z wielkiego zdarzenia. Właściwie to postawiłam to sobie za cel. Chciałam czegoś, dzięki czemu zostałabym dostrzeżona – i co zasiliłoby moje konto bankowe, podczas gdy kontynuowałabym pracę na mniejszą skalę. Chciałam móc wynająć pod koniec roku biuro, zatrudnić asystentkę na stałe i zacząć płacić komuś za prowadzenie moich mediów społecznościowych. To były moje cele długoterminowe. Ale nie pojawiło się nic godnego uwagi, więc powiedziałam sobie, że spróbuję szczęścia w kolejnym sezonie. Hazel i Jackie zjawily się w idealnym momencie – jakby spadły mi z nieba.

„Bądź profesjonalistką” – dźwięczy mi ponownie w uchu głos Whitney. Za każdym razem, gdy posuwam się za daleko, przypomina mi, że muszę dotrzeć do miejsca, w którym ona się teraz znajduje – i że dokonam tego jedynie dzięki profesjonalizmowi i nieprzekraczaniu granic.

Whitney nigdy nie dopuściłaby do sytuacji, w której byłaby zmuszona współpracować ze swoim byłym... gdyby jednak do tego doszło, znalazłaby w sobie dość siły, żeby się z tym uporać. Zachowałaby się... profesjonalnie.

Odpisuję Jackie i pytam o ich grafiki na ten tydzień, a potem piszę SMS-a do Mar, informując ją, że chcę, aby do mnie przyjechała, gdy ciut wytrzeźwieje.

Puka do moich drzwi w południe, z okularami przeciwsłonecznymi na nosie i pudełkiem donutów w ręku. Jestem w połowie trzeciego, gdy w końcu się odzywam – pierwszy raz, odkąd przyszła.

– Zrobię to.

Kiwa głową, popijając gatorade.

– Świetnie.

– Chcę, żebyś zadzwoniła do niego dzisiaj i umówiła spotkanie.

Gdy zaczyna kasłać, po brodzie ściekają jej niebieskie kropelki błękitnego napoju izotonicznego. Podaję jej chusteczkę, którą przygotowałam profilaktycznie w oczekiwaniu na jej reakcję. Gdy dochodzi do siebie, pyta:

– Czy zamierzasz z nim w ogóle rozmawiać? Czy może mam być twoją pośredniczką?

– Musimy sobie po prostu tamto wyjaśnić. Potem wszystko będzie prostsze. Tak sądzę. Zwykle interesy.

Mar wzdycha.

– Daj mi coś na ból głowy i miejmy to już za sobą.

Godzinę później siedzimy na podłodze w salonie nad pustym pudełkiem po pączkach. Mar trzyma w jednej ręce rozpisany uprzednio scenariusz rozmowy i kciukiem wbija w telefon numer, który jej pokazuję. Bierze kilka głębokich wdechów, wciska ikonkę „zadzwoń”, a ja przestaję oddychać.

Liczę sygnały: jeden, dwa, trzy, cztery... Nie odbiera dość długo, abym zaczęła mieć nadzieję, że odezwie się skrzynka głosowa. W połowie piątego sygnału słyszę kliknięcie i czekam, aż rozlegnie się stara wiadomość nagrana na pocztę dziesięć lat temu przez jego ojca, w której prosi o zostawienie nazwiska i numeru telefonu.

Wypuszczam powoli powietrze z płuc. Już. Łatwo poszło. Teraz mogę czekać po prostu, aż wyśle mi w odpowiedzi e-mail...

– ...lo?

Ta jedna sylaba sprawia, że cała moja skóra staje w ogniu. Nienawidzę tego, jak zawsze połyka sylaby, zamiast „halo”, wypowiadając tylko końcówkę wyrazu. Złości mnie, że nigdy nie jest w stanie odebrać, mówiąc uprzejmie: „Blooming, dzień dobry. W czym mogę pomóc?”.

Nienawidzę go za to, że w ogóle odebrał.

Jednak ponad wszystko nienawidzę tego, że cała aż sztywnieję i nie jestem w stanie się ruszyć. Gapię się na Mar, która trzymana w dłoni notkę.

– Cześć! Dzwonię w imieniu Weddings by Ama... – mówi prędko, tak jak wcześniej to przećwiczyłyśmy. – Chciałabym się umówić na spotkanie jakoś w tym tygodniu w związku ze ślubem naszych najnowszych klientek. Kiedy moglibyśmy się zobaczyć?

W słuchawce przez moment panuje głucha cisza. Czuję, że serce podchodzi mi do gardła i mimowolnie zasłaniam usta dłonią. Mar zerka na ekran, żeby sprawdzić, czy przypadkiem rozmowa nie została przerwana, ale po chwili z głośnika dobiega:

– Mar – niczym powitanie i stwierdzenie faktu jednocześnie.

Otwieram szeroko usta. Zasycha mi w gardle. Wypowiedział zaledwie półtora słowa, a ja czuję się jak w transie. Zakłócenia na linii

tlumia prawdziwy tembr jego głosu, który rezonuje w jego klatce piersiowej.

Mar odchyła głowę i przymyka oczy, a potem zaciska usta i mówi piskliwym głosem:

– Nie, z tej strony Kelsey! Dzwonię, żeby umówić się na spotkanie z klientkami...

– Mar, daj mi Amę.

Wypowiada moje imię jak „Emma”, tak jak dawniej. Tak, jak wtedy, kiedy oboje z tego żartowaliśmy. Zanim uświadomiłam sobie, że po prostu przeciąga w taki sposób samogłoskę na początku mojego imienia.

Mar otwiera szerzej oczy i wlepia je we mnie, ale ja nadal nie mogę się ruszyć.

– W porządku! – mówi do słuchawki głosem „Kelsey”. – Zobaczę, czy jest wolna.

Rzuca telefon na stolik do kawy – jego stolik – i gestykuje, spanikowana, pytając mnie bezgłośnie: „Co mam robić?!”.

Nie odpowiadam. Nie jestem w stanie. Gapię się na telefon jak sroka w gnat. Po chwili Mar zdejmuje buty i stuka nimi po podłodze, jak jakiś imitator dźwięku z lat dwudziestych. Następnie oddala się nieco od telefonu i woła:

– Ama? Telefon do ciebie!

Sięga właśnie po moje kapcie, żeby zacząć naśladować odgłosy kroków dwóch osób, gdy biorę ze stołu telefon i rzucam:

– Halo?

Elliot ponownie przez moment milczy. Mam wrażenie, że słyszę, jak oddycha.

– Kiedy?

Przełykam mimowolnie ślinę i przez chwilę nie mam pojęcia, o co pyta.

– Są wolne w czwartek po szesnastej, w piątek przez cały dzień...

– W czwartek o szesnastej.

Rozłącza się.

Przytrzymuję telefon przy uchu jeszcze przez chwilę, pragnąc usłyszeć kolejne słowa z jego ust. Licząc na coś więcej niż tylko czterowyrzowe zdanie – tak jak dawniej.

W końcu opuszczam telefon i wpatruję się w milczeniu w ekran. Widnieje na nim zdjęcie mnie i Mar w wieku trzynastu lat, w halloweenowych kostiumach.

– Wszystko w porządku?

Gdy podnoszę na nią wzrok, widzę, że przyciska dłonie do policzków, niczym postać z *Krzyku* Muncha i patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

– Czwartek o szesnastej. – Wstaję i wynoszę pudełko po pączkach do śmieci, a potem zmywam z palców lukier. – Wezmę prysznic – informuję ją. – Masz ochotę wyskoczyć później na obiad?

Nim jednak odpowiada, znikam w łazience. Odkręcam kran, aby dźwięk strumienia wody zagłuszył odgłosy mojego szlochu.

5

Elliot

TRZY LATA, OSIEM MIESIĘCY, DWA TYGODNIE I DZIEŃ
TEMU

Kwiaty są zdecydowanie lepsze niż ludzie.

Tak, tato. Miałeś rację – mówię do pustego pomieszczenia.

Jestem na tyłach kwiaciarni, przygotowuję dekorację, którą zawieszę na suficie nad kasą. Będzie opleciona daliami i peoniami – część na dole po prawej i nieco mniejsza na górze po lewej. To miniaturowa wersja ozdoby, jaką niektórzy nowożeńcy życzą sobie mieć za plecami podczas ceremonii.

Tata powiedziałby, że powinienem się skupić na kasie, zamiast przesiadywać na zapleczu. Ale tata miał metr siedemdziesiąt wzrostu, był drobnej budowy i dla wszystkich niezmiennie miły. Ja... Cóż, jestem jego przeciwieństwem. Nikt nie przychodzi do Blooming, żeby ze mną pogadać. A poza tym od zawsze byłem bardziej zainteresowany tym, co dzieje się na tyłach.

W kwiaciarni nadal jest mnóstwo pamiątek po nim – jego wiadomość nagrana na pocztę głosową, jego imię na szyldzie. I jeszcze cztery rośliny doniczkowe, które wciąż miewają się

świetnie – te same, które zabrałem na jego pogrzeb, kierując się jego zasadą, wedle której kwiaty były jego zdaniem lepsze od ludzi. Teraz jeden jest u mamy, a pozostałe trzy nadal w kwiaciarni. A mój ojciec miał rację. Potrzebują jedynie światła, wody i odrobiny uwagi. To jednak nie do końca takie proste, jak mogłoby się z pozoru wydawać: bo trzeba wiedzieć, jak wiele światła, ile wody oraz ile uwagi im poświęcić. Jeśli jednak zdołasz to załapać – złamać kod – kwiaty okazują się nieskończenie lepsze od ludzi. Dlaczego? Dlatego, że możesz ustalić, jak wiele światła, wody i uwagi należy komuś poświęcić, a to i tak okaże się za mało.

Kwiatom to wystarczy.

Zrozumienie tego zajęło mi ładnych parę lat. Przez długi czas byłem wściekły, że musiałem rzucić college z powodu kwiatów – kwiatów! – ale zanim kwiaciarnię przejął mój tata, należała do jego ojca, więc tak naprawdę od zawsze miałem ją odziedziczyć, rak płuc czy nie, studia architektoniczne czy nie. Ale światło, woda, uwaga... Cóż, z tym jestem w stanie sobie poradzić. Teraz robię to już niemal instynktownie. Nie sądzę, abym miał tę samą magiczną moc, co mój ojciec, i jego rękę do kwiatów, ale powoli zacząłem wypracowywać w sobie coś na kształt drygu. Jak na przykład z tą dekoracją. Odrobina pomysłu i wysiłku, a efekt jest naprawdę godny uwagi. Mogę robić takie rzeczy godzinami, zapominając o bożym świecie.

I właśnie dlatego, gdy dzwonek (zamontowany przez mojego tatę) przy drzwiach dzwoni, a ja zaczynam mocować peonie, wzdycham ciężko i sznuruję usta. Zostało mi już tak mało do końca...

– Chwila!

Gdy peonie znajdują się na swoim miejscu, wycieram ręce w ścierkę i wychodzę z zaplecza. Przed ladą stoi dziewczyna przeciągająca palcami po nowych, importowanych kwiatach stojących w przedniej witrynie. Nienawidzę, gdy klienci macają towar.

– Tak? – Wspieram dłonie o ladę i się pochylam.

Dziewczyna odwraca się w moją stronę. Wygląda znajomo, ale sprawia wrażenie zbyt młodej, żeby być którąś z kobiet, z jakimi spotykała się moja matka. Opuszcza wzrok na tatuaże na moich przedramionach, a ja wciąż próbuję ustalić, skąd ją znam, gdy mruży oczy i krzyżuje ręce na piersi.

– „Tak”? – powtarza po mnie. – Czy naprawdę witasz klientów w ten sposób?

I wówczas dźwięk jej głosu sprawia, że sobie przypominam. To ta dziewczyna od Whitney. Ma ciemnobrązowe oczy w kolorze dębowego drewna, podobne w odcieniu do jej włosów zebranych w jeden z tych niedorzecznych, upiętych na czubku głowy koków, które sprawiają, że nie można być pewnym, jak wiele ktoś ma włosów. Moje są akurat na tyle długie, żebym mógł zebrać je w kitkę – i nie narzekam. Nim udaje mi się powstrzymać, mimowolnie zerkam na krzywiznę jej bioder.

– Witam w mojej kwaciarni – mówię z przekąsem. – Potrzebujesz korsażu na bal absolwentów?

Patrzy na mnie przez chwilę w milczeniu, mrugając zawzięcie.

– Korsażu... na bal? – powtarza. – Mam dwadzieścia dwa lata, na litość boską!

Wzruszam ramionami.

– Wyglądasz na szesnaście.

Cóż, nie do końca. Ale idę o zakład, że podobne komentarze niepomernie ją wkurzają.

Podchodzi do kasy rozkołysanym krokiem, unosząc wysoko brwi.

– Czy właśnie w ten sposób patrzysz zazwyczaj na szesnastolatki?

Wzdycham i odpycham się od lady. Cóż, jeden zero dla niej.

– W czym mogę pani pomóc, psze pani?

Widzę, że określenie „psze pani” rozwścieczyło ją równie mocno, co moja sugestia, że ma szesnaście lat, ale poprawia tylko swój szal i podchodzi bliżej.

– Nazywam się Ama Torres. Jak pewnie pamiętasz, pracowałam dawniej dla Whitney Harrison Weddings. Teraz prowadzę własną firmę...

– Moje gratulacje. – Odwracam się do niej plecami, zbierając płatki, które zostały na blacie po mojej pracy tego ranka, żeby zająć czymś ręce, podczas gdy ona podejmuje:

– Hm, tak, dzięki. Ja, eee... Przyszłam, żeby... nawiązać współpracę. Od zawsze byłam fanką Blooming, więc czy gdybym polecała was moim klientom...

– Whitney ma u nas zniżkę od wielu lat. – Wychodzę z kasy na teren sklepu i podchodzę do lady, przy której klienci mogą komponować własne bukiety z kwiatów wycenionych od sztuki. Wyjmuję z wazonu kilka jaskrów. – Ustalał to z nią jeszcze mój ojciec. Ma znacznie większy rabat od któregośkolwiek z naszych stałych klientów, a już na pewno świeżo upieczonych konsultantek ślubnych.

– Nie przyszłam tu, żeby prosić o zniżkę, panie Bloom – cedzi przez zaciśnięte zęby. – Tylko po to, żeby się przedstawić.

– Cudownie. A teraz, kiedy już to pani zrobiła... – Dobieram kilka petunii i wracam do lady, zgarniając po drodze kilka łydżek cytryny o lśniących liściach.

Mój ojciec zazwyczaj tak robił. To znaczy, ma się rozumieć, w przeciwieństwie do mnie był przy tym miły, ale wręczał ludziom, którzy przychodzili, aby złożyć u nas zamówienie, małe bukietki do butonierek albo korsaze, całkiem jakby dawał im talizman na szczęście. Kontynuuję jego tradycję, układając bukiet, podczas gdy rozmawiamy. Czasem klienci są tak urzeczni tymi małymi prezencikami – i zainspirowani nimi – że całkiem zapominają o moich wcześniejszych uszczypliwościach.

– W porządku – wzdycha Ama i słyszę, jak z rozmysłem stara się odsunąć od siebie frustrację. – Zacznijmy zatem jeszcze raz. Jestem Ama...

Podnoszę na nią wzrok znad wstążeczki i płatków, i widzę, że wyciąga w moją stronę wypielegnowaną dłoń, uśmiechając się promiennie. Gdy sięgam po nią i ją ściskam moją własną, lepką od roślinnych soków, z brudem pod paznokciami, czuję dziwną satysfakcję. Ma małe dłonie, a do mnie dociera, że ma niewiele więcej ponad metr pięćdziesiąt, ale nosi buty na wysokich obcasach, żeby wydawać się nieco wyższa. Łapię się na tym, że zbyt dużo myślę o jej ciele, więc zagaduję:

– Emma?

Zaciska usta. Cóż, najwyraźniej musiałem trafić w kolejny czuły punkt.

– Ama – poprawia mnie z naciskiem i literuje: – A-M-A.

Nadal ściskam jej dłoń, gdy pytam:

– Co to, do cholery, za imię: Ama?

Cofa rękę i wbija przelotnie wzrok w podłogę, nim odzyskuje znów rezon.

– Cóż, jak zapewne się domyślasz, skrót od czegoś dłuższego.

Fakt, że nie wyjaśnia, od jakiego imienia to zdrobnienie, przyprawia mnie o dziwny dreszcz. Próbuję powstrzymać uśmiech, ale chyba z mizernym skutkiem.

– Amatorka.

Gapi się na mnie przez chwilę bez słowa, dopóki nie dociera do niej, że nie próbuję jej obrazić, tylko zgaduję. Po chwili marszczy jednak czoło, gdy olśniewa ją, że to w istocie jedno i drugie.

Zabawnie jest obserwować towarzyszące temu zmiany jej mimiki.

– Nie. – Poprawia pasek swojej torby, podciągając go wyżej na ramieniu. – Hm, cóż – nie. Moja mama nie dała mi na chrzcie „Amatorka”.

– Amabella – zgaduję dalej.

Przechyla głowę na bok.

– Widzę, że ktoś tu czyta Liane Moriarty.

– Mam po prostu HBO.

Parska, ale nie w sposób drwiący czy nieuprzejmy. Ponownie zacznę owijać wstążkę wokół łodyżek.

– Dlaczego Whitney cię odprawiła? – pytam.

Zaczerpuje gwałtownie tchu.

– Nie odprawiła mnie. Jesteśmy nadal w dobrej komitywie, serio.

Podnoszę na nią wzrok. Pamiętam ją z różnych przyjęć ślubnych – zawsze z rękami pełnymi roboty. Wspinała się na drabiny, żeby pomagać technikom dźwięku, poprawiała źle złożone serwetki, zmieniała ułożenie baldachimów. Dostrzegła zwiędnięty kwiat z odległości kilometra, a podczas gdy ja nadal ustawiałem kwiatowe dekoracje, podchodziła i wyluskiwała co brzydsze pączki. Miała dryg do projektowania – i prawdopodobnie to właśnie ona stoi w istocie za sukcesem Whitney – a przynajmniej po części. Pamiętam również jednak, jak śmiała się z druhami, zbliżając się do grona klientów i gości bardziej niż Królowa Lodu Whitney kiedykolwiek uznałaby za dopuszczalne.

I pamiętam trzask, z jakim jej pięść uderzyła w nos tamtego nachalnego drużby. To, jak drżała, gdy Whitney wpiła paznokcie w jej

ramię.

– Chyba na jedno wychodzi, co? – pytam. – To Whitney decyduje, kto odchodzi, a kto zostaje. Więc to ona koniec końców pozwoliła ci odejść. – Wsuwam w związane kwiaty szpilkę, dodaję kokardę i niemal widzę, jak trybiki w jej umyśle się obracają, gdy próbuje rozgryźć, co mam na myśli.

– Powiedziałam Whitney, że marzę o otwarciu własnej firmy. Wsparła mnie...

Kładę fioletowo-żółty bukiet na ladzie obok jej dłoni, a ona podnosi go i muska płatki palcami. Czuję w powietrzu odrobinę tej magii, o której mówił dawniej mój tata – o tym, jak można poprawić komuś nastrój, podarowując mu kwiaty.

Mówię więc nieuchronnie coś, aby zepsuć tę ulotną, magiczną atmosferę.

– Jedynym powodem, dla którego Whitney Harrison pozwoliła ci ze sobą konkurować na rynku, jest fakt, iż wie, że sobie nie poradzisz. To dlatego cię odprawiła.

Podnosi na mnie wzrok. Widzę, jak zaciska palce wokół bukietu, więc zanim ciśnie mi go w twarz, dodaję:

– Nie mogę ci dać zniżki jako dostawca przez pierwsze pół roku współpracy. – Biorę jedną z naszych starych wizytówek, na której nadal widnieje imię mojego taty, i przesuwam ją w jej stronę po ladzie, a potem sięgam po ścierkę i wracam na tyły kwaciarni.

Zastanawiam się, czy przesłanie w języku kwiatów przekazałem jej właśnie wraz z bukietem: „Jesteś niedojrzała i cię nie lubię. Odejdź”.

6

Ama

MARZEC

Biorąc pod uwagę napięty grafik Hazel, w ciągu tygodnia załatwiamy, co tylko się da. Jutro po południu mamy iść na spotkanie do Blooming, ale żołądek odmawia mi posłuszeństwa już dziś, więc podczas naszego drugiego spotkania, lunchu w Cafe Bernardo, stosującej politykę zrównoważonego podejścia do środowiska restauracji w Midtown, ograniczam się do sączenia mrożonej herbaty.

Wyjmuję iPada i zaczynam:

– No to... Powiedzcie, co macie już ustalone. Liczba gości, kolorystyka, stroje...

– Hm. – Hazel przetyka kęs sałatki. – Ja wystąpię w białym spodniemie. Jac w sukience.

– Cudownie! – Opieram się łokciami o stół i pochylam z uśmiechem w ich stronę. – Będziecie obie prowadzone przez kogoś alejką? Czy tylko Jackie?

– Cóż, zawsze marzyłam o przejściu między gośćmi w Ogrodzie Różanym – odpowiada z rozmarzonym uśmiechem Jackie. – Ale chcę, żeby Hazel również miała swoją wielką chwilę!

– To dla mnie bez znaczenia, kochanie...

– Wiem, słońce, ale nadal sądzę, że twój brat powinien poprowadzić cię do ślubu...

Upijam łyk mrożonej herbaty, pozwalając im się sprzeczać. To cudowne: móc na początku obserwować moich klientów i poznawać ich wzajemne relacje. Hazel jest wyluzowana i otwarta na propozycje, podczas gdy Jackie, chociaż chciałaby decydować o wszystkim, ma tylko jeden prawdziwy wymóg: ceremonię w Ogrodzie Różanym. Hazel jest szczęśliwa, gdy widzi, że Jackie jest zadowolona. Ktoś inny na moim miejscu starałby się skupić na Hazel i jej przypodobać – wszak jest celebrytką. Teraz jednak, gdy już je nieco poznałam, zamierzam płynąć z prądem.

– Czy mogę zapytać o to, jak się zaręczyłyście? Uwielbiam słuchać takich historii!

Widzę w oczach Jackie błysk, gdy odgarnia z twarzy włosy i zaczyna:

– To było w domu moich rodziców. Przywiozłam Hazel do nas na święta, ale ona wcześniej zagadała już z moim tatą.

Jackie uśmiecha się do swojej narzeczonej i widzę, jak oczy robią jej się szkliste od łez.

– Nie wiedziałam – dodaje Hazel – że Jackie również przywiozła ze sobą pieprzony pierścionek zaręczynowy!

Zaczerpuję gwałtownie tchu, podczas gdy Jackie trąca Hazel łokciem pod żebra.

– Musiałam więc czekać jak idiotka przed jej rodzicami, gdy ona nagle zerwała się z krzesła i pobiegła na górę, nie mówiąc mi ani „tak”, ani „nie”! Sądziłam, że na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze!

Śmieją się, a potem wymieniają całusa.

Historie zaręczynowe są fantastyczne, a ta zapowiada się naprawdę nieźle. To znaczy, nie ma nic złego w oświadczeniu się na stadionie z relacją na telebimie – o ile tylko przyszła panna młoda jest taką samą miłośniczką sportu, co jej narzeczony. A najprostsze historie, te z pytaniem: „Wyjdiesz za mnie?”, nawet bez pierścionka, również wiele mówią o przyszłych nowożeńcach. Czasem to nieprzemysłane, ale bywa i tak, że ktoś jest po prostu spontaniczny.

Niektórzy potrafią odgadnąć, czy dane małżeństwo przetrwa, obserwując twarz pana młodego, gdy jego przyszła żona jest

prowadzona w jego stronę przez kogoś z bliskich; inni widzą to już na pierwszym spotkaniu z parą. Ja dedukuję na podstawie opowieści zaręczynowych.

A Jackie i Hazel? Cóż, widać na pierwszy rzut oka, że naprawdę się kochają.

Nie wierzę w długoterminowe formalne zobowiązania, takie jak instytucja małżeństwa, ale wierzę w miłość. Potrafi być ulotna i nieprzewidywalna, rzadko trwa długo, jednak jestem przekonana, że istnieje. Wiem, że moja mama kochała wielu ze swoich mężów, ale zawarcie związku małżeńskiego było za każdym razem najszybszym i najpewniejszym sposobem na zabicie tej miłości. Ja byłam zakochana raz... I to się szybko skończyło.

Popijam mrożoną herbatę, żeby pozbyć się guli, która uformowała się w moim gardle na to wspomnienie. Siedząca naprzeciwko mnie Jackie splata na stoliku palce dłoni z palcami Hazel.

To nie moja rola: liczyć na to, że będą już na zawsze razem, ale cieszyć się, że póki co są ze sobą szczęśliwe. Głęboko wierzę w to, że naprawdę są w sobie zakochane – i że ich miłość przetrwa. Koniec kropka. Za każdym razem, gdy trafiam na tego rodzaju pary, daję z siebie znacznie więcej niż zwykle podczas organizacji ślubu – i właśnie te przyjęcia okazują się strzałami w dziesiątkę, moimi najlepszymi dokonaniem.

Podczas lunchu wyciągam z nich kolejne szczegóły, spisując notatki:

- Jackie idzie szpalerem na miejsce cermonii; Hazel - do ustalenia.
- Jackie w sukience, Hazel w spodniemie.
- Stroje od Elle Stone, przyjaciółki Hazel.
- Kolorystyka - do ustalenia (H. zależy na przytłumionych, jesiennych barwach z mocnymi akcentami, podczas gdy J. pragnie różów).
- Muzyka na żywo.

- Wiolonczelista na ceremonii - Xander Thorne, przyjaciel Hazel.
- W MOJEJ GESTII:
 - Zaklepanie miejscówki.
 - Skontaktować się z Elle Stone.
 - Skontaktować się z Xanderem Thornem (nie przez agenta; afitzmusic@aol.com).

Gdy kończę robić notatki, dołączając je do tematu ślubu Hazel i Jackie, mówię:

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o liście gości. Podajcie mi widełki, a ja rozeznam się w dostępnych opcjach.

Jackie popatruje na Hazel.

– Cóż, myślę, że zmieścimy się w gronie poniżej setki, ale Hazel martwi się o odzew publiczny...

– Mam niejasne wrażenie, że „ślub Hazel Renee” nie będzie tak naprawdę moim ślubem – mamrocze Hazel, krzywiąc się kwaśno. Kiwam głową, myśląc przelotnie, że w tym przypadku publicyści mogą być czymś w rodzaju odpowiednika teściowej. – Sądzę, że jakieś dwieście osób będzie okej.

Z całej siły staram się nie rozdziawić ust. Dodatkowa setka jako zastępstwo teściowej to... cóż, całkiem sporo. Wpisuję w iPada „100–200” i dodaję to do listy.

– W takim razie sądzą, że pora pomówić o finansach. Jaki budżet zamierzacie przeznaczyć na wesele?

Hazel prostuje się na swoim krześle.

– Myślę o budżecie w kategoriach sumy, której wolałabym nie przekraczać.

– Super. Zazwyczaj sama dokładnie tak robię. – Sporządzam odpowiednią notatkę. – Czyli chcielibyście, żebym podała wam widełki?

Gdy Hazel kiwa głową, pytam o dokładną kwotę.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Całe szczęście, że mocno trzymam w dłoni rysik do iPada – w przeciwnym razie mógłby upaść na podłogę i potoczyć się pod nogi kelnera, który potknąłby się na nim i przewrócił, niosąc tacę

z drinkami. W umyśle jednak dostrzegam już, jak to wszystko będzie wyglądało w rzeczywistości – i widzę oczyma duszy, jak moja kariera wystrzeliwuje w kosmos.

To znacznie większy budżet, niż kiedykolwiek miałam do dyspozycji, gdy pracowałam na własną rękę. Jestem podekscytowana... ale i odrobinę przerażona. Kwoty tego rzędu oznaczają zazwyczaj współpracę z dostawcami spoza mojej ligi i urządzanie przyjęć w miejscach, w których nie mam kontaktów... A także wielkie oczekiwania. Powinnam była to ustalić, zanim zgodziłam się zorganizować ich ślub, ale życzenie Jackie, której zależało na Ogrodzie Różanym, zdecydowanie na to nie wskazywało...

– Czy to za mało? – pyta cicho Jackie, błędnie interpretując moje milczenie.

– Nie, skąd, jest super! – zapewniam ją. – To po prostu... Bardzo dużo! Nie miałam do czynienia z podobnymi kwotami, odkąd przestałam pracować dla Whitney, więc zwyczajnie próbuję jakoś ogarnąć to umysłem – mówię, myśląc jednocześnie o obietnicy, którą dałam Whitney, kiedy od niej odchodziłam: że nigdy nie wejdę jej w drogę i nie wkroczę w jej segment rynku. O tym, jak machnęła wówczas dłonią, jakby kompletnie się tym nie przejmowała. I o tym, jak uściskała mnie na pożegnanie: mocno, czule, otulona zapachem wanilii.

I co ja mam zrobić w tej sytuacji? Zrezygnować? Odesłać je do Whitney, która zdoła ogarnąć ślub na taką skalę i wie, do których dostawców uderzyć?

„Nie – postanawiam sobie twardo. – Nie ma mowy”. Ten ślub to dla mnie szansa, której nie otrzymam ponownie.

Wiem, że sobie poradzę. Hazel i Jackie dobrze zrobiły, zwracając się z tym do mnie. A ja nie mogę się doczekać, żeby im to udowodnić.

Przed czwartkowym spotkaniem w Blooming mam wolny ranek, więc zamiast gapić się w ścianę i pocić jak mysz, postanawiam zajrzeć do biura Whitney. Minęło kilka miesięcy, odkąd odwiedziłam ją ostatnio i chciałabym zapytać ją o zdanie na temat listy życzeń Hazel i Jackie.

Z pudełkiem pączków w dłoni otwieram drzwi ceglanego budynku w dobrej lokalizacji w East Sacramento – dzielnicy bogatych ludzi. Za biurkiem w recepcji siedzi nowa dziewczyna, której nie znam, ale już wkrótce z pokoi zaczynają wylewać się różni ludzie, aby przytulić mnie na powitanie lub poczęstować się pączkiem.

Trudno było mi stąd odchodzić. Nie w tym rzecz, że chciałam przestać pracować dla Whitney, po prostu czułam, że jeśli zostanę, utknę tu na całą wieczność. A klienci, których obsługuje Whitney, to nie jest moja grupa docelowa. Tańsze przyjęcia weselne, które organizowałam na przestrzeni dwóch ostatnich lat, dały mi znacznie więcej satysfakcji niż te opiewające na sześciocyfrowe kwoty, które obsługiwałam w tej firmie. Uwielbiam patrzeć, jak twarze przyszłych pań młodych rozpromieniają się, gdy mówię im, co możemy osiągnąć – nawet przy ograniczonym budżecie. W końcu właśnie o to w tym wszystkim chodzi, czyż nie?

Pokój Whitney mieści się w rogu, na tyłach biura; podczas gdy moi starzy znajomi pałaszują małe pączki, które pan Kwon dorzucił do zamówienia, pukam do jej drzwi i czekam, aż zawoła:

– Tak?

Wchodzę z uśmiechem do środka i przypominam sobie chwilę, w której pierwszy raz przyszedłam do tego pomieszczenia na rozmowę o pracę – świeżo po szkole średniej. W dniu, w którym zakończyłam edukację, odbywało się przyjęcie weselne mojej mamy organizowane przez Whitney Harrison. Gdy tylko odebrałam dyplom, popędziłam prosto na nie... I po raz pierwszy spotkałam Whitney. Robiła onieśmielające wrażenie – wysoka, jasnowłosa i rozczarowana każdym, bez wyjątku. Obserwowałam, jak łapie za nadgarstek kelnera, który przyniósł pierwsze przystawki dziesięć minut za wcześnie, zamyka go w żelaznym uścisku i ze zwodniczo słodkim uśmiechem prowadzi z powrotem do kuchni. To było niesamowite. Później się dowiedziałam, że jej asystentka złożyła tego dnia wymówienie – i to dlatego musiała osobiście wszystkiego pilnować. Nie czekałam nawet, aż opublikuje ogłoszenie o pracę – zjawiłam się u niej w poniedziałek z lookbookiem z ostatnich czterech wesel mojej mamy, z których każde sama zaplanowałam. Whitney przyjrzała mi się z wyrachowaniem i zaoferowała minimalne wynagrodzenie za odbieranie telefonów. Dwa tygodnie później awansowałam na

asystentkę, a po kolejnych trzech miesiącach zostałam koordynatorką do spraw projektowania i produkcji. Podczas gdy moi koledzy i koleżanki zaczynali naukę w college'ach, ja zarabiałam na życie, robiąc dokładnie to, co chciałam.

Whitney praktycznie wcale się od tamtej pory nie zmieniła. Włosy ma zaczesane do tyłu i spięte w gruby blond kucyk. W kącikach jej oczu widzę kurze łapki, ale domyślam się, że lada chwila wybiera się na zabieg ostrzykiwania. Zaciska wąskie wargi, spoglądając w górę, aby sprawdzić, kto jej przeszkodził, ale na mój widok błyska zębami w jednym ze swoich olśniewających uśmiechów.

– Ama, jak miło! – Zrywa się z fotela i wygładza swoją sukienkę z dekoltem w łódkę, a potem przytula mnie mocno. – Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę?

Otula mnie obłoczek jej delikatnych perfum i oddycham głęboko, a potem mówię:

– Pomyślałam, że po prostu... długośmy się nie widziały.

Siadam na krześle przed jej biurkiem i przez chwilę rozmawiamy o tym, co słyhać u każdej z nas. W ten weekend ma cztery wesela. Ja tylko jedno, ale Whitney i tak chce poznać wszystkie szczegóły.

– Co u twojej mamy? – pyta, krzyżując nogi i uśmiechając się do mnie ciepło.

– Wszystko dobrze. W zeszłym miesiącu ponownie wyszła za mąż.

– Który to już raz? – pyta, parszczając zaraźliwym śmiechem. – Czy właśnie pobiła rekord świata w tej dziedzinie?

Czuję, że się rumienię. Nie pierwszy raz słyszę ten żart – i zapewne nie ostatni. Moja matka nigdy nie wstydziła się tego, że zmienia mężów jak rękawiczki, ale po jej dziesiątym ślubie zaczęło do mnie docierać, że inni uważają to za szalenie zabawne. Jako dziecko nie rozumiałam, że można to traktować jako coś nagannego. Nie wiedziałam, że ludzie obgadują ją za plecami i że jest obiektem żartów nawet w gronie najbliższych. Teraz śmieję się razem z nimi, żeby nie widzieli mojego dyskomfortu.

Szybko zmieniam temat.

– Ja... potrzebuję profesjonalnej porady.

– Oczywiście! – Strzepuje nadgarstkiem przy akompaniamencie brzęku bransoletki. – W jakiej konkretnie sprawie?

– Mam organizować ślub Hazel Renee – wyrzucam z siebie tak szybko, jak tylko zdołam, żeby pozbyć się już tego przytłaczającego brzemienia – i żeby nie zwymiotować. Mimo to nadal mnie mdli. To dopiero początek.

Whitney unosi wysoko brwi.

– Och, naprawdę? – Uśmiecha się i chichocze krótko. – Jak, u licha, udało ci się dostać to zlecenie?

– To ona się do mnie odezwała. – Wzruszam ramionami, krzywiąc się lekko. – Próbowалам się wykręcić...

– Ama, nie. – Whitney potrząsa głową. – Masz do tego idealne kwalifikacje. Jestem pewna, że powiedziałaś im, jakiego rodzaju usługi świadczysz, w jakim stylu organizujesz przyjęcia i na jaką skalę, a mimo to postanowiły wybrać właśnie ciebie!

Przygryzam wewnętrzną stronę policzka.

– Cóż, tak. Ale zaczynam mieć wrażenie, że zależy im na czymś o znacznie większym rozmachu niż... niż sądziłam na początku. A może po prostu nie dałam im zbyt jasno do zrozumienia, jakie są moje możliwości. Sama nie wiem... Chciałam być z tobą szczerą, bo obiecałam, że nie będę wchodziła na twój teren.

Macha ręką.

– To nie jest coś, co możesz w pełni kontrolować. I doskonale zdaję sobie z tego sprawę. – Spogląda na mnie z uśmiechem, który nie dociera jednak do jej oczu. – Wiedz jednak, że jestem z ciebie dumna. To wspaniała okazja! Kiedy ma się odbyć ślub?

Krzywię się kwaśno.

– Siódmego października.

Whitney mruga przez chwilę, zaskoczona.

– Tego roku? To bardzo mało czasu!

Kiwam głową, przygryzając wargę.

– Termin jest krótki, ale dam radę. A przynajmniej tak sądzę. Miałam tylko nadzieję, że mogłabyś mi wskazać dostawców usług, którzy mogą być jeszcze w tym okresie wolni...

Whitney zaciska usta.

– Oczywiście! Ale... Pozwól, że cię przestrzegę, abyś była ostrożna, Ama.

Robię głęboki wdech, dokładnie wiedząc, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Hazel jest mniej więcej w twoim wieku, prawda? – Kiedy kiwam głową, podejmuje: – Obracanie się w środowisku celebrytów niesie ze sobą... pewne ryzyko. Pokusy. Pamiętaj więc, aby zachować dystans. Każde spotkanie może być zgubne w skutkach – i zarezonować w gronie jej fanów.

Wypowiada słowo „spotkanie”, jakby chodziło o zaginione obrączki lub zapomnienie o zatrudnieniu DJ-a, ale ja wiem, co tak naprawdę ma na myśli. Piastowałam stanowisko koordynatorki do spraw projektowania i produkcji w jej firmie od tygodnia, kiedy ni stąd, ni zowąd wysłałam do panny młodej SMS-a z pytaniem, dlaczego nie pokazała nam swojej tablicy na Pinterescie. Węszyłam trochę w internecie i znalazłam jej strony w mediach społecznościowych. Piny, które zapisała, w niczym nie przypominały tego, na co się zdecydowaliśmy. Veronica, rzeczona panna młoda, odpisała mi, że nie sądzi, aby ich budżet pozwalał na cokolwiek z tego, co zachowała na swoim Pinterescie. Następnego dnia opracowałam całkiem nowy projekt ślubny i przedstawiłam go Whitney w obecności pary. Veronica była zachwycona. Whitney się uśmiechnęła, skinęła głową i milczała uparcie, dopóki nasi klienci nie wyszli, a następnie odsunęła mnie od organizacji ślubu Veroniki.

– Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, jakie to krępujące: być zmuszoną dzwonić do wypożyczalni, firmy cateringowej i kwiaciarni po czterech miesiącach i mówić im, że zmieniasz projekt? Jasne, że nie, bo to ja muszę to zrobić! – wycodziła wówczas.

W tamtym momencie uznałam, że zdenerwowała się po prostu koniecznością wprowadzania zmian w grafiku i bała się o dobre relacje z dostawcami. Ale trzy miesiące później wzięłam udział w wieczorze panieńskim jednej z naszych klientek, a kiedy Whitney się o tym dowiedziała, odsunęła mnie również od tego ślubu.

Po tamtych wydarzeniach bardzo starałam się uważać. Próbowалам być lepsza. Starałam się odrzucać zaproszenia na wieczory panieńskie i kawalerskie, ale dla Whitney było to jak próba doraźnego rozwiązania głębszego problemu – bo ludzie, z którymi współpracowałam, darzyli mnie sympatią. Lubili mnie na tyle, że chcieli przebywać w moim towarzystwie i rozmawiać na stopie

prywatnej o swoich ślubnych projektach. Zaczęłam skupiać się nie na tym, jak unikać zaproszeń, ale na tym, jak nie dać się przyłapać. Byłam najlepszą projektantką, jaką dysponowała Whitney – i jeśli miałam nią pozostać, musiałam poznawać pary i ich podejście do różnych kwestii. Kiedy uznała, że zaczęłam się kontrolować, awansowała mnie na dyrektorkę do spraw projektowania, co było naprawdę sporym krokiem dla mnie, dwudziestolatki. Miesiąc później wydarzyło się jednak coś naprawdę koszmarnego. Uderzyłam drużbę za to, że położył rękę na moim tyłku i zasugerował, żebym mu obciągnęła. Kiedy płakałam i przepraszałam, moja pięść spuchła, wydało mi się także, że ubrania nagle zaczęły zbyt ciasno opinać moje ciało, które stało się dziwnie obce. Whitney odciągnęła mnie na bok i powiedziała: „Szczерze powiedziawszy, jestem zaskoczona, że to wydarzyło się dopiero teraz”.

Potem ogarnęła sytuację, jak to ona. Załatwiła wszystko z parą i doprowadziła drużbę do porządku – aby mógł pójść z młodymi do ołtarza. Przekonała go, aby nie wnosił oskarżenia przeciwko mnie (wcześniej nawet mi to przez myśl nie przeszło). A gdy przyjęcie się rozpoczęło, przytuliła mnie, przyłożyła okład z lodu do moich spuchniętych knykci i wyszeptała cicho: „Nauczysz się, kochanie. Wszystkim się już zajęłam. Już zapomnieli”.

Teraz patrzę jej w oczy i zmuszam się do uśmiechu. W dni takie jak ten wciąż żałuję, że to nie ona wszystkim się zajmuje.

– Jasne – zapewniam ją. – Coraz lepiej radzę sobie z przestrzeganiem wytyczonych granic.

Kiwa głową, a ja nie jestem pewna, czy mi wierzy, ale uderza lekko dłonią w biurko i sięga po myszkę.

– Siódmy października, mówisz? Spójrzmy, którzy moi dostawcy usług są już zajęci tego dnia.

Robię głęboki wdech, uspokajając nerwy, i przysuwam krzesło, aby spojrzeć w jej kalendarz – jak za dawnych czasów.

Ama

MARZEC

Ostatni raz byłam w Blooming dwa lata temu. A dokładniej: dwa lata, dwa miesiące i cztery dni temu. Podczas kręcenia włosów próbowałam obliczyć również, ile godzin i minut temu, ale koniec końców uznałam, że to lekka przesada.

Poza tym poparzyłam sobie nadgarstek.

Ścięłam włosy, odkąd widział mnie po raz ostatni, i głupio jest zastanawiać się, czy to zauważy, skoro mam nadzieję, że nie będzie na mnie patrzył – że być może uda mi się ukryć za jakąś szczególnie wysoką orchideą na czas całego spotkania i pozwolić Jackie przejąć inicjatywę. Ale nadal nie mogę przestać o tym myśleć.

Nie przynoszę paczków, bo na niego nigdy to nie działało.

Parkuję przy ulicy zamiast na parkingu na trzy samochody pod kwiaciarnią. Na podstawie tętna mój apple watch sugerował sześć minut temu, że powinnam zadzwonić po pogotowie, więc aktywnie medytuję, wyobrażając sobie strumienie ściekające powoli po skałach. Z intensywnym skupieniem psa myśliwskiego czekam, aż Jackie i Hazel podjadą, i podrywam się szybko, gdy samochód

z dwiema kobietami na przednich siedzeniach zwalnia. Lampka kontrolna silnika mojego auta miga, ale jak zwykle ją ignoruję.

Po raz pierwszy od ponad dwóch lat znajdujemy się w tym samym pomieszczeniu i oddychamy tym samym powietrzem. Każdego dnia przez te dwa lata robiłam wszystko, aby unikać Blooming – i jestem pewna, że on również nie miał okazji się na mnie natknąć. Ma się rozumieć, zaczęłam współpracować z innymi kwiaciarniami, chociaż był to druzgocący cios dla mojego stylu i kreatywności. Zorganizowałam nawet kilka ślubów, podczas których musiałam zrezygnować z jego usług po... Cóż, po tamtym. Przez większość dni radzę sobie całkiem nieźle, unikając myślenia o nim. Z biegiem czasu było coraz łatwiej, ale dopiero teraz dotarło do mnie, jak trudne będzie to wszystko.

Urocza, mała toyota prius włącza migacz i skręca na parking, a gdy tylko potwierdzam, że za kierownicą siedzi Jackie, chwytam torbę i wyskakuję z mojego auta. Wysiadają, a ja wychodzę im na powitanie. Chyba się przytulamy. Jestem jak zamroczona, więc nie rejestruję zbyt dobrze, co się właściwie dzieje. Rozmawiamy przez całą drogę do wejścia. Sięgam po klamkę...

– Hej!

Na dźwięk tego jednego słowa zastygam w bezruchu niczym posąg. Odwracam się jak użądłona w prawo i widzę go: ze ściereczką w rękach, w koszulce henley z długim rękawem i czarnych dżinsach. Wychodzi z budynku, do którego właśnie podeszliśmy – bocznymi drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Znow ma długie włosy. Związał je z tyłu w kucyk, żeby nie opadały mu na twarz. Kiedyś nazwałam to uczesanie „męskim kokiem” – nie odzywał się wówczas do mnie przez resztę dnia.

Czuję, jak uginają się pode mną kolana. Moje serce znow zaczyna walić jak młotem, przechodząc w tryb ucieczki.

Czekam, aż wskaże na mnie i powie: „Ona nie może tu wejść” albo „Spotkanie odwołane”.

Ale on w ogóle na mnie nie patrzy. Kiwa tylko głową, żebyśmy weszły bocznymi drzwiami, i znika ponownie w środku.

Jackie przewraca oczami i mówi do Hazel:

– To u niego standard. Gburowatość to jego znak firmowy.

Uznałabym to za zabawne, gdyby nie nagły ból, który czuję w piersi. Jackie zna Elliota. Lepiej niż tylko jako syna swojej szefowej. Mniejsza o jej orientację seksualną – w jego życiu jest osoba, która zna go na tyle dobrze, aby żartować z jego zachowania, a ja nie wiedziałam o jej istnieniu – aż do tego tygodnia.

Jackie i Hazel biorą się za ręce i idą w stronę bocznych drzwi, a ja podążam za nimi jak pies prowadzony do niechcianej kąpieli, kuląc się i trzęsąc. Wchodzę do środka za Hazel, a kiedy słyszę, jak mówi:

– Och, wow! – podnoszę wzrok i zatrzymuję się w progu.

Zaplecze... Cóż, zmieniło się, odkąd byłam tu po raz ostatni. Tam, gdzie piętrzyły się pudła i sterta rzeczy do naprawy, stoją teraz dwa długie, na oko na dwa i pół metra, stoły robocze z marmurowymi blatami. Łuszcząca się oliwkowozielona farba i zardzewiałe gwoździe zniknęły zastąpione przez białe ściany z weselnymi łukami zwisającymi z wysokiego sufitu, wieńce oraz dziesięciometrową ściankę pokrytą różami – z jedwabiu? – z napisem Blooming. A zamiast samotnej gołej żarówki są neony i diody LED zalewające wszystko czystym, fioletowawym światłem.

Mrugam zawzięcie, próbując oswoić się z tym nowym wyglądem zaplecza, i przypominam sobie swoje słowa: „Jeśli chcesz robić niestandardowe instalacje, będziesz potrzebował studia z prawdziwego zdarzenia, Elliot”. Przewrócił wówczas tylko oczami i stwierdził: „Zrobiłem kilka rzeczy. Nie zamierzam przekształcać kwaciarni tylko po to, aby cackać się z klientami Whitney z wyższych sfer. Mój ojciec nigdy by tego nie chciał”.

Wzruszyłam ramionami. „Dlaczego by nie upiec dwóch pieczeni na jednym ogniu? A co byś powiedział na mały remont zaplecza?”

Przytrzymuję się framugi, bo się boję, że lada chwila się przewrócę. Nigdy w życiu nie czułam się niepewnie na obcasach, ale moje nogi odmawiają współpracy.

– Zamknij drzwi. – Jego chrapliwy głos dobiega mnie z drugiego końca pomieszczenia. Stoi w rogu przy mniejszym stole stanowiącym coś w rodzaju warsztatu. To jedyne zagracone miejsce. I równocześnie jedyne, które przypomina mi jego samego z okresu, w którym go znałam.

– Elliot – mówi Jackie. – Poznaj moją narzeczoną, Hazel.

Zamykam za sobą drzwi i obserwuję z odległości dziewięciu metrów, jak Hazel podaje mu rękę. Elliot mamrocze coś w stylu: „Miło mi cię poznać”.

Hazel wskazuje tymczasem na ścianę z różami.

– To przepiękne! Cała pracownia jest naprawdę niesamowita...

Elliot kiwa głową, jak zwykle nie dziękując za komplement.

– To była przez czterdzieści lat kwaciarnia mojego ojca. Zajmował się bukietami i drobnymi dodatkami ślubnymi, ale kiedy przejąłem firmę, zacząłem eksperymentować z konstrukcjami i instalacjami. Blooming oferuje teraz obie te usługi.

To najdłuższe zdania, jakie kiedykolwiek usłyszałam z jego ust. I dociera do mnie, jak bardzo stara się nie dać po sobie poznać, że to wyuczona na pamięć formułka. Fakt, że wszystko, co z nim związane, wydaje się takie znajome – że tak dobrze to pamiętam – sprawia, iż przechodzi mnie dziwny, elektryczny dreszcz i muszę się odwrócić. Staję twarzą do ściany i przyglądam się wiosennym wieńcom.

Słyszę, jak dziewczyny podają mu datę ślubu. Słyszę, jak Hazel zaczyna opisywać kilka pozycji ze swojej listy życzeń. Słyszę niski pomruk jego aprobaty.

Powinnam być tam, w samym centrum tego wszystkiego, aktywnie uczestniczyć w wymianie zdań. To ja projektuję ten ślub, a to oznacza konieczność współpracy przy omawianiu kwiatowych aranżacji.

Pod pozorem chęci przyjrzenia się kwiatom doniczkowym na stołach, podchodzę bliżej, i słyszę, jak pyta:

– Gdzie odbędzie się przyjęcie?

– Ustalimy to w tym tygodniu – mówię schrypniętym głosem.

Kiedy przenoszę na niego wzrok, obciąga rękaw koszulki i patrzy na Jackie. – Gdy tylko będziemy miały lokalizację, wyślę ci e-mail, żebyśmy mogli umówić się na odwiedzenie tego miejsca.

– Próbną kolacja? – pyta.

– Nie omówiliśmy jeszcze szczegółów, ale jednego jestem pewna: chciałabym jakieś kwiatowe dekoracje – mówi Jackie z nadzieją, splatając przed sobą dłonie. W odpowiedzi Elliot kiwa tylko głową, sięga po łydęgę fuksjowej kalii, wyciąga ją z aranżacji i mówi:

– Ogród Różany w McKinley Park. Czy podczas ceremonii skupiamy się na różach? A może chcielibyście postawić na różnorodność?

Jackie i Hazel wymieniają spojrzenia, a potem patrzą na mnie.

– Myślę, że różnorodność brzmi całkiem nieźle – mamroczę, ufając jego intuicji.

Nie odpowiada. Nie kiwa nawet głową. Nic nie wskazuje na to, że w ogóle mnie usłyszał – ani że zarejestrował moją obecność. Przełykam ślinę i patrzę, jak sięga po pomarańczowe chryzantemy stojące na drugim stole. Serce zaczyna bić mi szybciej, bo już wiem, co robi. Czuję w ciele mrowienie, ponieważ przypominam sobie pierwszy bukiet, który dla mnie przygotował. Jaskry i petunie – niedojrzałość i uraza. Otrząsam się ze wspomnień, gdy Jackie mówi:

– To wygląda super!

Oglądam się przez ramię i widzę, na co patrzy: na opartą o ścianę dużą, przezroczystą skrzynkę podzieloną na ćwiartki wypełnione kwiatami. Jest głęboka na jakieś trzydzieści centymetrów, przykryta płytą z bezbarwnego pleksi i sięga mi do pasa. Wygląda, jakby można ją było zawiesić na ścianie w charakterze sztucznego okna.

Elliot mamrocze coś pod nosem i zostawia kwiaty, które układał, a ja się odsuwam, żeby mógł podejść do instalacji. Bierze wtyczkę, której wcześniej nie zauważyłam, wkłada ją do gniazdka i zanim zdążę się napatrzeć na cudownie rozświetlające ją lampki, kładzie konstrukcję na płask na podłodze i wchodzi na nią.

Dopiero gdy wyciąga rękę do Jackie, aby do niego dołączyła, zdajemy sobie sprawę z tego, czym w istocie jest skrzynka.

– Czy to... – Hazel otwiera szerzej oczy. – Czy to jest parkiet taneczny?

Jackie rozdziawia usta, stając na pleksi.

– To jedna dziesiąta parkietu – uściśla Elliot.

Schodzi ze skrzynki i gestem daje Hazel znak, aby zajęła jego miejsce. Kiedy ta przypatruje się nieufnie konstrukcji, Jackie szepcze:

– Spokojnie. On jest architektem.

Elliot jej nie poprawia. Gdy Hazel dołącza do narzeczonej, on gasi światła w pracowni, aby dziewczęta mogły poczuć się jak na wieczornym przyjęciu, stojąc na rozświetlonej podłodze.

Szczerze powiedziawszy, odbiera mi mowę. I w sumie dobrze, bo wiem, że i tak nie chciałby przyjąć komplementów ode mnie. Widziałam już parkiety taneczne podświetlane LED-ami, ale to... jest jak podłoga utkana z kwiatów i światła. Jest po prostu... magiczna, a to tylko płyta o wymiarach metr na metr. Hazel i Jackie patrzą na mnie oczami jelonka Bambi, a ja mamroczę:

– Uwzględnij to w wycenie.

Elliot ponownie włącza światło, a gdy dziewczyny z nim rozmawiają, wraca do kalii i chryzantem, dodając nieco ostnicy i trochę bukszpanu. Kiwa głową, przysłuchując się, jak mówią jedna przez drugą, i owijając łodyżki opłotem. Kiedy kładzie bukiet przed Hazel i Jackie na stole, urywają w połowie zdania i spoglądają na niego.

– Bezpłatna próbka. – Odwraca się i idzie w kierunku drzwi prowadzących do kwaciarni. – Napisz do mnie – rzuca, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Ale wiem, że kieruje te słowa do mnie.

Jackie podnosi bukiet i przesuwa palcami po płatkach.

– Wow. To...

– Różowe, tak jak chciałaś, i jesienne barwy, moje ukochane – mówi Hazel i obraca się w moją stronę. – Wspominałaś mu, że nie mogliśmy dojść do porozumienia w sprawie kolorystyki?

Potrząsam głową.

– Nie. – On po prostu... wie. – Poprawiam torbę na ramieniu i gestem wskazuję wyjście. – Idziemy?

Zanim wychodzimy, Hazel robi zdjęcie jego pracowni i prosi:

– Zapytałabyś go, czy mogę je opublikować?

Wolałabym zjeść garść szkła. Mimo to potwierdzam:

– Jasne.

Kiedy drzwi za nami się zamykają i idziemy do samochodów, dociera do mnie, że... przeżyłam. Ani razu na mnie nie spojrzął. Nie odezwał się do mnie. Ale przetrwałam.

– Rany boskie, gdybym nie wołała dziewczyn... – wzdycha sugestywnie Hazel.

– I nie byłabyś zaręczona... – dodaje Jackie, dając jej kuksańca.

– To megaciacho!

Patrzę prosto przed siebie.

– Ale jego matka mówi, że nie umawia się z dziewczynami. Czy to nie smutne? – Jackie spogląda przez ramię na kwiaciarnię i ścisza głos, jakby mógł ją podsłuchać: – Powiedziała, że jego ostatnia dziewczyna totalnie złamała mu serce.

Potykam się na gładkiej drodze i oglądam jak głupia za siebie, jakbym spodziewała się tam zobaczyć kawał gruzu, a tymczasem Hazel pyta:

– Kiedy to było?

Czuję w żołądku lodowaty ciężar, ale wiem, że przecież senator Gilbert o nas nie wiedział. Jak to możliwe, że...?

– Chyba zeszłej jesieni? To była dziewczyna z biura... Kate – mówi Jackie.

Ogarniają mnie mdłości. Oglądam się ponownie na kwiaciarnię. Czy to możliwe, że po mnie był ktoś jeszcze? Ktoś, kto również zostawił go na lodzie? Minęły dwa lata, więc przypuszczam, że z kimś się w tym czasie spotykał. Ja widywałam się z kilkoma facetami, ale to były raczej przelotne znajomości. Był pierwszą osobą, której pozwoliłam zbliżyć się do siebie tak bardzo – pierwszą, dla której złamałam wszystkie swoje zasady – i zdecydowanie nie zamierzałam robić tego ponownie.

Nie wiem, co jest gorsze. Myśl, że się zmienił, czy nadzieja, że tak się nie stało.

– Ama?

Podrywam gwałtownie głowę, patrzę na Hazel i uśmiecham się do niej półprzymtomnie.

– Tak? Wybacz, zamyśliłam się.

– Czy mamy jeszcze na dziś coś w planach? Wyjeżdżam na dwa tygodnie...

– Nie, nie. Póki co mamy ustalone wszystko, co powinnyśmy na tym etapie uzgodnić. Ten parkiet jest niesamowity. Myślę, że będzie idealnym dodatkiem do waszej imprezy.

Żegnamy się i idę do samochodu, oglądając się co i rusz przez ramię jak ostatnia idiotka. Jakbym liczyła na to, że ktoś patrzy w ślad za mną.

Elliot

TRZY LATA, SZEŚĆ MIESIĘCY I SZEŚĆ DNI TEMU

Nie korzystam z mediów społecznościowych. Mógłbym spróbować wyjaśnić to, powołując się na frazesy – o tym, jak degeneruje to moje pokolenie, lub o tym, że budowanie poczucia własnej wartości na umiejętności fotografowania własnych jajek jest idiotyczne. Ale prawda jest taka, że nigdy nie nauczyłem się z nich korzystać.

A nie chciałbym robić tego nie tak, jak trzeba. Gdybym zamierzał poświęcić od jednej do ośmiu godzin dziennie na nowe hobby, to nie chciałbym robić z siebie pośmiewiska.

Mój tata pragnął, aby nasza kwiaciarnia miała konto na Instagramie. Kilka lat temu założył je mój kuzyn, ale tata zdecydowanie słabo radził sobie z jego prowadzeniem. Dodawał opisy stworzone z włączonym caps lockiem, a w rogach jego zdjęć dali było widać torebki z nawozem. Obecnie konto śledzi około stu obserwujących, a posty mają średnio po sześć polubień.

Mój kuzyn, Ben, pracuje w kwiaciarni w dni, kiedy obsługuję przyjęcia, więc poprosiłem go o radę. Zbudowałem coś w rodzaju żyrandola: pod sufitem na zapleczu podwiesiłem, za pomocą lekkiego łańcucha, prostokątną tacę. Wypełniłem ją różową gipsówką

i pierzastymi, różowymi kwiatami tawułki. Muszę przyznać, że jestem całkiem zadowolony z efektu – całość wygląda jak puszysta różowa chmura i myślę, że robi niezłe wrażenie. Ben zgodził się ze mną i pomógł mi wrzucić na Insta zdjęcie z odpowiednimi hasztagami.

Dwieście polubień, siedemdziesięciu nowych obserwujących.

Nienawidzę mediów społecznościowych.

Leżę w łóżku, przeglądając posty florystów z całego świata. Nie obchodzi mnie, że mają tysiąc razy więcej obserwujących lub polubień niż ja. Chodzi o to, że... na nie zasługują. Skóra aż mnie mrowi od inspiracji i zazdrości.

Jeden z nich zbudował ścianę z róż z imionami pary młodej. Ścianę. Róż. Ile te pary wydają na to gówno? Ale mimo że kręcę z niedowierzaniem głową, mam ochotę zaprojektować własną konstrukcję. Na czym zamontował piankę florystyczną? Czy podobna instalacja to coś, czego można użyć jeden raz, czy może jest bardziej trwała?

Jakiś inny wywrotowy koleś robi bukiety o tematyce *Alicji w Krainie Czarów*; pozuje do zdjęć nago, ubrany jedynie w fartuch ogrodniczy. Ma dwadzieścia milionów obserwujących. Jego bukiet Szalonego Kapelusznika doprowadza mnie do szału, ponieważ widzę wyraźnie, że pomalował użyte do niego piwonie. Już, już mam dołączyć do grona tych internetowych trolli, gotów napisać: „Malowanie piwonii czarnym sprayem, stary? Serio?“, gdy nagle pojawia się nowe polubienie i nowy obserwujący:

@AmazingAma polubiła twoje zdjęcie

@AmazingAma zaczęła cię obserwować

Patrzę na niedokończony komentarz, próbując zdecydować, czy po „stary” dać przecinek czy znak zapytania, kiedy dociera do mnie, do kogo może należeć to konto.

Opuszczam stronę gołego ogrodnika i klikam powiadomienia – w tej samej chwili, w której pojawia się nowe:

@WeddingsbyAma zaczęła cię obserwować

Klikam pierwszy profil i widzę jej ogromne, szeroko otwarte oczy wpatrujące się w obiektyw spod runda kapelusza. Konto jest

prywatne. Zawieszam kciuk nad polem „Obserwuj”, ale w ostatniej chwili zmieniam zdanie.

Prywatne konta. Instagramowa wersja randkowania online: satysfakcja płynąca z odrzucania próśb o możliwość obserwowania.

Na górze ekranu pojawia się nowe powiadomienie: WeddingsbyAma wysłała mi wiadomość.

Siadam na łóżku, czując się dziwnie, jakby to było niestosowne, że czytam to w samej bieliźnie. Gdy jednak zerkam na godzinę, okazuje się, że to nie ja powinienem się czuć niestosownie: kto wysłał prywatne wiadomości o wpół do dwunastej w nocy?

Klikam wiadomość, w której widzę podlinkowany mój post z żyrandolem. Wiadomość brzmi:

To kurewsko piękne!

Przełykam ślinę. Wiem, że to kurewsko piękne. Ale nie tak powinno się mówić! Wciąż myślę o irytującym sposobie, w jaki się wyrażała, i zapachu jej perfum, który wisiał w powietrzu i tłumił woń kwiatów, nawet gdy wyszła.

Zamiast znów ją obrażać, postanawiam zamilczeć. Czy może raczej: zamiast być zmuszonym do napisania „dziękuję”. Wchodzę na jej stronę WeddingsbyAma i przeglądam posty. Korzysta z usług kwiaciarni Relles w Midtown. Są dobrzy. Mój ojciec jadał kolacje z panem Rellesem, a na jego pogrzeb przyszła cała nasza rodzina.

Przychodzi nowa wiadomość:

Czy dałbyś radę zrobić coś takiego nad stół o długości nieco ponad 3,5 metra?

Gapię się w ekran, myśląc o tacach, które mam. Jedna taca ma dziewięćdziesiąt centymetrów. Nie łączyłbym czterech, bo przyćmiłoby to sam stół. Dałbym trzy... a może nawet połączyłbym je ze sobą, aby zapewnić konstrukcji większą stabilność.

Na przyszły weekend?

Na widok kolejnej wiadomości marszczę brwi. Jest czwartek. Dziewięć dni na specjalne zamówienie to nic niezwykłego. Ale nie

przez Instagram, na litość boską! I nie prawie o dwunastej w nocy!

W głowie przygotowuję odpowiedź – mój kuzyn powiedział, że odbiorca widzi, gdy ktoś zaczyna pisać – ale po jakichś dziesięciu minutach odpuszczam. Piszę tylko:

Zadzwoń jutro do kwiaciarni i pogadamy.

Jest dziewiąta rano, a ja wciąż próbuję włączyć komputer, gdy słyszę, że ktoś wchodzi do kwiaciarni. Na głowie ma ten sam czarny kapelusz z rondem, co na zdjęciu profilowym, a na ustach – szeroki uśmiech. Ma też rozpuszczone włosy i rejestruję, że są długie – do połowy pleców. Wygląda jak czarownica.

– Dzień dobry!

Przyłapuję się na tym, że się na nią gapię, gdy podchodzi do lady, i mamroczę odpowiedź na jej powitanie, odwracając się do kasy. Kładzie między nami różowe pudełko. Spoglądam na nie.

– Pączki! Z J Street Donuts.

– Bardzo pomysłowa nazwa.

W jej oku dostrzegam psotny błysk.

– Cóż, Elliocie Bloom z Blooming, nie każdego los pobłogosławił nazwiskiem tak idealnie pasującym do zawodu. – Unosi pokrywkę, a ja rzucam okiem na pół tuzina pączków.

– Nie jadam słodczy.

Ma minę, jakbym właśnie spalił jej rodzinny dom.

– Boże, poważnie? Nie wierzę.

– Trudno. Taka prawda.

– Nigdy? – Pochyliła się w moją stronę nad ladą. – A co z napojami gazowanymi? – Kiedy kręcę głową, mruga, jakby doznała udaru. – Ja jem pączki prawie codziennie!

Spoglądam na nią, szukając oznak tego, że mówi prawdę. Mój wzrok, tak jak podczas naszego ostatniego spotkania, przyciąga krzywizna jej bioder, ale szybko się skupiam.

– Prosiłem, żebyś zadzwoniła.

– Po co marnować czas? – mówi, biorąc z pudełka małego pączka, a potem wsuwa go sobie do ust i sięga po iPada.

Patrzę, jak przeżuwa i oblizuje wargi z cukru pudru, i na myśl przychodzi mi Madison Bailey, powtarzająca w szkole średniej wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, że dziewczyna zawsze powinna

jeść przy chłopaku, bo w ten sposób ściągnie jego uwagę na swoje usta.

Pieprzona Madison. Wtedy jej nie wierzyłem.

– Okej – mówi Ama, przełykając, a ja przenoszę mimowolnie wzrok na jej szyję. Jej palce przesuwają się szybko po ekranie iPada. – Ślub jest w następną sobotę. Stół ma trzy metry i sześćdziesiąt centymetrów długości, a sufit jest na wysokości sześciu metrów. Myślę, że żyrandol powinien mieć długość dwa do dwóch i pół metra. Czy mógłbyś przyjechać na miejsce dziś lub jutro, aby wszystko zmierzyć i potwierdzić? – Podnosi na mnie wzrok. Ekran komputera gaśnie, a ja zapominam zupełnie o tym, co przed chwilą robiłem. Poruszam myszką i udaję, że patrzę w kalendarz.

– Obojętnie, którego dnia, w południe. O tej porze kwaciarnia może się zająć mój kuzyn.

– Super. To może dzisiaj? – proponuje, podając mi lokalizację, po czym pyta: – Czy mogłabym zobaczyć twoje dzieło? Nadal je tu masz?

Idę na zaplecze, odwracając się, aby przytrzymać jej drzwi, a ona bierze czekoladowego pączka z pudełka i rusza za mną.

Samotna żarówka na zapleczu migocze. Zdjęcie wykorzystane na Instagramie zrobiłem z użyciem lampy warsztatowej. Obłaząca zielona farba na ścianie za żyrandolem sprawiła, że całość wyglądała niemal jak celowa inscenizacja.

Ama podchodzi do instalacji, wyciąga rękę, aby dotknąć gipsówki, staje pod nią i przygląda się tacom. Naprawdę jest mikra. Nadrabia braki we wzroście, nosząc buty na wysokich obcasach – teraz doskonale to widzę.

– W odcieniach różu, tak? – pytam, wkładając fartuch.

– Tak, idealnie!

– Czy klient przyjdzie potwierdzić?

– Ja jestem klientką – mówi z roztargnieniem, cofając się, aby obrzucić wzrokiem system montowania do sufitu.

W piersi czuję nagle dziwny ciężar – jakby zatrzepotał w niej, a potem osiadł nieruchomo postrzelony ptak.

– Moje gratulacje – mamroczę, patrząc jak odgryza kęs pączka. Obserwuję jej usta.

– Mm! – Odwraca się do mnie. – Przepraszam! – Przetyka. – To znaczy, nie ja. Tylko moja mama. Ona wychodzi za mąż; ja tylko planuję jej ślub.

Obrzucam wzrokiem bałagan na zapleczu, ignorując tętniącą mi w żyłach adrenalinę i uczucie obezwładniającej ulgi. Odchrząkuję i podejmuję:

– Tace mają po dziewięćdziesiąt centymetrów. Myślę, że zrobię trzy, aby efekt nie był zbyt przytłaczający. Kwiaty będą zwisać na końcach, dodając instalacji objętości.

Kiwa głową i patrzy na mnie z uśmiechem.

– Wow, potrafisz wypowiadać zdania złożone z więcej niż trzech wyrazów! Ekstra!

Przewracam oczami i podchodzę, aby pokazać jej, jak zamierzam połączyć tace. Widzę, że zerka ukradkiem na tatuaż na moim lewym przedramieniu.

– Co to za kwiat?

Zginam łokieć, żeby zaprezentować go w pełnej krasie. To wietnamska orchidea. Jest zagrożona wyginięciem.

Wpatruje się w tatuaż – kwiat o białych płatkach, z czerwono-różowym środkiem.

– Czy to twój ulubiony gatunek?

Opuszczam rękę i obciążam drugi rękaw.

– Nie, nie mam ulubionego.

Zerka na moje prawe ramię, gdy zakrywam je aż do nadgarstka, ale nie draży dłużej tematu.

– Czy masz też jakieś inne duże elementy ozdobne? Coś, co pasowałoby estetycznie do kwiatów na górze?

– Nie masz jeszcze zamówionych dekoracji?

– Mam. Ale wolałabym to.

Wracam do głównego pomieszczenia, kierując się w stronę lady samoobsługowej po pierzaste tawułki i gipsówkę.

– Jakie masz inne kwiaty? – wołam do niej. – Mogę coś dopasować i wypełnić środek.

– Białe dalie. – Z zaskoczeniem spostrzegam, że stoi tuż obok mnie.

Ponownie idzie za mną na zaplecze, a ja biorę z półki płytką misę i zaczynam układać w niej łodyżki. Czuję na sobie jej wzrok,

gdy obserwuje moje dłonie. Środek pozostawiam pusty – planuję go wypełnić kilkoma grubymi białymi świecami.

– Mogę umieścić dalej wewnątrz lub wpleść je dookoła.

– Jak myślisz, co będzie wyglądało lepiej?

Patrzy na mnie wyczekująco, a ja czuję się, jakby to był jakiś test.

Zaczynam umieszczać kwiaty między gałązkami gipsówki. Mam nadzieję, że dalej będą pasowały do reszty kwiatowych dekoracji.

– Lubisz go? – pytam.

Gdy nie odpowiada, podnoszę na nią wzrok znad kwiatów.

– Kogo?

– Nowego męża twojej mamy.

– Och. – Prycha, machając lekceważąco ręką. – To bez znaczenia.

A więc zero punktów.

– W porządku, rozumiem.

– Przepraszam. Chodziło mi tylko o to, że... ona nigdy nie wytrzymuje zbyt długo w związku małżeńskim. Więc to, czy go lubię, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. Spędzę lato z nim i jego dziećmi, może Święto Pracy, a potem prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczę. – Wykrzywia lekko usta.

– Brzmi kiepsko – mamroczę.

– Bywa niełatwo. – Patrzy mi w oczy.

– Czy nadal masz kontakt ze swoim tatą? – Nie odpowiada od razu i czuję, że zaczynam się rumienić. – Przepraszam, nie musisz...

– Nie, nie – w porządku. – Uśmiecha się i dodaje: – Jest w Connecticut. Założył nową rodzinę. Dzięki temu mam więcej rodzeństwa! – Śmieje się, jakby to był dobry żart, ale ja nie łapię, co w tym śmiesznego. – Kiedyś spędzałam z nim co drugie Boże Narodzenie, ale nie widzieliśmy się już kilka ładnych lat. Podarował mi swój samochód na szesnaste urodziny i od jakiegoś czasu w święta po prostu do siebie dzwoniemy.

Podnoszę na nią wzrok. Wpatruje się w dekorację, którą robię, ale na jej twarzy nie widzę smutku ani wstydu. To po prostu fakt. Nie ma sensu przepraszać za fakty.

Szybko zmienia temat, wskazując na kwiaty, podczas gdy ja kończę układać kompozycję.

– Wygląda świetnie. Gdybyś nie był takim dupkiem, zamówiłabym już z dziesięć!

– Och, nie podobał ci się twój bukiet? – pytam niewinnie, uśmiechając się półgębkiem. Wycieram dłonie w ścierkę i prowadzę ją z powrotem do lady.

Idzie za mną.

– Masz na myśli jaskry symbolizujące niedojrzałość, petunie oznaczające urazę i... Co to było, to zielone?

– Trujący bluszcz. – Wyciągam z szuflady kartę zamówienia i zerkam ukradkiem na Amę. Gapi się na mnie z szeroko otwartymi ustami, a kiedy dociera do niej, że żartuję, widzę, że przygryza wnętrze policzka, aby się nie uśmiechnąć.

Bazgrzę jej zamówienie moim koślawym pismem, wyjaśniając:

– Do pilnych zamówień doliczamy dziesięć procent.

Kiwa głową.

– Plus opłata NK.

Mruga, a potem mamrocze potwierdzająco pod nosem, wpatrując się w ekran swojego telefonu i widzę, że próbuje rozgryźć, czym właściwie jest opłata NK.

To jedyna rzecz, jaką robił mój ojciec, potwierdzająca, że mamy ze sobą coś wspólnego: czasami pobierał opłatę NK. Dodawał do rachunku stawkę za Namolnego Klienta. Zawsze tylko dziesięć dolarów, więc przekazywał je bibliotece albo szkole średniej.

Na górze zapisuję nazwę zamówienia: Ama Torres. Kiedy dopisuję datę, mówię:

– Amalgamacja.

Przestaje klepać w telefon – prawdopodobnie w poszukiwaniu informacji o opłacie NK – i gapi się na mnie przez chwilę bez słowa.

– Sądziś, że moja matka dała mi na imię Amalgamacja?

Wzruszam ramionami.

– Na świecie jest tak mało słów zaczynających się na „ama”. Amarant?

– Wygodnie zapominasz o „Amazonce”. Co to jest amarant?

– Nie zapominam, celowo ją pomiąłem. Amarant, inaczej szarłat, to roślina. Zwisające różowe kwiaty, których czasami używam w bukietach.

Mamrocze coś pod nosem, a potem zaciska usta i odwraca wzrok.

– Nie – zaprzecza.

Pochylam się nad ladą, aby spróbować dostrzec w wyrazie jej twarzy coś, co potwierdziłoby, że jestem niewygodnie blisko prawdy.

Mój wzrok pada na frontową witrynę – i kwiat, na którego dotykaniu przyłapałem ją za pierwszym razem, gdy weszła do kwiaciarni. „Czerwoną perłę”, którą sprowadziłem z Ameryki Południowej. Widzę, że otworzył się właśnie drugi karmazynowy pęk.

Obchodzę ladę i wyjmuję z tylnej kieszeni spodni małe nożyczki. Przesuwam opuszkami palców po ciemnych płatkach i patrzę na wyciągający się pożegnalnie w moją stronę pręcik.

– Amarylis – mówię cicho, a mój głos odbija się łagodnym echem od ścian pustego sklepu. Podnoszę na nią wzrok – zaciska usta, policzki ma zarumienione, a na szyi plamy w odcieniu czerwieni dorównującym niemal Czerwonej perle. – Twoja matka jest fanką musicali, czy...?

W jej oku widzę ponownie ten błysk.

– Skąd ktoś taki jak ty zna podrzędną postać z *The Music Man*?

– Ile razy mam ci powtarzać? Mam HBO. – Przesuwam nożyczkami po łodydze starszego pąka i go ucinam. Powoli wracam do lady, wyjmuję z fartucha wiązki różowej gipsówki i mówię: – Amarylis była wredną dziewczynką, która była bardzo nieuprzejma dla małego sepleniącego chłopca. A jako że sam kiedyś sepleniłem... – Widzę, jak otwiera szerzej oczy, jakbym właśnie sprezentował jej pudełko pączków. – Poprzysiągłem mścić się na wszystkich dziewczynach o imieniu Amarylis... pobierając opłatę za dostawę w wysokości dwudziestu dolarów.

Dostrzegam, że z całej siły próbuje powstrzymać cisnący jej się na usta uśmiech. Biorę różową wstążkę, szybko obwiązuję nią amarylis i gipsówkę i kładę obok kopii jej zamówienia.

– Do zobaczenia w południe – mówię, po czym znikam na zapleczu, aby posprzątać.

Kiedy później docieram do klubu, w którym ma się odbyć ślub, widzę, że przypięła bukiet do bluzki. Robię, co w mojej mocy, aby się nie gapić, ale chyba średnio mi to wychodzi.

Ama

MARZEC

Trudno mi skupić się na innych przyjęciach, kiedy mam do zaplanowania ślub Hazel i Jackie. W sobotni poranek, podczas ceremonii Gutiérrez-Montoya szkicowałam projekty sali weselnej, a w tym czasie drużyna uczyła kelnerów choreografii do kawałka *Be Our Guest*, który para młoda zażyczyła sobie jako utworu wykonywanego w trakcie serwowania przystawek. Pośród grupy tych ostatnich jest dwójka mojego byłego przybranego rodzeństwa, ubrana w stroje kelnerów i ucząca się tańca za pięćdziesiąt dolców.

Moi ulubieni mężowie mojej matki to ci z dziećmi, które potrzebują doświadczenia zawodowego.

Ale nic, co szkicuję, nie wydaje się właściwe. Nie jest w stylu Elliota. Co zaskakujące, tym, co najbardziej mnie wkurza w konieczności ponownej współpracy z Elliotem Bloomem, są kreatywne możliwości, które zawsze wzbudzała we mnie jego obecność. Wystarczyło, że wysłał mi zdjęcie na wpół ukończonego dzieła, i już zmieniałam kompletnie całą koncepcję ślubu. Ponieważ musiałam zawrzeć w niej to, co stworzył. Ma jakiś dar wyczarowywania fantastycznych rzeczy dosłownie z niczego – i jest

to dziwnie uzależniające. Możesz powiedzieć: „Chcę ośmiometrową wieżę Eiffla z kwiatów”, a on wyśle ci projekt i wycenę następnego dnia.

Jest poniedziałek, a ja robię już szósty szkic sali weselnej, która nie istnieje, oparty wyłącznie na jego kwiatowym parkiecie. Mam trzy projekty wnętrz i trzy projekty plenerowe. Aktywnie ignoruję inne wesela, które odbędą się w ciągu najbliższych siedmiu miesięcy, ponieważ nie mogę przestać myśleć o mojej wielkiej szansie.

Wstaję od biurka w sypialni, którą przekształciłam w biuro, przeciągam się i idę nakarmić kota. Lady Cat-ryn de Purrgh macha ostentacyjnie ogonem i olewa swoje jedzenie. Chce resztek sushi, które wyczuła w moim pudełku lunchowym z przedwczoraj. Mar zabrała mnie w piątek na kolację, aby porozmawiać o spotkaniu z Elliotem. Skłamałam i powiedziałam, że poszło lepiej, niż się spodziewałam. Zapytała, dlaczego kłamię, a ja w odpowiedzi zamówiłam jeszcze jedną kolejkę.

Pomimo ogromnej obniżki pensji zamierzam błagać Mar, aby zgodziła się pracować jako moja asystentka na ślubie Jackie i Hazel, bo chociaż Mar jest świetną fotografką, podczas tego ślubu będę potrzebowała całego zespołu, z którym już wcześniej współpracowałam. Mar działa głównie sama. Swojego ostatniego chłopaka poznała poprzez fotografię i zatrudniała go jako asystenta przy zakontraktowanych wydarzeniach. Odkąd rozstali się ubiegłej jesieni, zajmuje się wszystkim; systematycznie zaprasza na rozmowy o pracę początkujących fotografów z programu fotograficznego w lokalnym college'u, ale żaden z nich nie jest gotów na to, aby obsługiwać ślub na taką skalę.

Wzdycham i spoglądam na zegarek. Mam jeszcze trzy godziny, jeśli chcę poczynić jakiekolwiek postępy w sprawie dostawców. Moja absolutnie ulubiona wypożyczalnia, z którą pracowałam za czasów Whitney, to numer jeden na mojej liście dla innej pary, której organizuję przyjęcie. Zwykle nie współpracuję z Everlast Event Rentals, ponieważ ich ceny nie pasują do budżetów moich klientów, ale Ashley i Davin chcą zaszaleć. Chcę wynająć tę firmę także dla Jackie i Hazel.

Dzwonię do nich, modląc się w duchu, żeby Vickie nadal tam pracowała. Kiedy w końcu udaje mi się ją złapać, rozmawiamy o jej

dzieciach, jej mamie, mojej mamie. Tak naprawdę nie kontaktowałam się z nią, odkąd odeszłam od Whitney i miło jest znowu ją usłyszeć.

– No to... Wiesz, mam dwa przyjęcia weselne, na które chciałabym zabukować Everlasta – przechodzę wreszcie do rzeczy.

– Zamieniam się w słuch. – Słyszę, jak jej długie paznokcie stukają w klawiaturę. – Najbliższe pół roku mamy naprawdę mocno zajęte, więc mam nadzieję, że damy radę.

– Ja też mam taką nadzieję. Dawsonów umówiłam na drugiego grudnia. Zależy im na standardowym pakiecie i zestawie z głównym stołem na przedzie.

– W porządku. Jakoś to ogarniemy. Akurat tego dnia nie wygląda to źle.

– Ekstra! Wpisz mnie – przyprowadzę ich w tym tygodniu. A druga sprawa, to... Mam naprawdę spore przyjęcie w październiku. Nadmienię, prawdopodobnie będzie relacjonowane przez media...

– Jasna sprawa, już notuję – mówi Vickie. – Żadnych wyszczerbionych talerzy.

Śmieję się z jej żartu.

– To dokładniej siódmy października. Będziemy potrzebowały całego pakietu, ale nie znam jeszcze szczegółów. Mogę z nimi wpaść również w tygodniu.

– Hm. – Vickie milczy przez chwilę. – Siódmego października mamy mocno napięty grafik. Ama... Będę z tobą szczerza: nie wiem, czy damy radę.

Serce zamiera mi na chwilę w piersi.

– Serio? Co mnie ominęło? Dlaczego ten dzień jest taki popularny?

– Wygląda na to, że mamy już siedem albo osiem imprez tego dnia. To będzie totalna masakra.

Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach. Co będzie, jeśli to dotyczy wszystkich usługodawców? Co, jeśli się okaże, że z rezerwacji wyjdą nici, bo tego dnia ma urodziny na przykład Timothée Chalamet i wszyscy chalamaniacy chcą wziąć ślub tego dnia?

– Ja... Wow. Cóż, w takim razie będę musiała sprawdzić, jak z innymi dostawcami usług. Ale... Vickie? Wiesz, nie żartowałam

z tym, że to naprawdę ważne wydarzenie. Czy jest jakaś szansa na przesunięcie terminu? Albo...

Vickie wzdycha.

– Cóż, porozmawiałabym o tym z właścicielem, ale cztery z tych wesel organizuje Whitney. A ty wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że nie mogę odwołać Whitney.

Gapię się w ścianę i mrugam zawzięcie z rozdziawionymi ustami.

– Whitney ma tego dnia... cztery wesela? Siódmego października?

– Tak. Czy chciałabyś zaklepać jeszcze jakiś termin? No, wiesz – na wszelki wypadek?

Potrząsam głową, mimo iż wiem, że nie może tego zobaczyć.

– Nie, bardzo ci dziękuję, Vickie. Wpisz mnie do kalendarza na drugiego grudnia, oddzwonię do ciebie niebawem w sprawie spotkania.

Rozłączam się, szperając już w torbie w poszukiwaniu iPada. Włączam aplikację z notatkami i szukam listy, którą zrobiłam w biurze Whitney. Podała mi spis dostawców, z których usług nie będzie korzystała siódmego października...

Everlast jest na samym jej szczycie.

Minęły cztery dni, odkąd ją odwiedziłam. Niewykluczone, że w międzyczasie jej kalendarz się zapełnił. Ale to również... cóż, podejrzane.

Potrząsam głową, odsuwając od siebie tę myśl. To nie miałoby żadnego sensu. Nie w kontekście tego, jak potraktowała mnie w czwartek. Cieszyła się, że mnie widzi, że może mi pomóc. Teraz martwię się, że podałam jej złą datę – że wszyscy sprzedawcy z tej listy są wolni w inne dni niż ten, o który mi chodzi.

W popłochu sprawdzam numer do Freeport Bakery. Jak dotąd nie konsultowałam się z Jackie i Hazel w sprawie tortu, ale w tej sytuacji muszę to szybko ogarnąć.

Dzwonię do sześciu cukierni. Wszystkie mają weselne zamówienia na siódmego października! Dwie z nich w ogóle nie wiedzą, kim jestem, ponieważ nigdy nie pracowałam z nimi za czasów Whitney, a inne nie zdradziłyby mi, czy to Whitney Harrison Weddings je zarezerwowała, nawet gdybym zapytała.

Cóż, to jeszcze nie koniec świata. A przynajmniej tak sobie wmawiam. Nadal mogliby zorganizować kolejne wesele siódmego października... Aczkolwiek problemem może być sama skala tego wydarzenia.

Wysłałam SMS-a do Jackie, aby się dowiedzieć, czy mają już jakąś wizję tortu i innych ciast. Odpowiada mi dopiero po tym, jak cztery z sześciu cukierni na moim celowniku odpadają, ale to nie ma znaczenia. Pisze mi: „Nie mam jeszcze zielonego pojęcia! Masz może jakiś pomysł?”.

„Cóż – myślę. – Niewykluczone, że zatrudniając mnie, popełniłyście ogromny błąd i być może będziemy musiały zamówić ciasta z San Francisco, a ja nie mam tam żadnych kontaktów...”

O zachodzie słońca Lady Cat-ryn wskakuje mi na ramię i wbija się pazurami w moją skórę – idealne przypomnienie, że nie mogę tu siedzieć cały dzień, zastanawiając się, co robić. Rozpakowuję sushi, kładę je na talerzu i stawiam na podłodze, a potem narzucam kurtkę i idę na spacer.

Wkładam ręce do kieszeni, wpatrując się w korony drzew i rozmyślając. Może powinnam zadzwonić do Whitney i poprosić ją o pomoc? Zapytać, czy nie zgodziłaby się porozmawiać z tymi cukierniami w moim imieniu? A może wypytałabym ją o jakieś lokale z San Francisco, z którymi pracowała? Gdybym jednak postąpiła w ten sposób, potwierdziłoby to tylko, że nie jestem w stanie udźwignąć ciężaru zorganizowania takiej imprezy. Że nie jestem... profesjonalistką.

Powinnam dać radę ogarnąć to na własną rękę, ale mam wrażenie, że spróbowałam złapać zbyt wiele srok za ogony.

Obchodzę kwartał i mijam księgarnię na skraju parku. Następnie kieruję się do Ogrodu Różanego. Zaczyna się już ściemniać, ale stoję na chodniku, wpatrując się w miejsce, w którym zwykle ustawiany jest łuk podczas ślubów. Mija mnie kilkoro z tych szalonych ludzi, którzy są w stanie przebiec kilka kilometrów po długim dniu spędzonym w pracy. Jedna z nich niemal na mnie wpada, gdy wchodzę do ogrodu i siadam na trawie, wyobrażając sobie, jak Hazel i Jackie pobierają się tutaj... za niecałe siedem miesięcy.

Ogród Różany nie jest jakimś wybitnie niesamowitym miejscem. Jest piękny, jeśli kocha się róże. A któż ich nie kocha? Wszyscy, z wyjątkiem mrukliwych florystów, którzy mają wytatuowane na całym ciele okazy zagrożone wyginieciem, ale mniejsza o to.

Ogród Różany... Cóż, tak naprawdę nie wydaje mi się w stylu Jackie i Hazel. Gdy myślę o Jackie i Hazel, oczyma duszy widzę winiarnie. Rustykalne stodoły. Stare fabryki z bukietami kwiatów w blaszanych wiadrach.

Czuję się źle z myślą, że nie znalazłam jeszcze miejsca na przyjęcie, ponieważ mam wrażenie, że chciałabym, aby zrekompensowało to, czego brakuje Ogrodowi Różanemu. Ale może po prostu nie wiem, co tak naprawdę ujęło w nim Jackie? Dlaczego właśnie Ogród Różany?

Kiedyś zadawałam podobne pytania Whitney, a ona odpowiadała mi, że bym nie dawała się ponieść emocjom. Ale Whitney nie rozumie, że aby zaprojektować czyjś ślub, trzeba wiedzieć dlaczego. Znać przyczynę. Trzeba wiedzieć, jak młodzi się poznali. Trzeba znać historię oświadczyn, sprawdzić, jak blisko panna młoda jest z matką, dlaczego została weganką i dlaczego nie je pączków.

Trzeba wiedzieć takie rzeczy, bo inaczej równie dobrze można planować wesele kogokolwiek. Ale Whitney nie lubiła, gdy przekraczałam tę granicę. Tylko że to nie Whitney sypała pomysłami jak z rękawa, gdy przychodziło co do czego.

Słyszę w głowie głos Elliota. Coś, co powiedział mi dwa i pół roku temu, ale odsunęłam to od siebie i starałam się o tym zapomnieć.

Może Whitney wpisała mnie na czarną listę swoich dostawców na siódmego października? Nie wiem dlaczego, ale... Może tak właśnie zrobiła? I być może oznacza to, że nie muszę już być jej profesjonalistką.

Wyciągam telefon i dzwonię do Jackie.

– Cześć, Ama!

Jej entuzjazm jest uroczy. Ona naprawdę myśli, że mogę im ten ślub zorganizować ot tak. I może, kurwa, mogę.

– Jestem właśnie w Ogrodzie Różanym. Masz chwilę?

Jackie przyjdzie za kwadrans. Wokół parku zapalają się latarnie uliczne, a okoliczni mieszkańcy wyprowadzają psy na wieczorne

spacery. Kiedy Jackie się zbliża, niemal podskakuje z podekscytowania, jakbym lada chwila miała rzucić zaklęcie i spełnić wszystkie jej życzenia.

Siada obok mnie na trawie.

– Dlaczego Ogród Różany? – pytam bez zbędnych wstępów.

– Och. – Wzdycha i zastanawia się przez chwilę nad odpowiedzią. – Kiedyś mieliśmy tam treningi piłki nożnej. – Wskazuje na park. Czasami w weekendy odbywały się tam śluby. Chyba po prostu od zawsze marzyłam, żeby i mój tu się odbył.

Kiwam głową i skręcam w palcach naszyjnik.

– A więc w pewnym sensie nostalgia. Młodość i marzenia.

– Taak... Rany. – Otwiera szerzej oczy. – Sądysz, że to źle? Czy to nie jest wystarczająco dobry powód?

– Daj spokój! – Śmieję się i daję jej kuksańca. – Oczywiście, że to wystarczająco dobry powód! To jest to, o czym zawsze marzyłaś. Próbuję tylko wyobrazić sobie Jackie i Hazel w Ogrodzie Różanym, tak jak robiła to dwunastoletnia Jackie.

Wstaję i pomagam jej podnieść się z trawy. Idziemy ścieżką, którą pośród różanych krzewów wędrowały dziesiątki pań młodych. Wyobrażamy sobie gości weselnych po obu stronach głównego wejścia. Wciąż tego nie widzę i Jackie chyba wyczuwa moje wahanie.

– O co chodzi? – pyta, krzywiąc się lekko.

– Myślę, że ty i Hazel jesteście wyjątkowe. Nie tylko bardzo znane, ale też ujmujące i zabawne. Chciałabym więc zaaranżować w Ogrodzie Różanym coś, co będzie do was pasowało... Ale to trudne. Nie mówiąc już o tym – zataczam ręką, wskazując ogród – że nie ma mowy, aby zmieściło się tu dwieście osób.

To coś, o czym myślałam od jakiegoś czasu. Chociaż w Ogrodzie Różanym można zrobić rezerwację na dwieście osób, zaledwie połowa gości miałaby dobry widok na ceremonię. Odwracam się, żeby obrzucić spojrzeniem cały park i przylegającą do niego ruchliwą ulicę.

To właśnie drugi problem. W Ogrodzie Różanym zawsze słychać klaksony samochodów, a to zdecydowanie nie jest coś, co ktoś chciałby słyszeć na swoim filmie ze ślubu.

I wtedy do mnie dociera. Nigdy nie dysponowałam wystarczającym budżetem, żeby myśleć o zorganizowaniu czegoś w tym miejscu. Nie miałam takiego zaplecza finansowego od ponad trzech lat. A kiedy ma się pieniądze, można myśleć nieszablonowo.

– A co, gdybyście złożyły przysięgę tam? – Wskazuję na przeciwległą stronę ogrodu, gdzie zwykle siedzą goście.

– Okeeej... – mówi powoli Jackie i staje obok mnie. – Gdzie w takim układzie posadziłybyśmy gości?

– Co, gdybyśmy... – Robię głęboki wdech. – Wiem, że to trochę szalone, ale gdybyśmy wynajęły całą tę część parku? Zablockowałybyśmy ulicę. I postawiły ochronę na obwodzie. – Gdy na nią patrzę, widzę, że unosi wysoko brwi. – Chcecie zrobić prawdziwy show. Zablockujmy miasto!

Dokładnie widzę moment, w którym dociera do niej, że nie żartuję. Patrzę, jak mruga szybko w świetle gasnącego słońca i mówi:

– To... To by było naprawdę coś. Nie musiałybyśmy się martwić o miejsca siedzące!

Moja głowa wypełnia się pomysłami napływającymi w błyskawicznym tempie. Odwracam się w stronę jednego z domów stojących przy ulicy.

– Widzisz tamten budynek? Można go wynająć. Mogłybyśmy zarezerwować go na weekend i przenocować tam gości. Potem, kiedy przyjdzie pora na złożenie przysięgi, Hazel będzie szła na miejsce tamtędy – wskazuję ścieżkę wokół krawędzi ogrodu – a ty wyjdiesz prosto z budynku, przejdiesz przez zablokowaną ulicę i pójdziesz prosto do niej. Będziecie szły alejką z przeciwnych stron i spotkacie się w pół drogi.

Podąża wzrokiem za moją ręką wskazującą kolejno lokalizacje i podnosi dłoń do ust.

– Naprawdę mogłabyś to zrobić? Mogłabyś... zablokować ulicę?

– Robiłam to już wcześniej. To trochę kosztowne, ale mamy na to budżet. To znaczy, jeśli wybaczysz mi obcesowość...

– Bądź tak obcesowa, jak tylko zechcesz! – prycha. – A co z przyjęciem?

– Nadal uważam, że powinnyśmy je zorganizować gdzie indziej. Myślę, że mogłybyśmy podstawić transport dla gości na tę boczną

uliczkę. Mogłybyśmy... – urywam, tknięta nagłą myślą, że zbyt agresywnie bombarduję Jackie pomysłami, ale ona chciwie słucha każdego mojego słowa. – Mogłybyśmy zrobić coś, co pasowałoby do ceremonii. Szalone przyjęcie w nietuzinkowej scenerii. W Midtown jest wiele opuszczonych budynków... I zanim zaczniesz kręcić nosem... – zastrzegam, ale ona przebiera już nogami, wyraźnie podekscytowana.

– Jest jeden obok Weatherstone, kawiarni, w której się spotkałyśmy. Kiedyś było tam studio tańca, w którym ćwiczyłam balet.

Podnoszę palec.

– W porządku, wrócimy jeszcze do tego, że ćwiczyłaś balet i trenowałaś piłkę nożną, ale zatrzymajmy się na chwilę przy tym opuszczonym studiu tańca obok Weatherstone. Zadzwonię jutro do urzędu, żeby się upewnić, że budynek nie jest przeznaczony do rozbiórki – ani nic w tym stylu. Mówisz o tym po lewej, prawda?

– Tak! Miałyśmy tam próby do *Dziadka do orzechów*, więc mógłby się fajnie sprawdzić. Wysokie sufity i tak dalej. Kiedyś zakradaliśmy się na dach. Myślę, że ma co najmniej dwa piętra.

Zapisuję to w pamięci. Przyjęcie ślubne na dachu w Midtown? To marzenie każdego organizatora ślubów!

Oglądam się na ulicę, starając się stłumić cisnący mi się na usta uśmiech.

– Wiesz, teoretycznie można by pokonać ten dystans pieszo, ale skoro ulica będzie zamknięta, mogłybyśmy wymyślić coś naprawdę fajnego, jeśli chodzi o transport na miejsce...

– Chcesz powiedzieć, że będziemy jechać zaprzężonym w konie powozem? – Jackie piszczy, a ja chwytam ją za ramiona i lekko nią potrząsam.

– Wyjęłaś mi to z ust! Jak mogłaś mnie tak bezczelnie ubiec?!

Śmieje się i zarzuca mi ręce na szyję. Gdy myślę o tych wszystkich pozwoleniach, które powinnam załatwić, zaczyna mi się kręcić w głowie, ale temu wszystkiemu towarzyszy świadomość, że mogę zrobić właściwie wszystko, cokolwiek sobie dla nich wymarzę. A pomoże mi w tym Elliot Bloom.

W końcu zaczynam wierzyć, że to się może udać... i nie mogę się doczekać, aż zacznę wdrażać swój plan w życie.

Elliot

TRZY LATA, PIĘĆ MIESIĘCY, TYDZIEŃ I DZIEŃ TEMU

Jestem uzależniony od telefonu. Pewnego dnia będziemy mieć specjalne grupy wsparcia dla ludzi takich jak ja – o zgarbionych plecach, z palcami nerwowo drgającymi w potrzebie przesuwania nimi po ekranie, o oczach zmrużonych od wgapienia się w wyświetlane na nim treści.

Dziesięć minut temu opublikowałem zdjęcie niepełnego łuku kwiatowego, a już sprawdzam na Twitterze, czy Instagram się nie zepsuł. Po pięciu minutach w końcu dostaję kilka polubień. Ale ponieważ moja samoocena jest teraz nierozzerwalnie związana z tym zdjęciem, myślę o usunięciu go... A potem samego siebie.

Dzwoni sklepowy telefon, a ja w duchu dziękuję Bogu, że mogę się skupić na czymś innym.

– Halo? – mamroczę.

– Serio, Elliot? Usuń to.

Rozpoznaję głos.

– Emma Torres.

– Wiesz, że nie mam na imię Emma, tylko... Ach, mniejsza o to. To najbardziej ohydna rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam! W rogu

zdjęcia jest worek ziemi!

Wyciągam telefon z kieszeni i otwieram Instagram. Szlag. Widocznie jestem nieodrodnym synem mojego ojca.

– Masz rację, chyba nie wygląda to dobrze.

Niechętnie klikam kciukiem „usuń”.

– Sam łuk jest fantastyczny! Czy to hortensje?

Patrzę, jak zdjęcie znika wraz z czterema marnymi polubieniami, i czuję w piersi dziwny ucisk wywołany jej komplementem.

– Taak... Hortensje i białe róże. To standard. Nic nowego.

– Nie w twoim wykonaniu. – Parska, a ja czuję się, jakbym coś przeoczył. – Co robisz dziś po południu?

Ucisk w mojej klatce piersiowej znika, zastąpiony dziwnym mrowieniem. Otwieram usta, żeby powiedzieć jej... Cóż, nie chcę nic mówić, jednak w ostatniej chwili zmieniam zdanie.

– Kwaciarnia. – Odchrząkuję. – Jesteśmy otwarci do siedemnastej, ale później... – Niezręcznie zawieszam głos, a ona mówi już:

– Super. Przyjdę około drugiej. Tylko nie rób nic z tym łukiem!

Rozłącza się. Żołądek wypełnia mi pałący wstyd, że w ogóle zasugerowałem spotkanie po godzinach pracy. Prawdopodobnie przyprowadzi parę osób, żeby obejrzały moje dzieło. Idę na zaplecze i zaczynam przenosić rzeczy, usuwając worki ziemi i chowając je do szafek. Niestety, pocę się przy tym jak mysz, więc w południe zamykam kwaciarnię na dziesięć minut, biegnę na otwartą dwadzieścia cztery godziny na dobę siłownię, do której chodzę, i biorę najkrótszy prysznic w moim życiu, a potem wygrzebuję zapasową koszulę, którą trzymam w samochodzie. Jest pognieciona, ale przynajmniej nie cuchnę jak ktoś, kto właśnie spędził cztery godziny na budowaniu niepełnego kwiatowego łuku tylko po to, aby w ciągu niecałej godziny ośmieszyć się na Instagramie – i przed Amą Torres.

Gdy punkt czternasta drzwi się otwierają, udaję, że wcale nie siedziałem przez ostatnie dwie godziny jak na szpilkach. Odwracam się, żeby powitać Amę swoim zwykłym grymasem, ale zamiast niej w drzwiach stoi najpiękniejsza dziewczyna, jaką widziałem w życiu. Jest wysoka, długonoga, ma ciemne włosy i duże oczy. To kobieta z rodzaju tych, dla których faceci z miejsca tracą głowę, ale ja już

dawno przestałem się za takimi ślicznotkami oglądać. Znam swoje miejsce.

Ama przeciska się obok niej i wchodzi do kwiaciarni; nawet w butach na wysokich obcasach wydaje się komicznie wręcz niska w porównaniu z tą nieznajomą ślicznotką. Odnajduje mnie wzrokiem – stoję przy liliach – i chociaż marszczy brwi na widok różowego pudełka w jej dłoni, uśmiecha się do mnie, a jej policzki uroczo się przy tym zaokrąglają. Przeczesuje rozpuszczone włosy dłonią i mierzwi je lekko, aż opadają na ramiona luźnymi pasmami.

Mimowolnie zaciskam pięści.

– Cześć! – świergocze tymczasem Ama. – To jest Mar! Mar, poznaj Elliota Blooma, właściciela Blooming.

Mar podchodzi do mnie z uśmiechem i podaje mi rękę. Gdy już, już mam zapytać, czy tym razem to ona wychodzi za mąż, Ama mówi:

– Myślę, że powinnaś też zrobić zdjęcie przedniej lady. – Wykonuje dłonią zamaszysty gest, jakby nakładała farbę na płótno, malując pejzaż.

Mar kiwa głową i sięga do torby zawieszanej na ramieniu.

– Koniecznie! Możemy zrobić kilka takich ujęć. – Wyciąga aparat.

Patrzę na nie, zdezorientowany, podczas gdy Ama podchodzi do lady, kładzie na niej pudełko z pączkami, wyjmuje z niego czekoladowego donuta, po czym znika na zapleczu. Słyszę, jak mamrocze z pełnymi ustami:

– O mój Boże, wow! – A tymczasem Mar zaczyna montować obiektyw i wchodzi ostrożnie między rzędy bukietów.

Otwieram i zamykam usta, niezdolny wykrztusić słowa, a potem idę za Amą na zapleczu, ze zgrozą przyglądając się, jak kruszy pączkiem na podłogę.

– Nie jedz tutaj. Sprowadzisz mi do sklepu robactwo.

– Rany, jest naprawdę piękny! – mówi, biorąc kolejny kęs i ignorując moją uwagę. – Mar będzie musiała przynieść sprzęt z samochodu, ale wyjdzie super, jestem tego pewna. Może przestawimy go na parking? Jest tam jakieś ogrodzenie? Zupełnie nie pamiętam... – Zaczyna iść w stronę bocznych drzwi.

– O co właściwie chodzi? Kim jest Mar?

Odwraca się do mnie, uśmiechnięta od ucha do ucha.

– To moja siostra! Cóż, była siostra. Przybrana. Jest fotografką. – Wychodzi bocznymi drzwiami, jakby rozwiła właśnie wszystkie moje wątpliwości. Gdy mamrocze pod nosem coś na temat parkingu, drzwi zamykają się za nią, a kiedy próbuje ponownie je otworzyć, niemal nie reaguję. Puka cicho, wystukując rytm popularnej melodyjki, a ja przewracam oczami.

Otwieram, ale zamiast mi podziękować, przepycha się obok mnie, wołając Mar, żeby przysłała na zaplecze.

Stoję w kącie, podczas gdy one dwoją się i troją, jakby były u siebie. Przesuwają doniczki, przekładają papiery z głównej lady i przynosząc z auta reflektory i blendy. Czuję się bezużyteczny, dopóki nie nadchodzi pora na przesunięcie łuku. Ama próbuje chwycić go z jednej strony, ale kręcę głową i podnoszę go sam. Otwiera mi drzwi i po raz pierwszy cieszę się, że wziąłem prysznic, gdy mijam ją, niemal się o nią ocierając. Pachnie lukrem i cukrem pudrem.

Mar podchodzi, żeby pokazać mi kilka ujęć łuku i muszę przyznać jej rację: wyglądają zdecydowanie lepiej od moich. Profesjonalnie. Patrzy mi w oczy, szukając aprobaty, a potem przesuwa wzrok na moje usta i kołnierzyk. Stoi blisko – stanowczo za blisko – i cofam się nieco.

– Hej! – Ama zatrzymuje się przed nami. – Elliot? Stań za ladą, przed znakiem Blooming, OK?

Marszczę brwi.

– Po co?

– Mógłbyś wrzucić to zdjęcie na swoją stronę internetową. Albo na Instagram – mówi, odwracając się na pięcie i idąc z powrotem do kwaciarni, a potem mamrocze pod nosem: – Boże, zyskałbyś całe mnóstwo nowych obserwujących!

Wbijam wzrok w ziemię i przytrzymuję Mar drzwi, próbując jednocześnie zrozumieć, co Ama ma na myśli.

– Nie zamierzam publikować na Instagramie swoich zdjęć z kwiatami – rzucam, ale Ama jest już przy ladzie. Po drodze złapała orchideę i kładzie ją właśnie obok kasy.

– Och, daj spokój, możesz mieć ręce skrzyżowane na piersi i tę swoją ponurą minę – parska, a ja natychmiast opuszczam ramiona

wzdłuż ciała. – Elliot, zdziwiłbyś się, jak wiele osób chciałoby zobaczyć człowieka stojącego za tymi oszłamiającymi aranżacjami. A ty wyglądasz dziś naprawdę dobrze!

Ostatnią część wypowiada pozornie od niechcienia i tak szybko, że ledwie udaje mi się zarejestrować znaczenie jej słów, nim zaczyna mnie ciągnąć pod stary drewniany szyld, który namalował mój tata. Czuję się koszmarnie niezręcznie, nie wiem, co zrobić z rękami, i nagle mam wrażenie, jakbym wrócił ponownie do szkoły, ustawiany do każdego zdjęcia z tyłu grupy i proszony, abym uśmiechał się odrobinę mniej „dziwnie”.

Ama staję po drugiej stronie kontuaru i kiwa głową.

– Oprzyj się o ladę – prosi, przyciskając dłonie do blatu i wspierając się o niego, żeby pokazać, co mam zrobić. Wygląda śmiesznie, jak wściekła mysz. Ale kiedy spełniam jej polecenie, sięga do mojej twarzy i odgarnia moje włosy. Wpatruje się w skupieniu w moją fryzurę, próbując coś z nią zrobić, a ja czuję się dziwnie, gdy dociera do mnie, jak blisko siebie stoimy. Dopiero po drugim kliknięciu zdaję sobie sprawę z tego, że Mar już robi zdjęcia. Odrywam wzrok od maksymalnie skoncentrowanej Amy i widzę na ustach Mar krzywy uśmiezek, który zupełnie mi się nie podoba.

– Podwiń rękawy.

Ponownie spoglądam na Amę, a ona znowu pokazuje mi, co mam zrobić, całkiem jakbym nie rozumiał po angielsku.

– Dlaczego?

– Żeby odsłonić tatuaże.

Waham się.

– Zakrywam je, aby nie zrażać do siebie co bardziej konserwatywnych klientów.

Ama prycha.

– Wierz mi, celujemy w zupełnie nową grupę demograficzną. – W jej głosie słyszę jakieś chytre nuty, jakby miała z Mar sekret, którego nie zamierza mi zdradzić. Jej przyjaciółka, przybrana siostra, czy kim tam jest, chichocze pod nosem, wpatrzona w obiektyw.

Podciągam rękawy, a wzrok Amy pada na kwiat na moim prawym przedramieniu.

– Co to? – pyta.

Zaczynam się już irytować, więc mówię tylko:

– Wyszukaj sobie w internecie.

Jej policzki ponownie zaokrąglają się uroczo, gdy błyska zębami w promiennym uśmiechu, a potem przygryza dolną wargę i słyszę kolejne kliknięcia.

Spoglądam na Mar, która opiera się o ladę. Ama dołącza do niej, a ja mówię tymczasem:

– Nie zamierzam się uśmiechać.

– Nie śmiałabym nawet cię o to prosić – mówi Mar z fałszywie słodkim uśmiechem.

Mar robi kilka zdjęć. Rozmawiają o oświetleniu i Ama idzie pomajstrować przy żaluzjach w witrynie. Nie mogę się doczekać, aż zadzwoni telefon albo przyjdzie klient. Mar pokazuje Amie jedno z ujęć i obie chichoczą i poszeptują między sobą.

Kurwa. Serio, czuję się, jakbym wrócił do szkoły średniej.

– Czy już skończyliśmy?

Spoglądają na mnie, być może zszokowane moim ostrym tonem. Mar odzyskuje rezon jako pierwsza.

– Tak. Wyślę ci je mailem, a potem skoczę na drugą stronę do drogerii.

– Och, jasne. Chcesz, żebym z tobą poszła? – Ama bierze z lady moją wizytówkę i podaje Mar, żeby ta zapisała sobie mój adres e-mail.

– Nie, nie – mówi prędko Mar, a kącik jej ust drga w półuśmiechu. – Może pomożesz Elliotowi wybrać, które z nich powinien dziś opublikować?

Obciążam rękawy i pomagam Mar spakować sprzęt oświetleniowy, milcząc, podczas gdy one rozmawiają. Kiedy wracamy z Mar z parkingu po załadowaniu wszystkiego do jej wozu, Ama siedzi na ladzie z nogą na nodze i przegląda zdjęcia w telefonie. Dostrzegam, że rąbek sukienki podjechał jej aż do połowy uda.

– Złaż z mojej lady – mówię szorstko, a ona zeskakuje z niej posłusznie, lądując miękko na ziemi, nadal nie odrywając przy tym jednak wzroku od telefonu.

– Wysłałam je do was obojga – mówi Mar. – Ama? Będę za dziesięć minut, góra kwadrans.

– Ile jestem ci winien? – pytam Mar.

Przechyla głowę na ramię i mruga do mnie.

– Och, nic! To była świetna zabawa. Chciałabym tylko, żeby Ama oznaczyła mnie w postach jako autorkę zdjęć.

A potem znika.

Zostaję z Amą sam na sam.

– W porządku, mamy dość ujęć, żeby starczyło do postów na dwa tygodnie.

Odwracam się do niej. Opiera się plecami o blat, z nogami skrzyżowanymi w kostkach.

– Nie wiem, czy dam radę konsekwentnie zamieszczać po jednym poście dziennie.

Macha wolną ręką, nie przerywając przewijania zdjęć.

– Rozruszaj po prostu galerię, zdobądź kilku nowych obserwujących. Reszta przyjdzie sama. Proponuję, żebyś najpierw zamieścił ten niepełny łuk, tak abym mogła go podesłać kilku klientom.

Kiwam głową, nadal stojąc pod drzwiami. Mam wrażenie, jakbym to ja był klientem, a ona właścicielką. Z braku lepszego zajęcia idę na zaplecze, aby się upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu.

Gdy ustawiam z powrotem rzeczy, które poprzestawiały, słyszę, jak woła:

– OK, sprawdź maila!

Wzdycham, wyciągam telefon i otwieram wiadomość od Mariany Jaswal.

– Pobierz cały album, a ja pomogę ci go opublikować.

– Wiem, jak publikować na Instagramie – odburkuję, a ona parska kpiąco, ale i w jakiś sposób uroczo. Czuję się koszmarnie z myślą o tym, że podoba mi się brzmienie jej śmiechu.

– Hm, chyba jednak nie do końca.

Pobieram zdjęcia, otwieram Instagram, wręczam jej telefon i niemal natychmiast stwierdzam, że popełniłem błąd. Pokazuje mi, jakie stosować filtry, jakich hashtagów używać i jak prawidłowo oznaczyć Mar, ale nic z tego nie ma znaczenia, ponieważ płynnie przechodzi do planowania mi w ten sam sposób dziesięciu kolejnych postów. Widzę przez jej ramię moje zdjęcie przy ladzie.

– Nie chcę go publikować.

Spogląda na mnie – po raz pierwszy od prawie dziesięciu minut.

– Dlaczego?

Jestem wystarczająco blisko, aby dostrzec granicę między jej ciemnobrązowymi tęczęwkami a czarnymi źrenicami.

– To niedorzeczne – mówię, sięgając po swój telefon, ale odsuwa go poza mój zasięg.

– Sam jesteś niedorzeczny. No to w końcu... Co to za kwiat? – Wskazuje na zdjęcie, na którym widać moje odsłonięte przedramię.

– To franklinia. Drzewo nazwane na cześć Benjamina Franklina. – Mimowolnie sięgam do rękawa, żeby zakryć rękę, bo zapomniałem, że już ją wcześniej zasłoniłem.

– Jesteś fanboym Bena Franklina? Czy może...?

Podrywam na nią wzrok.

– Co to, kurwa, jest fanboy Bena Franklina?

Wzrusza ramionami.

– Ty mi powiedz! Czy puszczasz latawce podczas burzy z piorunami? A może operujesz wyłącznie banknotami studolarowymi?

– Franklinia – przerywam jej – została uznana za roślinę wymarłą w naturalnym środowisku.

Widzę w jej oku jakiś błysk.

– A więc tatuujesz sobie na ciele kwiaty, których nigdy nie będziesz miał szansy zobaczyć?

Otwieram usta, żeby odruchowo zaprzeczyć, ale wtedy dociera do mnie znaczenie jej słów – to, w jak prosty sposób to opisała. Przełykam ślinę, nie protestując, ale i nie potwierdzając jej domysłów.

– Ile ich masz?

– Czego? – pytam lekko zachrypniętym tonem.

– Tatuazy.

– Sześć. – Widzę, jak obrzuca mnie wzrokiem od stóp do głów, szukając jakichś podpowiedzi, gdzie są kolejne. Rumienię się, a potem czuję, że gorąco rozlewa się po całym moim ciele. Odchrząkuję i pytam:

– A ty? Masz jakieś?

Potrząsa z półuśmiechem głową, a ja dostrzegam, jak wielkie są z tak bliska jej oczy.

– Chociaż zawsze marzyłam, żeby jakiś sobie zafundować. Jak sądzisz, gdzie powinnam go zrobić?

Serce wali mi tak mocno, że czuję pulsowanie w opuszkach palców. Z najwyższym trudem powstrzymuję się od zmierzenia jej wzrokiem tak, jak ona zrobiła to przed chwilą. Chrapliwym głosem pytam:

– A co chciałabyś sobie wytatuować?

Mruga przelotnie – tak szybko, że mam wrażenie, iż być może tylko wyobraziłem sobie, jak trzepocze rzęsami. Wydaje mi się, że stoi teraz jeszcze bliżej mnie, chociaż nie zauważyłem, aby się poruszyła.

– Może ktoś zdołałby mnie namówić na jakiś kwiat? – mówi cicho, przeciągając zgłoski.

– Sama jesteś jak kwiat – wyrywa mi się i natychmiast żałuję, że to powiedziałem. To nie był udany komplement. Nie zabrzmiał ani dowcipnie, ani seksownie.

Mimo to widzę, jak się uśmiecha, dosłownie promienieje.

– Fakt, jestem trochę jak kwiat – przyznaje, błyskając zębami. Oblizuje szybko wargi – i jestem niemal pewien, że robi to świadomie. Całkiem jakby podszepnął jej to do ucha głos Madison Bailey. Prawdopodobnie wie, że nie mogę teraz oderwać wzroku od jej ust – i niemal mi stanął, chociaż przecież tylko rozmawiamy! Muszę użyć całej swojej silnej woli, żeby nie przysunąć się do niej bliżej.

Nagle rozlega się dźwięk dzwonka sygnalizującego, że ktoś wszedł do sklepu – i sprowadza mnie na ziemię. Czar pryska.

– Ama?

Po głosie poznaję, że to Mar.

Ama odsuwa się ode mnie – być może faktycznie była bliżej, niż sądziłem – a ja przeczesuję dłonią włosy, szarpiąc je mocno u nasady, żeby się skupić.

– Właśnie planujemy posty! – szczebiocze Ama. Kończy robić podpis do mojego zdjęcia przy kasie, klika „Zaplanuj” i oddaje mi telefon. Jest ciepły. – Zapamiętaj moje słowa: to zdjęcie stanie się hitem!

Marszczę brwi, a ona uśmiecha się do mnie promiennie.

– Wyślę moim klientom zdjęcie łuku i mam nadzieję, że niebawem będą chcieli wpaść. – Wycofuje się w stronę drzwi, machając mi na pożegnanie. – Odezwę się wkrótce!

Po chwili, która wydaje mi się wiecznością, udaje mi się zaczerpnąć tchu. Słyszę, jak szepczą coś do siebie, a potem dzwonek ponownie dzwoni i drzwi zamykają się za nimi. Ekran mojego telefonu rozświetla się przychodzącymi powiadomieniami. Zdjęcie, które opublikowała, ma już sto polubień. Mam też dwudziestu nowych obserwujących.

Resztę dnia spędzam na krzątaniu się po kwaciarni, a między odbieraniem zamówień telefonicznych i obsługą kilku klientów przeglądam zdjęcia załączone do e-maila Mar.

Dodała między innymi to, na którym Ama układa mi włosy. Pochyliła się ku mnie, aby dosięgnąć mojej głowy, lekko zgięta w talii nad ladą. Wysoko podciągnięta sukienka idealnie przylega do krzywizny jej pleców. Ciemny lakier na jej paznokciach – coś, czego wcześniej nie zauważyłem – ma ten sam odcień, co moje włosy, które przeczesuje palcami.

Jestem tak skupiony na jej postaci, że dopiero gdy patrzę na zdjęcie trzeci raz, widzę siebie – wpatrującego się w jej twarz z bezbrzeżnym zafascynowaniem. W moich oczach czai się głód.

I wtedy zauważam, że Mar wysłała te same zdjęcia również do Amy. Jęczę i chowam twarz w dłoniach.

Kurwa.

Ama

KWIECIEŃ

Teraz, kiedy ustaliłyśmy już pewne rzeczy z Jackie, pomysły pojawiają się dosłownie same jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pomysł zorganizowania wystawnego przyjęcia w opuszczonym budynku stał się niewyczerpanym źródłem inspiracji. To będzie totalny industrialny, luksusowy szzał – z pieprzoną toną kwiatowych ozdób na okrasę!

Jeśli tylko Hazel zdoła przylecieć w przyszłym tygodniu, aby omówić z nami pomysły wykorzystania Ogrodu Różanego i dawnego studia baletowego, zaczniemy działać na poważnie. Jestem w kontakcie z moim przyjacielem z urzędu miasta, który ma mi dać znać, jakie są szanse na zamknięcie ulicy wokół parku – i jakie poruszenie to wywoła. Póki co poinformował mnie, że ludzie się wkurzą, ale niewykluczone, że to da się załatwić.

Wybieram się dziś na degustację tortu na inne przyjęcie weselne, ale mam nadzieję, że uda mi się namówić właścicielkę cukierni na rozważenie przygotowania ciasta na piąte wesele siódmego października. Para, w imieniu której dziś ją odwiedzam, to Michelle i Mitch. Mitch oświadczył się swojej narzeczonej po pijaku

w Vegas, ale najbardziej spodobało mi się w ich historii to, że biegali tamtej pamiętnej nocy po całym kasynie MGM Grand, informując każdego, kto chciał ich słuchać, że nie mogą się pobrać tego wieczoru, bo Mitch nalega, aby pannę młodą do ślubu poprowadził jej ojciec. Posunęli się nawet do tego, że wypytali pracowników kasyna, którądy dojsć do kaplicy, aby mogli uniknąć przypadkowego zbłądzenia do niej!

Jestem pewna, że akurat im wyjdzie. Dla żartu zasugerowałam odbycie podróży poślubnej do Vegas, i koniec końców zakochali się w tym pomysłe, więc porzucili przeglądanie broszur o Hawajach.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że dzień degustacji tortu nie jest moim ulubionym w całym procesie przygotowywania przyjęć. Prawda jest taka, że to jeden z głównych powodów, dla którego zostałam konsultantką ślubną – uwielbiam słodczy. Michelle i Mitch wybrali trzypiętrowy tort migdałowy, a ja ustaliłam szczegóły z właścicielką cukierni.

– Betty, czy mogłabym cię ponownie zapytać o możliwość złożenia zamówienia na siódmego października? – mówię, zniżając głos. – Wiem, że macie na ten dzień, o ile mnie pamięć nie myli, cztery zamówienia dla Whitney?

– Hm, nie wszystkie są dla Whitney, ale przykro mi, Amo. Mamy naprawdę napięty grafik.

Zmuszam się do uśmiechu i dziękuję jej, ale jednocześnie myślę, że właśnie dostałam potwierdzenie, że Whitney albo pomyliła dni, albo celowo zaklepała sobie na tę datę wszystkich najlepszych producentów ciast. Nie wiem, co o tym myśleć. Jeśli spróbuje później wszystko odwołać, podkopie sobie tylko reputację.

Kiedy kończę rozmowę z Michelle i Mitchem, zauważam, że mam nową wiadomość na czacie z Hazel i Jackie:

Ama, pamiętasz, że planujemy brunch w domu rodziców Jackie na dzień przed ślubem? Tam też powinnyśmy mieć kwiaty, prawda?

Siedzę w samochodzie przed cukiernią, obserwując przejeżdżające samochody i się zastanawiam: e-mail czy telefon.

Jestem tchórzem, więc wybieram e-mail.

Cześć, Elliot!

Hazel przyjeżdża do miasta w przyszłym tygodniu na ustalanie szczegółów przyjęcia. Czy moglibyśmy się spotkać w kwiaciarni, żeby zacząć finalizować wybór kwiatów i kolorów?

Ponadto na dzień przed przyjęciem (piątek, 6 października) dziewczyny planują brunch w domu rodziców Jackie. Chciałyby dodać zamówienie kwiatów na ten dzień do projektu.

Podsumowując, mamy do ogarnięcia:

- Ceremonię
- Przyjęcie
- oiację próbną
- Brunch
- Potencjalnie: kwiaty do zdobienia transportu
- Potencjalnie: kwiaty do hotelu/domu noclegowego

Zaplanuję wszystko tak szybko, jak to możliwe. W przyszłym tygodniu Jackie i Hazel będą dostępne przez cały czas.

Gdybyś czegoś ode mnie potrzebował, dawaj śmiało znać.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Ama Torres

Samo patrzeć na listę przyprawia mnie o zawrót głowy. I nie chodzi wcale o ilość pracy, którą trzeba będzie włożyć w przygotowania – wręcz przeciwnie, to najfajniejsza część całego procesu. Krew w żyłach mrozi mi jednak świadomość, że przez następne sześć miesięcy będę musiała ściśle współpracować z Elliotem. Nie wykręcę się.

Kiedy odpisuje, ogranicza się do lakonicznego:

10 rano, wtorek.

Można by pomyśleć, że po ostatnim spotkaniu będę lepiej przygotowana na kolejne, ale gdy nadchodzi wtorek, jestem tak zdenerwowana, że zamiast tuszu niemal nakładam na rzęsy błyszczący do ust.

Udaje mi się namierzyć maskarę, ale okazuje się, że to dopiero początek serii katastrof. Jestem już w samochodzie, gdy zdaję sobie sprawę, że nie nakarmiłam Lady Cat-ryn. Kiedy wracam do środka, aby dać jej jeść, dostrzegam, że w międzyczasie straciła wazon z kwiatami z kuchennego blatu na podłogę.

Wpatruje się we mnie z tą swoją arogancką kocią pogardą, wymachując wściekle ogonem. Kręcę głową, otwieram puszkę Fancy Feast i zostawiam ją na blacie. Poradzi sobie.

Pośpiesznie sprzątam bałagan, którego narobiła, a gdy wracam do auta, na desce rozdzielczej zapalają się chyba wszystkie możliwe kontrolki – więcej niż zwykle. Wszystko wskazuje na to, że opony są sflaczałe, olej wymaga wymiany i brakuje płynu do spryskiwacza. Najwyraźniej jedyną pozytywną wiadomością w całym tym galimatiasie jest to, że mam pół baku benzyny, ale nawet w to zaczynam wątpić, kiedy zapala się wskaźnik sygnalizujący niski poziom paliwa. Gdy silnik zaczyna się krztusić, zastanawiam się, czy dam radę przejechać piętnaście przecznic w samochodzie, który wydaje z siebie tak agonalne dźwięki.

Spoglądam na niebo. Nie jest jakoś specjalnie zachmurzone. Chwytam z siedzenia pasażera torbę, licząc na to, że zdołam dotrzeć na miejsce w ciągu piętnastu minut. Po chwili namysłu dochodzę do wniosku, że nawet gdyby mi się to nie udało, może tak będzie lepiej. Nigdy się nie spóźnim, ale sama myśl o dotarciu na miejsce za wcześnie i konieczności przebywania sam na sam z Elliotem przeraża mnie do szpiku, więc może ten jeden raz mogę sobie pozwolić na małą obsuwę.

Wiosna w Sacramento jest piękna, nawet jeśli niesie ze sobą ryzyko licznych alergii. Nie na darmo nazywają je Miastem Drzew. Jak okiem sięgnąć, wszędzie pyszną się gałązki w soczystych barwach zieleni, okraszone czerwonymi i pomarańczowymi kwiatami... rozsiewającymi zdradliwe pyłki. Przemierzam ruchliwą ulicę J Street na siedmiocentymetrowych obcasach, ignorując dziwne spojrzenia spacerowiczów z psami i klaksony trąbiące najwyraźniej bez związku z ruchem ulicznym.

Elliot dokuczał mi z powodu mojego upodobania do szpilek. Kiedy jednak w końcu zobaczył mnie bez nich, przyznał, że owszem, jestem naprawdę niska, i tak, w butach na wysokich obcasach

wzbudzam większy respekt. Ma się rozumieć, miałam wtedy na sobie parę puchatych skarpetek w żaby, więc nie było pola do manewru.

Jest już za dwie dziesiąta, a ja muszę jeszcze przejść trzy kwartały. Wysyłam Hazel i Jackie SMS-a, że zaraz będę, a potem wciskam przycisk na przejściu dla pieszych. Czuję, że jestem spocona, i wkurza mnie to. Podobnie jak nie podoba mi się, że od wilgoci w powietrzu oklapła moja fryzura, w której ułożenie włożyłam tego ranka tak wiele wysiłku. Gdy w końcu docieram do Blooming, czuję wdzięczność, że przynajmniej nie nałożyłam rano przez pomyłkę błyszczyka na rzęsy.

Jestem spocona jak mysz. I zasapana. Gdybym nie ufała mojemu sprejowi utrwalającemu Hazel Renee, pewnie sprawdziłabym makijaż, zanim otworzyłabym drzwi do kwiaciarni, ale jego użycie oszczędziło mi kolejnych zmarnowanych minut.

Gdy nad moją głową rozbrzmiewa dzwonek, liczę w duchu na to, że uda mi się wślizgnąć do środka niepostrzeżenie, podczas gdy cała trójka będzie pogrążona bez reszty w dyskusji na temat kolorystyki i dekoracji, ale w kwiaciarni panuje głucha cisza. Spoglądam w stronę lady i widzę Elliota za kasą, ignorującego mnie jawnie i skupionego na lekturze dzisiejszej gazety.

Serce podchodzi mi do gardła. Czyżbym pomyliła dni? A może przegapiłam datę zmiany czasu na letni? Wyciągam telefon i ze zgrozą czytam wiadomość od Jackie:

My też się spóźnimy, więc spokojnie! Będziemy za 10 minut.

Wiadomość przyszła cztery minuty temu. Muszę przetrwać jeszcze sześć. Sześć minut, które mogłam spędzić w drogerii Rite Aid lub spacerując nieśpiesznie w pobliżu. Ale nie. Teraz czeka mnie sześć długich minut sam na sam z Elliotem.

– Dziewczyny za chwilę będą – mówię.

Elliot przerzuca stronę gazety, w żaden sposób nie dając mi do zrozumienia, że w ogóle zarejestrował moją obecność. Przez chwilę zastanawiam się nad poczekaniem na Hazel i Jackie na zewnątrz, ale w końcu robię głęboki wdech i odwracam się od lady, patrząc zamiast tego na kwiaty w witrynie. Na wystawie stoją lilie w doniczkach i wiosenne wieńce – zawsze na topie – ale i duże bukiety w wysokich wazonach. Słoneczniki i pomarańczowe nagietki,

trawa pampasowa i róże o barwie pudrowego rózu. A także szkarłatne chryzantemy i rdzawe kalie. Naprawdę się postarał. Całość wygląda intrygująco i przyciąga wzrok.

Patrzę na niego przez bukiet hortensji. Nadal nie podniósł wzroku znad gazety. Włosy znów ma starannie związane i teraz widzę, jak bardzo urosły w ostatnim czasie. Poza tym nie zmienił się zbyt wiele. Ma teraz dwadzieścia dziewięć lat, ale zawsze wyglądał dokładnie na tyle. Jakby wiecznie na krawędzi przełomu, o krok od zmiany, ostatecznego zdefiniowania. Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, myślałam, że dwadzieścia sześć to dorosłość: za chwilę będziesz mieć własne ubezpieczenie zdrowotne. Prawdopodobnie dowiedziałeś się już, czym jest jarmuż. Ale teraz, mając prawie dwadzieścia sześć lat, patrzę na niego i się zastanawiam, czy nie zmarnowałam mu kawałka życia. Mógłby się już ustatkować. Mógłby mieć dzieci.

Czuję, że pieką mnie oczy, i muszę odwrócić wzrok. Przygryzam wnętrze policzka, aby stłumić nagły ból w piersi. Myślę o znajomej Jackie – Kate? – i niemal mam nadzieję, że po mnie faktycznie był ktoś, kto... w jakiś sposób go skrzywdził. Ponieważ nie jestem kimś, dla kogo warto tracić trzy lata.

Poza kilkoma przelotnymi romansami od tamtego czasu nie umawiałam się z nikim na poważnie, ale to co innego. Nie należę do osób, które pragną się wiązać na dłużej. Gdybym tylko chciała, mogłabym bez problemu pozwalać sobie na przygody na jedną noc. On... Prawdopodobnie nie mógł. Wiem, że nie byłby w stanie. Ja mogę umawiać się z facetami z serwisów randkowych lub spotkać się od czasu do czasu z którymś z przyjaciół Mar na drinka ze świadomością, że to nic poważnego. Że to znajomość bez zobowiązań. Ale znam Elliota na tyle, aby wiedzieć, że to nie w jego stylu. Nie mógłby tak postąpić.

Bo jeśli istnieje coś, do czego Elliot Bloom kompletnie nie ma drygu, to traktowanie rzeczy na luzie, z przymrużeniem oka.

Sprawdzam telefon. Minęło sześć minut. Kiedy nadal nie widzę priusa wjeżdżającego na parking, spoglądam ponownie na Elliota. Siedzi za kontuarem z rękami skrzyżowanymi na piersi, wbijając wzrok w blat.

Zastanawiam się, czy gdybym spróbowała do niego zagadać, nadal by mnie ignorował. Może gdyby chodziło o interesy, nie miałby wyjścia i musiałby się do mnie odezwać?

– Czy masz jakieś pytania lub wątpliwości dotyczące lokalizacji? – Mój głos rozbrzmiewa w cichym pomieszczeniu dziwnie głośno.

Elliot zaciska usta i przymyka oczy, kręcąc głową.

Cóż, chyba jednak tylko wszystko pogorszyłam. Mogłam spróbować przeprosić za to, co się stało na ślubie jego matki. „Przykro mi, że twoje słowa podziałały na mnie jak płachta na byka. Czy trudno było doprowadzić do końca przyjęcie twojej mamy beze mnie? Takiej, pożałuj Boże, profesjonalistki...”.

W tym momencie drzwi się otwierają, oszczędzając mi popadnięcia w obłąd.

– Przepraszamy za spóźnienie! – mówi Jackie, uśmiechając się od ucha do ucha. Hazel idzie tuż za nią z kubkiem kawy w dłoniach i mam ochotę zacząć krzyczeć, ale próbuję się opamiętać i przychodzi mi do głowy, że to coś, na co powinnam wziąć poprawkę następnym razem.

Gdy Hazel mocno mnie przytula, zapominam już o wszystkich złych myślach.

– Jestem taka podekscytowana nadchodzącym tygodniem! – mówi, zsuwając okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy. – Jackie powtarza w kółko, że jesteś genialna, ale nie wyjaśniła mi dlaczego. Chce, żeby to była niespodzianka.

Parskam nerwowym śmiechem.

– Cóż, mam kilka pomysłów, ale jeśli nie przypadną ci do gustu, będziemy szukać czegoś innego!

Ponad ramieniem Hazel widzę, jak Jackie rozmawia z Elliotem; kładzie na ładzie teczkę i ściska jego ramię w geście powitania. On przytakuje jej z uśmiechem, który wygląda bardziej jak kwaśny grymas.

Jackie odwraca się do mnie i Hazel i pyta:

– Czy przyniosłaś dziś pączki? Zabiłabym za jednego z twoich pysznych donutów!

– Nie! Rany boskie, najmocniej was przepraszam! Mój samochód dziś ześwirował, więc musiałam przyjść pieszo. –

Mierzwią dłońmi oklapnięte włosy, żeby nieco je napuszyć. – Ale to dosłownie dwa kroki stąd. Możemy tam zajrzeć później – mówię, puszczając do nich oko.

– Co jest nie tak z twoim samochodem? – głos Elliota jest ostry jak brzytwa. Gdy podnoszę na niego wzrok, widzę, że nie raczył nawet na mnie spojrzeć – zamiast tego przegląda folder przyniesiony przez Jackie.

Odchrząkuję, próbując pozbyć się suchości w gardle, i wyjaśniam:

– Zapaliły się wszystkie kontrolki na desce rozdzielczej. Ale wszystko w porządku, serio. Prawdopodobnie mam po prostu jakąś awarię czujników. – Patrzę na Hazel i przewracam oczami, jakbym chciała dodać: „Ach, te samochody!”.

– Nie szalałyby, gdybyś oddawała auto do przeglądu co dwadzieścia tysięcy kilometrów, jak normalny człowiek.

Na Boga, odezwał się do mnie. Naprawdę to zrobił! Fakt, skrytykował mnie, ale jednak – przemówił do mnie ludzkim językiem. Jackie chyba źle odczytuje moją zszokowaną minę, bo szturcha go w ramię i mówi:

– Jeśli jesteś ekspertem, to może powinieneś zaproponować, że się temu przyjrzysz?

Nie, tylko nie to! Ponownie mam ochotę zacząć krzyczeć. To dosłownie gówniana wisienka na torcie mojego gównianego dnia. Otwieram już usta, żeby zaprotestować, gdy nagle on wzrusza ramionami i mówi:

– Jasne, czemu nie?

Nadal nie podnosi wzroku znad folderu Jackie – zawierającego kolaże pomysłów na dekoracje kwiatowe, jak teraz dostrzegam.

– Ale naprawdę, to nic poważnego – mówię słabym głosem. – Elliot musi się zająć kwiatami, a my powinniśmy się skupić na planowaniu szczegółów...

– Damy radę – zapewnia mnie Hazel z podejrzanym entuzjazmem. – Podrzucimy cię do domu i Elliot zerknie na twój samochód, a potem skoczmy na lunch.

Jackie przytakuje gorliwie, Elliot przewraca kolejną stronę, a ja na chwilę wpadam w stupor.

– Hm, tak, jasne! To dobry pomysł – mamroczę w końcu. – No to... Bierzmy się do roboty. Zróbmy burzę mózgów. Nie ma czasu do stracenia. – Może za godzinę wszyscy zapomną o tym poronionym pomysle?

Jackie zaczyna opowiadać Elliotowi o tym, na czym jej zależy i czego od niego oczekuje. Wyjaśnia, że chce, aby cały projekt był spójny, ale marzy również o tym, aby podkreślał ich osobowości.

– Czy to nie nazbyt kapryśne, że chcemy mieć bukiety w dwu różnych stylach? – pyta Jackie, krzywiąc się lekko.

– Kochanie, przecież już ci mówiłam – wzdycha Hazel, ujmując ją za rękę. – Mogę przystać na odcienie różu. I zgodzę się na każde kwiaty, jakie tylko zechcesz.

– Chciałabym po prostu, żeby to było nasze wspólne święto – szepcze Jackie. – Chcę, żeby podobało ci się to, co wybiorę...

Zastanawiam się właśnie, jak pogodzić ich odmienne podejścia w projekcie, kiedy Elliot mówi:

– Zależy wam, aby wasz ślub odzwierciedlał wasze partnerstwo. Na zasadzie: jest Hazel, jest Jackie, ale jesteście razem. Możemy pogodzić w projekcie wszystkie te rzeczy.

Jackie odwraca się w jego stronę, jak kwiat zwracający się ku słońcu, a Elliot patrzy na Hazel i pyta:

– Co dokładnie ci się podoba? Które bukiety albo dekoracje przypadły ci do gustu?

– Stonowane jesienne kolory. Chłodne odcienie. Ale jednocześnie coś egzotycznego – wyjaśnia Hazel. – Uwielbiam duże liście i tropikalne kwiaty. Może coś niezwykłego, co jest trudno dostępne?

– Możemy zamówić kwiaty z innych krajów. To żaden problem. O czym konkretnie myślisz? – pyta, wychodząc zza lady i idąc ku bardziej egzotycznym kwiatom ustawionym wzdłuż tylnej ściany. – Mamy orchidee dendrobium i kalie. Można z nich zrobić ładne bukiety. Hibiskusy? Jest też amarylis. – Macha niezobowiązująco ręką, a ja czuję, jak z twarzy odpływa mi cała krew. – I anturium.

Bardziej czuję niż widzę, że Hazel i Jackie odwracają się w moją stronę. Właściwie to nic już nie widzę. Słyszając ponownie ten głos, to, jak dźwięcznie wymawia zgłoski i jak przeciąga je leniwie, dosłownie tracę zmysły.

– Och, wow! Czy Ama to skrót od Amarylis? – pyta Jackie.

Uśmiecham się i kiwam machinalnie głową, mając wrażenie, że mięśnie mojej szyi żyją własnym życiem, kompletnie obojętne na polecenia wysyłane przez mózg.

– Rany, to niesamowite! Brzmi cudownie! Czy twoi rodzice wyjątkowo lubili ten kwiat?

– Eee... Moja mama. I takie tam, inne rzeczy – mamroczę niezbornie, odgarniając włosy za ucho. – W mitologii Amarylis zakochała się w mężczyźnie, który kochał kwiaty...

Mam wrażenie, że lada chwila padnę trupem. Chciałabym zapaść się ze wstydu pod ziemię. Byłby ze mnie świetny nawóz, którego Elliot mógłby użyć do swoich roślin. Przynajmniej na coś bym się przydała. Nie jestem w stanie na niego spojrzeć, ale widzę, jak Hazel uśmiecha się do mnie. Spojrzenie ma zamglone, rozmarzone.

– Co to za mit? – pyta.

– Cóż... – Waham się. – Amarylis codziennie wystawała przed jego domem, wbijając sobie w serce złotą strzałę. Trzydziestego dnia z jej piersi wyrósł karmazynowy kwiat. Wówczas w końcu ukochany ją zauważył...

– To piękna historia! – wykrzykuje Jackie. – Starożytni Grecy byli tacy romantyczni... Cała ta nieodwzajemniona miłość i poświęcenie...

– Poświęcenie? – rozbrzmiewa głęboki męski głos. Gdy odwracam się w stronę jego źródła, widzę, że Elliot jest bez reszty skupiony na układaniu bukietu. – Nie chciał jej, więc zmieniła się w coś, co mu się podobało. Coś, czego pragnął.

Czuję teraz w sercu ową złotą strzałę z mitu wbijającą się w nie coraz głębiej.

– To oczywiste, że utożsamiasz się z mężczyzną – prychnęła Jackie, próbując rozładować napiętą atmosferę, ale tylko wszystko pogarsza. Rozchylam wargi, mając wrażenie, że złota strzała dosłownie rozrywa mi serce na strzępy.

Tymczasem Elliot sięga po duży liść, wyciągając z wazonu anturium.

– Jak wygląda amarylis? – zaciekawia się Hazel i odwraca w stronę miejsca wskazanego przez Elliota, w którym stoją kalie.

– Nie sprowadzam ich już.

Strzała zgrzyta boleśnie o kość.

Zapada niezręczna cisza, w której pytam:

– Czyli teraz stawiasz na anturium?

– Anturium występuje w kilku kolorach. Jest egzotyczne i wygląda bardzo elegancko. Może być elementem centralnym, może grać główne skrzypce, ale przede wszystkim – obwiązuje bukiet i podaje go Jackie – może stanowić dyskretny element większego bukietu.

Widzę, że Jackie błyszczą oczy. W wiązance zrobionej przez Elliota anturium idealnie współgrają z różowymi różami. Kielichy anturium przypominają barwne, pokryte woskiem liście zwieńczone pojedynczym pręcikiem. Te, które Elliot dodał do bukietu, są białe, o różowawych krawędziach.

– Nie mam w kwaciarni tego odcienia – trzeba by je zamówić – ale anturium występują w kolorze zielonym – mówi do Hazel. – Mogą być uzupełnieniem bukietu lub jego centralnym elementem. Są też dostępne w kolorze burgundowym, jeśli zależy wam na uzyskaniu bardziej dramatycznego efektu.

Na wzmiankę o dramatyzmie kącki ust Hazel drgają w półśmiechu.

– To... bardzo ciekawa opcja, warta przedyskutowania. – Przenosi wzrok na mnie i mam wrażenie, że dostrzegam w jej spojrzeniu przeblysłk prawdy. Hazel pragnie dramatyzmu. Chce elegancji i deklaracji. Ale to nie w stylu Jackie, więc się hamuje.

Elliot wyciąga z kieszeni telefon i otwiera Instagram. Pokazuje im kilka bukietów z anturium, które zrobił, a także inne oznaczone hasztagiem #anturium.

Gdy zaczynają rozmawiać o tym, jakie centralne elementy można uzupełnić anturium, widzę przed oczami bordowe i różowe plamy. Widzę upragniony przez Jackie róż na wewnętrznych ramach krzeseł podczas samej ceremonii i upragniony burgund Hazel po zewnętrznej stronie. Róż i burgund naprzemiennie na co drugim stole...

Kiedy opuszczamy Blooming, jestem tak skupiona na pomysłach migających w mojej głowie – i tak mocno skoncentrowana na ignorowaniu widma florysty stojącego niecały metr ode mnie – że mija dobra chwila, nim docierają do mnie słowa Jackie:

– Pytałam, czy chcesz, żeby cię podrzucić? To znaczy, no wiesz, w związku z twoim samochodem...

Waham się tylko przez chwilę, myśląc o Whitney i o tym, jak nieprofesjonalne jest pozwalanie, aby klienci podwozili gdzieś organizatorkę ich ślubu. Jeśli trzeba dokądś z nimi jechać, to ja powinnam ich tam zawozić. Ale zanim mój mózg znów zaczyna myśleć logicznie, Hazel łapie Jackie za łokieć, a jej oczy dosłownie wwiercają się w jej czaszkę, jakby wsączały w nią nowe, „błyskotliwe” pomysły.

– Ale czy Elliot nie miał przypadkiem zerknąć na jej samochód? Może spotkałybyśmy się na miejscu? Elliot, dałbyś radę w razie czego podrzucić Amę, prawda?

– Ja... ee, nie, to nie będzie konieczne – bełkoczę bez ładu i składu. – Nie. Mogłabym... Elliot nie powinien zamykać kwaciarni bez powodu. Mogę zabrać samochód jutro do mechanika...

– To nie byłoby zbyt bezpieczne – mówi Jackie, podłapując pomysł narzeczonej. – Elliot, masz może wolną chwilę?

– Elliot nie zna się zbyt dobrze na autach... – mamroczę. – Jest florystą, nie mechanikiem.

Widzę kątem oka, jak krzyżuje ręce na piersi, a potem słyszę jego kąśliwy głos:

– Mogę rzucić na to okiem. Nawet jeśli „nie znam się zbyt dobrze na autach”.

– Super! – Hazel chwyta za klamkę. – Ama? Wyślij Jackie swój adres i zaraz tam będziemy!

– Mogłabym... Mogę zabrać się z wami! – mówię, krzywiąc się na dźwięk desperacji w swoim głosie. – Elliotowi raczej nie potrzeba pechowej laski w jego wozie – dodaję ze śmiechem i wykonuję dziwaczny gest ręką, dość żałośnie próbując podkreślić wydźwięk swoich słów.

– Spokojna głowa! – mówi Jackie, na maksa zafiksowana na realizacji swojego niecnego planu. – Tym razem, dla odmiany, to Hazel i ja kupimy pączki!

A potem drzwi frontowe zamykają się za nimi i żałuję, że tu nie przyjechałam autem – nawet gdyby jazda moim zdezelowanym wozem miała się skończyć dla mnie tragicznie. Wszystko byłoby lepsze niż to – nawet gdyby silnik mojego samochodu stanął

w płomieniach na środku skrzyżowania. Byleby nie patrzeć na Elliota, skupiam się na telefonie, w nieskończoność przedłużając proces wysyłania Jackie mojego adresu. Postępowanie zgodnie z instrukcjami jest łatwe.

Elliot krząta się przez chwilę po kwaciarni, potem bierze tabliczkę z napisem „Zaraz wracam”, którą jego ojciec namalował ręcznie dawno temu, a ja drepczę za nim do drzwi. Idę prosto do jego furgonetki, którą dobrze znam. Wiem również, że klamka od strony pasażera się zacina i trzeba nią kilkakrotnie szarpnąć. Podobnie jak to, że szyby zaparowują przy każdym jęku, a skóra na siedzeniach nie jest zbyt wygodna, gdy się na niej klęczy...

Wspinam się, wślizguję na siedzenie i zapinam pasy, zanim jeszcze Elliot dociera do drzwi po stronie kierowcy. Słyszę jego ciężkie kroki. Szarpnięcie klamki. Głuche tąpnięcie, gdy opada na fotel kierowcy.

Wyjeżdża z parkingu na ulicę, a ja wpatruję się tępo w deskę rozdzielczą. Żałuję, że pod przednią szybą nie ma jakiegoś śmiesznego gadżetu, jak figurka tancerki hula – czegoś, na czym mogłabym się skupić, zamiast wsłuchiwać się w swoje walące jak młotem serce i jego głośny oddech.

– Powiedziałaś im? – pyta, skręcając w stronę mojej dzielnicy.

Patrzy prosto przed siebie. To pierwsze słowa, jakie skierował do mnie z własnej inicjatywy. Osobiste.

– Nie. Chyba po prostu... mają przeczucie. Intuicję. – Wbijam wzrok w kolana, zła, że na mnie nie patrzy. – Będziesz musiał być wobec mnie bardziej opryskliwy, jeśli chcesz dać im jasno do zrozumienia, że są w błędzie.

Włącza kierunkowskaz, jakby od niechcenia.

– Przyjąłem do wiadomości.

Patrzę, jak starsza para przechodzi przez przejście dla pieszych. Zaczynają mi się rozmazywać przed oczami i przygryzam wargę, odwracając wzrok w prawo, żeby nie zobaczyli moich załzawionych oczu. Tylko z najwyższym trudem udaje mi się oddychać miarowo, spokojnie.

Elliot podejżdża pod mój dom i wysiada z furgonetki, nim jeszcze na dobre cichnie dźwięk wyłączanego silnika. Szukam w torebce kluczyków do samochodu, odblokowuję drzwi swojej toyoty i powoli

gramolę się z jego auta, podczas gdy on podnosi maskę mojego. Kładę kluczyki w zasięgu jego ręki i siadam na schodku przed gankiem.

Elliot naprawiający mój samochód to w przypadku naszej dwójki nic niezwykłego. A przynajmniej dawniej tak było. Nie jest specem od motoryzacji, ale ma rację: powinnam po prostu... no, nie wiem – zmienić olej lub nauczyć się podstawowych rzeczy o silnikach. Wówczas uniknęłabym z pewnością podobnych sytuacji. To samochód mojego taty. Jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek mi dał – poza zabawkami i słodyczami, kiedy byłam dzieckiem. Mama kilka razy proponowała, że kupi mi nowe auto, ale jakoś nie mogę się rozstać z tym gruchotem. I naprawdę jestem przekonana, że jeśli oddam go do warsztatu, już nigdy stamtąd nie wróci.

Mimo to minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz ten samochód przechodził przegląd u Elliota Blooma. Od dwóch lat nikt nie wyśmiewał się ze mnie z powodu gwoździa wbitego w oponę. Nikt nie wymykał się z mojego domu w sobotni poranek, aby otworzyć maskę mojego wozu i potem zaciągnąć mnie do niego, informując mnie ze zgrozą w głosie o poziomie oleju. Nikt nie komentował braku płynu do spryskiwacza.

Czuję się teraz jak ten samochód. Kiedy Elliot obchodzi wóz, włącza silnik, odsuwa siedzenie o trzydzieści centymetrów i kręci głową, pomstując na stan mojej małej camry, mam niejasne wrażenie, że być może od jakiegoś czasu faktycznie nic nie działa w niej, jak należy. Od dłuższego, jeśli chodzi o ścisłość.

Zanim podjeżdża prius dziewczyn, Elliot zamyka maskę. Uśmiecham się, gdy Jackie komplementuje mój dom i podwórko. Podaje mi różowe pudełko, a ja wdycham zapach czekoladowego pączka, desperacko pragnąc mieć coś, czym mogłaby się zająć.

– Czy mogę skorzystać z łazienki? – pyta Hazel.

Ponownie myślę o Whitney. Jak bardzo... niestosowne jest to wszystko. Kiwam głową i biorę od Elliota klucze.

– Na końcu korytarza, po lewej – informuję Hazel. – Jeśli na podłodze leżą ręczniki, udawaj, że mam po prostu okropną współlokatorkę.

Śmieje się i otwiera frontowe drzwi kluczem, który jej wskazałam. Gdy tylko się uchylają, obok jej nóg przelatuje futrzasty

demon i zanim zdążę sprawdzić, czy na ulicy nie ma samochodów, Lady Cat-ryn ociera się łebkiem o łydki Elliota.

Hazel przeprasza, a ja zbywam ją machnięciem ręki. Z płuc uchodzi mi całe powietrze, gdy Elliot się pochyla, aby podrapać moją kotkę po głowie, wyraźnie decydując się dla zachowania pozorów udawać, że nie wie, iż jest groźna. Gdy biorę ją na ręce, wysuwa pazury w geście protestu.

– O mój Boże, jest cudowna! – zachwyca się Jackie.

– No, powiedzmy. Daleko jej do ideału. – Lady Cat-ryn wierci się w moich objęciach, starając się uwolnić z uścisku, więc po prostu chwytam ją za kark i trzymam jak szmacianą, bezwładną lalkę.

– Musisz ją oddać do warsztatu – mówi Elliot, a ja dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że ma na myśli samochód, a nie Lady Cat-ryn. – Trzeba wymienić olej, poziom płynu w układzie wspomagania kierownicy jest niski, a w lewej tylnej oponie tkwi gwóźdź. – Ostatnie zdanie wypowiada z wyraźnym trudem. Ponieważ oboje wiemy, że to ten sam gwóźdź, który tkwił tam dwa lata temu.

– Dzięki. – To jedno słowo ledwo przechodzi mi przez gardło – i to nie tylko dlatego, że Lady Cat-ryn waży prawie siedem kilo i trzymam ją właśnie niczym Rafiki Simbę w *Królu Lwie*, z dala od mojego ciała.

Elliot odwraca się w stronę swojej furgonetki.

– W tygodniu zrobię wam zdjęcia tych anturium – rzuca przez ramię.

Hazel właśnie wychodzi z domu, gdy Elliot odjeżdża. Biorę od Jackie kolejnego pączka.

– Jak często ty i Elliot pracowaliście razem? – pyta niewinnie Hazel.

Przełykam ślinę.

– Kilka razy – mamroczę. – Jest świetny.

Lady Cat-ryn syczy, a Hazel i Jackie uśmiechają się ukradkiem.

12

Ama

KWIECIEŃ

Teraz, gdy Hazel jest w mieście, szybko odhaczamy kolejne rzeczy do zrobienia z listy. Chcę załatwić tak wiele spraw, jak tylko zdołam, zanim zacznie się pracowity sezon ślubny. Po spotkaniu w Blooming wybieramy się do Ogrodu Różanego, aby omówić moje pomysły dotyczące zamknięcia ulicy i wynajęcia lokalu noclegowego naprzeciwko parku. Hazel przytakuje, ale co i rusz ogląda się na Ogród Różany.

Kiedy Jackie idzie przez park, aby rzucić okiem na teren, w którym planujemy usadzić gości, pytam Hazel:

– O czym myślisz?

Robi głęboki wdech.

– Ogród jest piękny. Bardzo w stylu Jackie...

– Może przydamy scenerii odrobinę dramatyzmu? – proponuję, powtarzając wcześniejsze słowa Elliota o „dramatycznych” bukietach.

Piorunuje mnie żartobliwie wzrokiem i uśmiechamy się do siebie porozumiewawczo, gdy wraca Jackie.

Następnego dnia udaje mi się umówić wizytę w starym studiu baletowym – dzięki mojemu przyjacielowi z miejskiego biura

pozwoleń. Kiedy mówię dziewczynom, że mam znajomego w urzędzie miasta, brzmi to dość imponująco, choć w rzeczywistości wcale tak nie jest. Ma na imię Hal. On ma klucze, a ja – pączki.

Powiedziałam Hazel i Jackie, że spotkamy się o dziesiątej, ale pół godziny wcześniej zaglądam do Weatherstone, gdzie wypijam espresso z cold brew. Otwieram zardzewiałe drzwi starego studia baletowego, trzymając w drugiej ręce torbę z pączkami – i natychmiast zdaję sobie sprawę z tego, że powinnam była zostawić je w samochodzie.

Po podłodze coś przemyka.

Wracam do samochodu i siedzę w nim przez dziesięć minut, jedząc czekoladową oponkę, żeby się uspokoić.

Jackie nie wspominała, jak dawno temu studio baletowe zostało zamknięte, ale teraz, kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, dociera do mnie, że bywam w Weatherstone od prawie dziesięciu lat i nigdy nie widziałam w okolicy nikogo w tiulowych spódniczkach ani z baletkami.

Może to niezbyt dobry pomysł. Stworzenie sali bankietowej od zera to mnóstwo pracy. Nie wspominając już o elektryczności i hydraulice, całym cateringu, nagłośnieniu, zapasowym agregacie prądotwórczym... Trzeba sprawdzić dosłownie wszystko. To całkiem jak jej budowanie od fundamentów!

Robię głęboki wdech, wkładam pączki do torby i idę ponownie do budynku. Otwieram je na oścież, żeby w razie czego było wiadomo, że ktoś jest w środku.

Teraz, gdy jestem przygotowana na spotkanie z gryzoniami i karaluchami, łatwiej jest mi po prostu stać nieruchomo i się rozglądać.

Po chwili okazuje się, że nie jest źle. Serio!

Nic nie wskazuje na to, żeby ktoś tu koczował. Nie ma śmieci ani małej, zapomnianej baletki leżącej na środku podłogi niczym symbol umierającej sztuki. Hal wspomniał, że ktoś wydzierżawił budynek pięć lat temu, ale nigdy nie zaczął tu prowadzić żadnych prac. Umowa wygasła kilka miesięcy temu, jednak wszystko wskazuje na to, że najwyraźniej w okresie jej trwania przynajmniej raz tu posprzątało. Nie spodziewam się, że światło będzie działać, ale i tak odruchowo naciskam przełącznik.

Wzdłuż bocznej ściany jest sześć lub siedem okien przesłoniętych aksamitną zasłoną przypominającą teatralną kurtynę. Zaczynam je odsłaniać i pomieszczenie wypełnia słoneczny blask, mglisty od wznieconego kurzu. Wodzę wzrokiem po wysokich ścianach. Widzę ślady po lustrach baletowych i drążkach, a powyżej nich namalowani są tancerze – barczysty mężczyzna wykonujący skok poprzeczny, dziewczyna w białej spódniczce tutu w połowie obrotu oraz kobieta w prostym trykocie i spódniczce, stojąca w czwartej pozycji baletowej, z dłonią delikatnie wyciągniętą nad głową.

Malowidło jest urocze. Uśmiecham się do namalowanych sylwetek, zastanawiając się, do kogo mogłabym zadzwonić, aby zamówić wyczyszczenie i odrestaurowanie muralu.

Na tyłach znajduje się druga sala. Idę do niej, rozsuwając po drodze resztę zasłon. Drzwi są uchylone i włączam latarkę w telefonie, aby się upewnić, że nic mnie nie zaskoczy. To mniejsza sala taneczna, prawdopodobnie o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych.

Pamiętam, że Jackie wspominała o dachu i szukam wejścia na niego, modląc się w duchu, żeby to były schody, a nie drabina na wzór przeciwpożarowej drogi ewakuacyjnej. Kiedy otwieram drzwi do czegoś, co uznałam początkowo za schowek, znajduję schody – dzięki niech będą niebiosom! Abyśmy uzyskały wszelkie niezbędne pozwolenia, miejsce powinno spełniać szereg standardów. Na razie skupiam się na wspinaczce na dach, by sprawdzić, czy jego wykorzystanie w ogóle wchodzi w grę. Po drodze nie znajduję żadnych chwiejnych stopni ani połamanych desek. W końcu docieram do drzwi na górze i je otwieram.

Twarz owiewa mi podmuch wiatru, a blask słońca jest tak olśniewający, jakby właśnie otworzyły się nade mną niebiosa. Uśmiecham się szeroko, gdy moim oczom ukazuje się przestronny industrialny dach otoczony ceglаныmi ścianami – idealne miejsce na imprezę. Jest pusty, ale ja widzę już wszystko oczyma duszy: kwiatowy parkiet podświetlony LED-ami, migoczący urzekająco, gdy zapada zmierzch. Bar po prawej stronie. Ustawione tu i tam wysokie stoły. Żywopłoty z bukszpanu na obwodzie. I coś magicznego, co mógłby stworzyć tylko Elliot. Może coś w rodzaju antresoli?

A do tego wszystkiego rozciąga się stąd cudowny widok na panoramę Sacramento. Blokuję drzwi w pozycji otwartej i sprawdzam każdy kąt, upewniając się, że nie ma tu nic nieestetycznego. Widzę jednak tylko moje rodzinne miasto. Rodzinne miasto Jackie.

To miejsce, w którym chce się być. W którym ludzie będą się czuli dobrze. Perfekcyjne.

Widzę, jak na ulicy w dole parkuje prius, i schodzę z dachu. Kiedy słyszę kroki dziewcząt podchodzących do drzwi, w głowie wirują mi już setki pomysłów.

– O rany! – wzdycha Jackie, przechodząc przez próg razem z Hazel. – Jest znacznie gorzej niż myślałam... – Omiata wzrokiem podłogę i brudne okna. – Przepraszam, że to zasugerowałam...

– To miejsce jest fantastyczne! – protestuję, a ona patrzy na mnie, jakbym postradała zmysły. W sumie może i tak... – Słuchajcie...

Hazel stąpa ostrożnie, jakby podłoga lada chwila miała się pod nią załamać. Staję obok nich w wejściu i zaczynam gestykulować, odmalowując scenę, którą widzę w wyobraźni.

– Tutaj – mówię, wskazując na miejsce, w którym kiedyś znajdowało się małe lobby – stworzymy coś w rodzaju strefy powitalnej. Oddzielimy ją od głównego holu. Może budka fotograficzna, ale naprawdę niecodzienna – coś wyrafinowanego? Elliot mógłby zrobić różaną ścianę z napisem „Jackie i Hazel” oraz datą ślubu. Tabliczkę przypominającą wszystkim o hasztagach. – Nie muszę nawet konsultować z nim tych pomysłów. Mamy mnóstwo kasy do rozdysponowania.

Widzę, jak śledzą moje ruchy, gdy snuję swoją opowieść, nie bacząc na kurz, potencjalne ślady gryzoni czy robactwo.

– No to... tędy będą wchodzić goście. – Wyrzucam ręce przed siebie. – Wzdłuż kwiatowej ściany, do sali z poczęstunkiem. – Idę z Jackie na środek sali baletowej, a Hazel podąża za nami. – Możemy wykorzystać całą przestrzeń na okrągłe stoły, aby wewnątrz wyglądało na przestronniejsze. W jednym z rogów ustawimy bar. I szwedzkie stoły w małym pomieszczeniu z tyłu.

Hazel spogląda na mnie z powątpiewaniem.

– I potem zwiniemy to wszystko, żeby zrobić miejsce do tańca? Nie podoba mi się ten pomysł.

– Mnie też nie – zapewniam ją, uśmiechając się szeroko. Gestem zachęcam je do pójścia za mną i ostrożnie prowadzę na górę.

– Nie wierzę! – Jackie śmieje się, wspinając się na dach. – Nie wierzę! Naprawdę dałoby się to zrobić?

– Szczerze powiedziawszy, jeszcze nie wiem. Ale chciałabym spróbować. – Patrzę, jak Hazel obchodzi dach wzdłuż ścian, ale nie potrafię zinterpretować jej wyrazu twarzy. – Rozłożymy tu parkiet taneczny Elliota; w nocy będzie wyglądał niesamowicie. Tam będzie drugi bar.

Jackie przytakuje i rozgląda się dookoła, ale sprawia wrażenie lekko podenerwowanej. W końcu Hazel się odwraca i widzę, że się uśmiecha od ucha do ucha.

– Brzmi fantastycznie! – mówi.

Wdycham wiosenne powietrze i podejmuję:

– Muszę was jednak ostrzec, że zabudowanie tej przestrzeni od zera może być kosztowne. Hydraulika, kanalizacja, usunięcie pleśni, przeróbka instalacji elektrycznej, zgodność z normami... Jedzenie będzie w stu procentach pochodziło z cateringu poza lokalem – i nie ma w tym nic złego – ale po prostu nie będzie all inclusive, jak w innych lokalizacjach.

Przekazuję im wszystkie ostrzeżenia i uwagi, ale Hazel ledwo mnie teraz słucha, ogarnięta euforią.

– Obejrzyjmy jeszcze raz wnętrza – prosi, a potem bierze Jackie za rękę i widzę, że jej spięte dotąd ramiona zauważalnie się rozluźniają.

Gdy ponownie jesteśmy w studiu baletowym, zwracam ich uwagę na odsłonięte belki, wysoki sufit i ceglane ściany. To miejsce mogło służyć jako sala baletowa, ale jego pierwotne przeznaczenie było z pewnością inne.

– Myślisz, że Elliot mógłby zrobić coś fajnego z tymi sufitami? – pyta Jackie.

– Oczywiście! – zapewniam ją. – Może zrobić piękne kwiatowe żyrandole. Mogłybyście mieć kwiaty tutaj od góry, a na dachu z parkietem – pod stopami.

– Jak myślisz, kiedy będzie mógł na to zerknąć? – dopytuje Hazel. – Chciałabym zobaczyć, jak to wszystko nabiera realnych

kształtów...

– Zaproszę go tu następnym razem.

– A może mógłby wpaść jeszcze dziś? Jak sądzisz? – proponuje Jackie. – Skoro już tu jesteśmy... Mamy klucze i w ogóle...

Głos drży mi odrobinę, gdy przebakuję:

– Nie jestem pewna, czy zdoła się wyrwać bez zapowiedzi z kwiaciarni... Ale zapytam.

Chociaż wkurzam się, gdy widzę, że zgodnie potakują, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyciągnąć telefon. Po wczorajszej katastrofie z autem naprawdę czuję się koszmarnie z myślą, że znowu muszę zawracać mu głowę. Zamiast dzwonić na sklepowy telefon, wolałabym napisać po prostu SMS-a, ale to oznaczałoby przyznanie się, że nie usunęłam jego prywatnego numeru. I naprawdę wolałabym nie oglądać ponownie ostatnich wiadomości, które mi wysłał.

Wybieram numer i wsłuchuję się w sygnał dzwonka. Odbiera szybko. Zbyt szybko. Może jest tuż przy kasie i jest zajęty?

– ...lo?

– Cześć, tu Ama Torres. Jestem z Jackie i Hazel w lokalu, w którym planujemy urządzić przyjęcie. Dziewczyny pytają, czy miałbyś trochę czasu, żeby tu wpaść. – Mówię stanowczo zbyt piskliwie i ściskam telefon kurczowo w dłoni. – To znaczy, wiem, że możesz być zajęty, bo to wypadło nagle i...

Na linii panuje cisza. Modlę się, żeby odmówił – ot tak, po prostu, bez zbędnych komplikacji. Krótkie „nie” i tyle.

– Nie mogę przybiegać na zawołanie w każde potencjalne miejsce, które sobie upatrzą. Wiedzą, że jestem florystą, a nie projektantem, prawda?

Wypuszczam z sykiem powietrze z płuc – mam wrażenie, że właśnie oberwałam w splot słoneczny. Boże, to o wiele gorsze, niż gdyby po prostu się rozłączył. Czuję się, jakbym znów miała dziewiętnaście lat, a Whitney besztła mnie za zbyt bierną postawę: „Kto tu rządzi? Ty czy ktoś inny?”

– Jasne. W takim razie... Rozumiem, że chciałbyś zostać włączony w cały proces później, w bardziej dogodnym czasie. Kiedy wszystko sfinalizujemy, wyślę ci wstępne projekty, a potem będziemy ustalać szczegóły za pośrednictwem e-maili...

Czuję, że płoną mi policzki i słyszę, jak Jackie i Hazel rozmawiają za moimi plecami o stołach, rozmieszczeniu poszczególnych elementów i wszystkich tych rzeczach, za które odpowiadam. Czekam, aż Elliot się rozłączy, ale nie robi tego. Szeleści papierami. Może to ja powinnam się rozłączyć?

– Podasz mi adres?

Czyżbym zaczęła mieć omamy słuchowe z powodu zażenowania, które czułam przez ostatnie dwie minuty? Odruchowo zakładam, że to pytanie jest skierowane do klienta, którego właśnie obsługuje.

– Emma?

Zaciskam powieki. Wiem, że nie chciał tego powiedzieć w ten sposób. Pamiętam, że po prostu „tak ma”. Ale to, jak wymawia moje imię, sprawia, że serce przeszywa mi błyskawica bólu.

– Dwudziesta Pierwsza, tuż obok Weatherstone.

– Dotrę za dziesięć minut, ale będę miał dosłownie chwilę.

Kiwam głową, zanim zdaję sobie sprawę z tego, że przecież mnie nie widzi.

– Super – mówię, ale on już się rozłączył. Dla zachowania pozorów w obecności Hazel i Jackie dodaję: – Do zobaczenia wkrótce! Pa! – A potem odwracam się do nich z przyklejonym do ust sztucznym uśmiechem. – Będzie za dziesięć minut.

„Hazel i Jackie są szczęśliwe, i tylko to się liczy” – powtarzam sobie w myśli. Hazel pyta, czy nie napiłabym się kawy i zanim udaje mi się coś wykrztusić w odpowiedzi, jestem ponownie sama w opuszczonym budynku, podczas gdy moje klientki idą do Weatherstone.

Korzystam z okazji, aby się wyciszyć. Nie mogę odmówić Elliotowi pewnej racji. Gdyby to nie były Jackie i Hazel, tylko ktoś inny, sama powiedziałabym im, że nie angażujemy dostawców usług, zanim nie podpiszemy umowy na wynajem lokalizacji. Nie mówiąc już o tym, że nie wykonałabym tego telefonu, gdyby w grę wchodził inny usługodawca. Poza tym sama myśl o tym, że Hazel chce, aby Elliot miał wkład w ogólny projekt, a nie tylko w aspekt związany z ozdobami kwiatowymi, jest... niepokojąca. Powinnam przejąć większą kontrolę nad tymi spotkaniami.

Przechadzam się po sali baletowej, fotografując wszystko i próbując pozbierać myśli. Zatracam się we własnej wyobraźni, gdy w drzwiach pojawia się cień. Bez słowa wchodzi do środka, natychmiast rejestrując szczegóły i kalkulując ogrom pracy, jaką trzeba włożyć w doprowadzenie tego miejsca do porządku. Stoję po drugiej stronie ciemnego pomieszczenia, wstrzymując oddech, czekając, aż wyśmieje mój pomysł, wyszydzi mnie za to, że myślałam, iż mogę stworzyć salę balową z niczego.

Patrzę, jak odchyła głowę, lustrując sufit. Nic nie mówi, ale wyciąga z tylnej kieszeni spodni miarkę...

Wypuszczam z ulgą powietrze z płuc. Wiem, że jego umysł pracuje już na najwyższych obrotach – i to wszystko, czego potrzebuję.

Odzykuję głos i zaczynam wyjaśniać:

– Tam jest wejście na dach. Nie mam pojęcia, czy to się sprawdzi i czy dam radę to zorganizować, ale chciałobyśmy, aby przyjęcie odbywało się na dole, a tańce – na górze.

– Masz już kogoś od wynajmu sprzętu? – Chociaż mówi cicho, jego głos odbija się echem od ceglanych ścian, więc słyszę wyraźnie tę jego charakterystyczną wymowę. Śmiesznie akcentowane zgłoski.

– Jeszcze nie. Everlast ma cztery inne wesela tego dnia, więc być może będę musiała współpracować z firmą spoza miasta i zorganizować wysyłkę.

– Whitney ma cztery wesela siódmego października? – parska z niedowierzaniem. – Podałaś jej datę?

Czuję się koszmarnie ze świadomością, że z taką łatwością przyszło mu wyartykułowanie moich obaw, ale... Cóż, przynajmniej ze mną rozmawia.

– Whitney nie musi dostosowywać się do mojego harmonogramu.

– Ale ty masz dostosować się do niej? – Rozciąga miarkę wzdłuż długiej ściany po prawej stronie, robiąc notatki na skrawku papieru.

– To Whitney Harrison – argumentuję.

Spogląda na mnie – chyba po raz pierwszy, odkąd przyszło nam ze sobą ponownie współpracować. Pierwszy raz od dwóch lat. Mam irracjonalną, odruchową chęć poprawić włosy, kurtkę, makijaż. On naprawdę na mnie patrzy.

– A ty organizujesz ślub Hazel Renee – mówi spokojnie i nagle czuję w piersi dziwną, uskrzydlającą lekkość. To jak komplement. Jak przypomnienie, że ja też coś potrafię. Jestem coś warta.

Ale potem słyszę ponownie jego wypowiedź – jako całe zdanie, jako przyczynę i skutek. „To Whitney Harrison, a ty organizujesz ślub Hazel Renee”.

Znów jestem podejrzliwa: czy Whitney naprawdę mogła zrobić to celowo, jak sugeruje Elliot?

On z kolei opuszcza wzrok i spogląda na swoje notatki.

– A co z Michelangelo’s?

– Są na czarnej liście. – Słowa same padają z moich ust, zanim gryzę się w język i widzę, jak Elliot kręci z niesmakiem głową.

Są na czarnej liście. Wciągnięci na nią przez Whitney. Obsługują imprezy typu baby shower, studniówki i urodziny, cienko przedąc w branży ślubnej, ponieważ Whitney Harrison jest w niej potentatką i decyduje o tym, co jest *passé*, a co nie.

– To świetny pomysł – mówię. – Zadzwońię do nich dzisiaj. Dzięki.

Nie mówi, że nie ma za co, jak zrobiłby to normalny człowiek na jego miejscu. Ale i nigdy tego nie robił.

W drzwiach pojawiają się Hazel i Jackie, a ja czuję, że znowu mogę oddychać. Gdy się z nim witają, podejmuję przerwany wątek. Skupiam się na zachowaniu pewności siebie, przedstawiając mu swoją wizję, zanim Hazel zdąży zapytać go o zdanie. Obserwuję jego twarz, szukając oznak sprzeciwu czy dezaprobaty, czekając na skrzywienie warg, które oznaczałoby, że czuje się wykluczony. Jednak nic takiego nie następuje.

Kiedy wchodzimy na dach, widzę w jego oczach znajomy żar. Pasję. Jest zaintrygowany. Mierzy powierzchnię i sprawdza wysokość ścian, podczas gdy ja nadal peroruję. Ale znam to spojrzenie. Znam je aż za dobrze. Jest... zainspirowany.

Przerywa mi tylko raz.

– Parkiet taneczny – mówi – ma trzydzieści centymetrów grubości. Postaram się, aby był najcieńszy, jak się da, ale stracimy nieco wysokości ścian. Jeśli będzie miał więcej niż dwadzieścia centymetrów, to aby spełniać normy budowlane, będziemy musieli dosztukować ściany.

– Czy damy radę podnieść podłogę na całym dachu? – pyta Hazel, jakby podwyższanie podłogi było czymś normalnym.

– Ja... Przypuszczam, że moglibyśmy to rozważyć.

– Co pan na to, panie architekcie? – pyta Jackie, szturchając Elliota w ramię.

Czekam, aż ją poprawi i powie, że nigdy nie ukończył studiów. Zawsze był taki wrażliwy na tym punkcie... Ale on tylko poprawia zegarek na nadgarstku.

– Skończyłeś studia? – wypalam.

Po raz drugi tego dnia podchwytuje moje spojrzenie, piorunując mnie wzrokiem, po czym szybko wbija go w podłogę.

– Tak – śpieszy z uprzejmą odpowiedzią Jackie. – W zeszłym roku, prawda? I ma licencję. Jest teraz architektem z krwi i kości!

Hazel coś mówi – coś na temat tego, jak to się świetnie składa, ale ja przez chwilę nie słyszę nic oprócz białego szumu.

Opadam na oparcie fotela, spoglądając na niego siedzącego naprzeciwko mnie przy stole nakrytym dla dwojga.

– Myślę, że możesz wrócić, jeśli tylko naprawdę tego chcesz. Mają kilka opcji online dla stopni naukowych. Decyzja należy do ciebie, ale... sam to powiedziałeś – twój tata chciał, żebyś zdobył dyplom. I kto wie? Może w jakiś sposób da ci to przewagę, kiedy otworzysz pracownię. – Mrugam do niego chytrze, a gdy podnoszę kieliszek do ust, jego wzrok spoczywa na moich wargach.

– Tak, to możliwe. – Jego głos wrywa mnie ze wspomnień. Mrugam nieprzytomnie, podczas gdy on opowiada Hazel, jakie są dostępne opcje. Zrobił... dyplom? W moim żołądku pulsuje palący ból, niczym stara rana, która nigdy się nie zagoiła, ale biorę się w garść i skupiam ponownie na rozmowie.

– To nie będzie tanie – zastrzegam.

– Spokojna głowa – mówi Hazel. – Możemy pokombinować z budżetem.

Jackie odwraca się do Hazel i szepcze tak cicho, że ledwo ją słyszę:

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu? Wiesz, możemy też obejrzeć inne miejsca...

– Inne miejsca nie będą twoim starym studium tańca w rodzinnym mieście – mówi Hazel i całuje ją czule.

Ja czuję tymczasem, że zaczynam się pocić. To zawsze niesamowite, gdy parze podoba się coś tak bardzo, że chcą zrobić na to miejsce w budżecie, ale zdaję sobie sprawę, że to również wielka odpowiedzialność: nie mogę pozwolić sobie na najmniejsze potknięcie. Nie mogę sprawić, że pożałują, iż powierzyły mi tak wielką kwotę – tylko po to, żebym zaserwowała im spektakularną klapę. To musi być coś naprawdę niesamowitego.

Kiedy schodzimy na dół, mówię do Elliota:

– Chciałybyśmy poznać również twoje zdanie na temat sufitu.

Widzę, jak odchyła głowę i wodzi wzrokiem po nagich belkach.

– Chcecie prawdziwą kwiatową krainę czarów? W sali od góry, a na dachu od spodu? – precyzuje.

To naprawdę niezwykle, jak idealnie potrafimy czytać sobie w myślach, a gdy mi się to przypomina, serce ściska mi się z bólu i tęsknoty za tymi czasami, gdy robiliśmy to bezustannie.

– Myślałam o żyrandolach – wyznaję. – Ale powiedz mi, co o tym sądzisz.

– W projekcie mamy już różowe róże. Moglibyśmy zrobić żyrandole. Dodać do nich gipsówkę. Pierzaste chmurki jak na przyjęciu twojej mamy.

Mówi to ot tak, całkiem jakby od niechcienia. Jakby to nie był początek... tego wszystkiego. Jakby to była dla niego tylko praca, a nie pierwszy raz, kiedy poszliśmy na zaplecze – albo pierwszy raz, kiedy zapytałam go o jego tatuaże.

Hazel odrywa wzrok od sufitu, wbijając we mnie zaciekawione spojrzenie, podczas gdy Jackie pyta:

– Elliot współpracował przy ślubie twojej mamy? To słodkie!

– Taak, robiliśmy to kilka razy. – Odchrząkuję. – A czy masz jakąś alternatywę, gdybyśmy nie decydowali się na żyrandole?

Wskazuje na wysokie belki biegnące wzdłuż ceglanych ścian.

– Instalacje. Coś przypominającego drzewa. Duże kolumny, które przyciągną wzrok, zwieńczone czymś imponującym i rozłożystym. Być może nie będziecie chciały rezygnować z przestrzeni, ale jest też opcja wypożyczenia białych zasłon lub elementów namiotu od Michelangelo's.

– Imitacja namiotu na świeżym powietrzu! – wołam, obrzucając salę wzrokiem. – Jeśli dodamy oświetlenie na zewnątrz, uzyskamy

wrażenie nocnego nieba...

– Rany, chyba zemdleję z zachwytu! – śmieje się Jackie. – Gdy to opisujecie, brzmi tak cudownie! Czuję, że muszę to zobaczyć!

– Oczywiście – zapewniam ją, ściskając jej ramię. – Pozwolimy Elliotowi działać, ale przygotuję kilka projektów i wyślę mu, a on doda do nich kwiatowe dekoracje. To nie będzie łatwe, ale dzięki temu uzyskamy ogólny zarys całości.

Spoglądam na niego, aby się upewnić, że nasz stary sposób działania nadal mu odpowiada. Wbija wzrok w sufit i skubie kołnierzyk koszuli.

I wtedy to widzę. Tusz. Serce przestaje mi na chwilę bić. Nie wiem, czy jest na jego klatce piersiowej, czy ramieniu, ale spod kołnierzyka wystaje fragment tatuażu.

Nowego.

Ledwie rzucam na niego okiem, a już muszę odwrócić wzrok. Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach i niemal nie słyszę, co Jackie mówi do Elliota.

Świadomość, że ma tatuaż, na który nie mogę spojrzeć i którego nie mogę dotknąć... boli. Boli mnie, że nigdy nie będę mogła go zapytać, jaki wymarły kwiat ożył na jego skórze.

Przełykam dławiącą gulę, która uformowała się moim gardle, i udaje mi się wykrztusić, że owszem, pora się stąd zbierać. Czuję się... pusta. Żałuję, że to zobaczyłam.

Grzebię w torbie w poszukiwaniu klucza, żeby zamknąć drzwi, gdy czuję na łokciu czyjś dotyk. Kiedy się odwracam, widzę, że to Elliot – zatrzymuje mnie, podczas gdy Hazel i Jackie wychodzą na zewnątrz. Odchyła głowę, ponownie patrząc na sufit, a ja czekam. Sekundy ciszy wydają mi się wiecznością wypełnioną torturami. Co takiego chce mi powiedzieć na osobności?

– Musisz coś zrobić z nietoperzami – mówi wreszcie.

Wpatruję się w punkt, w który wbija wzrok. I – faktycznie. Są tam. Nietoperze. Robię głęboki wdech i dziękuję mu niezbornie.

Muszę zapomnieć o tatuażach i lekkim jak muśnięcie wietrzyku dotyku palców na moim łokciu.

Czeka mnie naprawdę ciężka praca.

Elliot

TRZY LATA, CZTERY MIESIĄCE, DWA TYGODNIE I DWA
DNI TEMU

Chyba przeszła samą siebie. Obsługiwałem sporo wesel i imprez w Old Sugar Mill, ale... coś takiego? W życiu.

Wynajęła namioty i jedwabne baldachimy, które sprawiają, że pomieszczenie wydaje się przestronniejsze. Gdzieś tam są poukrywane lampy, które rzucają wystarczająco dużo światła na sufit, aby przyciągnąć wzrok ku górze. Zamiast okrągłych postawiła na prostokątne stoły, a moim zadaniem jest jedynie dodanie do tego wszystkiego szczypty magii.

Wprowadzam właśnie wózek na salę, kiedy w końcu ją widzę. Ma w uchu słuchawkę i rozkłada na stołach winietki z nazwiskami. Macha do mnie, ale nie podchodzi, żeby się przywitać.

Nie mam nic przeciwko temu.

Ach, nieważne.

Przed nami mnóstwo pracy.

Zabieram wózek z powrotem na parking, aby załadować na niego więcej kwiatów. Zatrzymuję się na rozwidleniu, obok którego

przy znaku kierującym gości na salę ma stać kwiatowy kosz, kiedy pojawia się dosłownie znikąd, jak zwykle wręcz tryskając energią.

– O, super! Czy mógłbyś przynieść potykacz i go tu ustawić? Jest pod ścianą. – Wskazuje go i odchodzi, żeby zająć się czymś innym, z pewnością niecierpiącym zwłoki.

Zanim udaje mi się otworzyć usta, żeby zaprotestować, już jej nie ma. Wzdycham i z koszem w jednej ręce idę po potykacz. Kiedy go odwracam, widzę pięknie wypisane kredą nazwiska państwa młodych i datę ślubu wraz z odpowiednimi hasztagami. Stawiam go na ścieżce, a obok kosz. Poprawiam ich wzajemny układ, gdy słyszę stukot jej obcasów – wraca z parkingu.

– Cudownie! Czy mógłbyś przesunąć go odrobinę na prawo?

Posyłam jej gniewne spojrzenie przez ramię, ale zanim dociera do mnie na swoich krótkich nóżkach, przesuвам już tablicę zgodnie z jej instrukcjami.

– Fantastycznie. Czy możesz mi za chwilę posłużyć swoim... wzrostem? – pyta i idzie w stronę budynku.

– Wzrostem? – wołam w ślad za nią.

– Tak! Dosłownie na dwie sekundy! – odpowiada, odwracając się do mnie przelotnie w drodze do drzwi.

– Amo, potrzebujesz asystenta! – mówi do siebie, wymachując ręką nad głową, jakby czytała mi w myślach.

– Najlepiej wysokiego – dopowiadam pod nosem.

Wchodzę za nią do środka i szybko ją doganiam. Po drodze chwyta ze stolika źle złożoną serwetkę i, nie zwalniając kroku, podaje ją osobie odpowiedzialnej za nakrywanie do stołów, wskazując dokładnie miejsce, z którego ją wzięła.

– Whitney byłaby dumna – mówię nieco kpiącym tonem, ale najwyraźniej nie łapie przytyku.

– Serio? Naprawdę tak myślisz? – ogląda się na mnie i dodaje: – Dobrze dziś wyglądasz.

I tak oto całe moje skupienie i pewność siebie znikają bez śladu za sprawą trzech słów wypowiedzianych od niechcenia. Nerwowo przeczesuję włosy dłonią. Mam na sobie zwykłą koszulę w kratę i moje najlepsze džinsy, ale fakt, że w ogóle zwróciła uwagę na mój wygląd, oznacza, że i tak przesadziłem. Wiedziałem, że nie będę

musiał tu niczego budować, tylko przywieźć dekoracje i umieścić je w odpowiednich miejscach.

– W porządku – mówi Ama, wskazując w górę, na baldachim. – Tamte lampki się rozłączyły...

– Ama... Nawet ja nie zdołam do nich dosięgnąć. To jakieś trzy metry!

Kiwa głową.

– Racja. No dobra. W takim razie może mógłbyś mnie podsadzić, a ja...

– Zmiataj stąd. – Odganiem ją ręką. – Znajdę drabinę.

– Dzięki, dzięki, dzięki! – szczebiocze, ściska moje ramię i zanim udaje mi się rozgryźć, dlaczego nagle znalazła się tak blisko, cmoka mnie w policzek, a potem znowu znika – i całe szczęście, bo nie widzi rumieńca, który szybko występuje mi na szyję. Przesuwam knykciami po twarzy, licząc na to, że nie zostawiła śladu szminki, a potem patrzę, jak maszeruje do miejsca, w którym ma się odbyć ceremonia, zgarniając po drodze ze stołów jeszcze dwie źle złożone serwetki.

Gdy udaje mi się namierzyć drabinę, naprawiam lampki, a kiedy odnoszę ją do magazynku, Ama znowu wyrasta obok mnie jak spod ziemi.

– Boże, Elliot... – jęczy. – Spartaczyłam!

Niosąc pod pachą drabinę, oglądam się na nią przez ramię.

– Spartaczyłaś... co?

– Jest ich za mało! Źle obliczyłam... – Cała jest roztrzęsiona, strzela dziko oczami na boki i łamie jej się głos. – Mam na myśli dekoracje stołów...

Patrzę nad jej ramieniem w stronę stolików.

– Nie możesz rozmieścić ich jakoś... luźniej?

– I tak są już zbyt mocno rozproszone. – Przeczesa jej włosy dłonią, a ja staram się nie przyglądać zbyt ostentacyjnie, jak ponownie opadają jej na twarz. – To w zasadzie nie jest kwestia kwiatów, szczerze powiedziawszy. Tylko samych stołów. Kule i światła. Potrzebowałabym po trzy więcej na stół.

Zamykam drzwi magazynku i przesuwam się, żeby lepiej przyjrzeć się sali, w której ma się odbyć przyjęcie. Nie zobaczyłbym tego, gdyby mi o tym nie powiedziała, ale teraz widzę to wyraźnie.

– Nie chciałam po prostu, żeby na stołach było zbyt tłoczno, bo postawiłam na minimalizm, żeby uzyskać efekt większej, bardziej świetlistej przestrzeni. Wiesz, co mam na myśli? – pyta. – Ale teraz wydaje mi się, że powinnam była postawić na kwiaty. Masz w samochodzie coś zapasowego? Żeby poprzestawiać część aranżacji i trochę je rozproszyć?

– Gdy w grę wchodzi wazony, zawsze zabieram coś zapasowego, ale to kompozycje, więc...

Przygryzła wargę, obrzucając stoły pełnym rozpaczony wzrokiem.

– A czy nie mógłbyś wrócić do kwaciarni i przygotować czegoś na szybko?

– Przygotować na szybko? – powtarzam tępo. – Czy przyjęcie nie zaczyna się za godzinę? Sam powrót do sklepu zajmuje pół godziny...

– Ceremonia potrwa około czterdziestu pięciu minut. – Patrzy na mnie błagalnie szeroko otwartymi oczami. – Proszę, Elliot... To takie... żenujące. Myślałam, że dałam radę wszystko ogarnąć. Naprawdę. Marzyłam o zrealizowaniu tego projektu od trzech lat i...

– Tak, tak, jasne. – Biorę wózek i prowadzę go na parking, słysząc, jak wykrzykuje w ślad za mną podziękowania i przeprosiny, a jakaś chora częśćka mojego mózgu zastanawia się, czy kiedy wszystko się uda, da mi jeszcze jednego całusa.

Budynki Old Sugar Mill mieszczą się przy wąskiej drodze biegnącej wzdłuż rzeki Sacramento, więc nie mogę jechać zbyt szybko. Wracam do sklepu z głową pełną pomysłów. Wyciągam pudło z resztą wiader i kolejne, z mniejszymi. Miała dobry pomysł, jeśli chodzi o minimalizm, więc sądzę, że umieszczenie mniejszych wersji w pustych przestrzeniach dobrze uzupełni oryginalny projekt.

Pracuję na autopilocie przez dwadzieścia minut, dobierając mechanicznie białe róże i gałązki eukaliptusa. Gdy ładuję kompozycje na pakę furgonetki, do rozpoczęcia przyjęcia zostało dziesięć minut.

Kiedy wracam i zaczynam wyładowywać kompozycje na wózek, słyszę, jak ktoś czyta: „Miłość cierpliwa jest, miłość łaskawa jest” przez mikrofon w ogrodzie. Nie chcę zakłócać ceremonii skrzypieniem nienasmarowanych kół, więc nieskończenie powoli ruszam do bocznych drzwi sali, w której odbędzie się przyjęcie. Gdy

wchodzę do środka, Ama natychmiast mnie zauważa ze swojego miejsca pod szklanymi drzwiami, z którego obserwuje przebieg ceremonii. Wślizguje się do środka i podchodzi do mnie prędko, kiedy podjeżdżam wózkiem do pierwszego stolika.

– Mniejsze wersje. Nie będą tak przytłaczały...

– Są idealne! Boże, wygląda na to, że mój plan miał jednak jakiś sens... – Bierze ode mnie dwa wiaderka i idzie na drugi koniec stołu.

– Miał sens. Jest świetny – przyznaję.

Uśmiecha się do mnie.

– Wrzucić to na osobną fakturę? Prawdopodobnie będę musiała zapłacić za nie z własnej kieszeni...

Już, już mam zamiar zachować się bardzo wspaniałomyślnie i poinformować ją, że nie policzę jej za te dodatkowe dekoracje, ale wówczas widzę, jak obrywa płatek z jednej z róż. A potem jeszcze dwa.

– Ta jest zwiędnięta – kręci nosem, wyjmując z wiązanki cały kwiat.

– Nie jest zwiędnięta – protestuję. – To choroba grzybicza i...

– Chcesz, żebym zostawiła na stołach zagrzybione kwiaty?

– Użyłem tego, co mi zostało.

– A ja tylko poprawiam ich wygląd – stwierdza tonem nieznoszącym sprzeciwu. Podnosi dłoń do słuchawki w uchu i patrzy w stronę trawnika, na którym odbywa się ceremonia. – Jasne – mówi. – Będę za trzydzieści sekund. – Odwraca się do mnie. – Mógłbyś je porozstawiać? Mniejsze na środku, większe na końcach?

Otwiera drzwi i już jej nie ma. Przechodzę między stolikami, przestawiając dekoracje. Już prawie kończę, gdy Ama pojawia się ponownie, pytając:

– Nie masz może przypadkiem dwóch baterii AA?

Mrugam, zaskoczony.

– Nie.

– A czy mógłbyś o nie zapytać obsługę? Pilot do projektora nie działa. W zeszłym tygodniu zużyłam wszystkie AA i zapomniałam uzupełnić zapas...

Krzywię się i mówię:

– Ama, potrzebujesz asystenta.

– Mam dziś dwóch! – rzuca wesoło, jakby to rozwiązywało wszystkie problemy, po czym ponownie zamyka drzwi.

Zataczam ramionami małe kręgi w tył, żeby je rozluźnić i idę do sali z cateringiem, wpytując wszystkich pracowników o baterie. W końcu menadżerka lokalu lituje się nade mną i wyjmuje baterie z małej latarki, którą ma w torebce. Daje mi je, a ja idę prosto do Amy czekającej przy drzwiach.

– Coś jeszcze? – pytam, starając się brzmieć tak sarkastycznie, jak tylko się da, ale ona tylko się uśmiecha i mi dziękuje.

Kiedy zamyka drzwi, wyprowadzam wózek wzdłuż budynku, tym razem kompletnie nie przejmując się hałasem. Docieram na trawnik w momencie, w którym goście wstają, aby przejść do sali weselnej, i gdy tylko ostatnia osoba podnosi się z krzesła, zaczynam rozbierać kwiatowe dekoracje. Część z nich wykorzystam ponownie, a część przekażę bezpłatnie różnym instytucjom.

Gdy wszystko jest już na pace furgonetki, przystaję na parkingu. Wiem, że powinienem po prostu wsiąść za kierownicę i wrócić do kwiaciarni, a potem przyjechać po resztę rzeczy, gdy przyjęcie dobiegnie końca. Po południu ma przyjść kilka osób po kwiaty na sobotni wieczór, ale generalnie o tej porze jest dość spokojnie. Żadnych zamówień telefonicznych aż do poniedziałku. Żałuję tylko, że nie załapię się na darmową wyżerkę, ale ucieczka od szalonych próśb Amy i jej ust w kolorze burgunda jest w tej chwili większym priorytetem.

Zamykam klapę, gdy mój telefon wibruje. To SMS od Amy.

Zachomikowałam dla nas trochę kanapeczek.

Mógłbym odjechać. Powinienem odjechać.

Ale zamiast tego piszę do Bena z pytaniem, czy mógłby wpaść do kwiaciarni. Idę do bocznych drzwi i przechodzę przez gwarną teraz winiarnię, w której goście się tłoczą, aby wyżłopać jak najwięcej darmowego wina.

Czeka tuż za kuchennymi drzwiami, z serwetką z kilkoma maleńkimi przystawkami wyglądającymi jak quiche. Na mój widok oczy jej błyszczą i myślę przelotnie, że może faktycznie to warte tego całego zachodu. Wsuwam do ust jedną z przekąsek – okazuje się

zaskakująco smaczna. Tymczasem Ama rozmawia z kimś przez słuchawkę w uchu.

– Pycha, prawda? Jeszcze trochę zostało. Przyniosę.

Kiedy znika, nadal przeżuwa, próbując jednocześnie rozgryźć, czy jestem na tym przyjęciu jej osobą towarzyszącą.

Przez chwilę kręcę się po kuchni i spoglądam przez okno na główną salę. Wygląda przepięknie. Po tym, jak goście witają oficjalnie młodą parę, Ama wraca do mnie, kiwając mi głową, abym poszedł za nią korytarzem. W rękach trzyma dużą torbę.

– Jak myślisz, dobrze to wszystko wyszło? – pyta, otwierając drzwi do pomieszczenia, w którym przechowywane jest wino. Jest ogromne i puste, z wyjątkiem beczek ustawionych w piramidy pod ścianą.

– Tak. Miałaś rację co do dekoracji. Co to... Co to jest?

– Muszę do nich włożyć świece wotywnie – wyciąga z plecaka worek świec i plik papierowych toreb. – To ma być coś w rodzaju latarenek. Zapalą je na zewnątrz, gdy się ściemni.

– Dlaczego nie masz asystenta, który by się tym zajmował?

Otwiera torbę ze świecami i kładzie ją na płaskim denku beczki.

– Oni nadzorują catering. I to głównie moje młodsze przybrane rodzeństwo, więc nie ufam im w pełni, jeśli chodzi o ogień.

Czuję się wyczerpany, jakby wyssano ze mnie całą energię. I z jakiegoś powodu jest mi również niesamowicie głupio. Mimo że pełnię tu rolę po prostu jednego z jej dostawców usług, wykraczam poza zakres swoich obowiązków.

– Nie pomogę ci z tym – mówię szorstko, a ona podrywa wzrok.

– Nie ma sprawy. Musisz wracać, prawda?

Nie przerywa pracy, otwierając torby i prostując knoty, a ja jestem poirytowany, że nie może po prostu na chwilę przestać i dostrzec, jaki jestem na nią zły.

– Potrzebujesz innego asystenta. Najlepiej wysokiego. Bo nie mogę pojawiać się co sobota i pomagać ci w prowadzeniu twojej firmy.

– Pewnie, że nie. Masz absolutną rację. – Uśmiecha się promiennie, co jeszcze bardziej mnie wkurza.

– I wystaw mi rachunek za lekcje reklamy i marketingu, których udzieliłyście mi z Mar w zeszłym miesiącu – dodaję. – Doceniam

wartość tych nowych zdjęć na stronę internetową i Instagram, ale nie mogę pozwolić, żebyś tak po prostu wpadała do mnie jak burza i przejmowała kontrolę nad moją kwiaciarnią – mówię ostrym tonem, a ona w końcu przerywa pakowanie świec.

– Dobrze. Ja...

– I przestań przynosić do mojej kwiaciarni te cholerne pączki! – Celuję oskarżycielsko palcem wskazującym w jej twarz. – Nie jadam tego szajsu. Są obrzydliwe. A ty za każdym razem zostawiasz pudełko...

– A zjadłeś choć jednego, żeby móc twierdzić, że są obrzydliwe? – Wspiera ręce na biodrach.

– Są... nieprofesjonalne, Ama. Nie chcę, żebyś je do mnie przynosiła.

Zaciska szczęki, a w jej oczach zapala się jakaś iskra.

– Cóż, nie zobaczysz już w swoim przybytku ani ich, ani mnie – mówi ostro. – Jest mnóstwo innych kwiaciarni...

– Och, daj spokój! – parskam. – Myślisz, że w Relles będą się nad tobą użalali? Że będą na każde twoje skinienie, że odpowiedzą na wiadomości wysyłane w środku nocy?

Wybuchają śmiechem, a jej ciemne oczy lśnią psotnie.

– Jeśli nie chcesz, żebym ci zawracała głowę w nocy, Elliot, zawsze możesz po prostu odpowiedzieć rano. – Mrużę oczy, ale nie daję mi dojść do słowa. – To, co robisz, wcale nie jest takie wyjątkowe, jak ci się zdaje. Łuki ślubne i żyrandole mogę zamówić w San Francisco, oszczędzając sobie przy tym nerwów.

– Nerwów? A więc twoim zdaniem to ja wprowadzam nerwową atmosferę? To ty siejesz zamęt!

– Nie sieję zamętu!

– Siejesz, właśnie teraz!

Obchodzi beczkę, celując we mnie palcem, a ja mam ochotę chwycić ją za ramiona i nią potrząsnąć.

– To ty wpadłeś w złość z powodu kilku głupich świec! Po prostu... Może lepiej będzie, jak już pójdziesz. I wyślij mi pieprzony rachunek za cały ten czas, który dziś przeze mnie zmarnowałeś.

Już, już mam się odwrócić i wymaszerować, ale zamiast tego podchodzę do niej.

– Znajdź sobie pieprzonego asystenta – cedzę. – Zamiast prosić pierwszego lepszego frajera, którego możesz zbajerować, trzepocząc do niego rzesami, żeby skakał za ciebie po drabinach... – Na dźwięk moich słów zaczerpuje gwałtownie tchu, wyraźnie wzburzona. – Albo przeprojektowywał dla ciebie stoły na przyjęciu.

– Och, moje biedactwo! – parska szyderczo. – Dopisz koszty poniesionych szkód emocjonalnych do faktury. Zapłacę ci sto dolarów za dzisiejsze trudy poszukiwania baterii. I wiesz, co jeszcze? – pyta lodowatym tonem, a mi krew tętni w skroniach tak mocno, że niemal nic nie słyszę. – Dam ci gratis profesjonalną radę: nie dawaj każdej dziewczynie, która trzepocze do ciebie rzesami, rzadkiego południowoamerykańskiego kwiatu. Bo szybko splajtujesz.

Moja pierś faluje gwałtownie w rytm nierównego oddechu. Jestem tak blisko niej, że mógłbym ją pocałować, gdybym tylko zrobił krok naprzód.

I wygląda na to, że ona myśli dokładnie o tym samym, bo nagle zaciska dłonie na moich ramionach, a gdy chwytam ją w talii, oplata dłońmi moją szyję i przywiera do mojego ciała.

Gdy przyciska usta do moich ust, moją klatkę piersiową wypełnia nagły żar i wplątam palce w jej włosy – desperacko, jakbym chwycił się liny ratunkowej. Pod wpływem impetu uderzenia jej ciała o moje zataczam się w tył, aż trafiam plecami w ceglana ścianę. Słyszę własny gardłowy jęk.

Ama chciwie przyciąga moją głowę do swojej, napierając na mnie całym ciałem jeszcze mocniej i unieruchamiając mnie przy ścianie. Całuje mnie zachłannie, namiętnie, a ja mam irracjonalną ochotę przerwać jej i zapytać: „Które z nas to zaczęło?”, ale jej palce szarpią moje włosy, a język wślizguje się do moich ust i nagle kręci mi się w głowie.

Z jej gardła wydobywa się cichy jęk, skamlenie i odchylam jej głowę, nachylając się, aby pocałować ją mocniej, a potem ponownie; przesuwam ręką po jej talii, podczas gdy nasze języki tańczą i splatają się ze sobą.

Czuję na ustach jej gorący oddech, gdy przerywa pocałunek, cofając na chwilę głowę, a kiedy otwieram oczy, przygotowuję się na najgorsze – na widok paniki w jej spojrzeniu... albo nawet drwiący uśmieszek. Ale nim jeszcze moje powieki unoszą się do końca, jej

usta lądują już na moim policzku, dokładnie w tym samym miejscu, w którym pocałowała mnie wcześniej dzisiejszego popołudnia.

Czuję ucisk w kroczu i wiem, że ona też to czuje. Tak blisko mnie wyczuwa każdą reakcję mojego ciała.

Kiedy jej zęby przygryzają skórę na mojej szyi, z mojego gardła wydobywa się ponownie jęk i otaczam ją ramionami, żeby przyciągnąć do siebie jeszcze bliżej. Zaczyna ssać moją szyję tuż nad kołnierzykiem, a ja mam wrażenie, że lada chwila zemdleję.

– Ama...

Wpija kurczowo palce w moją ramiona i pojękuje cicho, podczas gdy ja przesuwam dłonie wzdłuż jej kręgosłupa, coraz niżej i niżej, a kiedy jej plecy wyginają się w idealny łuk, napieram na nią agresywnie biodrami. Dyszy w moją szyję i pośpiesznie wraca ustami do moich ust.

Nie mogę się zmusić, aby zsunąć ręce na jej pośladki – jej cudowne, boskie pośladki; nawet nie wie, jak bardzo pragnę je dotykać. Całuję ją ponownie, nie siląc się nawet na finezję czy czułość, bo totalnie zatracam się w uczuciu naporu jej ciała na moje, smaku jej ust i miękkości jej roztańczonego języka. Jej usta stają się coraz bardziej natarczywe, jej zęby kłują moje wargi. Ledwo mogę oddychać.

Zsuwa dłonie z moich ramion i zaczyna podciągać moją koszulę, coraz wyżej i wyżej, a potem muska palcami mój nagi brzuch.

Mój członek jest twardy jak skała. Opuszczam dłonie jeszcze niżej, muskając jej plecy opuszkami palców, a potem dociera do mnie, że już do końca życia mógłbym ograniczać się do artykułowania pojedynczych, niezbornych sylab i przeciągłych jęków.

Czuję, jak jej dłonie obejmują mnie w pasie, a potem słyszę szczęk rozpinanego paska.

Chwytam ją za biodra i odsuwam od siebie. Odrywa usta od moich ust, a ja szybko się cofam.

– No dobra, w porządku – mamrocze. – Hm, tak...

– Co się stało? – pyta, zdyszana. Chciałbym zobaczyć jej twarz – przekonać się, czy oczy jej błyszczą, czy jest zarumieniona, jak wyglądają jej usta po naszym pocałunku. Ale wiem, że jeśli na nią spojrzę, dojdę. Jeśli jeszcze przez sekundę będę trzymał ręce na jej ciele, będzie po mnie.

Mówię więc pierwszą głupią rzecz, która przychodzi mi do głowy:

– Jesteś odpowiedzialna za organizację tego przyjęcia, tak?

Próbuję złapać dech, a ona parska z niedowierzaniem:

– Słucham?

– Nie musisz przypadkiem wracać do gości?

Kurwa, mój kutas jest taki boleśnie twardy... Napiera na rozporek, podczas gdy mój rozpięty pasek zwisa żałośnie, jakby jawnie ze mnie drwił.

– Żartujesz sobie? – pyta ostro. Gniewnie.

Przymykam oczy i odwracam się do niej, opierając się mocno o ścianę.

– Przepraszam. Ja po prostu... Chyba zaraz dojdę.

Znowu mam wrażenie, że jestem z powrotem w pierwszej klasie szkoły średniej i dowiaduję się od Madison Bailey i grupy jej przyjaciół, że doście podczas gry wstępnej to wstyd. Kurwa, naprawdę muszę przestać wspominać Madison i jej głupie rady.

Słyszę, że Ama szura nogami i mam nadzieję, że idzie do drzwi. Po chwili jednak czuję tuż obok żar jej ciała.

– Hm, chyba właśnie o to w tym chodzi, czyż nie? – Czuję na szyi jej gorący oddech, a kiedy otwieram oczy, jest tylko gorzej. Jest zarumieniona, elektryzująco piękna. Szminka na jej wargach jest nietknięta – nie rozmazała się ani odrobinę – ale w jej ustach jest coś, co sprawia, że widać na pierwszy rzut oka, że właśnie się całowaliśmy.

Sięga nieskończenie powoli do mojego rozporka.

– Pójdzie naprawdę szybko – ostrzegam ją, ale ona tylko się uśmiecha.

– To dobrze. Bo muszę wracać na przyjęcie...

Odchyła głowę, aby znów mnie pocałować, i w ciszy rozlega się dźwięk rozsuwanego rozporka. Oddycham szybko, płytko, ale gdy ją całuję, staram się to robić powoli, nawet jeśli trochę niezdarnie. Sięga do moich dżinsów i z płuc uchodzi mi całe powietrze.

– Och... – szepcze. Jej palce błędzą po tkaninie moich slipów i ledwie jestem w stanie rozchylić powieki, ale zaczynam panikować.

– Co takiego? O co chodzi?

Dostrzegam, że wbija zamglony wzrok w okolice mojego podbródka. Jej usta rozciągają się w marzycielskim uśmiechu

i gdybym się nie bał, że zaraz powie mi, że coś jest nie tak z moim kutasem, pocałowałbym ją ponownie. Przesuwa po nim palcami i znowu trzepocze rzęsami, a ja mam ochotę zrobić to samo.

– Wszystko w jak najlepszym porządku – mówi z uśmiechem. – Naprawdę okej.

Spogląda na mnie, uśmiechając się dziwnie, tajemniczo, a ja z pewnością mam minę, która mówi jej, że kompletnie nic z tego nie rozumiem.

– Jest po prostu w sam raz – wyjaśnia, a jej policzki pokrywa rumieniec. Zaczyna pocierać go przez slipy – delikatnie, ale stanowczo. Wpatruje się we mnie, a ja nie mogę odwrócić wzroku. Nie, kiedy dotyka mnie w ten sposób.

– Ach, tak. Tak. Ja... – jąkam się bez składu i ładu.

A potem ona wsuwa dłoń do moich majtek i znów jestem na krawędzi szczytowania. Ujmuję jej twarz w dłonie i przyciągam do siebie, żeby ją pocałować. Czuję, że się uśmiecha. Owija palce wokół mojego sztywnego penisa i zaczyna przesuwając nimi w górę i w dół.

Chcę się z nią pieprzyć. Wiem, że pewnego dnia będę to robił i doprowadzę ją do szaleństwa. Ma otwarte usta, skwapliwie przyjmuje w nie mój język, którym smakuję chciwie każdy ich zakamarek. Moje biodra drgają spazmatycznie, napierając na jej uda. Jeszcze nawet nie zaczęła na dobre, a ja już dochodzę. Wydaję z siebie jęk, a ona ściska mnie mocniej, jej dłoń pracuje szybciej.

– Elliot... – jęczy i... To dla mnie koniec.

Pod moimi powiekami rozlewa się morze bieli. Mój umysł eksploduje kolorami i dźwiękami. Spuszczam się w dżinsy, podczas gdy jej dłoń wciąż masuje mojego członka, jej słodki oddech owiewa moją twarz, a wargi delikatnie muskają kącik moich ust.

Kiedy wreszcie udaje mi się otworzyć oczy, wyciąga rękę z moich dżinsów. Chwytam ją za nadgarstek i wycieram jej palce w wewnętrzną stronę mojej koszuli. Rozchyła wargi, żeby coś powiedzieć, ale nie daję jej dojść do słowa: odwracam nas, przypieram ją do ściany i wpycham jej język do ust. Wzdycha, a ja całuję ją mocniej, głębiej. Sięgam do rąbka sukienki i podciągam do pól uda.

Czuję, jak jej przyciśnięte do mojego policzka usta rozciągają się w uśmiechu, gdy pochylam głowę, żeby pocałować ją w szyję.

– Muszę wracać na przyjęcie – protestuje, ale słyszę w jej głosie żal i wahanie.

– Potrafię być szybki – szepczę jej kusząco do ucha. Podciągam jej sukienkę do pasa i w końcu kładę dłonie na jej tyłku. Jęczy, a ja przygryzam wrażliwą skórę na jej szyi w miejscu, pod którym tętni puls, wsuwając palce pod koronkę jej majteczek.

Skądś dobiega cichy sygnał i nim udaje mi się skojarzyć, co właściwie słyszę, sięga do słuchawki, która wciąż tkwi w jej uchu, i jej dotyka.

– Tu Ama. – Nie słyszę, co mówi jej rozmówca, ale ona odpowiada: – Świetnie. Już tam idę.

– Nie rób tego... – protestuję, gdy kończy połączenie. – Pozwól mi, proszę, to zrobić... Będę naprawdę szybki.

– Muszę iść – powtarza z uporem. – Trzeba kopnąć w tyłki cateringowców. – Uśmiecha się i przeczesuje włosy dłonią.

Przesuwam palcami po pasku koronki na jej brzuchu.

– Wierz mi, mógłbym...

Chwyta mnie za podbródek i mocno całuje. Wiem, że to pożegnanie, ale muszę spróbować.

– Chcę... Muszę wiedzieć, jak bardzo jesteś mokra – szepczę w jej usta. Muszę wiedzieć... – Moje palce tańczą po koronce.

W jej oczach zapalają się ciepłe ogniki, a kąćki ust unoszą się w psotnym uśmiechu, gdy mówi:

– Następnym razem.

Odpycha mnie lekko, a ja cofam się niechętnie. W dzinsach mam bałagan, którym powinienem się zająć – raczej wcześniej niż później – ale nie chcę, żeby to się skończyło. Jeszcze nie.

Ona jednak obciąga sukienkę, strzepuje ją i już jest gotowa do wyjścia. A ja nagle wstydzę się tego, jak różne były nasze doświadczenia z kilku ostatnich chwil. Nie powinienem był jej pozwalać się mną zająć, dopóki jej nie zaspokoję.

Ale gdy uśmiecha się do mnie przez ramię, otwiera drzwi i wychodzi, w uszach wciąż brzmi mi echo jej słów: „Następnym razem”.

Stoję bez ruchu przez kilka kolejnych chwil, próbując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło i jak sprawić, żeby... Cóż, aby to się powtórzyło. Wkładam dwadzieścia świec wotywnych do toreb, po

czym ukradkiem wracam do furgonetki, modląc się w duchu, aby moje ciuchy na siłownię wciąż były pod siedzeniem.

Ama

MAJ

Budzę się gwałtownie z bardzo przyjemnego snu. Elliot i ja byliśmy ponownie w Old Sugar Mill podczas ślubu Robinsonów. Ale tym razem to on padł przede mną na kolana – tak prędko, że nie zdążyłam nawet mrugnąć. Nadal zaciskam kurczowo palce na pościeli, która we śnie była jego włosami.

Klepię się dłońmi w policzki, żeby się rozbudzić, i przecieram oczy. Może to dlatego, że nie widziałam go ani nie słyszałam jego głosu od trzech tygodni? Jego ponowne niespodziewane pojawienie się w moim życiu w tak stresującej sytuacji, jaką jest organizowanie ślubu Jackie i Hazel, sprawiło, że nie miałam czasu na przetworzenie swoich emocji. Ani uspokojenie mojego libido.

Zawsze uważałam go za atrakcyjnego mężczyznę. Nawet gdy miałam dwadzieścia lat i podążałam za Whitney jak szczeniak. Rozpakowywał dekoracje, podczas gdy jego tata rozmawiał ze wszystkimi wokół, a ja czasami celowo wchodziłam mu w drogę, żeby zmusić go do powiedzenia „przepraszam”. Nie znałam go wtedy na tyle dobrze, aby wiedzieć, że to słowo nie figuruje w jego słowniku. Zazwyczaj mówił po prostu „przejdź”.

Ale teraz, gdy przebywam znów blisko niego, słyszę jego głos, czuję zapach jego wody po goleniu, żelu pod prysznic czy czegokolwiek innego – czuję się tak, jak wtedy. Wrócił do mojego życia na kilka tygodni, a potem znowu zniknął. I najwyraźniej już nigdy nie będzie tak, jak dawniej. Będę musiała żyć ze świadomością, że już nigdy nie poczuję jego palców w moich włosach i że na jego skórze pojawił się tatuaż, którego moje usta nigdy nie dotkną.

Besztam się w duchu, że z podobnych tęsknych rozmyślań nie przyjdzie mi nic dobrego. Tego ranka mam go zobaczyć ponownie, a przechodzenie od stanu „napalona” do „rozżalona” nie jest zbyt dobrym sposobem na rozpoczynanie dnia. Odrzucam kołdrę i wskakuję pod prysznic.

Dzisiaj mamy ustalać szczegóły dotyczące poszczególnych lokalizacji. Kilku moich najlepszych dostawców spotka się ze mną najpierw w domu rodziców Jackie, w którym będzie brunch, następnie w restauracji Firehouse w Old Sacramento, gdzie odbędzie się próbna kolacja, a potem razem z George'em z Michelangelo's Event Rental musimy wpaść do budynku, w którym planujemy zorganizować przyjęcie. Nie ma potrzeby straszyć pozostałych jego stanem.

Załatwiłam już za pośrednictwem Hala odpowiednie pozwolenia. Jedyna rzecz, z którą mam problem, to zamknięcie ulic wokół parku, ale jakoś to ogarnę.

Wsiadam właśnie do samochodu, kiedy dzwoni telefon, więc włączam słuchawkę i odbieram.

– Cześć, złotko – rozlega się śpiewny, słodki głos mojej mamy.

– Hej! – odpowiadam. – Co słychać?

Tak naprawdę wiem już, co słychać – i nadal czuję niesmak, gdy wspominam gówniane święta wielkanocne, które spędziłam w domu jej obecnego (jeszcze) męża.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że między mną a Carlem... Cóż, najwyraźniej się nie ułoży.

Kiedy wyjeżdżam z podjazdu, automatycznie przestawiam się na tryb, który wypracowałam do perfekcji na przestrzeni lat.

– Co takiego? O nie! To straszne! Co się wydarzyło?

– Wiesz, jak to jest. Coś... było po prostu nie tak. Trudno mi było to dostrzec, ale teraz, kiedy już o tym porozmawialiśmy, czuję się o wiele lepiej.

– Był jednym z tych fajniejszych, ale wiesz co? Ty też jesteś świetna – recytuję jak wykutą na blachę formułkę.

– Tak, tak, jasne – odpowiada nieco tęsknie. – Jake naprawdę cię polubił. Powiedział, że mógłby ci pomagać przy kolejnych weselach, gdybyś potrzebowała jego pomocy.

– Pewnie! – mówię, przewracając oczami. Trafi do mojego wizytownika, tak jak reszta mojego przybranego rodzeństwa.

– Wyprowadzam się dzisiaj i zabieram tylko kilka rzeczy. Czy mogę wpaść do ciebie na kilka dni, dopóki nie znajdę nowego mieszkania?

Robię głęboki wdech. Zawsze to samo – wiecznie ten sam schemat. Mama wprowadza się do mnie na tydzień. Kupuje nowy dom. Poznaje nowego faceta i się wyprowadza. Wychodzi za nowego faceta i sprzedaje dom. Rozwodzi się z nowym facetem. Wprowadza się do mnie. I tak w kółko.

– Oczywiście. Jestem dziś zawałona robotą, ale będę w domu późnym popołudniem. Możemy wyskoczyć na chińszczyznę.

– Cudownie! Będę za jakąś godzinę. Mam klucze – mówi.

– Super. Tylko... Nie sprzątaj mojego pokoju. A jeśli już to zrobisz, nie chowaj znowu wibratora.

– Nie schowałam go, Ama. Położyłam po prostu w szafie, żeby w razie czego nie natknął się na niego żaden z twoich gości...

– W porządku, zatem nie dotykaj, proszę, moich zabawek erotycznych. Kocham cię, pa!

Rozłączam się. Cynthia Jones, kobieta, która nie potrzebuje wibratora. Ponieważ pozostaje w związku przez dziewięćdziesiąt procent swojego dorosłego życia. I to wciąż z kimś nowym, więc nie ma czasu na to, żeby się znudzić.

Zaglądam do pana Kwona w J Street Donuts, a on pakuje moje zamówienie, zanim jeszcze drzwi zamkną się za mną na dobre.

Rodzice Jackie mieszkają około dwudziestu minut jazdy od Ogrodu Różanego, w dość eleganckiej dzielnicy Sacramento o nazwie Carmichael. Podjeżdżam do pięknego piętrowego domu

i notuję w myśli, żeby zapytać Jackie, czym zajmują się jej mama i tata. Dom wygląda naprawdę okazale.

Jej mama, Kim, przytula mnie mocno na powitanie, utyskuje, że pączki to stanowczo za wiele cukru, ale bierze tego z nadzieniem budyniowym i czekoladową polewą. Jackie wita mnie w kuchni.

– Ten dom jest cudowny, kochana! Dorastałaś tutaj? – Biorę z pudełka małego pączka i opieram się o wyspę kuchenną.

– Tak! Ale jestem pewna, że to nic w porównaniu z domem, w którym dorastałaś ty, panno St. Joseph's!

Wzruszam ramionami. Mój dom z dzieciństwa w niczym nie przypominał tego, ale był przytulny. Kim sięga po kolejnego pączka, ujmuję mnie za łokieć i dziękuje wylewnie za wszystko, co robię dla jej córki.

– Jacqueline jest tobą absolutnie zauroczona – mówi z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko, ale mam pewną małą prośbę...

– Oczywiście. Nie ma najmniejszego problemu!

Kim kładzie dłoń na sercu.

– Mamy pewną... rodzinną pamiątkę, którą chciałabym jakoś wpleść w ślubne dekoracje. To balia, którą można by wykorzystać jako... na przykład w charakterze zbiornika?

– Może wkomponujemy ją jakoś w przyjęcie? – wtrąca Jackie. – Moglibyśmy wypełnić ją lodem i umieścić w niej butelki z napojami.

– Brzmi... o wiele bardziej elegancko niż plastikowa beczka. Nie ma sprawy. – Śmieję się. – Hazel wspominała mi już o tym, że planujecie zaserwować gościom między innymi piwo rzemieślnicze, więc może faktycznie wyeksponujemy butelki w balii.

Kim spleta dłonie. Wygląda, jakby lada chwila miała się rozplakać.

– Byłoby naprawdę cudownie. Mój tata zmarł zaledwie kilka lat temu...

Ściskam jej dłoń i pozwalam, aby opowiedziała mi o nim kilka historii.

Kiedy piekarnik zaczyna piszczeć, Kim idzie po bułeczki cynamonowe, które przygotowała. Odwracam się do Jackie.

– No dobrze. Zanim dotrze reszta, opowiedz mi może, jak byście to widziały...

Ignoruję ukłucie niepokoju w klatce piersiowej, które się pojawia, gdy przypominam sobie, że do „reszty” należy również Elliot, i drepczę za Jackie na korytarz.

– Pomyślałam, że przyjmimy gości w salonie, bo jest połączony z jadalnią – mówi Jackie, prowadząc mnie do pokoju o wysokich sufitach, zastawionego meblami, które wyglądają, jakby właśnie zdjęto z nich pokrowce.

– Wow! Niesamowite wnętrze. – Przesuwam wzrokiem po ceglany kominku i idealnie napuszonych poduszkach. Faktycznie, są tu przeszklone drzwi prowadzące do jadalni, która łączy się z kuchnią. – Byłoby idealnie. Otworzymy drzwi i ustawimy na środku długi stół...

Kiedy rozmawiamy o miejscach parkingowych i liczbie gości, rozlega się pukanie do drzwi frontowych, które po chwili uchylają się nieśmiało. Widzę na klamce po drugiej stronie jego dużą dłoń i odwracam wzrok, zanim wejdzie do środka.

Zjawia się dziesięć minut wcześniej, tak jak nauczył go ojciec.

Jackie zostawia mnie na chwilę, aby się z nim przywitać. Słyszę, jak Kim pyta o jego matkę, ale nim przebąkuje coś w odpowiedzi, zaczyna już oprowadzać go po domu, wyjaśniając, w których miejscach chciałaby ustawić kwiaty.

Jackie wraca tymczasem do mnie, kręcąc żartobliwie głową.

– O cokolwiek prosi, zgadzaj się tylko na połowę – mówi. – W porządku, na czym skończyłyśmy?

– Twoja mama ma fantastyczny gust. To piękny dom. Cudowne wnętrza. Muszę tylko porozmawiać z firmą wynajmującą sprzęt, czego będziemy potrzebowały.

Słyszę, jak Elliot śmieje się z czegoś, co powiedziała mama Jackie, i kompletnie się rozpraszam. Kim nadal pokazuje mu dom i w końcu widzę go ponad ramieniem Jackie. Tak rzadko się uśmiecha... Minęła cała wieczność, odkąd widziałam go uśmiechniętego, i tak bardzo pragnę, aby uśmiechnął się do mnie! Szybko przywołuję się do porządku i podchodzę do okna na tyłach, żeby obrzucić wzrokiem podwórko.

Po chwili dołącza do mnie Jackie. Oglądając się na Elliota, zagaduje:

– No to... spotykasz się z...

Odwracam głowę w jej stronę tak szybko, że słyszę trzask własnych kręgosłupów szyjnych.

– Z nim? – pytam, nim jeszcze kończy mówić. – Na Boga, nie! – Śmieję się niemal histerycznie. – Dlaczego sądzisz, że ja... my... Nic podobnego! Nie jesteśmy razem.

Jackie mruga ze zdziwieniem i otwiera usta.

– Ja, eee... Nie, chciałam po prostu zapytać, czy się z kimś spotykasz. Tak ogólnie. Czy kogoś masz.

Zwieszam ramiona i pocieram z zakłopotaniem czoło.

– To znaczy, no wiesz – gdybyście byli razem, byłoby super, jeśli chcesz znać moje zdanie! Wiem, że on nikogo teraz nie ma.

– Przepraszam – mamroczę. – Ja... – Wykonuję bliżej nieokreślony gest ręką, szukając w myśli czegoś, na karb czego mogłabym złożyć moją głupią pomyłkę. – Chyba po prostu mam za dużo na głowie. Nie, nie spotykam się teraz z nikim.

– Złe doświadczenia? – zgaduje Jackie, na co uśmiecham się z przymusem.

– Coś w tym stylu. Długoterminowe związki to chyba po prostu nie moja bajka.

– Seks bez zobowiązań też jest spoko – rzuca psotnie, a gdy podążam za jej wzrokiem, widzę nieuchronnie Elliota słuchającego uważnie jej matki perorującej na temat chryzantem i goździków. Gdy wyczuwa na sobie nasze spojrzenia, spogląda w naszą stronę. Odwracam wzrok, a Jackie macha ręką. – Wybacz. Hay i ja założyłyśmy się o to, kiedy się ze sobą spikniecie.

Cudownie. A więc uznały, że moje skrajne przerażenie i małomówność w jego obecności to widoma oznaka tego, że na niego lecę.

– No to chyba z waszego zakładu nici – mamroczę słabo pod nosem. – Bo nie ma takiej opcji.

– Nie jest w twoim typie?

Mój zdecydowanie nieskłonny do współpracy umysł podsuwa mi wspomnienia dzisiejszego snu, w którym wsparta plecami o ceglana ścianę Old Sugar Mill zarzuciłam mu nogę na ramię. A potem do tej wizji, jak na złość, dołączają bardzo realne wspomnienia – zmiażdżone płatki róż przyklejające się do mojej skóry, liście w jego włosach, jego język błędzący po moim ciele...

– Właściwie to nie mam swojego „typu” – mówię, siląc się na lekki ton, a potem odwracam się na pięcie i ucinam tę niedorzeczną rozmowę. To... niestosowne. Jeśli nawet Elliot lub Kim zauważają rumieniec na moich policzkach, nie komentują.

Po tym, jak George z Michelangelo's obejrzał pomieszczenia, a ja wysłuchałam kilku sugestii jego i Elliota na temat tego, co można by zaaranżować, opuszczamy dom Nguyenów, wsiadamy do swoich aut i jedziemy do restauracji Firehouse. Proponuję Jackie, że ją podrzucę, i widzę wyraźnie, że szuka dobrego powodu, aby znów wsadzić mnie i Elliota do jednego samochodu. Na szczęście nic nie przychodzi jej do głowy.

George organizował już jedno przyjęcie w Firehouse i wie, jakie mają możliwości. Elliot wcześniej robił dla nich dekoracje, ale nie zajmował się instalacjami. Jest przygotowany – ma w dłoni miarkę, żeby pomierzyć framugi i kąty.

Uwielbiam kolacje próbne, kiedy wszystko jest jasne i proste. Mniej gości, mniej niepowtarzalnych chwil, więcej alkoholu. W rzeczywistości zarówno brunch u Nguyenów, jak i próbna kolacja zapowiadają się cudownie, ponieważ nie obejmują gości z listy agentki Hazel, której wymagania przyprawiają mnie o ból głowy, pomimo mojego podekscytowania możliwością spotkania Anyi Taylor-Joy.

Różana ściana, którą Elliot buduje na przyjęcie, zostanie przywieziona dzień wcześniej, a on dostarczy później resztę dekoracji. George załatwi czarno-złote balony i tabliczki. To już mamy ustalone.

Teraz nadchodzi pora na trudniejszą część.

Gdy stoimy na parkingu restauracji, zwracam się do Elliota:

– Skoczmy teraz we trójkę do budynku przy Dwudziestej Pierwszej, aby pokazać George'owi, na czym stoimy. – Mrugam, oślepiona słońcem, podnosząc dłoń do oczu, żeby osłonić je przed blaskiem. – Więc w zasadzie jesteś już wolny. Wiesz, jak to wygląda i...

– Och, ale możesz oczywiście jechać z nami! – świergocze Jackie.

– Tak, hm, jasne – wtrącam szybko. – Możesz jechać, ale wiem, że jesteś zajęty i... – Podchodzę śpiesznym krokiem do

samochodów, zanim Jackie zdąży dodać coś jeszcze. – George, chcesz jechać z nami? Trudno tam o miejsca parkingowe, a ja w razie czego mogę cię po wszystkim odwieźć...

– Mogę jechać z wami, czemu nie – rozlega się głęboki głos Elliota niedającego George'owi szansy na odpowiedź.

Niemal nie trafiam kluczykami do zamka, skrobiąc nimi o lakier na drzwiach samochodu. Gdy oglądam się na Elliota, wzrusza ramionami, trzymając ręce w kieszeniach. Jackie wygląda, jakby miała lada chwila eksplodować, a George ma otwarte usta, jakby chciał coś powiedzieć – gdyby tylko ktoś raczył zwrócić na niego uwagę.

– Cudownie! Ekstra! – piszczę niczym postać z kreskówki. W końcu udaje mi się otworzyć samochód i z przerażeniem patrzę, jak George i Elliot rywalizują o miejsce na siedzeniu pasażera z przodu. George jest pulchniejszy, ale Elliot ma dłuższe nogi, więc tak naprawdę walka jest wyrównana. W końcu George siada z przodu, Jackie wślizguje się na tylną kanapę po stronie pasażera, a ja widzę Elliota sięgającego do klamki po przeciwnej stronie.

George i Jackie rozmawiają o stacjach radiowych, a ja tylko czekam na czwarte kliknięcie zapinanego pasa, żeby mieć to już, kurwa, za sobą. W bocznym lusterku widzę krawędź jego twarzy.

– Rany, twoja deska rozdzielcza świeci się jak choinka w Boże Narodzenie!

„Zamknij się, kurwa, George” – myślę i zaciskam powieki, żałując, że nie mogę się rozeźmiać i powiedzieć po prostu: „Tak! Czyste szaleństwo, prawda?”.

– Mówisz, kurwa, poważnie? – dobiega zza moich pleców jego głos i czuję, jak się pochyla, żeby spojrzeć mi przez ramię. Włoski na szyi stają mi dęba, gdy rzuca: – Co, do cholery, się dzieje, Ama?

Wrzucam wsteczny bieg i wyjeżdżam z parkingu.

– W warsztacie twierdzą, że nie są w stanie nic zrobić! – szczebioczę głosem bezradnej laski, którego używam zazwyczaj, żeby wykaraskać się z tarapatów.

Jackie śmieje się ze mnie, ale za każdym razem, gdy podchwytuję spojrzenie Elliota we wstecznym lusterku, widzę, że piorunuje mnie wzrokiem. George jest wstrząśnięty informacją, że w warsztacie powiedzieli, że nie są w stanie nic zrobić, i chce

wiedzieć, który dokładnie to był warsztat, żeby na przyszłość go unikać.

Docieramy do budynku, nie ginąc po drodze na szczęście w eksplodującym wraku, Bogu niech będą dzięki, a potem wszystko idzie gładko, pomijając fakt, że ktoś ponownie uparcie unika choćby patrzenia w moją stronę. Gdy George przekracza próg opuszczonego budynku, początkowo jest przerażony wyglądem wewnątrz, ale informuję go o planie dotyczącym uzyskania pozwoleń i inspekcji sanitarnych, i kiedy wychodzimy, uśmiecha się już od ucha do ucha. Robi to samo, co wcześniej Elliot, i po cichu się upewnia, że wiem o nietoperzach.

Najtrudniejsze w dzisiejszym dniu jest to, że chociaż po raz pierwszy od kilku tygodni jestem zmuszona przebywać w jego obecności, to również ostatni, kiedy się widzimy przed niemal dwumiesięczną przerwą. Teraz przez jakiś czas każde z nas będzie załatwiać swoje sprawy i nasze drogi się rozejdą. Jest maj, a ślub ma się odbyć w październiku. Gdy podwożę naszą czwórkę z powrotem na parking restauracji, nie mogę powstrzymać się od patrzenia w lusterko częściej, niż to konieczne, aby szukać na jego stoickiej twarzy oznak ożywienia lub jakiegokolwiek zainteresowania.

Na miejscu nie żegna się z nikim, a ja wciąż ustalam wszystko z niesamowicie gadatliwym George'em, kiedy jego furgonetka rusza. Opuszcza parking w momencie, gdy ja i Jackie wsiadamy z powrotem do samochodu, którym mam ją odwieźć do domu. Chwilę później już go nie ma. Nie wiem, po co znów przyjeżdżał do budynku przy Dwudziestej Pierwszej, skoro jedynie obnosił się tam ze swoją skwaszoną miną.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to zobaczę go ponownie dopiero za dwa miesiące. Czuję się jak uzależniona – zaczynam już opłakiwać nasze rozstanie, wdychając łapczywie jego zapach, który wciąż unosi się w moim aucie.

Niebawem mam ślub, na którym projekty Elliota idealnie by się sprawdziły, ale... boję się poprosić go o pomoc. Czy po tym wszystkim wrócimy do współpracy podczas organizowania wesel? A może ślub Jackie i Hazel to tylko wyjątkowa okoliczność, jednorazowa, wymuszona okazja do wspólnej pracy? I którą z tych opcji bym właściwie wolała? Wiem, że kiedy z nim pracuję, jestem

w najlepszej formie, i wiem, że to samo mogę powiedzieć o nim, ale to wcale nie znaczy, że warto naciskać.

Nie możemy wrócić do tego, co było kiedyś – nie mam co marzyć, żeby było jak przed tym, zanim... Cóż, zanim zaczęliśmy ze sobą sypiać. Bo wiem, że od samego początku nas do siebie ciągnęło, nawet wtedy, kiedy uparcie odmawiał wykonania pierwszego kroku. To był mój błąd: pomyliłam się, sądząc, że może nas łączyć tylko seks bez zobowiązań.

Nie wiem, czy istnieje jakaś wersja przyszłości, w której moglibyśmy pracować ramię w ramię, zapominając o tym wszystkim.

Wiem tylko, że nie chcę, aby nagle było już po tym ślubie – i aby nasze drogi się rozeszły, na zawsze.

Elliot

TRZY LATA, CZTERY MIESIĄCE I DWA TYGODNIE TEMU

Gdy małżeństwo moich rodziców zaczęło się rozpadać, mieli odmienne zdania w zbyt wielu różnych kwestiach, aby było o co walczyć. On chciał wysłać mnie na obóz naukowy, ona zapisała mnie na staż scenograficzny w lokalnym teatrze. On chciał kupić większy dom na przedmieściach, ona robiła karierę polityczną i musiała być blisko stolicy. On lubił jajecznicę, ona – sadzone.

Ale wiem, że teraz zgodziliby się co do jednego: powinienem był zadzwonić do Amy w niedzielę.

Tata zmyłby mi głowę w sobotni wieczór już w drodze do domu, tylko po to, żebym poczuł się gorzej. A mama poparłaby go, mówiąc, że nie powinienem być wracać – powinienem być odprowadzić ją chociaż do samochodu.

I mimo że tata nie żyje, a mama najwyraźniej nie wie, co nawywijałem na tamtym ślubie, jestem ich nieodrodnym synem i w poniedziałkowy poranek mam już pełną świadomość, że wszystko spartoliłem.

Zrywam się wcześniej i jadę do kwaciarni, żeby spróbować poukładać sobie to wszystko w głowie. Wiem, że powinienem do niej

zadzwoić dziś – lepiej późno niż wcale – więc wpisałem to sobie na listę rzeczy do zrobienia, ale na poczcie głosowej w kwiaciarni czeka już na mnie nagrana wiadomość. Mimo że jest zaledwie ósma rano.

„Cześć, tu Ama...”

Odruchowo cały się spinam i wbijam wzrok w czarną skrzynkę, od której zależą moje losy.

„Mam parę, która chciałaby żyrandol na swój ślub w czerwcu. Wiem, że znowu jest bardzo mało czasu i bardzo mi z tego powodu przykro, ale chciałabym ich dzisiaj do ciebie przyprowadzić i mam nadzieję, że uda mi się cię namówić do przygotowania dla nich projektu!”

Nim wiadomość dobiega końca, słyszę w jej głosie te charakterystyczne nuty i wiem, że gdy nagrywała wiadomość, uśmiechała się od ucha do ucha. Przeczesuję dłonią włosy, rozglądając się bezradnie po sklepie. Spoglądam na żyrandol, który wisi nad moją głową. Czy powinienem odświeżyć niektóre z kwiatów?

Zamiast to zrobić, odtwarzam wiadomość, mając nadzieję, że w jakiś nadprzyrodzony sposób dowiem się z brzmienia jej głosu, jak się czuje w związku z tym, co wydarzyło się w sobotę. Może ten lekko piskliwy ton oznacza, że nie może się doczekać, kiedy znów mnie zobaczy? Czy naprawdę słyszę jakąś... słodką obietnicę w tembrze głosu płynącego spomiędzy rozciągniętych w uśmiechu warg? Czy to tylko moja wyobraźnia?

Mija zaledwie pięć minut od momentu, w którym otworzyłem kwiaciarnię, gdy drzwi się otwierają, a dzwonek zawieszony przez mojego ojca oznajmia przybycie gości. Do środka wchodzi para i zaczyna rozglądać się dookoła, podczas gdy Ama zamyka za nimi drzwi. Wracam do lady odprowadzany ich ochami i achami komplementującymi wygląd kwiaciarni.

– Cudowny, prawda? – Ama mówi do nich z uśmiechem. – To jest właśnie Elliot Bloom. Wcześniej tę kwiaciarnię prowadził jego ojciec, a obecnie Elliot zajmuje się również personalizowanymi instalacjami.

Jestem niemal poirytowany, że mówi o mnie, a nie do mnie, ale wtedy podchodzi do lady i wyciąga z chytrym uśmiechem różowe pudełko z pączkami, na widok którego reaguję kwaśnym grymasem.

Całkiem jakby przyniosła je celowo, mimo że dałem jej jasno do zrozumienia, że mnie to wkurza.

Podchodzę do pary, odmawiam poczęstowania się pączkiem i próbuję rozmawiać jakby nigdy nic z przyszłą panną młodą na temat żyrandola z przybraniem z gipsówki, podczas gdy Ama opiera się o ladę, w bardzo sugestywny sposób jedząc cynamonowy pączkowy warkocz z pączkowego ciasta.

Podczas gdy przyszła panna młoda wyjaśnia mi, że nie przepada za gipsówką, i pyta, czy moglibyśmy znaleźć alternatywę, mój wzrok przykuwa Ama, która patrzy mi prosto w oczy, rozchyła ciemne pełne wargi i powoli wsuwa między nie długiego pączka – o wiele głębiej, niż to konieczne.

– Myślisz, że to się sprawdzi? – pyta kobieta, a ja z trudem przywołuję z pamięci ostatnie słowa, które do mnie powiedziała, zanim Ama postanowiła kompletnie mnie rozproszyć swoim małym pokazem.

– Oczywiście – mamroczę i odchrząkuję. – Są również inne opcje. – Przedstawiam jej kilka możliwości, aż wreszcie decydujemy się wspólnie na białe hortensje.

Gdy potwierdzam, że potrzebują jedynie żyrandola, Ama zaczyna prowadzić ich do drzwi, a ja czuję, że lada chwila stracę swoją szansę. Dostrzegam na kontuarze różowe pudełko, nadal otwarte.

– Zabierz pączki! – rzucam w ślad za nią.

Stoi już w progu, ale odwraca się w moją stronę.

– Och, wiem jak bardzo je lubisz! – Wykrzywia usta i trzepocze rękami, a potem dodaje: – Zaraz wracam. – I znika za drzwiami.

Łypię na to paskudne pudełko; mam przemożną ochotę wyrzucić je do śmieci i zamknąć drzwi na klucz. I wcale nie chodzi o to, że jakoś specjalnie nienawidzę smażonego w głębokim tłuszczu ciasta. Tylko o to, że Laura Gilbert nie używała właściwie w ogóle cukru. Nie było go w naszym domu. To właśnie dlatego nie piję napojów gazowanych, nie jem cukierków na Halloween ani nie zamawiam lodów w restauracjach. Cóż, popularności mi to raczej nie przysporzyło...

Biorę jedno z tych pokrytych lukrem paskudztw i czuję, jak cukier wnika w moją skórę poprzez osmozę. Spróbuję go – tylko po to, żeby

powiedzieć jej, że jej pączki naprawdę są obrzydliwe... I to będzie koniec dyskusji na ten temat.

Odgryzam kawałek donuta i już po chwili przeżuwania wiem, że możliwe, iż się pomyliłem. Dostrzegam, że... Cóż, ma pewne zalety. Serio. Ale jak na kogoś, kto nie dolewa śmietanki do kawy, bo jego zdaniem sprawia to, że staje się ona za słodka, przeżucie nawet tego jednego kęsa przychodzi mi ze sporym trudem. Wyrzucam resztę pączka do śmieci i próbuję przełknąć to, co mam w ustach. Okazało się, że w środku było nadzienie, którego smak wciąż czuję na języku. Zamykam pudełko i odsuwam je na krawędź lady, licząc na to, że kiedy wróci, zabierze je ze sobą.

Zaczynam sprzątać. Nie zamierzam stać i czekać beczynn timer na jej powrót. Jestem na tyłach sklepu, gdy słyszę dzwonek nad drzwiami i... powinienem czuć się poirytowany tym, że tak po prostu wchodzi na zaplecze.

– Powinieneś rozważyć otwarcie salonu wystawowego.

– Mhm.

– Mówię serio. – Podchodzi do stołu, przy którym pracuję, podciąga się i siada na blacie. – Jeśli chcesz tworzyć niestandardowe instalacje, będziesz potrzebował pracowni z prawdziwego zdarzenia, Elliot.

Odwracam wzrok, żeby nie patrzeć na rąbek jej podwiniętej sukienki.

– Zrobiłem kilka rzeczy. Nie zamierzam przekształcać kwaciarni tylko po to, aby cackać się z klientami Whitney z wyższych sfer. Mój ojciec nigdy by tego nie chciał.

Mam wrażenie, że przez chwilę rozważa moje słowa w myśli.

– Dlaczego by nie upiec dwóch pieczeni na jednym ogniu? A co byś powiedział na remont zaplecza? – Rozgląda się dookoła, a ja widzę, jak w myślach projektuje przestrzeń – całkiem, jakby planowała jedno ze swoich przyjęć. – Gdybyś zorganizował tu jakiś sprytny schowek, mógłbyś mieć dwa w jednym, i wykorzystać jednocześnie ściany i podłogę jako przestrzeń wystawową. – Odwraca się do mnie. – Czy Whitney w ogóle wie, co robisz? Naprawdę powinna ci więcej zlecać...

– Whitney Harrison Weddings śledzi mnie na Instagramie, ale nie sądzę, aby to miało...

– ...jakieś szczególne znaczenie – kończy za mnie, kiwając głową. – Wszystko robią za nią jej asystenci. Może powinieneś się z nią skontaktować? Pokaż jej, co jeszcze zamierzasz robić – na wypadek, gdyby chciała czegoś więcej niż tylko dekoracji.

Sięgam po kilka łydąg tawułki leżących obok niej.

– Nadal jesteś wobec niej bardzo lojalna, co?

Jej oczy dziwnie błyszczą.

– Cóż, tak – przyznaje niechętnie. – To ona sprawiła, że jestem tym, kim jestem.

Nie mogę się z nią zgodzić, ale to nie pora na dyskusję na ten temat.

– Czy nie mówiłem ci przypadkiem czegoś o przechadzaniu się po mojej kwaciarni, jakbyś była jego właścicielką? – pytam, siłąc się na spokój i patrząc na nią, usadowioną jakby nigdy nic na samym środku mojego stanowiska pracy.

Zaciska usta.

– Hm. Że ci się to podoba?

Kręcę głową i podchodzę bliżej. Rozchyła kolana, a ja niemal potykam się o własne nogi i z całej siły staram się zachować kamienną twarz.

Postukuje palcem w podbródek i udaje, że ponownie się zastanawia.

– To może było to coś w stylu: „Dziękuję za przyniesienie paczków do mojego miejsca pracy i za darmową reklamę, którą zrobiłaś mi razem ze swoją fotografką”?

Kładę dłonie na blacie po obu stronach jej bioder i się pochylam. W tej pozycji jest ode mnie wyższa i chyba jej się to podoba.

– Wybacz roztargnienie – mówi, sięgając do guzika przy moim kołnierzyku. – Byłeś w tych obcisłych dżinsach i koszuli w kratę. Wyglądałeś jak misjonarz, który przybył, aby ocalić moją brudną duszę...

Przyciąga mnie do siebie i muska wargami moją skroń.

– To nie są obcisłe dżinsy – mamroczę.

– Ledwo zdołałam wcisnąć w nie rękę – szepcze mi w policzek.

Przełykam głośno ślinę – i wiem, że ona to słyszy – a potem zdejmuję dłonie z blatu i kładę jej delikatnie na kolanach. W odpowiedzi rozkłada je szerzej.

– Powiedz mi, gdzie masz kolejny tatuaż – mamrocze w moją szyję, składając pocałunki wzdłuż podbródka. – Jeden z pozostałych czterech. Muszę to wiedzieć!

Przymykam oczy, gdy przygryza zębami płatek mojego ucha.

– Na moich żebrach jest fiołek *Viola cryana*.

– Jak bardzo jest zagrożony? – Jej oddech przyśpiesza, gdy przesuвам dłońmi po jej udach.

– Bardzo. To gatunek wymarły.

– Chcę go zobaczyć. Chcę zobaczyć je wszystkie – szepcze, a moimi ramionami targa gwałtowny dreszcz. – Chcę całować każdy z nich.

Mój członek znowu twardnieje. Chwytam jej uda, obserwując własne dłonie podciągające jej sukienkę aż na biodra. Ssie teraz moją szyję, jęcząc i wypuszczając z sykiem powietrze z płuc, gdy moje palce muskają rąbek jej koronkowych majtek. Przesuвам po nich palcami aż do talii, obejmując ją w pasie. Moje opuszki niemal stykają się ze sobą za jej plecami.

Przeciągam dłońmi w górę i kładę je na jej brzuchu, a potem sięgam do jej stanika. Odsuwam na boki miseczki i odnajduję palcami jej twarde brodawki. Jęczy i chwyta mnie za szyję, przyciągając moje usta do swoich. Czuję, jak przysuwa się do mnie, żeby przywrzeć do mnie ciałem. Wsuвам jej język do ust, a mój członek otrzymuje od mózgu wiadomość, że – owszem, zamierzam ją pieprzyć na tym stole.

Głaszczę jej piersi, delikatnie pocierając palcami napiętą skórę. Wzdycha i zarzuca mi nogi na biodra, a jej oddech przyśpiesza zauważalnie. Zaciska palce na moim kołnierzu, a gdy już, już mam się cofnąć, żeby ściągnąć jej majtki i sprawdzić, jak smakuje, odsuwa się ode mnie i patrzy mi w oczy – badawczo, z pewnym niepokojem.

– Czy... Czy ty jadłeś przed chwilą pączka?

Śmieję się, przesuważąc dłonie w dół jej brzucha, aby objąć ją w talii.

– Przyłapałaś mnie! Szczerze powiedziawszy, był obrzydliwy. Więc mogę teraz potwierdzić oficjalnie: nienawidzę pączków.

Dyszy ciężko, a ja nie potrafię rozgryźć, co się kryje za jej roztargnionym uśmiechem.

– No dobrze, w porządku. – Opuszcza wzrok na ziemię, a z jej gardła wydobywa się dziwny, chrapliwy dźwięk. – Wszystko gra. Ale musisz zadzwonić po pogotowie i wyjąć z mojej torebki EpiPen.

Mrugam, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi, ale nim udaje mi się ją zapytać, czy to jakiś żart – czy choćby wyjąć palce zza gumki jej fig – jej oczy uciekają w głąb czaszki i opada bezwładnie na moje ciało.

Zastygam w bezruchu. Czy to jakiś głupi kawał?

Co to ma, do kurwy nędzy, znaczyć?

Potrząsam nią, a kiedy nie reaguje, odchylam jej głowę i podwijam powieki, żeby sprawdzić jej źrenice. Moje serce głupieje i nie wie, dokąd przepompowywać krew, która tętni nadal w moim kutasie, ale jak przez mgłę przypominam sobie, że wspomniała coś o... EpiPenie? Kładę ją na stole – najdelikatniej, jak potrafię – i rozglądam się po zapleczu w poszukiwaniu jej torebki. Telefon leci mi z rąk, gdy wyciągam go z kieszeni. Upada na podłogę i szperam przez chwilę niezdarnie pod półką, żeby go znaleźć. Gdy już go mam, wracam do niej i sprawdzam jej puls, wybierając numer alarmowy.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – dobiega z głośnika po kilku sygnałach.

Patrzę na tę piękną dziewczynę, którą najwyraźniej właśnie zabiłem, i mówię:

– Nie wiem, ale ona chyba... zemdląca. Kazała mi poszukać EpiPena i...

– Czy ma alergię?

– Nie wiem! Nie znam jej nawet, kurwa! – Zaczynam szperać w jej torebce. Czuję obezwładniającą ulgę, gdy moje palce zaciskają się na jakimś wydłużonym, obłym kształcie..., ale gdy go wyciągam, okazuje się, że to tampon. – Co mam zrobić z tym całym EpiPenem?

– Gdzie się pan znajduje?

Podaję adres i w końcu znajduję ten pieprzony EpiPen.

– I jest pan pewien, że to jej EpiPen? Wspominała, że ma alergię? Może na orzeszki ziemne?

– Nie jadła żadnych pierdolonych orzeszków! Całowaliśmy się i...

Spoglądam na ladę, na której wciąż stoi niewinne różowe pudełko.

Czyżbym właśnie zabił ją pączkiem z masłem orzechowym?

– Proszę pana, jestem pewna, że nie jest martwa, ale potrzebuje pańskiej pomocy. Czy potrafi pan postępować zgodnie z instrukcjami?

Myślę o pani Tarico, mojej nauczycielki z trzeciej klasy. Wiecznie mi wytykała, że koszmarnie długo zajmuje mi wypełnianie instrukcji.

– Nie wiem. Chyba kiepsko mi to wychodzi.

Może to szok. A może po prostu sen? Ile czasu minęło, odkąd zemdląłem?

– Czy ma pan EpiPen, proszę pana?

– Tak. Co mam z nim zrobić?

Kobieta opowiada mi jakieś bzdury o tym, żeby przyłożyć go „pomarańczowym do skóry i niebieskim do nieba”. Ściągam zatyczkę, przyciskam tubkę do uda Amy i wsłuchuję się w syk.

Ama zaczerpuje gwałtownie tchu, niczym księżniczka Disneya budząca się ze snu wywołanego złym czarem, a potem przekręca się na bok i wymiotuje na mój stół warsztatowy.

Szpital jest zaledwie osiem przecznic stąd, więc nim udaje mi się odpowiednio zareagować na wymioty i drgawki, w kwaciarni zjawiają się już ratownicy medyczni.

Gdy sanitariusze ładują ją na nosze, unika mojego wzroku. Cóż, prawdopodobnie dlatego, że właśnie nieomal ją zabiłem. I prawdopodobnie bezpowrotnie spieprzyłem to, co zapowiadało się na naprawdę niesamowitą pierwszą randkę.

Kiedy się dowiadują, że jej język wszedł w kontakt z językiem innej osoby, który z kolei wszedł w kontakt z masłem orzechowym, każą jej wypłukać usta. Stoję jak ostatni idiota, gdy owijają ją w koc ratunkowy i wynoszą na zewnątrz.

– Jedzie pan z nami? – pyta jeden z ratowników.

– Eee... tak. Tak. – Biorę kluczyki i jej torebkę, przekręcam tabliczkę na stronę z napisem ZAMKNIĘTE i wsiadam za nimi do karetki.

Kiedy pielęgniarki proszą mnie o wypełnienie za nią formularzy, nie mogę zaprotestować, wyjaśniając, że dopiero zacząłem dotykać jej cycków i tak naprawdę nie jestem jej chłopakiem, więc znów

grzebię w jej torebce w poszukiwaniu dokumentów. Kiedy mają już jej karty medyczne i prawo jazdy (urodziny: 10 maja), spędzam w poczekalni dwie godziny. W końcu podchodzi do mnie jasnowłosa kobieta. Nie wygląda na lekárkę, ale wstaję, gdy pyta:

– Czy to ty jesteś Elliot?

– Zgadza się.

Wyciąga do mnie rękę, uśmiechając się szeroko.

– Jestem Cynthia, matka Amy.

By to szlag...

– Dzień dobry. Hm, tak. To znaczy, miło mi panią poznać.

Wsuwam ręce z powrotem do kieszeni tak szybko, jak to możliwe – ręce, które jeszcze nie tak dawno dotykały piersi jej córki – i pytam:

– Czy ona... Czy ma się lepiej?

– Tak, już wszystko dobrze. Zaraz ją wypuszczą. – Uśmiech Cynthii jest słodki jak miód, a ja wpatruję się w jej twarz, próbując dostrzec w niej podobieństwo do Amy. Ciemne włosy ma najwyraźniej po ojcu, ale wydaje mi się, że nos i kształt twarzy odziedziczyła po mamie. – A więc ty jesteś tym florystą, który pomagał w kwietniu przy moim ślubie!

– Hm, tak, zgadza się. – Uff. To bezpieczny temat.

– No i... spotykasz się z moją córką?

Znowu grząski grunt.

– Eee, nie. Z tego, co mi wiadomo, to nie.

– Ale całowałaś się z nią! – Cynthia macha dłonią, jakby rzucała zaklęcie, które ma sprawić, aby to, o co mnie właśnie posadziła, stało się rzeczywistością.

– Tak. Tak. To... fakt medyczny.

– Dokładnie, wpisany nawet w jej kartę! – śmieje się.

– Hm, tak, super.

– Mamo, proszę, nie próbuj go zaciągnąć do ołtarza – słyszę za plecami głos Amy. Gdy się odwracam, widzę, jak sanitariusz wiezie ją w naszą stronę na wózku inwalidzkim.

Rany boskie, przeze mnie będzie sparaliżowana do końca życia!

Nim jednak zacznę w myślach opracowywać plany poszerzenia drzwi w kwaciarni i zainstalowania ramp podjazdowych w moim domu, Ama wstaje z wózka z pomocą matki.

– Dzięki za ten EpiPen – mówi z uśmiechem. – Miło wiedzieć, że potrafisz zachować zimną krew w stresującej sytuacji.

Mam niejasne wrażenie, że moich dzisiejszych dokonań zdecydowanie nie można by określić w ten sposób, ale sądzę, że to powinno pozostać między mną a Josephine, operatorką numeru alarmowego.

– Hm, cóż, tak. – Kiwam głową. – A więc jesteś uczulona na masło orzechowe, ale i tak kupujesz pączki z tym świństwem?

– Są pakowane osobno. – Wzrusza ramionami, a ja aż się jezę. Jak może traktować to, co się właśnie wydarzyło, tak lekko? – Przepraszam, że na ciebie zwymiotowałam.

Racja.

– Cóż, tak, powinienem iść posprzątać. – Wręczam jej torebkę i cofam się w stronę szklanych drzwi. Nie ma żadnych formułek, którymi mógłbym zakończyć rozmowę w szpitalu po tym, jak całując dziewczynę, która mi się podoba, przyprawilem ją właśnie o wstrząs anafilaktyczny.

– Elliot, a może zjadłbyś z nami lunch? – zagaduje niewinnie Cynthia, a w jej oku dostrzegam ten niebezpieczny błysk, który sugeruje, że oczyma duszy widzi już gromadkę wnuków.

Zaczynam się jąkać, ale Ama przychodzi mi na ratunek.

– Musi prowadzić swoją kwiaciarnię, mamó. A poza tym raczej nie jestem jeszcze gotowa na martini w Bistro 33. – Zarzuca torebkę na ramię i uśmiecha się do mnie. – Do zobaczenia na ślubie Gordonów w następną sobotę!

– Hm, tak, jasne. Do zobaczenia w sobotę.

Patrzę w ślad za nimi, gdy idą w stronę parkingu. Ama rzuca mi pożegnalne spojrzenie przez ramię, uśmiechając się do mnie ciepło.

Kiedy odchodzą, obracam się kilka razy, aż dociera do mnie, że przyjechałem tu razem z nią karetką. Wkładam ręce do kieszeni i wracam do kwiaciarni w lekkich podmuchach majowego wietrzyku.

Elliot

TRZY LATA, TRZY MIESIĄCE, TRZY TYGODNIE I CZTERY
DNI TEMU

Problem z naszym pożegnalnym „do zobaczenia na ślubie Gordonów” polega na tym, że znów jestem w tej samej trudnej sytuacji, co przed tamtym niemal śmiertelnym incydentem. Wiem, że powinienem do niej zadzwonić. Wciąż jestem jej winien prawdziwą randkę (najlepiej w miejscu, w którym nikt nie wie, co to orzeszki ziemne). Nadal powinienem spróbować dać jej do zrozumienia, że te nasze obmacywanki na zapleczu były fajne i w ogóle, ale chciałbym czegoś więcej.

Bo naprawdę tego chcę. Zależy mi na tym.

Czasami mam wrażenie, że wtargnęła w moje życie jak huragan i nie dała mi nawet sekundy na zaczerpnięcie tchu, ale w rzeczywistości znam ją prawie od pół roku. Nie mówiąc już o tym, że obracała się w moich kręgach od kilku lat. Mój tata nawet ją znał – co wydaje mi się dość dziwne teraz, gdy o tym myślę i próbuję ustalić, co właściwie do niej czuję. Zna kawałek mnie, który... Cóż, odszedł bezpowrotnie. Kiedy myślę o tym, że mógłbym spędzać z nią

więcej czasu, że to mogłoby się przerodzić w coś więcej, mam jakieś niejasne wrażenie, że to dobrze, że tata ją znał. W jakiś sposób... słuszne.

Wkładam więc bardzo porządnie wyprane dżinsy, które nazwała obcisłymi, wkładam inną koszulę w kratę i idę na wesele Gordonów, jakby to była nasza druga randka. Przypominam sobie, że ostatnim razem przeliczyłem się, za bardzo podnosząc pułap swoich oczekiwań, więc powtarzam sobie w duchu: „Nie licz na to, że teraz będzie inaczej, i nie denerwuj się, jeśli będzie tak samo, jak ostatnio”.

Gordonowie organizują ceremonię kościelną, więc upominam się też z wyprzedzeniem: „Żadnego flirtowania w kościele”.

Ale kiedy rozładowuję girlandy, aby rozwiesić je wzdłuż ławek, dostrzega mnie i mimo że stoi pod ołtarzem, widzę, jak otwarcie omiata moją sylwetkę wzrokiem. Uśmiecha się w sposób, który mówi mi, że dokładnie wie, dlaczego tak się ubrałem, co natychmiast sprawia, że mam wrażenie, iż przedobrzyłem i powinienem wrócić do domu, by się przebrać.

Kiedy przynoszę girlandę, aby zawiesić ją na sztalugach przed kościołem, mojego nadgarstka dotykają drobne, ciepłe palce. Jest przy mnie – tak blisko, że czuję zapach jej włosów.

– Wygląda świetnie. Czy mogłabym cię spytać o opinię w pewnej kwestii? – Wskazuje podbródkiem w prawo, a ja kiwam głową i idę za nią. Prowadzi mnie do jednej z narożnych wnęk i rzuca pozornie od niechcienia: – Nie jadłeś dzisiaj przypadkiem pączków, prawda? – Odgarnia włosy za ucho i ogląda się na mnie przez ramię.

– Nie – odpowiadam, nieco zawstydzony.

– Żadnych kanapek z dżemem i masłem orzechowym na śniadanie?

Przewracam oczami.

– Nie!

Obraca się na swoich wysokich obcasach i mówi:

– Super! – po czym zarzuca mi ręce na szyję i przyciska usta do moich ust.

Zszokowany, zaczynam coś mamrotać bez ładu i składu. Wciąż mam otwarte oczy i rozglądam się w panice dookoła, dopiero po chwili zdając sobie sprawę z tego, że jesteśmy na uboczu, gdzie nikt

nie powinien nas zobaczyć. Ale mimo to... nadal jesteśmy w kościele. W kościele, na litość boską!

Jej język przesuwają się po moich wargach i rozchyliam je, delikatnie obejmując ją w talii. Wplata mi dłonie we włosy i pochyla moją głowę ku sobie, aby pocałować mnie mocniej, głębiej. Zaciskam palce na jej biodrach.

Po chwili, gdy odsuwa się ode mnie, żeby zaczerpnąć tchu, pytam:

– Czy to nie jest przypadkiem... dziwne? Jesteś katoliczką? Chyba nie napalasz się na mnie dlatego, że jesteśmy w kościele, co?

Całuje mnie ponownie i czuję, jak w moich ustach wibruje echo jej śmiechu.

– Dorastałam jako katoliczka – mamrocze – ale z biegiem czasu doszłam do wniosku, że mojej mamie i mnie bliżej do kościoła anglikańskiego. Religii, która nie ma problemów z rozwodami.

– Nie powiedziałbym, że nie ma...

Zamyka mi usta pocałunkiem i napiera ciałem na moje ciało. Zanim w moim mózgu rozwyją się ponownie syreny alarmowe: „Kościół! Jesteście w kościele!”, Ama odsuwa się ode mnie.

– Mam trochę roboty, ale chciałam się... przywitać. – Uśmiecha się tak uroczo, a jej opuszki palców muskają mój kark tak delikatnie, że moje ciało zaczyna żywiołowo reagować. – Czy twój kuzyn ogarnął już wszystko w miejscu przyjęcia?

Z trudem się opamiętuję i bełkoczę:

– Tak, Ben zajął się dekoracjami. Sprawdzę wszystko, gdy tylko przyniosę resztę kwiatów.

– Myślę, że powinieneś zostać na przyjęciu – mówi cicho, niemal błagalnie. – Obiecuję, że tym razem nie wyślę cię na poszukiwanie baterii.

Patrzy na mnie, trzepocząc zalotnie rzęsami – i wiem już, że jestem stracony dla świata.

– Tak – mamroczę machinalnie. – Kiedy upewnię się, że wszystko jest, jak trzeba, zostanę.

Cmoka mnie w policzek, obciąga sukienkę i wychodzi z wnęki, kołysząc biodrami w ten swój zniewalający sposób. Tracę od tego zmysły.

I tak oto jakiś czas później tkwię jak kołek na przyjęciu, przeszkadzając cateringowcom w staroświeckiej rezydencji w Midtown. Nie mam już teoretycznie nic do roboty. Wszystkie dekoracje są na swoich miejscach, Ben poszedł do domu, a ja przestępuję z nogi na nogę, czekając na przyjście młodej pary. W normalnej sytuacji również pojechałbym teraz do domu i wrócił na sprzątanie. Ale powoli uczę się, że w przypadku Amy nic nie może być normalnie.

Jakiś czas później widzę ją: uśmiecha się i zaczyna iść w moją stronę.

Ściska łokieć swojej fotografki – Mar – i kiwa głową w moim kierunku. Kiedy Mar spogląda na mnie z nieśmiałym uśmiechem, udaję, że przyglądam się wzorom na suficie.

Ama mija mnie, przesuwając palcami po moim biodrze, i po chwili wahania podążam za nią. Ze zdziwieniem spostrzegam, że prowadzi mnie do kuchni.

– Masz ochotę na coś na ząb? – pyta, biorąc z tacy kanapeczkę. – Właśnie podano obiad, więc tych nikt już raczej nie zje. Albo zrobię to ja. – Odwraca się i bierze kolejną z tacy stojącej nieco dalej, a ja nie mogę się nadziwić, jak to możliwe, że jest taka beztroska, spokojna i opanowana.

Może to dla niej nic nowego: obmacywać się po kryjomu z facetami na przyjęciach weselnych? Może przez cały czas przemyca tych, z którymi się akurat spotyka, bocznymi drzwiami i nikt się nie dziwi, że nagle znika gdzieś podczas przyjęcia na jakiś czas?

Te i inne myśli chodzą mi po głowie, gdy odmawiam poczęstunku, wkładając zamiast tego ręce do kieszeni.

– A może szampana? – Gestem wskazuje na tace z kieliszkami.

– Eee, nie, dzięki. Pijesz na organizowanych przez siebie przyjęciach? – pytam.

Uśmiecha się do mnie i wsuwa do ust kolejną kanapeczkę.

– Nie. Muszę mieć trzeźwy umysł. Pytałam, czy ty nie masz ochoty się napić. Wyglądasz na... spiętego. – Podnosi crostini do pełnych, miękkich warg i wiem, po prostu wiem, że robi to celowo, abym się na nie gapił i wyobrażał sobie sprośne rzeczy.

I tak właśnie robię.

Nie mogę już dłużej czekać. Chwytam ją za rękę i wyprowadzam z kuchni na korytarz, w którym roi się od kelnerów. Wiem, że mają tu małe pomieszczenie, w którym panna młoda i pan młody czekają zazwyczaj, zanim wejdą oficjalnie na przyjęcie. Dostarczałem tu kwiaty wystarczająco dużo razy, aby znać drogę. Nie odwracam się w jej stronę, ale słyszę jej szybkie kroki, gdy próbuje za mną nadążyć.

Pokoik jest pusty, a gdy tylko wchodzimy do środka, zamykam za nami drzwi i przyciskam ją do nich. Widzę, jak się uśmiecha, gdy zbliżam usta do jej ust, a jednak mam wrażenie, że to ona ma kontrolę nad sytuacją. Cóż, prawda jest taka, że ma ją, odkąd zapytała o tatuaż na moim przedramieniu. Być może miała ją nawet wcześniej – a ja tańczyłem po prostu, jak mi grała, nieświadomy, że w ogóle to robię.

Ujmuję jej twarz w dłonie, muskając kciukami kości policzkowe, i wsuwam pozostałe palce w jej włosy. Jęczy pod naporem moich ust, chociaż nie zrobiłem jeszcze nic spektakularnego. Gdy nasze języki splatają się ze sobą, a moje biodra napierają na jej brzuch, z jej gardła wydobywają się kolejne pomruki. Trzyma mnie kurczowo za ramiona, a kiedy dociera do mnie, że niemal uginają się pod nią kolana, czuję gwałtowny przyływ podniecenia.

– Kiedy musisz wracać? – mruczę w jej usta. Nim udaje jej się wyartykułować odpowiedź, składam serię pocałunków wzdłuż jej policzka i odchylam jej głowę, aż czuję pod wargami dzikie tętnienie jej pulsu na szyi.

– Powiedziałaś Mar, żeby w razie problemów do mnie zadzwoniła. Ale DJ jest dobry, więc nie powinno się wydarzyć nic nieprzewidzianego.

Przyciągam z powrotem jej twarz do siebie i całuję ją namiętnie. Zsuwam ręce na jej biodra i chociaż jej sukienka jest dość obcisła, podciągam ją wyżej, szarpiąc ze zniecierpliwieniem elastyczny materiał.

Panuje tu półmrok – jedyne światło wpada z zewnątrz – ale kiedy cofam się, aby na nią spojrzeć, dostrzegam, że jej wargi nadal są perfekcyjnie uszmkowane, jakby moje wysiłki w żaden sposób nie zaszkodziły jej makijażowi.

– Co, do jasnej i naglej, masz na ustach?

Mruga szybko, a potem sięga do twarzy, jakbym właśnie poinformował ją, że wyrosły jej wąsy.

– Nie, nie! – mówię pośpiesznie, żeby wyprowadzić ją z błędu. – Mam po prostu na myśli... – Wzdycham. – Czy to jakiś najnowszy modny specyfik? To dlatego się nie rozmazuje, gdy cię całuję?

– To Hazel Renee – mówi prosto, jakby to wszystko wyjaśniało. Jakby to była odpowiedź na moje pytanie.

– Nie obchodzi mnie, kto stoi za wymyśleniem tego szatańskiego wynalazku. Chcę, żebyś wyglądała rozpustnie, gdy cię całuję...

Jestem irracjonalnie zły z powodu tego, że jej makijaż jest nienaruszony, ale ona patrzy na mnie, jakbym właśnie na jej oczach zamienił się w uroczego szczeniaczka z muszką pod szyją. Całuje mnie ponownie, a ja staram się choć zniszczyć jej fryzurę, skoro nie mogę zetrzeć jej z ust tej cholernej szminki.

Przyciskam ją do ściany, jedną ręką ciągnąc za włosy, a drugą podciągając jej sukienkę wyżej, aż na biodra.

– Pokaż mi jeden ze swoich tatuaży – prosi szeptem.

– Wolałbym raczej zrobić to – mówię, przesuwając palcami po jej majteczkach.

Jęczy, ale chwyta mnie za koszulę.

– Chcę je zobaczyć. Pokaż mi jeden...

– Co, jeśli nie mam ochoty tego zrobić?

– Cóż – odpowiada z zawadiackim uśmiechem. – Tylko jedno z nas doprowadziło póki co drugie do orgazmu, prawda? Można by uznać, że to byłby miły gest ze strony winowajcy...

Policzki mi płoną i opuszczam głowę na jej ramię. Śmieje się, przeczesując palcami moje włosy.

– W porządku. – Odsuwam się od niej i podciągam koszulę. Chociaż w półmroku ledwo co widać, dostrzegam, że wpatruje się chciwym wzrokiem w mój prawy bok, gdy tylko odsłaniam żebra.

– *Viola cryana* – mówi cicho. Jestem zaskoczony, że zapamiętała tę nazwę. – Wymarły. – Patrzy mi w oczy, jakby prosiła o pozwolenie, sięgając jednocześnie dłonią do mojego brzucha. Kiwam głową. Jej palce są ciepłe, gdy przesuwa opuszkami po tatuażu. Wodzi nimi po fioletowych płatkach, okrążając żółty środek. – Kiedy zobaczę kolejny?

Oblizuję nerwowo wargi.

– Najpierw musisz zabrać mnie na kolację.

Śmieje się, a ja jestem lekko zdezorientowany tym, że tak dobrze mi idzie. Biorę ją za rękę i prowadzę do kanapy, z której przed nami na pewno zrobiło dobry użytek co najmniej kilkoro nowożeńców. Siadam, pociągamy ją za sobą i nim jeszcze zdąży opaść na kanapę, obracam jej głowę w moją stronę i całuję ją ponownie, sięgając jednocześnie do rąbka sukienki i przesuwając palcami po jej udzie, ponownie podciągając materiał jeszcze wyżej. Tuż przed tym, gdy sięgam między jej nogi, odrywam usta od jej ust, aby spojrzeć jej w oczy. Kiwa głową i chwyta mnie za kark, przyciągając do siebie.

Bez trudu odsuwam paseczek koronki na bok. Mam niejasne wrażenie, że jęczę, czując pod palcami jej miękkie, wilgotne wnętrze. A może tylko mi się wydaje? Wszystko dociera do mnie jak przez mgłę. Jest mokra i gorąca i moje palce bez trudu przesuwają się w przód i w tył. Gdy natrafiam na łechtaczkę, muskając ją delikatnie, z dziwną, obcą mi czcią, Ama dyszy mi w usta.

Spomiędzy jej warg wydziera się jęk, który rozlewa się mrowieniem po moim ciele. Czuję się, jakbym połykał wydawane przez nią odgłosy.

– Powiedz mi, gdzie masz jeszcze jeden – prosi zduszonym głosem.

– Pokażę ci wszystkie, jeśli dojdiesz z moimi palcami w środku.

Jej głowa opada na oparcie kanapy, a ja słyszę westchnienie, gdy naciskam mocniej. Obserwuję, jak jej piersi unoszą się i opadają i żałuję, że jej sukienka jest tak obcisła, bo inaczej mógłbym po prostu odsunąć materiał i obserwować, jak jej brodawki sztywnieją i ciemnieją.

– Powiesz mi? – jęczy. – Jeszcze tylko jeden...

– Podobają ci się moje tatuaże? – mamrocę, pochylając się, aby przesunąć zębami po krawędzi jej policzka.

– Tak. Tak!

Zsuwam palec w dół, delikatnie masując okolice jej wejścia, a ona jęczy i chwyta mnie za ramię.

– Dlaczego, Ama?

Spomiędzy jej warg wydobywa się na wpół westchnienie, na wpół rozbawione parsknięcie.

– Uwielbiam sposób, w jaki wymawiasz moje imię.

– A jak niby je wymawiam?

– Jak „Emma”. Jakbyś był zbyt leniwy, żeby powiedzieć „Ama”.

Wsuwam palec w jej ciasną, mokrą cipkę, a ona niemal się zachłystuje, przeciągając paznokciami po moim karku.

– Dlaczego tak cię interesują moje tatuaże? – pytam, zanurzając w nią palce i wysuwając je, obserwując jej zaciśnięte powieki i napięte ścięgna na szyi.

– O Boże, Elliot... Zaraz dojdę...

– Powiedz mi, dlaczego chcesz je zobaczyć. – Obracam dłoń tak, aby móc dosięgnąć kciukiem do jej łechtaczki. Zaczepuje gwałtownie tchu, a ja czuję, jak mięśnie jej cipki zaciskają się spazmatycznie wokół moich palców.

– B... bo chcę cię poznać... – jęczy. – Chcę wiedzieć, co lubisz, a czego nienawidzisz, nawet jeśli ja również należę do tej ostatniej kategorii. – Powoli zaczynam wsuwać do jej cipki drugi palec. – Szlag, Elliot – chcę kochać to, co ty, nawet jeśli jest wymarłe!

To, co mówi, jest szalone – coś, co słyszy się jedynie w snach. Coś, za co można by zabić. Przyciskam usta do jej policzka, ssąc skórę i licząc w duchu na to, że podczas krojenia tortu będzie miała na niej malinkę.

Szuka ustami moich ust, a ja szybkim ruchem wsuwam w nią palce, napierając jednocześnie kciukiem na jej łechtaczkę. Dochodzi szybciej niż jakakolwiek kobieta, którą kiedykolwiek miałem okazję zadowolić – i chociaż ta liczba nie jest zbyt imponująca, to nadal niesamowite: obserwować, jak wygina plecy w łuk, przyciskając jednocześnie pięść do ust.

Myślę nieprzytomnie, że nawet gdybym już nigdy więcej nie miał usłyszeć brzmienia jej głosu, gdyby już nigdy się do mnie nie odezwała, mógłbym przetrwać, bylebym tylko czuł to rozkoszne spazmatyczne drganie jej mięśni wokół moich palców, ulotne tchnienie, towarzyszące niememu okrzykowi, desperackie szarpnięcie kołnierzyka mojej koszuli, na którym zaciska palce.

Jestem skrupulatny i się nie śpieszę. Nie przestaję jej pieścić, dopóki w końcu nie z drzeniem nie zaczepuje powietrza i nie łapie mnie za nadgarstek. Wówczas wysuwam z niej delikatnie palce i czekam, aż ochłonie.

Wpatruje się we mnie szklistymi oczami i gdy tak na mnie patrzy, przychodzi mi do głowy szalona myśl, że chociaż jej szminka nadal jest nietknięta, to ona sama wygląda idealnie rozpustnie.

– Pokaż mi – dyszy. – Doszłam z twoimi palcami w środku. Pokaż...

Wybucham śmiechem, a ona uśmiecha się sennie.

– Jeden mam na plecach, a dwa na nogach.

Z jej gardła wyrywa się zduszony jęk i nim zdążę zapytać, o co chodzi, zmienia pozycję, siadając mi na kolanach. Mój członek napiera na rozporek, a sama świadomość tego, że siedzi na mnie okrakiem, doprowadza mnie do szaleństwa.

Zaczyna rozpinąć guziki mojej koszuli, całując mnie, i mruczy w moje usta:

– Chcę zobaczyć ten na plecach.

Pomagam jej rozpiąć resztę guzików i szybko zrzucam koszulę z ramion. Podnosi się lekko, aby móc spojrzeć ponad ramieniem na moje plecy i chwilę później czuję, jak jej palce przesuwają się po moim lewym barku.

– Co to takiego?

– Kadupul.

– Opowiedz mi o nim – żąda.

W tej pozycji jej piersi są tuż poniżej moich warg, więc korzystam z okazji, aby musnąć ustami skórę nad jej dekoltem. Czuję, jak drży.

– Pochodzi ze Sri Lanki i jest najdroższym kwiatem na świecie, ponieważ jest dosłownie bezcenny. Nie można go kupić.

– Mów dalej – prosi. Czuję, jak jej dłonie przesuwają się po moim brzuchu. Kiedy szarpie za pasek, niemal odbiera mi mowę.

– Kwitnie tylko w nocy i umiera, zanim wszędzie słońce.

Mruczy i zaczyna skubać wargami moją szyję. Słyszę dźwięk rozpinanego rozporka.

– Znowu musiałeś założyć te cholerne džinsy! – beszta mnie ze śmiechem. Pomagam jej rozpiąć je do końca i zsunąć z moich bioder.

Obejmuję ją w talii, więc nie mam pojęcia, co zamierza, dopóki nie sięga po mojego kutasa. Czuję na nim dotyk koronki i odrzucam głowę.

– Ama... Jesteś pewna?

– Mam założoną spiralę – mówi, jakby to mogło rozwiązać wszystkie moje wątpliwości. Gdy podchwytuje mój wzrok, trzepocze rzęsami. – Jak myślisz, jak długo zdołasz mi opowiadać o kwiatkach, podczas gdy ja będę cię ujeżdżała?

Czuję, jak czubek członka napiera na jej gorącą cipkę. Oczy robią mi się szkliste, mam zamglony wzrok.

– Właściwie to... chyba niezbyt długo. Myślę, że prawdopodobnie... łatwo się rozproszę.

Porusza biodrami, a ja patrzę, jak przesuwając językiem po swoich perfekcyjnych wargach. Pochyla się, żeby mnie pocałować, napierając na mnie całym ciałem, i dyszę ciężko, gdy ssie moją dolną wargę. Zaczynam w nią właśnie wchodzić, kiedy słyszę, jak przeklina pod nosem.

– Co się dzieje? – Chwytam ją za biodra.

– Niech to szlag, Elliot! – jęczy. – Zapomniałam, jaki jesteś duży!

Muszę gapić się w sufit i liczyć do dziesięciu, żeby nie stracić nad sobą panowania, a tymczasem ona zaczyna się poruszać, pozwalając, aby wraz z każdym jej ruchem mój kutas wsuwał się w nią głębiej. Staram się trwać w bezruchu, ale nagle słyszę zgrzyt rozsuwanego zamka i szelest materiału. Sukienka zsuwa jej się z ramion.

Teraz to ja przeklinam. Kładę jej dłoń na żebrach, odsuwam miseczkę stanika na bok i zaczynam zachłannie skubać jej brodawkę wargami. Wzdycha i gwałtownie szarpie biodrami. Nie wszedłem w nią jeszcze do końca, ale nie obchodzi mnie to, bo porusza się coraz prędkiej i prędkiej, jakby lada chwila miała ponownie dojść.

Gładzę palcami jej drugą pierś, ściskając i szarpiąc lekko jej brodawkę. Jęk, który wydobywa się z jej ust, jest zdecydowanie lubieżny – i być może wystarczająco głośny, aby było go słychać po drugiej stronie drzwi. Nie sądzę jednak, aby którekolwiek z nas się tym przejęło.

Wtula twarz w moją skroń, a w moim uchu rozbrzmiewa jej nierówny i płytki oddech. Mamrocze niezbornie, powtarzając raz po raz na wydechu: „tak!”, „proszę” i „Elliot...”.

Przenoszę usta na jej drugą pierś i wsuwam dłonie pod jej sukienkę. Koronka jej bielizny ociera się o mojego kutasa, a ja odsuwam ją jeszcze bardziej na bok, aby móc pieścić jej łechtaczkę.

– Chryste!

Przestaję ssać jej pierś, aby ją uciszyć, ale ona ujeżdża mnie niezmordowanie, dysząc i postępując. Zwiększam nacisk na jej lechtaczkę, pocierając ją i podszczypując, i słyszę, jak sapie, a jej biodra napierają na mnie coraz mocniej. Jestem tak cholernie blisko... ale muszę się powstrzymać, aby poczuć, jak dochodzi z moim kutasem w środku.

Jej dłonie błędzą po moich plecach, paznokcie drapią moją skórę, a kiedy zdaję sobie sprawę z tego, że wpija palce w mój tatuaż z kadupulem, jęczę i mimowolnie podrywam biodra w górę.

Ama krzyczy i przez chwilę się zastanawiam, czy jej przypadkiem nie zraniłem, ale potem zdaję sobie sprawę z tego, że zanurzyłem się w niej do końca, a jej uda przylegają ciasno do moich. Jej gorący oddech omiata mi płatek ucha, podczas gdy ona wykrzykuje przekleństwa. A potem ponownie czuję, jak jej mięśnie zaczynają drgać konwulsyjnie wokół mojego penisa.

Znowu dochodzi – tylko dlatego, że wszedłem w nią cały.

Przyciskam czoło do jej ramienia i moje biodra zaczynają się poruszać – nie umiem nad nimi zapanować. W zawrotnym tempie spadam w bezdenną otchłań, gdy mięśnie jej pochwy zaciskają się na moim fiucie raz za razem, a jej palce wbijają się w tatuaż. Napieram na nią niezmordowanie biodrami, a ona wraz z każdym pchnięciem wydaje z siebie cudowny jęk, który brzmi w moich uszach jak muzyka.

Spoglądam na jej twarz – tuż przed tym, jak w niej dochodzę – i widzę jej przymknięte oczy i cudowne usta, rozchylone w idealnie okrągłym „O”.

– Amarylis.

Jej rzęsy trzepoczą, a ona wpatruje się we mnie, zdyszana i jaśniejąca jakimś wewnętrznym blaskiem, kiedy się z niej wysuwam. Mam wrażenie, że wszystko jest skąpane w tym oślepiającym świetle, które już nigdy nie zgaśnie.

Sapię, opadając na kanapę. Serce wali mi jak młotem, a gdy w końcu zaczyna zwalniać, patrzę na nią. Sukienkę ma zsuniętą aż na talię i pogniecioną. Jej usta wciąż są idealnie błyszczące, ale oczy lśnią tym dziwnym blaskiem, a włosy ma w nieładzie, co napawa mnie jakąś osobliwą dumą.

Sięgam ręką do jej piersi, aby zapamiętać jej ciężar. Drży, a ja się pochylam, by znów ją pocałować – w chwili, gdy zsuwa się z moich kolan.

Poprawia majtki i sukienkę, i zapina zamek błyskawiczny, podczas gdy ja siedzę z kutasem na wierzchu, dysząc ciężko.

– Muszę wracać – mówi i uśmiecha się przepraszająco, a ja kiwam głową, myśląc półprzyciemnie, że prawdopodobnie zdrzemnę się tu, dopóki nie poinformuje mnie, że możemy pojechać do niej. – Było cudownie. Czy wszystko w porządku?

Mrugam sennie i dociera do mnie, że nie mam co liczyć na powrót z nią do domu.

– Tak. Jasne. Poradzę sobie.

– Do zobaczenia w następny weekend! – Czy naprawdę jej uśmiech jest lekko wymuszony, czy tylko mi się zdaje?

Kiwam głową i staram się zapamiętać jak najlepiej jej obraz – na wypadek, gdyby się okazało, że nie poszło mi tak dobrze, jak mi się zdaje.

Kiedy drzwi się za nią zamykają, próbuję sobie przypomnieć dokładne brzmienie jej słów: „Chcę cię poznać. Chcę wiedzieć, co lubisz, a czego nienawidzisz”.

Zapinam koszulę i spodnie, i sprawdzam, czy nie narobiliśmy bałaganu na kanapie.

„Chcę kochać to, co ty kochasz, nawet jeśli jest wymarłe”.

Skupiam się na jej słowach, aby nie myśleć o jej pośpiesznym wyjściu i tym, że nie pozwoliła mi się pocałować na pożegnanie. Wracam do furgonetki i czekam, aż przyjęcie dobiegnie końca. Włączam silnik i odpalam radio, żeby nie myśleć o tym, co powiedziała.

Ama

CZERWIEC

Tym razem mama zostaje na trzy tygodnie. Za ledwie raz dziennie wypytuje, czy się z kimś spotykam, co jest w jej przypadku sporym osiągnięciem. A o Elliota pyta tylko dwukrotnie.

Pod koniec trzeciego tygodnia znajduje ładne mieszkanie kilka przecznic dalej, a tydzień później miłego faceta, ledwie kilka lat starszego ode mnie.

– Nie oświadczył jej się jeszcze, ale jestem pewna, że zrobi to góra za kilka miesięcy – wyjaśniam Mar podczas spotkania przy drinku i zamawiam kolejne martini. Właśnie dobiegło końca bardzo trudne przyjęcie – celebrant miał wypadek samochodowy, świadkowa miała koszmarne kaca, a w sali weselnej zepsuła się klimatyzacja – i rozpaczliwie potrzebujemy alkoholu.

Mar przygląda mi się znad swojej margarity na bazie mezcalu.

– Czy to przypadkiem nie jej najmłodszy jak dotąd facet? Dwadzieścia dziewięć lat? – Kiedy kiwam głową, pyta: – Nie czujesz się z tym dziwnie? Mam na myśli... Czy nie przydałaby ci się terapia?

– Cóż, to prawda – z pewnością przydałaby mi się teraz, gdybym nie potrzebowała jej już wcześniej.

Mar milczy przez chwilę.

– Pytałaś ją, dlaczego to robi? – mówi wreszcie.

– Dlaczego nie potrafi być sama? Czy dlaczego nie może po prostu umawiać się z kimś bez naciągania go na pierścienek zaręczynowy?

– Chyba jedno i drugie. Jestem pewna, że odpowiedź na oba pytania jest taka sama. – Jej telefon dźwięczy sygnałem wiadomości i wyciąga go z kieszeni. – W porządku. Michael jest dziś wieczór wolny. Chciałabyś go poznać?

Michael to nowy facet Mar. Z entuzjazmem kiwam głową.

– Powiedz mu, żeby wpadł. Za jakieś pół godziny i tak będę lecieć...

– Nie musisz. Moglibyśmy się przesiąść do boksu...

Potrząsam głową.

– Bez urazy, ale to nie jest zbyt dobry pomysł. Zdecydowanie nie chcę być piątym kołem u wozu podczas waszej randki w sobotni wieczór.

Mar przewraca oczami i pisze Michaelowi, gdzie jesteśmy.

– No to... – mówi, chowając telefon do kieszeni. – Spotykasz się z kimś? Nie potrzeba ci po prostu seksu?

To dwa bardzo różne pytania i poświęcam chwilę na zastanowienie się nad odpowiedzią.

– Nie i tak, ale nie „tak, proszę”.

Wpatruje się w swojego drinka i kołysze nim, mieszając lód.

– Ile to już czasu?

– No dobra, po pierwsze – mówię, biorąc nowe martini od barmana – jestem strasznie zajęta i tak, to dobra wymówka. A po drugie, wiesz, że spotykałam się z facetami po tej historii z Elliotem, więc nie zachowuj się tak, jakby było inaczej.

– Dokładnie z dwoma. I to było ponad rok temu. A ty twierdzisz, że w obydwu przypadkach to ty dałaś ciała. – Krzywię się, a ona ponownie przewraca oczami. – Wiesz, co mam na myśli.

Kiwam głową, wypijając połowę swojego martini na raz. Ten pierwszy przypadek to był tylko seks. Ale nie mogłam dojść. I to nie dlatego, że nie próbowaliśmy. A drugi... Cóż, musieliśmy przerwać w połowie, bo zaczęłam ryczeć. Powiedziałam mu przez łzy, że nie

wiem dlaczego i że jest w porządku, może kontynuować. Ale najwyraźniej to go jednak zniechęciło.

– Taak, dałam ciała po całości.

– A nie myślałaś o tym, żeby... Nie wiem, spróbować sobie kogoś znaleźć na dłużej? – Uśmiecha się do mnie promiennie, jak w reklamie pasty do zębów.

– Wiesz, że to nie dla mnie – mówię cicho.

Mar prycha.

– Pozwolę sobie na małą protekcyjność, ale Ama, na litość boską, masz dwadzieścia sześć lat! Nie możesz wiedzieć, czy coś ci pasuje, jeśli tego nie robisz. – Kiedy wbijam ponury wzrok w swoją szklanę, dodaje cicho: – Kiedyś to robiłaś...

– I zobacz, dokąd mnie to zaprowadziło – mamroczę.

Wracam myślami do ślubu Gordonów. Do tego, że naprawdę święcie wówczas wierzyłam, że uda mi się utrzymać to wszystko pod kontrolą. Że dopiero po tym, gdy na tamtej kanapie w pokoiku na tyłach sprawił, iż zapomniałam o bożym świecie, dotarło do mnie, że... cóż, chciałam, abyśmy wrócili razem do mnie. I że mówiłam mu rzeczy, których nie mogłam cofnąć.

A po tym wszystkim on spojrzał na mnie tak, jak dotąd nikt inny w całym moim życiu. Jakby on również czuł... Myślał to samo. Jakby moje słowa naprawdę coś dla niego znaczyły, a nie były tylko niezbornym bełkotem, który wypłynął z moich ust w szale zapomnienia. To sprawiło zaś, że zaczęłam się zastanawiać, czy faktycznie był to tylko niezborny bełkot, czy może naprawdę miałam na myśli to, co powiedziałam.

Wszystko byłoby prostsze, gdybym mogła zwyczajnie uznać to za fajną przygodę i o tym zapomnieć. Ale wtedy sezon ślubny rozpoczął się już na dobre. Spotykałam się z nim praktycznie w każdy weekend – i wraz z każdym kolejnym moja determinacja malała. Od „nigdy więcej” przeszłam płynnie poprzez „od czasu do czasu nie zaszkodzi” aż do zastanawiania się, czy to faktycznie nic zobowiązującego.

Postanowiłam sobie twardo, że już nigdy więcej do tego nie dopuszczę.

Mar wpatruje się we mnie bez słowa, więc mówię:

– Dam ci znać, kiedy będę gotowa spotykać się z kimś na poważnie. Nie mogę teraz w ogóle myśleć o facetach, gdy mam tyle ślubów do ogarnięcia. A skoro już o tym mowa, będziesz im potrzebna na trzynastego stycznia.

Otwiera swój kalendarz.

– Gdzie ma się odbyć przyjęcie?

– W Four Seasons.

– Hotel? Czy ta kontrowersyjna miejscówka, w której były burmistrz Nowego Jorku zorganizował konferencję prasową?

Prycham.

– Naprawdę sądzisz, że nie sprawdziłam tego dziesięć razy, zanim wzięłam to zlecenie?

– To coś nowego? – pyta, wprowadzając datę do telefonu. Kiedy kiwam głową, dopytuje z troską: – Naprawdę poradzisz sobie z takim nawąłem pracy?

Macham lekceważąco ręką.

– Spokojna głowa – zapewniam ją, ale mimo to dostrzegam, że moje kolano zaczyna mimowolnie podrygiwać w górę i w dół na stołku barowym. Nie mogłam odmówić Ginny i Dustinowi. Są tacy cholernie słodcy! Miał jej się oświadczyć na zamku w Disneylandzie, ale się zdenerwował i zrobił to z rozpędu nad indyczym udźcem w parku rozrywki Adventureland.

Zjawia się Michael. Kiedy Mar zeskakuje ze stołka, żeby się z nim przywitać, widzę, że ma co najmniej metr dziewięćdziesiąt, ciemną skórę, jest bardzo umięśniony i... wygląda dziwnie znajomo.

– Ama! – mówi, a ja milczę, wstrząśnięta, podczas gdy Mar wodzi wzrokiem ode mnie do niego i z powrotem, wyraźnie zbита z tropu.

– Mar, spotykasz się z... jednym z moich byłych przybranych braci! – udaje mi się wreszcie wykrztusić.

Michael wybucha śmiechem, a tymczasem Mar otwiera i zamyka usta, próbując prawdopodobnie ocenić, czy to w pewnym stopniu nie zakrawa na kazirodztwo i czy to nie nazbyt niezręczne.

– Mar również jest jedną z moich byłych przybranych sióstr – wyjaśniam Michaelowi, który uważa najwyraźniej, że to zabawne. Mar z kolei jeszcze nie ogarnęła tego wszystkiego umysłem. – Nie jest spokrewniony z żadną z nas – zapewniam ją. – Wyluzuj.

Skołowana, zamawia kolejnego drinka i przez kilka godzin wszyscy nadrabiamy zaległości. Czuję się jak dumna swatka, mimo że w tym, iż się ze sobą spotykają, nie ma absolutnie żadnej mojej zasługi.

Kiedy wychodzą, mówię, że zostanę na jeszcze jednego drinka. Rozglądam się, wodząc wzrokiem po klienteli naszego ulubionego modnego baru zgromadzonej o pierwszej w nocy. Niektórzy faceci są w moim typie, ale żaden nie wydaje mi się interesujący. Jedyne, z którym miałabym chęć pogadać, ma długie czarne włosy i pełne usta, a kiedy zdaję sobie sprawę, kogo mi przypomina, płacę i wracam do domu. Sama.

W następnym tygodniu przylatuje Hazel. Zdjęcia już się skończyły, ale co jakiś czas musi wracać na dokrętki i brać udział w postprodukcji, więc kiedy będzie na miejscu, dogramy kilka rzeczy. Do ślubu pozostały cztery miesiące, czyli naprawdę mało czasu na załatwienie zaproszeń, na szczęście mam kilku kaligrafistów, na których mogę liczyć. Muszę się też upewnić, że projektantka Hazel wie już, co i jak. Nie zajmowałam się jeszcze sukniami ślubnymi i garniturami, poza przeglądaniem projektów, ale jak na razie wszystko jest chyba OK.

Ponownie spotykamy się w Weatherstone; Hazel dzieli pączka z polewą z syropu klonowego na mniejsze części, mówiąc:

– W porządku, a więc przede wszystkim dwie sprawy. Po pierwsze, wieczór panieński...

– Taak – potwierdzam, otwierając notatki na swoim iPadzie. – Czy jest coś, w czym Chelsea przydałaby się pomoc?

Chelsea jest najlepszą przyjaciółką Hazel – to właśnie dzięki niej Jackie i ona się poznały. Będzie też jej świadkową.

– Chcemy cię zaprosić! – wybucha Jackie. – Proszę, proszę, proszę, zgódź się!

Uśmiecham się.

– Och, dziękuję, to takie miłe z waszej strony! – Przetykam ślinę. Mam w tym wprawę – w odmawianiu – ale to trudne, gdy w grę wchodzi Jackie i Hazel Renee.

– Zaklepałyśmy dla ciebie miejsce w samolocie, wszystkie koszty opłacone – zapewnia mnie Hazel. – I tak się składa, że wiem,

że nie masz ślubu w ten weekend! – Mruga do mnie znad filiżanki kawy.

Wbijam wzrok w swoje dłonie. Jada do Vegas na trzy noce. Wylatują z Sacramento, więc przyjaciółki Hazel będą mogły zwiedzić miasto.

– Masz rację. Nie mam w ten weekend ślubu. – Ze ściśniętym gardłem wodzę wzrokiem od jednej do drugiej. – Tyle tylko, że... po prostu mam pewną zasadę. Kiedyś często zgadzałam się brać udział w podobnych imprezach, ale... Cóż, nie wychodziło z tego nic dobrego. – Myślę o Whitney odsuwającej mnie od organizacji kolejnych ślubów, o pannach młodych piszących do mnie SMS-y przez cały dzień i całą noc, o parach podsuwających mi nowe pomysły po tym, jak już ustaliliśmy motywy i kolory. Zdecydowanie nic dobrego.

– Daj spokój! – rzuca Hazel znad swojego pączka. – I tak już w naszym przypadku złamałaś całe mnóstwo zasad. To znaczy, budujesz salę weselną praktycznie od zera. Ten jeden raz możesz przymknąć oko. – Jej śmiech brzmi serdecznie i beztrosko. Jest jak wspomnienia szczęśliwych dni.

– Zastanowię się nad tym – obiecuję, sącząc swoją cold brew.

Jest mi przykro, ale wiem, że nie mogę się na to zgodzić. Znajdę jakąś wymówkę. Gdybym dała się zaprosić, postąpiłabym nieprofesjonalnie i musiałabym odpowiedzieć sobie na pytanie: pracujesz dla nich czy się z nimi przyjaźnisz? To niełatwa sprawa.

– A drugi punkt? – pytam, starając się zmienić temat.

Jackie wskazuje na Hazel, która kończy przeżuwać kęs donuta i wyjaśnia:

– No więc... Odezwali się do mnie z *Fabulous Dream Weddings*.

– Masz na myśli ten program na TLC? – pytam. To produkcja niemal tak duża jak *Salon sukien ślubnych* i *Panny młode z piekła rodem*. Whitney niemal trafiła do niego z jednym ze swoich ślubów, ale pojawiły się jakieś problemy z harmonogramem.

– Tak! Chcą przysłać ekipę i wszystko sfilmować! Wiem, że to może być trochę przytłaczające, ale moim zdaniem byłoby super, gdyby udało się pokazać w świetle jupiterów ciebie i Elliota. Wszystkich z Sacramento, którzy wkładają tak wiele pracy w przygotowanie naszego przyjęcia.

Oczy Hazel lśnią wyczekująco, a moje myśli zaczynają krążyć jak oszalałe.

– Wow. Myślę, że zanim w to wejdziemy, należałoby ustalić, nad czym dokładnie mieliby kontrolę...

Hazel kręci głową, marszcząc brwi.

– Nad niczym.

– Hm, w porządku, ale czy w tych programach nie chodzi głównie o pokazywanie, kiedy coś idzie nie tak? Czy w związku z tym nie będą kazali nam czegoś inscenizować lub szukali dramatyizmu tam, gdzie go nie ma?

– To słuszna uwaga, Hay – szepcze Jackie.

Hazel pomrukuje pod nosem – cicho, z namysłem.

– Porozmawiam z moją agentką i zobaczę, czy uda jej się coś wynegocjować. Naprawdę jej na tym zależy. A Jackie i ja sądzimy, że to niezły pomysł.

Przykrywa dłonią rękę Jackie, a ja widzę wyraźnie chwilę, w której Jackie kompletnie się zapomina i uśmiecha do niej potwierdzająco, zanim ponownie się opamiętuje.

Hmm.

Zastanawiam się nad tą propozycją. Cóż, z pewnością nikomu by to nie zaszkodziło – wręcz przeciwnie. Mam jednak pewne opory, bo wiem, że za kulisami dzieją się często rzeczy, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. Koszty i wysiłek związany z koniecznością oczyszczenia okolicznej przestrzeni są naprawdę ogromne. Już teraz napotykam na przeszkody, o których nie mówię Hazel i Jackie, a gdy myślę o tym, że mielibyśmy je pokazać całemu światu, przechodzi mnie dreszcz.

– Chciałabym porozmawiać z producentką, zanim się na to zgodzę – zastrzegam. Jackie kiwa głową, ale widzę, że Hazel lekko się waha, zanim również przytakuje. Sądzę, że jest trochę zaskoczona, że w ogóle mogę mieć coś przeciwko. Cóż, wybacz, Hay. Podpisując ze mną umowę, zgodziłaś się na to, że to ja będę tu dowodziła.

W ciągu kilku najbliższych dni zabieram je na spotkania z paroma moimi kaligrafistami i jeszcze raz zaglądamy do studia baletowego, studiując projekt układu sali, w którym uwzględniono rozmieszczenie całego wypożyczonego sprzętu i kwiatowe dekoracje

(na szczęście nietoperze zostały już usunięte i zabrane w bezpieczne miejsce).

Po spotkaniu z Hazel i jej agentką, podczas którego wypytuję o szczegóły całego show, rozmawiam z Beą, producentką *Fabulous Dream Weddings*. Chcę dać jej jasno do zrozumienia, że osobiście będę nadzorowała wszystko w tygodniu, w którym odbędzie się ślub.

– Myślę, że moje największe obawy budzi cała sceniczna otoczka show. Wiem o programie dość, aby rozumieć, że fabuła musi być dopracowana – tak, by zapewnić widzom dobrą rozrywkę – informuję Beę w niedzielny wieczór, po długim, wyczerpującym dniu doglądania ślubu z udziałem krnąbrnego owczarka niemieckiego, który miał nieść w pysku obrączki – i je zjadł.

– Oczywiście – potwierdza Bea i chociaż jej głos jest kojący i spokojny, jestem pewna, że podczas rozmowy telefonicznej ze mną zajmuje się dziesięcioma innymi rzeczami. – Myślę, że powinniśmy się skupić na aspekcie „spełniania marzeń”, który realizujesz dla dziewczyn. Z tego, co mówiły Hazel i Jackie, wynika, że stworzyłyście coś naprawdę wyjątkowego!

To komplement, który ma mnie połechtać, i z zaskoczeniem konstatuje, że to naprawdę działa.

– Dzięki! Miło mi to słyszeć. Zależy mi jednak na przejrzystości i chciałabym, aby wszyscy zaangażowani zdawali sobie sprawę z tego, że priorytetem jest samo wydarzenie. W tygodniu ślubu dziewczyn organizuję jeszcze cztery inne imprezy, więc muszę mieć pewność, że jeśli zastrzegę przy czymś „żadnych kamer” albo „nie będziemy robili dokrętek”, moja prośba zostanie uszanowana.

– Rozumiem. Myślę, że możemy na to przystać.

Kiedy się rozłączam, wiem, że próbuję ugryźć więcej, niż jestem w stanie przełknąć, ale nie mogę nic na to poradzić. To będzie coś wielkiego. Nawet jeśli TheKnot.com i „People” nie poświęcą temu wydarzeniu dużych materiałów, to i tak rozgłos będzie niesamowity. Wysyłam e-maila do Hazel i Jackie, aby poinformować je o ustaleniach z producentką *Fabulous Dream Weddings*. Podpisuję umowę i załatwiam inne formalności.

Mianuję Mar moją oficjalną zastępczynią. Wiem, że to uszczupli moją gażę, ale warto będzie mieć kogoś, kto przypilnuje ekipę filmową, podczas gdy ja będę zajęta czymś innym. Jeśli chodzi

o resztę mojego byłego przybranego rodzeństwa, to jedynie Jake faktycznie próbował utrzymać kontakt. Nasi rodzice rozstali się sześć tygodni temu, ale od tego czasu wysłał mi dwa e-maile z pytaniem, czy nie potrzebuję przypadkiem kogoś do pomocy. Zaczynam zatrudniać go regularnie, aby przygotować do obsługi ślubu Hazel i Jackie. Sarah, która pracowała ze mną wcześniej, nawet jeśli niezbyt chętnie, prawie odmawia – zanim dowiaduje się, że proponuję jej wyższe wynagrodzenie niż ostatnio.

Wszystko póki co idzie gładko i zgodnie z planem. Przyjeżdża ekipa filmowa na próbne zdjęcia – mamy kręcić plan ogólny. Z pewnym wahaniem wpuszczam ich do przygotowywanego lokalu, aby mogli zyskać odpowiednie rozeznanie. Dziesięć razy ćwiczę z Mar moją kwestię, próbując ustalić, co dokładnie chciałabym powiedzieć na temat Jackie i Hazel.

Kiedy ekipa Bei siada ze mną w Ogrodzie Różanym, jąkam się tylko wtedy, gdy pytają mnie o to, jak dziewczyny mnie znalazły.

– Szefowa Jackie... Senator... Pracowałam wcześniej dla niej. Przepraszam, może nie powinniśmy o tym wspominać? Czy Jackie ujawniła, że pracuje dla rządu? Przepraszam...

Z pewnym trudem, ale jakoś udaje mi się przebrnąć przez kolejne pytania.

Ostatecznie decydują się zapytać o to samą Jackie.

Cukiernia chętnie organizuje degustację ciasta, tak abyśmy mogli udawać, że dziewczyny nie wybrały jeszcze tortu – bourbonowo-karmelowego przekładańca z kardamonową kruszonką z palonym masłem i migdałowym kremem bezowym (tak, próbowałam go, i tak, okazał się nieziemsko pyszny). Idę z nimi i odtwarzam całą scenę, czekając, aż Jackie i Hazel powtórzą moment, w którym nie zgadzały się na dodanie kokosa. Hazel zwraca się do mnie tak samo jak trzy miesiące temu i pyta:

– Ama, co o tym myślisz?

Udaję, że się zastanawiam, i odpowiadam:

– Kokos może nie pasować gościom, ale to twój tort.

Kończymy filmowanie i idę z Mar na drinka. Wypijamy trochę za dużo, bo wszystko idzie tak zaskakująco dobrze.

Lepiej, niż liczyłam na to w najśmielszych snach.

Pierwszą rzeczą, jaka przychodzi mi do głowy rano, jest to, że to dziwne, iż mój telefon w ogóle dzwoni, bo ustawiłam tryb „Nie przeszkadzać” od północy do siódmej rano.

Zaraz potem dociera do mnie, że Mar została u mnie na noc – i nie dotarła do drugiej sypialni. W ustach mam jej włosy, które opadają mi na twarz.

A potem...

– Halo? Tu Ama – mamroczę, próbując udawać osobę, która... – sprawdzam zegarek – o 7:02 jest już od dawna na nogach.

– Hej.

W tym momencie uświadamiam sobie, że słuchanie głosu Elliota Blooma z samego rana nadal jest jedną z najcudowniejszych rzeczy na świecie.

Siadam gwałtownie.

– Co się stało?

Mar jęczy sennie i przewraca się obok mnie na bok.

– Obudziłem cię? – pyta Elliot.

– Co się stało? – powtarzam, nagle w pełni rozbudzona.

– Uznałem, że nadal chodzisz na siłownię o szóstej trzydzieści, jak dawniej.

Wzdycham.

– To było... trzy lata temu, Elliot. Nie mam już nawet ich karty.

– Nie zadzwoniłbym, gdybym wiedział, że jeszcze śpisz.

– O co chodzi? – burczę niezbyt grzecznie. Czy nie wspominałam przypadkiem, że nie jestem rannym ptaszkiem?

– Huragan na Karaibach w ubiegłym tygodniu – informuje mnie Elliot, a ja mrużę oczy i próbuję uszczypnąć się w ramię, aby się upewnić, że to nie sen. – Słyszałaś o tym?

– Eee... Tak jakby? – Odrzucam kołdrę, a Mar pyta, z kim rozmawiam, ale uciszam ją syknięciem. W słuchawce przez chwilę panuje głucha cisza, a potem Elliot wyjaśnia:

– Prawdopodobnie spowoduje to wstrzymanie dostaw anturium.

W końcu wszystkie elementy układanki wskakują na swoje miejsca i wiem już, o co mu chodzi. Przesuwam dłońią po twarzy.

– Jak bardzo jest źle?

– Straty są w dużej mierze nieodwracalne.

Mar wstaje, trzymając się za głowę.

– Masz jajka? – pyta stłumionym głosem, zachrypniętym od alkoholu.

– Zostań tu – nakazuję jej szeptem, po czym idę do kuchni. – No to... Co to oznacza? – rzucam do słuchawki. – Czy chodzi o to, że będzie drożej?

Znowu milczy, po czym pyta ostrym tonem:

– Ama, jak myślisz, ile pieniędzy kosztowałoby naprawienie strat, które poczynił huragan?

Odchrząkuję.

– A więc nie mamy co liczyć na anturium? Rozumiem, że możemy o nim zapomnieć?

– Dostępne będą jedynie różowe i białe, te do bukietu Jackie. Ale Hazel musiałaby pójść na kompromis...

Pocieram skroń. Nie podoba mi się ta opcja. Style Hazel i Jackie tak bardzo się od siebie różnią... Wiem, że Hay także nie będzie zadowolona.

Zaczynam otwierać szafki, aby zaparzyć kawę.

– W takim razie będziemy musieli zmodyfikować projekt – mówię.

Z głębi korytarza dobiega głos Mar:

– Robisz kawę?

Ignoruję ją i wsłuchuję się w oddech Elliota.

– W porządku – wzdycha. – Zadzwoń do mnie, gdy już się całkiem obudzisz. Umówimy się na spotkanie i zrobimy burzę mózgow.

Rozłącza się, a ja spoglądam na telefon, próbując zrozumieć, dlaczego jest wściekły. Bo to raczej ja powinnam być zła, skoro zadzwonił do mnie o siódmej rano.

Mar wchodzi do kuchni, ubrana we wczorajsze ciuchy.

– Czy naprawdę musisz tak hałasować?

Rzucam w nią kapsułką do ekspresu.

Co ciekawe, ekipy filmujące przygotowania do ślubu uwielbiają złe wieści. I tak oto zespół nagrywający program Bei jedzie z nami do Blooming, gdzie Elliot osobiście poinformuje Hazel i Jackie, że mamy problem.

Chciałabym móc czerpać przyjemność z udręki Elliota, bo to będzie prawdziwe widowisko. Jako jeden z moich dostawców usług otrzymał informacje na temat naszego udziału w programie, podpisał odpowiednie klauzule i je odesłał. Nie sądzę jednak, aby się spodziewał, że faktycznie przyjdzie mu produkować się przed obiektywem. Powiedziałam Bei, że prawdopodobnie nie damy rady ponownie odtworzyć wizyty u florysty i zaproponowałam jej nagrywanie spotkań z innymi dostawcami usług. Ale w tych okolicznościach...

Ktoś rzuca się na Elliota z pędzlem, żeby przypudrować jego rzekomo „zbyt błyszczącą” twarz.

– Z dała ode mnie z tym cholerstwem! – mówi najgrzeczniej, jak potrafi.

Wzdycham, słaniając się lekko na nogach. Dziś rano nie było czasu na pączki. Nie zdążyłam nawet dopić kawy ani zjeść śniadania. W pewnym sensie działamy w trybie awaryjnym. Kamery trochę podkreślają atmosferę paniki, ale pełne przeprojektowywanie dekoracji kwiatowych na trzy i pół miesiąc przed ślubem to kiepska sprawa. Zwłaszcza w przypadku tak ważnego ślubu – i projektów, które naprawdę mają znaczenie.

Bea podchodzi do mnie.

– Hazel i Jackie są na parkingu, czekają z moją ekipą, dopóki nie będziemy gotowi. Nie uprzedziłaś ich, prawda?

– Nie – zapewniam ją. – Mam nadzieję, że to okaże się dla was wystarczająco dramatyczne... – Uśmiecham się słabo i kładę dłoń na swoim brzuchu.

– Jestem pewna, że tak. Czy wszystko w porządku?

Gdy podnoszę na nią wzrok, widzę ją podwójnie, ale trwa to tylko przez chwilę. Szybko dochodzę do siebie i macham lekceważąco ręką.

– Tak. Po prostu nie jadłam śniadania. – Pokazałam Mar, gdzie znajdzie jajka i patelnię, i przyjechałam tu w te pędy.

– Proszę. – Wyjmuje z saszetki batonika i mi podaje. Kątem oka dostrzegam napis „czekolada” i pokazuję jej uniesiony kciuk.

Zaczynam się zastanawiać, czy pączkowa dieta nie wpłynęła negatywnie na mój poziom cukru. Może od dawna mam hiperglikemię, ale o tym nie wiem, bo przez ostatnie dziesięć lat

codziennie rano przyswajałam bombę kaloryczną? Nie wiem, ile cukru jest w pączkach – i szczerze powiedziawszy, nie obchodzi mnie to.

Trzęsą mi się ręce i na chwilę wspieram się o ladę, żeby się uspokoić. Bea mówi coś swoim ludziom, ale ledwie to rejestruję, rozrywając opakowanie zębami.

Przed moimi oczami pojawia się nagle czyjaś dłoń i wytrąca mi brutalnie batonik, który upada na podłogę.

– Co ty wyprawiasz?

Mrugam nieprzytomnie, a mój puls na chwilę przyśpiesza, rekompensując niski poziom cukru we krwi. Elliot stoi przede mną, piorunując mnie wzrokiem.

– Hmm, próbuję zjeść śniadanie? – mamroczę słabo.

Schyla się, aby podnieść batonik, a potem podsuwa mi go tuż pod oczy.

– Batonik czekoladowy z masłem orzechowym – mówi.

Czuję, jak moją szyję i policzki oblewa rumieniec.

– Och. Cóż. – Nie mogę się zmusić, żeby spojrzeć mu w oczy, gdy wrzuca baton do kosza na śmieci.

– Co jest z tobą nie tak? Nie spałaś? – pyta szyderczo.

– Nie zdążyłam zjeść śniadania. Ja... przepraszam. – Narastają we mnie wstyd i poczucie upokorzenia. Nie jestem nawet pewna, czy mam tu ze sobą EpiPen, czy zostawiłam go w torbie w samochodzie.

Słyszę dobiegający z pobliza głos Bei:

– Czy wszystko w porządku? – pyta ponownie. – Możemy już wpuścić dziewczyny?

– Nie. – Elliot protestuje szorstkim tonem. – Dajcie mi dwie minuty. – Idzie w stronę wyjścia, krzycząc przez ramię do kogoś z zespołu filmowców: – I dopilnujcie, żeby usiadła!

Słyszę dzwonek nad drzwiami, a potem, nim drzwi zamkną się za nim do końca, słyszę pytanie Jackie:

– Elliot? Dokąd idziesz?

Gdy ktoś sadza mnie na krześle i podaje butelkę wody, spoglądam na dalie w oknie i widzę Elliota przechodzącego przez ulicę w kierunku drogerii sieci Rite Aid.

Nie mogę spojrzeć nikomu w oczy. Jest mi wstyd, że z głodu ledwie trzymam się na nogach – wszak jest już dziesiąta rano, a ja

jestem dorosła.

Elliot wraca tak szybko, że zaczynam się zastanawiać, czy aby na pewno zapłacił za zakupy, bo wiem, jak bardzo nienawidzi kas samoobsługowych. Kładzie na ladzie obok mnie banana, pudełko batonów śniadaniowych (bez orzechów) i butelkę żółtego gatorade. I wiem, co pewnie sobie myślicie: skoro kupił żółty, to na pewno jest na mnie zły i oczekuje, że mu podziękuję. Ale niestety tak się składa, że żółty gatorade to mój ulubiony. A ja czuję się koszmarnie z myślą, że nie dość, że ocalił mnie przed zjedzeniem batona z masłem orzechowym, to jeszcze pamiętał, że najbardziej lubię właśnie żółtą.

Zjadam połowę banana, a potem przełykam batonik, popijając go połową gatorade. Kiedy w końcu dochodzę trochę do siebie (choć czuję się dość wzdęta), kiwam głową Bei, dając jej znak, że możemy zaczynać.

Oprócz Bei i Elliota jest tu z nami dwóch kamerzystów i dźwiękowiec z mikrofonem na wysięgniku. Operatorzy zajmują swoje pozycje, a asystentka Bei, która czeka na zewnątrz z Hazel i Jackie, daje im sygnał, że mogą wejść.

Stoję i uśmiecham się głupkowato, ukrywając resztki mojego śniadania pod ladą i mając nadzieję, że nie jestem tak blada i spocona, jak się czuję.

Dziewczyny wchodzą i witają się z Elliotem, a gdy mnie przytulają, Jackie pyta szeptem:

– Wszystko w porządku?

Kiwam lekko głową, schowana za jej ramieniem.

Wiem, że Elliot prawdopodobnie nie czuje się dobrze w obecności kamer, więc przejmuję inicjatywę.

– Mamy złe wieści – informuję bez ogródek. Facet z mikrofonem zbliża się do mnie, zawieszając puchaty obłoczek nad moją głową. – Elliot mówi, że jest problem z zamówieniem anturium – zarówno ilości, jak i odcieni, na których wam zależało.

Kamera skierowana na Jackie i Hazel rejestruje ich reakcję – idealną, jeśli chodzi o oczekiwania widzów. Jackie zaczerpuje gwałtownie tchu i ogląda się na swoją narzeczoną, a tymczasem Hazel otwiera usta, po czym przygryza wargę. To będzie świetny materiał.

– No dobrze – mówi powoli Hazel. – W porządku. A więc... zamówimy mniej? Czy...

Wskazuję na Elliota, a on łypie na mnie spod ściągniętych brwi. Mikrofon na wysięgniku przesuwają się w jego stronę, a on przez chwilę patrzy na niego, nim zabiera się do udzielania wyjaśnień:

– Moglibyśmy skupić się tylko na białych i różowych. Kwiatach przewodnich Jackie. Bo jeśli chodzi o bordowe i te zielone, „liściaste”, to obie opcje odpadają. Całkowicie.

Hazel robi perfekcyjny show, wydając z siebie dramatyczne westchnienie i ze strapieniem pociera czoło. Jackie bierze ją tymczasem za rękę i przytula lekko, rozglądając się wokół, jakby szukała ratunku, jakiejś inspiracji, która pomogłaby im wybrnąć z tego impasu. Odchrząkuję.

– Możemy spokojnie zmienić projekt, opierając się na różowym i białym anturium, ale nie sądzę, abyśmy uzyskali taki efekt, na jakim ci zależało...

Widzę, jak Bea kiwa głową zza ramienia kamerzysty, który mnie filmuje, i czuję się jak prawdziwa gwiazda reality show.

– Sądzę, że musimy wymyślić coś innego – podejmuję. – Powinniśmy zrobić burzę mózgow i zmodyfikować nasz projekt w oparciu o wasze oczekiwania w zaistniałej sytuacji.

Hazel unosi głowę, a w jej oczach widać niemal dziecięce rozczarowanie. Całkiem jakby się dowiedziała, że ktoś właśnie odwołał Gwiazdkę. Gestem daje mi znak, żebym rozwinęła myśl.

– Kwestię kwiatowego parkietu mamy już ustaloną. Myślę, że będzie wyglądał oszałamiająco i robi na gościach niesamowite wrażenie. Możemy więc skupić się na pozostałych elementach.

Jackie kiwa głową, a Hazel przygryza wargę i również przytakuje.

Właściwie to jestem trochę zaskoczona. Jak dotąd nie odmówiłam niczego Hazel Renee. I chociaż do tej pory starałam się traktować ją jak każdego innego klienta, to mam wrażenie, że to wszystko szybko staje się dla mnie zbyt osobiste. Jej rozczarowanie i niechęć są widoczne jak na dłoni, a ja muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby jakoś z tego wybrnąć.

– Elliot, może przejdziemy do twojej pracowni i omówimy kilka pomysłów?

Elliot kieruje się na zaplecze, a jeden z kamerzystów szybko rusza w ślad za nim. Panuje tu mały rozgardiasz, więc mija dobra chwila, nim wszystko udaje się przygotować do nagrania. Musimy ponownie wejść i udawać, że kontynuujemy poprzednią scenę.

Nim jeszcze operatorzy odpalą ponownie kamery, Elliot zaczyna się krzątać po zapleczu, przynosząc różne wazony. Bea szybko daje swojej ekipie znak, żeby go filmowała, co wyraźnie mu się nie podoba.

Dostajemy sygnał, że możemy kontynuować, i ponownie przejmuję inicjatywę.

– No to... Kiedy ustalaliśmy, jak ma wyglądać projekt, położyliśmy nacisk na podkreślenie różnic w waszych oczekiwaniach, ale i ujednoczenie stylu. Jackie stawia na klasykę i elegancję. Hazel zależy na czymś nowoczesnym i egzotycznym, widowiskowym. Zdecydowaliśmy się na rzadkie kwiaty w różnych odcieniach, aby połączyć te elementy. Myślę, że możemy znaleźć także inne rozwiązanie. Poszukajmy czegoś nieszablonowego...

Jackie chłonie w każde moje słowo, a Hazel – jeśli mam być szczerą – zachowuje się jak rozkapryszone dziecko. Mam cichą nadzieję, że widzom się to spodoba.

Elliot przygotował już na swoim stanowisku kilka różnych kwiatowych propozycji i tak jak przypuszczałam, jedna kamera skupia się wyłącznie na nim. Wygląda naprawdę dobrze – skoncentrowany, przystojny i aktywny.

Podnosi wzrok znad kwiatów, przeczesując palcami łodygi trawy pampasowej zwieńczonej delikatnymi pióropuszcami.

– Zacznijmy od zera – zarówno w ujęciu mentalnym, jak i kreatywnym – mówi. – To będzie jesienny ślub. Jesienne przyjęcia to prostota i przytłumione tony. Jeśli chodzi o klasyczny design... – wskazuje na Jackie – postawimy na pudrowy róż i trawę pampasową.

Łączy różowe kwiaty o stonowanej barwie z trawą, tworząc piękny bukiet, który bardzo pasuje do stylu Jackie. Widzę w jej spojrzeniu, że ogromnie jej się podoba.

– Jesień kojarzy się również z głębokimi czerwieniami. Winem. Ciepłymi, kojącymi kolorami – dodaje tymczasem Elliot i tym razem dobiera do trawy pampasowej bordowe dalie. Dodaje liściastą łodygę cytryny i zamiast wstążki obwiązuje wszystko mechatym sznurkiem.

Hazel kiwa głową, ale chyba nie jest do końca przekonana – i Elliot doskonale o tym wie. Otwieram usta, aby powiedzieć coś, co rozładuje nieco napięcie, gdy Hazel podnosi rękę.

– Przepraszam. Czy możemy zrobić przerwę? – Patrzy na Beę ze stanowczym wyrazem twarzy. Jeden z kamerzystów opuszcza kamerę, kierując obiektyw w stronę podłogi. – Nie miałam pojęcia, że wpuścicie nas na taką minę, więc jestem trochę... roztrzęsiona.

Ściągam brwi.

– Na minę?

Bea robi krok do przodu.

– Hm, cóż, jasne. Jeśli chodzi o reality show, to staramy się, aby część scen była spontaniczna, nieinscenizowana. Chcemy pokazać prawdziwe emocje. Chciałabym kontynuować, aby zaprezentować widzom wasze odczucia na świeżo, ale zrozumieć, jeśli odmówicie.

– Hazel? Jackie? – zagaduję. – Nie musimy podejmować żadnych decyzji dzisiaj – ani przed kamerami. Możemy zrobić powtórkę, tak jak w cukierni. – Widzę, że Bea chce nas przekonać, abyśmy zrobili to na żywo, ale jej przerywam: – Elliot, skoro kamery są wyłączone, czy masz coś do dodania?

Drapie się po brodzie.

– To, co się wydarzyło... co się dzieje... to raczej niecodzienna sytuacja. Rzadko mam tego rodzaju problemy z zaopatrzeniem, ale to problem na skalę światową. Mogę wam obiecać, że ten ślub będzie piękny. Mamy już gotowy świetny projekt, a teraz musimy go jedynie lekko zmodyfikować.

Kiwam entuzjastycznie głową, a Hazel robi głęboki wdech, żeby się uspokoić.

Jackie mówi z lekkim wahaniem:

– Dla mnie wygląda super. – Składa oba próbne bukiety, pokazując, jak dobrze wspólnie się prezentują.

– Dla mnie niekoniecznie – narzeka Hazel.

Widzę, jak Jackie zaciska usta, a Beę aż swędzą palce, aby to sfilmować.

– Mam pewien pomysł, który chciałem przetestować już jakiś czas temu. – Elliot mówi powoli, z namysłem. – Ale nie znalazłem odpowiedniego powodu, aby z nim pokombinować.

Wyjmuje telefon i widzę, jak otwiera Instagram.

– Nie mam u siebie niezbędnych materiałów – wyjaśnia – bo to dość rzadkie, egzotyczne kwiaty... – Podchwytuje mój wzrok, a ja natychmiast domyślam się, o co chodzi. Chce zaintrygować Hazel, przekonać ją do tego pomysłu. Rzadkie. Dokładnie to, czym prawdopodobnie ją kupi. Hazel na to pójdzie. Wiem to.

Podaje jej telefon i widzę, jak stopniowo jej czoło się wygładza, gdy przesuwa palcem zdjęcia.

– To protea, zwana też srebrnikiem. Byłaby głównym elementem twojej wiązanki. Elegancka, ale i efektowna. A co najlepsze, nie będzie żadnych problemów z jej sprowadzeniem. Moglibyśmy nawet wypełnić nimi parkiet dzięki kwocie, jaką zaoszczędzimy, rezygnując z anturium.

Hazel pokazuje zdjęcia Jackie, która, widzę to wyraźnie, próbuje robić dobrą minę do złej gry. To nie do końca w jej stylu. Patrzę na duże kwiaty o ostrych płatkach i wiem, że Jackie widzi jedynie kolczaste liście i sprawiające wrażenie kłujących środki.

– Czy dałbyś radę zrobić dla nich ponownie osobne bukiety? – pytam Elliota, który kiwa głową i bierze od dziewczyn telefon, pokazując im bukiet, na widok którego Jackie wzdycha z ulgą. To różowe róże, otaczające białą proteę i z przybraniem z liści eukaliptusa.

– Wygląda cudownie, kochanie – szepcze do Hazel.

Ta spogląda na mnie, a potem na Beę i kamerzystów.

– No dobra – mówi. – Możemy kręcić. Czy moglibyśmy to powtórzyć, Elliot? – proponuje profesjonalnie, jak prawdziwa gwiazda.

Elliot

TRZY LATA, TRZY MIESIĄCE, TYDZIEŃ I CZTERY DNI
TEMU

Od dwóch tygodni nie rozmawiam z Amą o niczym innym poza interesami. W ostatnią sobotę na weselu w Willow Ballroom oboje byliśmy zawałeni robotą. Przygotowała najbardziej dekadenski projekt, jaki kiedykolwiek widziałem – i wyszło naprawdę świetnie. Ale oznaczało to jednocześnie, że nie mieliśmy czasu na żadną wymianę zdań poza: „Wygląda naprawdę super. Przesuń o pięć centymetrów w bok”.

Teraz, na weselu Ngów, jestem odpowiedzialny tylko za główne elementy kwiatowych dekoracji, więc widzę ją dopiero, gdy pojawia się na przyjęciu ze swoją nieodłączną słuchawką bezprzewodową w uchu i wyrazem najwyższego skupienia na twarzy, w której lśnią pasją te jej niezwykle oczy.

Nadal nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Czy zostałem splewiony? Czy to był jednorazowy wyskok? Jeśli tak, to nie zamierzam podchodzić do niej pierwszy – nawet jeśli bardzo chcę się z nią znowu zobaczyć. Chciałbym ją zaprosić na randkę

i porozmawiać o czymś innym niż tylko kwiaty i śluby. Od czasu przyjęcia Gordonów każdego ranka budzę się, marząc o tym, aby znów z nią być.

Ale nie wiem, jak sprawić, by tak się stało, poza... kręceniem się w pobliżu. Dotychczas spotykałem się dokładnie z czterema kobietami i zasadniczo mam wrażenie, że nie jestem w tej dziedzinie ekspertem.

Ustawiam więc kwiaty na stołach, zabieram swój wózek i wracam na parking. Gdy odpalam furgonetkę, ktoś puka w szybę po stronie kierowcy. Za oknem widzę uśmiechniętą twarz Amy. Opuszczam szybę.

– Hej.

– Cześć – szczebiocze słodko. – Już lecisz?

– Muszę wracać do kwaciarni.

Mruczy pod nosem z namysłem i wspina się na stopień, aby móc się wesprzeć na oknie.

– Jak ci minął tydzień?

Nagle przychodzi mi do głowy, że prawdopodobnie się do tego nie nadaję. Nie jestem dla niej dość dobry.

Cokolwiek planuje – niezależnie od tego, czy chce sypiać ze mną co dwa tygodnie, czy pragnie związku bez zobowiązań – sądzę, że to przekracza moje możliwości. Ale mimo to udaje mi się wykrztusić przez dziwnie nagle wyschnięte gardło:

– Dobrze. A tobie?

– Mnóstwo pracy. Chciałabym, żeby to przyjęcie już się skończyło... Ustalili mały budżet, a potem ciągle prosili mnie o coś, co go przekraczało. – Wzdycha i przeczesuje dłonią włosy, co nieuchronnie przyciąga mój wzrok. – O której zamykasz kwaciarnię?

– O szóstej. Wracam o dziesiątej po wazonny.

Kiwa głową.

– Nie masz przypadkiem ochoty wrócić trochę wcześniej? – Sięga do mojego kołnierzyka, żeby go poprawić, ale zamiast tego jej palce zaczynają błędzić w okolicach górnego guzika mojej koszuli. – Mógłbyś mi pomóc przy sztucznych ogniach... – mruczy jedwabistym głosem, jakby miała na myśli rozpalenie zupełnie innego ognia.

– Naprawdę chodzi tylko o to? Znasz moje zdanie na temat tego, że potrzebujesz asystenta.

– Och, cóż, właściwie to miałam na myśli, że jeśli wrócisz, z miłą chęcią zerżnę cię w twojej furgonetce.

Zaciskam usta i odchylam głowę, jakbym zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Pomyślałem, że to raczej ja mógłbym zerżnąć w niej ciebie.

Zaciska wargi, aby stłumić cisnący się na nie uśmiech.

– Hmm, rozważę tę opcję.

Przyciąga mnie do siebie za kołnierzyk i całuje, ale nim zdążę wpleść palce w jej włosy, odsuwa się, puszcza do mnie oko i odmaszerowuje.

Jestem z powrotem na parkingu dwie minuty po osiemnastej. Zanim przychodzi mi do głowy, żeby wejść do środka i jej poszukać, widzę postać wychodzącą z budynku.

– Grają YMCA!

Gdy utwór zmienia się na *We Are Family*, wsiada od strony pasażera i natychmiast zaczyna ściągać majtki, a ja proszę ją, żeby przeniosła się na tylną kanapę. Skwapliwie spełnia moją prośbę, ustawiając się w pozycji na czworaka.

Odkąd dostałem tę furgonetkę w szkole średniej, zawsze marzyłem o tym, żeby uprawiać w niej seks. Może po meczu futbolowym, w którym okryłbym się chwałą jako rozgrywający? Mimo że nigdy nie miałem wrodzonego talentu do tego sportu.

To trochę bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażałem, ale i tak dość szybko udaje mi się znaleźć wygodną pozycję, z jednym kolaniem wspartym o kanapę. Ama opiera się jedną ręką o szybę, a drugą o zagłówek. W środku jest parno, wewnątrz wypełnia jej zapach, a ja chłonę wzrokiem jej biodra, gdy przysuwam je do siebie. Kolano ślizga się po siedzeniu, a dłonie spoczywające na jej skórze są wilgotne od potu.

– Czy... – pyta na wydechu, opuszczając twarz na kanapę. – Czy mógłbyś znowu nazwać mnie Amarylis?

Jęczę, nieomal tracąc nad sobą panowanie, ale zanim dochodzę, udaje mi się wyszeptać jej imię.

Ponownie szybko doprowadza się do porządku, tak jak poprzednio. Wkłada z powrotem majtki i całuje mnie w usta, a podczas gdy ona wraca na przyjęcie, ja otwieram szyby i próbuję ochłonać.

Dwa tygodnie później rujnuje mój projekt florystyczny na weselu Singhów, przestawiając kwiaty i usuwając z kompozycji chryzantemy. Kiedy robię jej o to awanturę w magazynku ze środkami czystości, odpyskowuje mi, a potem całuje namiętnie. Gdy zsuwa się na ziemię, dobierając się do mojego rozporka, kompletnie zapominam o tych nieszczęsnych chryzantemach. W istocie to jej pomysł, jeśli chodzi o dekoracje, był lepszy. Zawsze ma lepsze pomysły.

Na następnym spotkaniu z klientami w moim sklepie zachowuje się jakby nigdy nic. Doprowadza mnie to do szału. Jest rzeczowa, a ja myślę tylko o tym, jak bardzo chciałbym pieścić ją ustami – dopóki nie zacznie krzyczeć. Gdy spotkanie dobiega końca, nie widzimy się przez kolejny tydzień.

Mam wrażenie, że zaczynam o niej zapominać. Nie myślę o niej już tak często. Może dałbym radę wymazać z pamięci to, co było między nami, gdybyśmy od tej pory ograniczali się jedynie do kontaktów zawodowych? Następnym razem, gdy ją widzę, spotykamy się w domu rodziców pary młodej, w którym ma się odbyć ich przyjęcie weselne. Stoi obok mnie na podwórku, pokazując mi, gdzie będzie łuk ślubny, a ja, nim zdążę się ugryźć w język, wypalam:

– Wybrałaś się ze mną w tygodniu na kolację?

Trzepocze rzęsami tak uroczo, że ledwie słyszę jej ciche:

– Tak. Brzmi świetnie.

Wpatruję się w jej twarz, jej zaróżowione policzki i dolną wargę, którą seksownie przygryza.

– No to... jaki będzie układ krzesel? – pytam ją. Uśmiecha się i kontynuuje opisywanie swojego projektu.

W czwartek zabieram ją do małej włoskiej knajpki kilka przecznic od kwaciarni. Je więcej niż jakakolwiek dziewczyna, z którą się kiedykolwiek umawiałem, a kiedy beka przy stole, śmieję się tak głośno, że kelner podchodzi, żeby sprawdzić, czy wszystko u nas w porządku.

Kiedy się dowiaduje, że przez trzy lata uczyłem się w college'u poza stanem, każe mi wszystko sobie opowiedzieć.

– Co studiowałaś?

– Architekturę – wyjaśniam, niemal czując na języku gorzki smak tego słowa.

Oczy rozświetla jej jakiś wewnętrzny blask.

– Cóż, to wiele wyjaśnia. – Kiedy marszczę brwi, zbity z tropu, dodaje: – Rzeczy, które budujesz. Łuki ślubne, obręcze, żyrandole.

– Nie wydaje mi się, żebym wykorzystywał moje wykształcenie architektoniczne do układania kompozycji z gipsówki i piwonii – mamroczę, poszturchując widelcem moją carbonarę.

– Serio? – Pochyliła głowę w moją stronę. – Bo ja widzę to wyraźnie. Zdobyłeś dyplom?

– Nie. Na ostatnim roku musiałem rzucić studia i po prostu... nigdy nie wróciłem. – Odwracam wzrok.

– A chciałeś? To znaczy wrócić? – pyta, jakby czytając w moich myślach. – To znaczy, nie mam pojęcia, jak to wygląda, jeśli chodzi o formalności, ale czy łatwo byłoby ci podjąć studia ponownie, gdybyś tylko miał czas?

Wzruszam ramionami, starając się zignorować fakt, że właśnie podsumowała cały mój problem jednym krótkim zdaniem.

– To bez znaczenia, bo niestety nie mam czasu. Muszę prowadzić kwiaciarnię i... – urywam, gryząc się w policzek.

– Wróciłeś, kiedy twój tata zachorował? – pyta cicho, łagodnie, a ja przytakuję. – Co to było?

– Rak płuc. Nigdy w życiu nie palił. – Uśmiecham się smutno. – Tak czy inaczej, kwiaciarnia była dla niego... wszystkim. Zawsze miałem ją po nim odziedziczyć. Nie mam rodzeństwa, więc od początku było wiadomo, że będę ją prowadził. Chciał, żebym skończył studia, ale zawsze powtarzał, że pewnego dnia zostanę właścicielem Blooming. Ten dzień nadszedł szybciej, niż się spodziewałem. Mama zadzwoniła do mnie i powiedziała, że wykryli u niego guz w płucach. Sam nigdy by się nie przyznał. Więc wróciłem do domu. – Podnoszę na nią wzrok. – Ale lubię tę pracę. Trochę to potrwało, zanim się do tego przekonałem, ale kwiaty są... Cóż, kwiaty są lepsze od ludzi – cytuję ze śmiechem mojego ojca.

W jej oku pojawia się jakiś błysk.

– Tak właśnie mawiał twój tata.

Serce zaczyna mi bić szybciej i czuję w klatce piersiowej dziwny ucisk.

– Pewnego razu... zachował się w stosunku do mnie naprawdę miło – mówi, a oczy zachodzą jej mgłą. Przetykam ślinę i ponownie odwracam wzrok, podczas gdy ona podejmuje: – To znaczy, zawsze

był miły. Naprawdę wyjątkowy człowiek. – Prycha i podnosi kieliszek z winem do ust. – Nie to co ty.

Kiwam głową, a ona kontynuuje:

– Ale pewnego razu... miałam naprawdę ciężki dzień. To było przyjęcie organizowane przez Whitney, a on... poprawił mi humor. – Uśmiecha się. – Nie wiem, może to zabrzmiało dziwnie, ale dał mi chusteczkę. Wciąż ją mam. Chcesz ją odzyskać? Wydaje mi się, że są na niej wyszyte jego inicjały.

Pamiętam trzask, gdy rąbnęła tamtego gościa w nos. I to, jak żałośnie przytuliła niemal natychmiast pięść do piersi.

Jej śmiech, rozbrzmiewający jak muzyka.

Potrząsam głową.

– Miał ich mnóstwo. Zachowaj ją. Cieszę się, że podarował ci jedną z nich.

Opada na oparcie krzesła i krzyżuje pod stołem nogi w kostkach.

– Myślę, że możesz wrócić, jeśli tylko naprawdę tego chcesz. Wiele college'ów zapewnia swoim uczniom możliwość odbywania zajęć zdalnie. Decyzja należy do ciebie, ale... sam to powiedziałeś – twój tata chciał, żebyś zdobył dyplom. I kto wie? Może w jakiś sposób da ci to przewagę, kiedy otworzysz pracownię w kwiaciarni. – Mruga do mnie.

– Może. – Trudno mi się do tego przyznać, nawet przed samym sobą, ale podoba mi się to, z jaką łatwością roztacza przede mną wizję mojej przyszłości. – A ty? Nie poszłaś na studia?

– Kilka tygodni po ukończeniu szkoły średniej zaczęłam pracę u Whitney. Myślę, że mogłabym zrobić dyplom z zarządzania albo hotelarstwa, ale musiałabym wyjechać z miasta. A ja już wówczas pracowałam pod okiem prawdziwej mistrzyni.

Gdy mówi o Whitney, oczy jej błyszczą, a ja staram się nie marszczyć z dezaprobatą brwi.

– Od zawsze się zastanawiałem, jakie właściwie miałaś u niej oficjalne stanowisko – mówię.

– Och, robiłam dla niej różne rzeczy. Ale w okresie, kiedy pracowałam ze swoim tatą, byłam koordynatorką do spraw projektowania.

– Dlaczego odeszłaś?

– Masz na myśli, dlaczego Whitney pozwoliła mi odejść? – Sięgając po kieliszek i unosząc kpiąco brwi, powtarza moje słowa, które wypowiedziałem do niej na początku tego roku. Przewracam oczami. – Pomagałam przy weselach z budżetami opiewającymi na setki tysięcy, ale wiedziałam, że chcę pracować przy projektach zakrojonych na mniejszą skalę. Bo mniejsze budżety... to jednocześnie większe pole do popisu. To znaczy... Wiesz, co mam na myśli? Czy to w ogóle ma sens?

– Tak, ma – odpowiadam i mówię szczerze.

– Whitney zaczęła z marszu odsyłać z kwitkiem każdego, kto nie miał pięćdziesięciu tysięcy lub więcej, niezależnie od tego, ile chcieli jej zapłacić, więc pomyślałam: „Może ja mogłabym organizować ich śluby? Dysponując takimi budżetami, mogłabym zrobić coś naprawdę niezwykłego”.

– Więc nie miało to nic wspólnego z twoim honorarium? Ani z tym, jak cię traktowała?

Ama mruga, wyraźnie zdziwiona, a przy stole zapada niezręczna cisza. Natychmiast żałuję, że o to zapytałem.

– Jak... jak mnie traktowała? – powtarza. – Co masz na myśli?

– Przepraszam, nie powinienem był... – Urywam, ale ona wciąż czeka na wyjaśnienia. – Dla wszystkich dostawców usług, z którymi pracowała, od zawsze było jasne, kto był prawdziwym mózgiem stojącym za sukcesami Whitney Harrison Weddings. Mój ojciec przez cały czas o tym mówił – o tym, jak bardzo zmienił się na plus styl Whitney na przestrzeni lat, jaka ogromna zmiana nastąpiła, odkąd postawiła na świeżą krew. Mark z Roscow Rentals też mi o tym mówił. Zauważyła to również Minnie z Freeport Bakery.

Widzę, jak jej klatka piersiowa faluje coraz gwałtowniej, ale usta ma zaciśnięte.

– Mam na myśli, że... Ama, miesiąc po twoim odejściu Whitney poprosiła mnie, żebym odtworzył zamówienie na ślub Teelech. Co do najmniejszego kwiatowego pączka, kubek w kubek. Twój projekt idealnie powielony na innym ślubie.

Odchrząkuje.

– Nie wiedziałam o tym. – Upija łyk wina i odwraca wzrok. – To znaczy, dla porządku, wszystko, co zaprojektowałam, gdy

pracowałam dla Whitney, jest jej własnością. Tak było w mojej umowie. Więc nie zrobiła nic nieuczciwego.

Zaciskam usta, aby tego nie skomentować. Niemal zgrzytam zębami.

– Jak dużą dostałaś podwyżkę, gdy awansowałaś na koordynatorkę do spraw projektowania?

– Nie pamiętam...

– Teraz, gdy już dla niej nie pracujesz, musi zlecać projektowanie firmom zewnętrznym. Wiesz, ile bierze Tamara Birch, która teraz często z nią współpracuje? Whitney dodaje jej koszty do całkowitego budżetu. Tamara dostaje za planowanie ślubów stówę za godzinę.

Ama wpatruje się we mnie bez słowa, dokonując w myślach obliczeń. Widzę, że jest bliska uświadomienia sobie, jak bardzo na przestrzeni tych wszystkich lat była wykorzystywana.

– Ale ja dostawałam stałą pensję – protestuje słabo. – Nawet gdyby Tamara Birch pracowała przez pięć godzin w każdym tygodniu w ciągu roku, to i tak dostawałam więcej niż ona. Poza tym miałam stałą pracę poza sezonem, więc... – Gwałtownie zrywa się od stołu i daje kelnerowi gestem znak, żeby przyniósł rachunek. – Nie rozmawiajmy o tym, dobrze? Myślę, że twoje spostrzeżenia są bardzo ciekawe, ale, szczerze powiedziawszy, wolałabym nie psuć sobie nastroju przed tym, jak będę cię dziś wieczorem pieprzyć do utraty przytomności.

Hm, cóż, kto mógłby w tej sytuacji oponować? Dopijam wino, a kiedy kelner przynosi rachunek, wręczam mu swoją kartę kredytową, zanim Ama zdąży udać, że sięga po swoją. Uśmiecha się do mnie promiennie.

– Skąd wiesz te wszystkie rzeczy o Tamarze Birch? – pyta z chytrym uśmieszkiem.

Wzdycham, przewracając oczami i wbijam wzrok w sufit.

– To były tylko dwie randki.

Parska śmiechem.

– W takim razie najwyraźniej lecisz na konsultantki ślubne, co?

Podpisuję rachunek i mamroczę:

– A może to raczej one lecą na mnie?

Nie zaprzecza.

Wracamy do naszych samochodów, które zostawiliśmy pod kwiaciarnią, a ona przyciska mnie do swojej camry i całuje. Otwiera drzwi po stronie pasażera, abym mógł wsiąść, i wraca do drzwi kierowcy. Zapala silnik i włącza klimatyzację, a potem zaczyna mnie ujeżdżać, co, jak zaczynam od jakiegoś czasu podejrzewać, jest jej ulubioną pozycją.

– Chciałabym cię do siebie zaprosić – mamrocze w moją szyję, sięgając do moich dżinsów – ale w tym tygodniu pomieszkuje u mnie mama.

– Och. – Jej palce owijają się wokół mojego kutasa, a ja łapię się na tym, że zaczynam paplać bez ładu i składu o jej matce. – Czy wszystko u niej w porządku?

– Tak, po prostu... właśnie się rozwodzi. – Przesuwa zębami po krawędzi mojego policzka, a mój fiut drga w jej dłoni.

– Ona... Masz na myśli, po ślubie, na który dopiero co robiłem żyrandol? Przykro mi...

Ociera się kroczem o moje udo, więc się domyślam, że ta rozmowa jej nie przeszkadza.

– To nic takiego. Zdarza się.

Wsuwam dłonie pod jej sukienkę i kieruję między jej nogi. Jęczy, gdy zanurzam w niej palce.

Nagle mój wzrok pada na deskę rozdzielczą, którą widzę nad jej ramieniem.

– Co... co się dzieje z twoim samochodem? – pytam, zdyszany.

Wygląda na to, że dokładnie wie, o czym mówię, bo odpowiada:

– Muszę po prostu odstawić go do warsztatu.

Muska kciukiem główkę mojego penisa, ale nie mogę się nawet tym nacieszyć, bo na jej tablicy rozbłyskuje siedem ostrzegawczych kontroltek.

– Jesteś pewna, że powinnaś nim jeździć w tym stanie?

– Jeżdżę tak od dwóch miesięcy.

– Od dwóch miesięcy! – Odsuwam jej twarz od mojej szyi. – Ama, nie możesz prowadzić samochodu, który jest w takim stanie.

– Ale tak naprawdę nic się nie dzieje, serio! Trzeba tylko wyjąć gwóźdź z opony i wymienić olej. Jestem pewna, że poza tym wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Widzę zapalone kontrolki poduszek powietrznych, kontrolki serwisowe i coś, czego nigdy nie widziałem w żadnym samochodzie, którym do tej pory jeździłem.

– Ama...

– Odpręż się i mów do mnie „Emma”.

Nakrywa moje wargi swoimi, a jej język zaczyna wyprawiać dzikie harce w moich ustach, ale odpycham ją, choć jej dłoń znów zaciska się na moim fiucie.

– Chwila. Wiesz, że możemy zgiąć w tym samochodzie, tu i teraz? – Spycham ją delikatnie z kolan, zmuszając, aby z nich zeszła.

– Nie, poczekaj...

– Otwórz maskę. Rzucę na to okiem.

– Elliocie Bloom, jeśli tylko będziesz siedzieć nieruchomo i na chwilę o tym zapomnisz, obiecuję wyssać twoją duszę przez kutasa...

Dyszy ciężko, a jej oczy miotają gromy.

– Ja... Ama, nie mogę. Nie mogę!

Odsuwam ją i otwieram drzwi, a potem zapinam spodnie i gestem daję jej znak, aby otworzyła maskę. Spędzamy dwadzieścia minut, posyłając sobie mordercze spojrzenia przez przednią szybę, zanim informuję ją, że dzwonię po lawetę i odwiozę ją do domu.

Nie muszę chyba dodawać, że tej nocy nie wysysa mojej duszy przez kutasa.

Ama

LIPIEC

Ekipa filmowa komplikuje wszystko co najmniej dziesięciokrotnie. Wiem, że to może brzmieć głupio, ale to najprawdziwsza prawda.

Ponieważ Hazel i Jackie zatrudniają projektantkę strojów ślubnych spoza miasta, ekipa filmowa nie będzie miała okazji nagrania materiału z przymiarek w sklepie. Bea zapytała więc, czy możemy to zorganizować w jakiś inny sposób, bo to najwyraźniej bardzo ważny element jej reality show.

Podaję jej nazwy najlepszych sklepów w Sacramento i dzwoniemy do nich wspólnie, aby zaklepać miejscówkę. Podsumowując: na gwałt umawiam przymierzanie sukienek, które koniec końców nie zostaną kupione, a Bea musi dopilnować formalności. W końcu na nagrywanie zgadza się salon Spring Maiden w Carmichael – pod warunkiem, że w odcinku zostanie wymieniona ich nazwa, a oni sami zostaną pokazani w korzystnym świetle.

Zostawiam Bei zajęcie się Jackie i Hazel, które otrzymują luźny scenariusz całego nagrania, a sama będę po prostu zachowywała się tak, jak na każdym innym spotkaniu z usługodawcami.

Spring Maiden to uroczy sklep, w którym byłam zaledwie kilka razy, ale na szczęście właścicielka wciąż pamięta mnie z czasów, gdy pracowałam z Whitney. Przyjeżdżam wcześniej, aby się upewnić, że możemy liczyć na prywatność i poznać asystentki, które będą nam dziś pomagały. Właścicielka wita mnie i bierze na bok.

– Udało nam się zamknąć sklep dla klientów z zewnątrz, aby nikt nie plątał się przed kamerami. Niestety, kiedy zadzwoniłyście, jedno spotkanie miałyśmy już umówione. Są po drugiej stronie salonu. Dałam im znać, co się dzieje.

– Świetnie – mówię. To nie powinien być problem.

Kamery rejestrują Hazel i Jackie wchodzące do salonu oraz witającą je właścicielkę. Przydzielona nam asystentka prowadzi nas do prywatnego pokoju z lustrami i postumentem. Jackie i Hazel rozmawiają z nią o tym, na czym im zależy. Bea postanowiła, że decyzja Hazel o wyborze na ślub garnituru powinna być ukazana jako proces, więc Hazel przymierza sukienki, które „po prostu nie są odpowiednie”.

W pewnej chwili producentka wychodzi i gestem daje mi znak, żebym do niej dołączyła.

– Czy moglibyśmy porozmawiać z tobą na temat wybierania sukienek? – pyta.

– Jasne!

– Dam Hazel i Jackie chwilkę odsapnąć, a potem poproszę kamerzystę, aby ustawił cię w tym uroczym kąciku. – Wskazuje na matową ścianę z dobrze widoczną nazwą sklepu.

Czekam na ekipę i sprawdzam e-maile, gdy nagle słyszę:

– Ama? Tak się właśnie zastanawiałam, czy to ty! – Kiedy podnoszę wzrok, widzę Whitney Harrison, wychodzącą z prywatnej sali po drugiej stronie lobby.

– Och, Whitney, cześć! – Zrywam się, aby ją uściskać, gdy nagle przypominam sobie, że nadal jestem wobec niej nieufna, kiedy jednak przytula mnie mocno na powitanie, ponownie zastanawiam się, czy cała ta akcja z dostawcami usług nie była przypadkiem po prostu zwykłą pomyłką. – Powinnam była się domyślić, że to ty jesteś tą drugą klientką!

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Niestety nie mogliśmy zmienić terminu – mówi Whitney, odsuwając z twarzy

kosmyk jasnych włosów. – Moja panna młoda była umówiona na to spotkanie od ponad miesiąca...

– Och, nie, absolutnie nie! – Macham ręką na podkreślenie swoich słów. – Nie zależy nam na, hm, prywatności. Myślę, że chodzi głównie o to, aby w pobliżu nie kręciło się po prostu zbyt wielu klientów.

– Oczywiście. Jak idzie nagrywanie przygotowań? Czy są bardzo uciążliwi?

– Jak na razie nie. – Śmieję się. – To tylko odrobina inscenizacji z udziałem dostawców usług. Tak naprawdę dziewczyny mają już wybrane stroje – wyjaśniam cicho – ale producentce zależało na nakręceniu sceny ich wyboru.

– Ach, rozumiem! – Ujmuje mnie za łokieć. – Szczerze powiedziawszy, naprawdę się zaniepokoiłam, gdy usłyszałam, że nie macie jeszcze sukien ślubnych na wesele Hazel Renee. To już za trzy miesiące! – Whitney się śmieje, jakby to był świetny żart, a ja uśmiecham się do niej blado.

– Nie, nie, wszystko idzie zgodnie z planem – zapewniam ją.

W tym momencie w lobby pojawia się Hazel, która wygląda, jakby przydała jej się przerwa od filmowania. Uśmiecha się i podchodzi do nas, a ja pytam:

– Czy wszystko w porządku?

– Tak. Po prostu... trochę to wszystko stresujące. – Odwraca się do Whitney i wyciąga dłoń na powitanie. – Cześć, jestem Hazel.

– Hazel Renee, ma się rozumieć! O twoim ślubie będą mówić dosłownie wszyscy! – Whitney mocno ściska jej rękę.

– Hazel, poznaj Whitney Harrison – przedstawiam ją. – Jest fantastyczną konsultantką ślubną.

– Ach, tak! Wiele o tobie słyszałam od Amy. I od mojej narzeczonej, kiedy szukałyśmy konsultantów. – Jeśli nawet pamięta zastrzeżenia Jackie co do Whitney, w żaden sposób tego nie okazuje.

– Cóż, najwyraźniej zatrudniłaś dokładnie tę osobę, co trzeba – mówi Whitney, kładąc mi dłoń ramieniu. – Ama pracowała u mnie przez lata, więc mogę śmiało powiedzieć, że jest naprawdę świetna.

– Och, wiemy o tym! – śmieje się Hazel. – Jesteśmy z niej naprawdę zadowolone. – Uśmiecha się do mnie promiennie i mam

wrażenie, że puszcza do mnie oko.

– Z pewnością jest jedyna w swoim rodzaju – mówi Whitney. Próbuję doszukać się w jej słowach sarkazmu lub oznak złej woli, ale bezskutecznie. – Gdzie odbędzie się przyjęcie? Wiem, że ceremonia ma być w Ogrodzie Różanym...

– Mamy już zaklepany lokal w Midtown – mówię ostrożnie. – Stare studio baletowe, budujemy je praktycznie od podstaw. Początkowo podwykonawcy, z którymi rozmawiałam, byli sceptycznie nastawieni do tego pomysłu... To znaczy, dopóki nie poinformowałam ich, jaki mamy budżet.

– Ama naprawdę potrafi zrobić coś z niczego! – mówi Hazel, szturchając mnie żartobliwie w ramię.

– Bardzo ambitny projekt – komentuje oględnie Whitney i słyszę w jej głosie tę rezerwę, którą pamiętam z czasów, gdy dla niej pracowałam.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem – dodaje Hazel z uznaniem. – Zamierzam namówić moje zaręczone koleżanki, żeby skorzystały z jej usług. – Odwraca się w moją stronę. – Poznasz je na naszym wieczorze panieńskim!

Zastygam w bezruchu, czując, że robię się czerwona jak burak. Wbijam spojrzenie w podłogę, mając wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

– Ach, wieczór panieński – powtarza Whitney, przenosząc na mnie wzrok. – Cóż, to miłe, że Amie uda się wygospodarować na niego trochę czasu. Od zawsze świetnie jej wychodziło nawiązywanie bliższych kontaktów z klientami.

Spoglądam na swoje buty. Co za durna sytuacja. Nie zgodziłam się jeszcze na udział w wieczorze panieńskim dziewczyn, ale Hazel wciąż nalega. Nie zdaje sobie sprawy z tego, na jaką minę mnie właśnie wpuściła.

Na moje szczęście w tym momencie pojawia się Bea.

– Hazel, czy możemy spróbować jeszcze raz? Ach i – Ama, poproszę Nicka, żeby nagrał rozmowę z tobą.

Hazel wraca z Beą do środka, a ja czuję się jak pies, który za chwilę ma oberwać za jakieś przewinienie gazetą po tyłku.

– Cóż, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – mówi Whitney.

– Nie wybieram się na ich wieczór panieński – zapewniam ją pośpiesznie. – Zaprosiły mnie, ale wiem, że to nieprofesjonalne...

– Ale zostałam zaproszona, Ama. – Spogląda na mnie, unosząc jedną idealną brew. – I tak już posunęłam się na tyle daleko, że teraz nie ma to prawdopodobnie żadnego znaczenia.

– Przepraszam – wykrztuszam przez ściśnięte gardło, a Whitney wybucha śmiechem, który znam – tym samym, którym reaguje na nieśmieszne żarty panów młodych.

– Ama, nie pracujesz już dla mnie! – przypomina mi. – Możesz prowadzić swój biznes jak tylko ci się żywnie podoba. – Ścisną moje ramię, a ja czuję, jak wypielęgnowany paznokieć wbija się w moją skórę. – Mam tylko nadzieję, że się nie sparzysz.

Kiwam głową, niezdolna wykrztusić słowa. Oczy pieką mnie od łez i mam ochotę wybiec na parking i krzyczeć.

– Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować – dodaje Whitney na odchodnym. – To naprawdę spore przedsięwzięcie.

Znika z powrotem w prywatnej salce, a kiedy Nick zjawia się z kamerą i zaczyna ustawiać oświetlenie, czuję się pusta i wypalona. Nie pamiętam, jak powinnam odpowiadać pytania.

Gdy informuję Hazel i Jackie, że nie dam rady lecieć z nimi na ich wieczór panieński, widzę w ich oczach rozczarowanie, ale jestem nieugięta.

Elliot

TRZY LATA, DWA MIESIĄCE I PIĘĆ DNI TEMU

Po naszej randce nie daje znaku życia przez cały tydzień. A kiedy widzi mnie w weekend na weselu Wilmotów, zachowuje się jakby nigdy nic – zwykle interesy.

Wczoraj zamieściłem na Instagramie zdjęcie z budowy różanej ściany. Ma zaledwie metr dwadzieścia na dwa i pół, i naprawdę nie ma na niej miejsca na napisy, ale dla porządku dodaję literę B, jak Blooming. Jeszcze go nie polubiła.

Czuję się, jakbyśmy grali w jakąś dziwną grę, i nie mam pojęcia, kto wygrywa, ale chyba raczej nie ja. Jest już sierpień. Wkrótce nadejdzie koniec sezonu ślubnego i będę widywał ją znacznie rzadziej, prawdopodobnie aż do wiosny. To znaczy, o ile zechce jeszcze ze mną współpracować.

W piątek mamy spotkanie biznesowe i planuję zaprosić ją na drugą randkę. Jeśli odmówi, to przynajmniej będę wiedział, na czym stoję.

Jestem na zapleczu i próbuję posprzątać ze stołu bałagan po różach, gdy dzwoni telefon. Krzywię się kwaśno, kiedy dociera do mnie, że w duchu liczę na to, że to ona.

– Halo.

– Elliot? Z tej strony Whitney Harrison. Co u ciebie? – Jej słodki jak sacharyna głos rani moje uszy i mimowolnie zmniejszam głośność w telefonie.

– Cześć, Whitney. Wszystko w porządku, dzięki.

– Słuchaj, jedna z moich asystentek pokazała mi właśnie zdjęcie twojej różanej ściany, które zamieściłaś w mediach społecznościowych. Jest przepiękna! Nie miałam pojęcia, że robisz niestandardowe instalacje!

– Hm, tak, dzięki – mamroczę. – To coś nowego. Wypróbuję po prostu różne pomysły.

– Cóż, wspaniale – mówi, a ja słyszę, że pisze jednocześnie na klawiaturze. – Właśnie szukam czegoś podobnego. Zamierzałam porozmawiać o tym z Briar Rose Designs, ale wołałabym pracować z tobą. Wiesz, jak dobrze dogadywaliśmy się zawsze z twoim tatą...

Mówi to takim tonem, jakby znali się od piaskownicy, podczas gdy w istocie tata w najlepszym przypadku po prostu ją tolerował. Prowadziła najlepszą firmę organizującą śluby w mieście, więc nie miał za bardzo wyjścia – musiał z nią współpracować. To właśnie dlatego dał jej na stałe zniżkę – żeby do niego wracała.

– Jasne – mówię. – Masz ochotę wpaść i rzucić okiem? Póki co mam tylko tę jedną...

– W porządku, oczywiście. Czy możemy się umówić na przyszły tydzień? Napiszę do ciebie maila... i czy mógłbyś mi wycenić ścianę o szerokości trzech metrów? I wysłać listę dostępnych opcji? Kolory, liternictwo – tego typu rzeczy.

Gryzę się w język, żeby nie wypalić, że póki co mam tylko ściankę szeroką na metr dwadzieścia z literą B i to wszystko. Jeśli będzie ją chciała, to coś wykombinuję.

– Jasne. – Jej paznokcie stukające w tło w klawiaturę sprawiają, że myślę o tym, jak kiedyś wbijały się w ramię Amy, więc dodaję: – I dla porządku chciałbym zaznaczyć, że nie tworzę tych instalacji w ramach działalności Blooming. Faktury będą wystawiane osobno, więc nie będą obowiązywały zwykłe rabaty.

Przestaje pisać, a ja uśmiecham się pod nosem.

– Oczywiście. To w pełni zrozumiałe, Elliot. Napiszę do ciebie!

Rozłącza się bez pożegnania.

Może i straciłem okazję do ubicia dobrego interesu, ale przynajmniej nie muszę dawać Whitney tej jej durnej zniżki na rzeczy, które buduję od zera.

Drzwi kwaciarni się otwierają, a kiedy mamroczę powitanie, widzę Amę stojącą na wycieraczkę. Odchrząkuję i opieram się o ladę.

– Przyszłaś w sprawie różanej ścianki? – pytam.

Otwiera usta, ale milczy przez chwilę, nim w końcu pyta:

– Zrobiłaś różaną ściankę?

Bez zbędnych ceregieli kładzie torebkę w pobliżu kasy i idzie prosto na zaplecze. Zaciskam usta, wzburzony jej nonszalancją, ale wówczas słyszę, jak zaczerpuje gwałtownie tchu.

– Rany, Elliot! Jest niesamowita!

Idę za nią i przystaję w progu, wspierając się o futrynę.

– Chciałem po prostu spróbować czegoś nowego.

– Zamierzasz zrobić resztę napisu Blooming? Pozostałe litery?

Wzruszam ramionami.

– Mógłbym, ale szczerze powiedziawszy, to byłby chyba przerost formy nad treścią. Nie mówiąc już o konieczności poświęcenia na to dodatkowego czasu i pieniędzy.

Mam wrażenie, że ledwie mnie słyszy, gładząc w zamyśleniu palcami różane płatki.

Czuję się jak małe dziecko, które zaraz zrobi awanturę – zupełnie bez powodu.

– Co cię sprowadza? – pytam wreszcie oschle, czym skutecznie zwracam na siebie jej uwagę.

– Hmm... – Wspiera się biodrem o mój stół roboczy. – Spotykasz się z kimś?

To pytanie zwala mnie z nóg.

– Pytasz, czy się z kimś spotykam?

– Tak.

– Cóż, twoje pytanie sugeruje widywanie się z kimś, z kim mam stały kontakt. A my nie widzieliśmy się od dwóch tygodni – mamroczę. Wiem, że to brzmi dziecinnie, ale nic na to nie poradzę.

Kąciki jej ust drgają lekko.

– Cóż, właśnie do ciebie przyszedłem. Widzimy się. Ty widzisz mnie, a ja widzę ciebie. – Robi krok naprzód i zanim zdąży

przypomnieć sobie o tym, że jeszcze przed chwilą miałem ochotę na nią nakrzyczeć, zarzuca mi ręce na szyję i wspina się na palce. Jej usta są ciepłe i miękkie, a jej biust napiera na moją klatkę piersiową. Przesuwam mimowolnie dłonie na jej biodra i chociaż wiem, że powinniśmy porozmawiać, zatracam się na chwilę w smaku jej warg i dotyku jej ciała.

– No to... – szepcze w moje rozchylone wargi. – Spotykasz się z kimś?

Mrugam, ponownie zbity z tropu.

– Pytasz, czy się z kimś spotykam?

– Powtarzasz się.

– Bo wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie o to pytasz.

Przełyka ślinę i opuszcza wzrok na mój kołnierzyk.

– Czy naprawdę tak głupio o to pytać, skoro ze sobą nie jesteśmy? Czy może...? – Zawiesza głos i patrzy na mnie spod współprzymkniętych powiek.

Czuję, że od tego, co odpowiem, zależy... wszystko. Jakby nagle to, co mam do powiedzenia na temat tego dziwnego związku, mogło zadecydować o jego dalszych losach. Przygryzam wnętrze policzka, szukając właściwych słów.

– Sam nie wiem, co jest między nami – mówię w końcu szczerze. – Widzimy się góra raz w tygodniu, pieprzymy się, zabrałem cię na kolację, ale... – Przełykam ślinę. – Chyba po prostu czekam, aż powiesz mi, jakie są zasady tego, co nas łączy. Będę grać w tę grę dalej, nawet jeśli nigdy tego nie zrobisz, ale nie – nie pieprzę się z nikim innym, kiedy... cóż, kiedy pieprzę się z kimś innym.

Wzdrygam się pod wpływem dziwnej natarczywości w jej spojrzeniu. Czuję, że powinienem mówić dalej, skoro milczy, ale wiem instynktownie, że teraz to ona powinna coś powiedzieć.

– Zasady, hę? – Uśmiecha się z żalem, wpatrując w moje ramię. W końcu robi głęboki wdech i podchwytuje mój wzrok. – Wiesz, moja mama zmienia mężów jak rękawiczki. Bardzo, bardzo często. Kwietniowy ślub był jej czternastym.

Mam niejasne wrażenie, że nie powinienem wytrzeszczać na nią oczu, więc się od tego powstrzymuję – nie bez wysiłku.

– Hm, cóż, tak. Rozumiem.

– Nigdy nie była samotna od momentu moich narodzin – podejmuje Ama. – I za każdym razem zaciąga kolejnego faceta do ołtarza. Czternastu narzeczonych, czternaście ślubów. Zapytałam ją kiedyś, gdy byłam dzieckiem, czy kiedykolwiek bała się powiedzieć „tak”, jak pokazują w filmach, ale odpowiedziała, że nigdy. Powiedziała: „Miłość jest jak wiatr. Przychodzi i odchodzi. Wesele to tylko impreza”.

Uśmiecha się do swoich wspomnień. Nadal jestem stremowany, ale słucham jej uważnie.

– Wiesz, tak naprawdę to te czternaście ślubów wcale nie jest w tym wszystkim najważniejsze. Chyba bardziej chodzi mi o rozwody. Czternaście razy rozstawała się z kimś, kto wiele dla niej znaczył. Kogo kochała. I naprawdę wierzę, że kochała niektórych z nich – zapewnia mnie. – Wcale nie jest tak, że po każdym rozwodzie czuła się dobrze i była gotowa na kolejnego faceta. Często cierpiała. Zdarzały się dni, kiedy myślałam, że już nigdy nic nie zje i nie wstanie z łóżka. Zawsze powtarzała, że małżeństwo jest tego warte... Ale nie sądzę, aby naprawdę tak było.

Nagle opamiętuje się, jakby otrząsnęła się z jakiegoś transu, i patrzy mi w oczy.

– Przez to wszystko chcę chyba po prostu powiedzieć, że nie widzę sensu w składaniu deklaracji, które koniec końców okazują się czcze. Obietnic bez pokrycia. Związki to nie moja bajka – dodaje. – A w każdym razie nie na dłuższą metę. Lubię to, co robimy teraz. Możemy być przez chwilę razem, ale nie chcę zobowiązań. – Śmieje się lekko. – Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, skąd to się bierze, ale widziałam zbyt wielu mężczyzn składających obietnice mojej mamie – i mnie – które zostały złamane, gdy zaczęło być pod górkę. Miałam kiedyś ojczyrna, Warnera, do którego bardzo się przywiązałam. Moja mama była z nim przez pięć lat. Miałam dziesięć lat, gdy się rozstali, ale obiecał, że nadal będziemy się widywać. – Potrząsa głową. – Cały czas pytałam o niego mamę, ale nie zobaczyłam go już nigdy więcej. – Urywa, zaciskając usta w zamyśleniu. Zasycha mi w gardle, a moje dłonie wciąż spoczywają na jej biodrach, lecz są nagle dziwnie chłodne. Wygląda na to, że właśnie zostałam spławiony i pewnie powinienem je zabrać, ale wtedy ona kładzie ręce na moich przedramionach.

– Wiem, że to dziwne, że jestem konsultantką ślubną, która nie wierzy w instytucję małżeństwa, ale... cóż, tak właśnie jest. Dla mnie wesela to tylko imprezy. Małżeństwo to coś, co się kończy. I nie sądzę, by miłość powinna prowadzić do zaangażowania, skoro emocje bywają tak zmienne i ulotne.

– Nie u wszystkich... – szepczę. Mruga zaskoczona moimi słowami, a ja wykorzystuję tę okazję, mając nadzieję, że uda mi się ją przekonać, że się myli. Bo jestem pewien, że gdyby tylko mi na to pozwoliła, nigdy nie dałbym jej odejść. – Nie każdy jest zmienny.

Uśmiecha się z powątpiewaniem.

– Czyżby? – Splata dłonie na moim karku, a ja kiwam z powagą głową.

– Nie odpuszczam tak łatwo. – W gardle rośnie mi dławiąca gula, ale przełykam ją, żeby nadal mówić. Wiem, że od tej chwili zależy wszystko i muszę dać jej do zrozumienia, że jestem na to gotów. – Jeśli chcesz, żeby to, co jest między nami, nadal trwało, nie musisz się bać, że nagle się wycofam. Może ci się wydawać, że wszystko się kiedyś kończy, ale... Cóż, ze mną nie przeżyłaś jeszcze wszystkiego.

Patrzę, jak robi powoli głęboki wdech i omiata spojrzeniem moją twarz. Czuję się, jakbym stał na krawędzi urwiska, zawieszony w czasie. Przez wieczność czekający na jej decyzję.

W końcu jej usta rozciągają się w figlarnym uśmiechu.

– No to... pytasz o zasady tej gry? – Przesuwa palcami od mojego ucha do kołnierzyka i serce zaczyna mi bić mocniej. – Przyszłam tu dzisiaj, bo za tobą tęskniłam, a myśl o tym, że mógłbyś się spotykać z kimś innym... doprowadzała mnie do szału. – Parska śmiechem. – A ja nigdy nie pozwalałam, aby coś wyprowadzało mnie z równowagi. A więc zasada numer jeden: nie spotykamy się z nikim innym. Zasada numer dwa: chcę cię widzieć częściej niż raz w tygodniu. – Urywa na chwilę i patrzy na mnie uważnie, a uśmiech znika z jej twarzy. – Ale nie chcę nazywać tego związkiem. To zasada numer trzy.

Czuję, jak coś we mnie umiera, ale skupiam się na tym, co – mam nadzieję – nadal niedopowiedziane. Brzmi to tak, jakby chciała wyłączności i tego, żebyśmy spędzali ze sobą więcej czasu, nie przyklejając jednocześnie naszej relacji etykietek. Jestem w stanie na

to pójść. Poza mamą nie ma w moim życiu nikogo, komu mógłbym przedstawić ją jako moją dziewczynę.

– A więc żadnych etykietek? – upewniam się.

Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Etykiety mają daty ważności.

Słyszę w jej głosie, że nie chce, aby to, co nas łączy, dobiegło końca, i daje mi to nadzieję. Myśl o tym, że planując przyszłość, nawet tę nieodległą, chce mnie w niej widzieć, uderza mi do głowy jak najlepszy szampan. Jakby szeptała mi do ucha obietnice, których nie chce wypowiadać na głos.

– I ostatnia zasada... – Przysuwa się do mnie bliżej i uśmiecha psotnie. – Twoje tatuaże. Czuję niepohamowaną potrzebę zobaczenia wszystkich sześciu.

– Hmm – mamroczę, jakbym się nad tym zastanawiał. – W tym celu musiałbym zdjąć spodnie...

– A to pech! – Rozpina górny guzik mojej koszuli, a ja chwytam ją za rękę.

– Wywieszę tabliczkę i zablokuję drzwi. Daj mi tylko sekundkę...

– Czyżby grał pan na zwłokę, panie Bloom?

Wywieszam tabliczkę z informacją „Wracam za kwadrans” i zamykam drzwi na klucz, a potem znowu idę na zaplecze, po drodze zdejmując słuchawkę z telefonu i odkładając ją na bok.

Zastaję ją siedzącą w szczycie mojego stołu roboczego i beztrąsko machającą nogami. Nie zdążyłem posprzątać, więc wokół niej leży rozsypana ziemia i walają się płatki, które przesuwa machinalnie między palcami. Na mój widok klepie dłonią w blat w okolicach swojego kolana.

– To twoja sprawka?

Spoglądam na stół i widzę moje inicjały wyryte w rogu, w miejscu, w którym siedziałem i odrabiałem lekcje, gdy byłem dzieckiem.

– Tak.

– Och, a więc jesteś łobuziakiem! Ładnie to tak dokonywać aktów wandalizmu?

– Mm-hmm. – Podchodzę bliżej, zatrzymując się między jej rozchylnymi kolanami. Ma na sobie sukienkę, jak zawsze, a ja przesuвам ją w górę jej ud, przyciskając usta do jej ust. Wciąż

trzymając płatek róży między palcami, ujmuje moją twarz w dłonie. Próbuje mnie nakłonić, żebym pocałował ją namiętniej i głębiej, ale delikatnie przesuвам kciukami po jej udach i celowo się nie śpieszę.

Ona tymczasem rozpiną kolejne guziki mojej koszuli i już wkrótce zsuwa ją z ramion, szarpiąc niecierpliwie podkoszulek. Gdy go zdejmuję, przesuwa dłońmi po fioletowym tuszu na moich żebrach. Mój oddech przyśpiesza, kiedy całuje mnie w policzek, szyję i klatkę piersiową, aż do żeber. Pierwsze pociągnięcie jej języka po fioletowych płatkach sprawia, że serce przestaje mi na chwilę bić. Całuje tatuaż, a z jej gardła wydobywają się słodkie jęki.

Przyciągam jej twarz z powrotem do swojej i pozwalam, aby mój język błędził wewnątrz jej ust. Otaczam ją ramieniem w talii, przyciągając bliżej do krawędzi stołu, a wówczas ona pomaga mi ściągnąć jej przez głowę sukienkę i ciska ją w kąt. Żałuję, że mam tylko dwie ręce, bo chciałbym dotykać całego jej ciała naraz.

– Wiesz, że po raz pierwszy tak się rozbieramy? – pyta ze śmiechem.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – mruczę, wpatrując się jak zahipnotyzowany w koronkę zasłaniającą jej piersi i jej niewielki skrawek między jej nogami. Przenoszę usta na jej szyję i przesuвам dłońmi po jej ciele, a ona wplata mi palce we włosy i zaciska uda wokół moich bioder, gdy przygryzam skórę na jej szyi i zaczynam ją ssać. Wsuвам dłoń pod jej koronkowy stanik i słyszę, jak wzdycha gwałtownie, kiedy muskam brodawkę jej piersi.

Sięga do guzika moich dżinsów, ale chwytam ją za rękę.

– Zaczekaj.

– Nie mogę! – skarży się, zdyszana.

Całuję ją mocno, a potem popycham na stół do pozycji leżącej. Błyskawicznie zrywa z siebie stanik i skwapliwie rozchyła nogi. Wszędzie walają się płatki róż i ziemia z doniczek, ale ona napina mięśnie i przyciąga mnie do siebie.

Pochyłam się nad nią, całując tuż poniżej piersi i składam kolejne pocałunki na jej ciele, schodząc coraz niżej. Szarpie mnie za włosy i przynagła, popychając w dół. Skubię wargami skórę między jej pępkiem a bielizną, gdy wspiera się na łokciach i jęczy:

– Proszę, Elliot... Proszę... szybciej...

Spoglądam na nią, mierząc wzrokiem jej nagie ciało między nami.

– Marzyłem o tym od miesiący, więc byłoby wspaniale, gdybyś zdobyła się na nieco cierpliwości...

Jęczy i opada z powrotem na stół, przesuwając dłońmi po twarzy i szyi.

Ja tymczasem zaczynam całować wewnętrzną stronę jej uda, a ona odrzuca ręce za głowę; widzę, jak jej palce mną zbłąkane płatki róż, gniotą porozrzucane tu i ówdzie pączki.

Odsuwam jej majteczki na bok i liżę ją nieśpiesznie, napawając się jej cudownym smakiem.

Wydaje z siebie jęk i kurczowo zaciska kolana, przypierając je do moich uszu. Ponownie je rozchylam, przytrzymując na blacie, a gdy przesuвам językiem po jej łechtaczce, jej biodra drgają spazmatycznie. Mamrocze niezbornie, podczas gdy ja penetruję dokładnie jej zakamarki. Smakuje... idealnie. Całuję ją zachłannie, liżę i ssę.

Z jej gardła wydobywa się przeciągły jęk i ponownie ciągnie mnie za włosy. Czuję zapach róż i ziemi, którą ma pod paznokciami. W połączeniu z jej wonią tworzą niesamowitą mieszankę, którą – gdybym tylko mógł – utrwaliłbym i zamknął we flakonie. Jej uda pod naciskiem moich dłoni zaczynają drżeć, a ja napieram na jej kolana, zmuszając ją, aby podciągnęła je wyżej i otworzyła się dla mnie jeszcze szerzej. Przeklina, krzyczy i mamrocze niespójnie coś, czego nie rozumiem. Podnoszę wzrok na jej twarz i widzę, że mnie obserwuje. Do jej nagiej skóry przywarła ziemia i płatki róż. Jeden różowy płatek spoczywa na jej piersi, tuż obok brodawki i ten widok sprawia, że z mojego gardła wydiera się desperacki jęk.

Skubię wargami i ssę jej łechtaczkę, a ona podrywa gwałtownie biodra, przyciskając je do mojej twarzy, błagając o więcej.

Zsuwam jedną rękę z jej uda, a kiedy wsuwam jeden palec do jej cipki, zaczyna wydawać z siebie dzikie, niemal zwierzęce pomruki. Dochodzi niemal natychmiast – czuję, jak jej mięśnie zaciskają się wokół mojego palca – wpierając biodra w moją twarz. Wydaje z siebie na wpół pisk, na wpół jęk i wiem, że już nigdy, do końca życia, nie zapomnę tego dźwięku – ani zapachu.

Nadal ssę delikatnie jej wargi sromowe, gdy rozluźnia biodra, wciąż wstrząsana sporadycznymi, drobnymi dreszczami i zdyszana.

– Elliot... – szepcze tak cicho, że ledwie ją słyszę. – Proszę...

Wycofuję się spomiędzy jej ud i rozpinam dżinsy, ona tymczasem podrywa się ze stołu, przysuwa bliżej do jego krawędzi i pochyla ku mnie, szukając ustami moich ust. Całuje mnie głęboko, mocno, zachłannie, jakby chciała poczuć na moich wargach i języku swój smak. Wyciągam właśnie kutasa z bokserek, gdy chwytą mnie za rękę.

– Ściągnij je – prosi błagalnym szeptem. – Zdejmij.

Chce zobaczyć moje tatuaże...

Zsuwam więc buty i wyplątuje nogi z nogawek. Jej spojrzenie przesuwają się z mojego penisa na czerwony kwiat na prawym udzie.

– Co to? – pyta, zdyszana.

– *Acalypha rubrinervis*, krzew z Wyspy Świętej Heleny. Wyginął zaledwie dwadzieścia lat temu.

Owija palce wokół mojego fiuta i zaczyna nimi przesuwając w górę i w dół.

– Gdzie masz ostatni? – dyszy w moje usta.

Zdejmuję jej dłoń z penisa, aby móc się obrócić i pokazać jej bok mojej łydki.

– *Valerianella affinis*.

Oblizuje wargi, ale zanim zdąży zadać kolejne pytanie, przyciągam jej usta z powrotem do moich. Pozwalam, aby objęła mnie w pasie nogami, i zaczynam się w nią powoli wsuwać – czuję, że jej mięśnie wciąż są napięte, jakby znowu miała lada chwila dojść. Zaczynam się poruszać, wchodząc w nią płytkimi pchnięciami. Gdy przyciskam klatkę piersiową do jej biustu, czuję między nami grudki ziemi i płatki róż śliskie od naszego potu.

– Kurwa! – jęczy, przywierając do mnie całym ciałem.

Podciągam jej kolano wyżej i wpycham go głębiej.

– Och, szlag!

Dyszemy nawzajem w swoje usta, gdy wbijam się w nią raz za razem. Zsuwam rękę na jej pierś, która cudownie wypełnia moją dłoń.

– Wietnamska orchidea, franklinia, kadupul – recytuje, tuż przy moim podbródku. – *Viola cryana*, krzew ze Świętej Heleny...

i *Valer...* *Valerianella...*

– ...*affinis*. Tak. – Całuję ją w policzek. Moje biodra drgają konwulsyjnie. Przenoszę palce drugiej dłoni na jej łechtaczkę i zaczynam ją pocierać.

– Wietnamska. Franklina... – Przerzywa, aby wydać z siebie jęk, i widzę, jak oczy uciekają jej w głąb czaszki. – *Viola cryana* i kadupul. Święta Helena, *Valerianella affinis...*

– I amarylis – mruczę jej do ucha.

Jej mięśnie zaciskają się mocniej wokół mojego kutasa. Czuję, że na chwilę przestaje oddychać, a potem zaczerpuje spazmatycznie tchu. Jest tak ciasna, że ledwie mogę się w niej poruszać, ale pieprzę ją z takim zapamiętaniem, jakby poza jej cipką na świecie nie istniało nic innego.

– Amarylis. Ama. – dyszę. – Ama...

Jej paznokcie wbijają się w moje plecy i przesuwają się po nich aż do krzyża. Wydaje z siebie dźwięk, który bardziej wyczuwam jako wibracje przenikające nasze ciała, niż go słyszę, a potem ponownie z trudem łapie oddech. Wydaje z siebie serię gardłowych okrzyków, a ścianki jej pochwy bez przerwy zaciskają się w ich rytm.

Otaczam ją ramieniem w talii, przyciągając bliżej. Nasze ciała przywierają do siebie tak ciasno i napierają na siebie tak mocno, że nie mam pola do manewru, ale mimo to ocieram się o nią, wymrukując jej imię w jej szyję, dopóki sam nie dochodzę. Orgazm jest jak świetlisty rozbłysk, który na chwilę mnie oślepia. Mam niejasne wrażenie, że ją gryzę, podczas gdy moje biodra poruszają się wbrew mojej woli, jakby żyły własnym życiem, wciąż błagając o więcej i więcej.

Kiedy znowu mogę oddychać, odsuwam się odrobinę, by na nią spojrzeć. Wygląda na kompletnie sponiewieraną. Powieki ma ciężkie, a jej klatka piersiowa faluje gwałtownie. Piersi pokrywają płatki kwiatów i ziemia, a jej brodawki są sztywne i sterczące, jakby nadal domagały się uwagi.

Jej ciężki oddech omiata mi ucho, podczas gdy ona przeciąga leniwie palcami po moich policzkach i zanurza je w moje włosy.

– Jesteś. Kurewsko. Niesamowity – sapie, a ja czuję, jak dosłownie zaczynam unosić się nad ziemią pod wpływem jej komplementu. Pękam z dumy.

Otwieram usta, aby coś jej na to odpowiedzieć, gdy nagle rozbrzmiewa odgłos gwałtownego pukania do sklepowych drzwi.

Oglądam się przez ramię w stronę wejścia na zaplecze.

– Wywiesiłem tabliczkę. Chociaż po namyśle stwierdzam, że powinna raczej głosić „Pieprzę się, wracam za godzinę”.

Śmieje się, zdyszana, i przyciąga moją twarz do swojej, muskając zmysłowo wargami moje usta. Gdyby przed chwilą nie powiedziała, że nie chce się z nikim wiązać na stałe, pewnie wyznałbym jej w tej chwili, tu i teraz – gdy nasze spocone ciała są pokryte ziemią i płatkami róż – że ją kocham.

Bo myślę, że ją kocham. Nigdy nie pragnąłem kogoś tak mocno – jej ciała, słów padających z jej ust, poznać jej najsekretniejsze myśli...

Rozlega się dzwonek telefonu tkwiącego w kieszeni moich dżinsów. Spoglądam na nasze skotłowane ubrania leżące na ziemi. Kiedy go wyciągam, na ekranie widzę napis MAMA.

Krzywię się i odbieram:

– Tak, mammo?

Widzę, jak Ama podnosi wysoko brwi.

– Gdzie jesteś? Dlaczego sklep jest zamknięty? – Na dźwięk pytania mojej matki tracę chwilowo zdolność do artykułowania jakichkolwiek sensownych słów.

– Ja... ee, słucham? – udaje mi się wreszcie wykrztusić. Gestem pokazuję Amie, aby się ubrała i podała mi bokserki.

– Sklep jest zamknięty – mówi powoli moja mama. – Co się stało?

– Hm, tak, racja. Ja... ee, kiepsko się poczułem. No i... Zamknąłem kwiaciarnię. – Mam wrażenie, że odgłosy, które wydają moje dżinsy, gdy je wkładam, brzmią stanowczo zbyt głośno.

– Widzę na parkingu twoją furgonetkę – oznajmia mi beznamiętnym głosem mama.

– Jestem w, ee, w drogerii Rite Aid. Wyskoczyłem po leki.

– Kochanie? – Jej ton w jednej chwili zmienia się z podejrzliwego w troskliwy, matczyzny. – Czego dokładnie ci trzeba? Mam w torebce całą apteczkę.

– Nie, nie, w porządku. – Zostawiam podkoszulek na podłodze i narzucam koszulę na gołe ciało. Ama ma na sobie jedynie stanik

i majtki, nie zdążyła jeszcze włożyć sukienki. – Chyba po prostu wrócę do domu...

– Pozwól, że cię zawiozę. Spotkamy się na parkingu, dobrze?

– Nie! – protestuję w panice. – To tylko jakieś przeziębienie czy coś. I jestem... – Wkładam w pośpiechu jeden but. – Już wróciłem. Wszedłem tylnymi drzwiami.

Ama patrzy na mnie jak na idiotę i pewnie faktycznie nim jestem, bo mama mówi:

– Ale... nie widziałam, jak przechodzisz przez ulicę. Naprawdę nie zauważyłeś mnie przy frontowych drzwiach?

Nie mogę wcisnąć pięty w drugi but, więc utykając, wychodzę z zaplecza, gestem dając jednocześnie znaki Amie, aby wymknęła się tylnymi drzwiami.

– Jestem! – mówię głośno. Mama słyszy mój głos dobiegający jednocześnie ze słuchawki i z kwiaciarni, odwraca się i rozłącza.

Odblokowuję zamek i otwieram drzwi, a moja matka patrzy na mnie, jakby wiedziała, że właśnie rznąłem się z kimś na starym stole roboczym taty. Natychmiast przykłada dłoń do mojego czoła, a potem przesuwa nią po mojej szyi i policzkach.

– Wyglądasz okropnie.

– Hm, tak. Wiem.

– I cały jesteś utyłany ziemią.

– Kwiaty – rzucam krótko, jakby to wszystko wyjaśniało.

Może po prostu powinienem dla porządku zemdleć? Mam wrażenie, że nie musiałbym się w tym momencie nawet specjalnie wysilać.

Mama przepycha się obok mnie i wchodzi do sklepu, a ja mam nadzieję, że naprawdę słyszałem, jak zamykają się tylne drzwi.

– Elliot, potrzebujesz pomocnika. Nie możesz tak po prostu zamykać kwiaciarni, gdy źle się czujesz.

– Masz rację. Tak. Co cię sprowadza?

Niemal poklepuję się w myśli z uznaniem po ramieniu za sprytną zmianę tematu, gdy nagle mój wzrok pada na torebkę Amy stojącą na ladzie. Wymijam mamę, podchodzę do kontuaru, żeby zasłonić ją plecami i wsuwam pod ladę.

– Cóż, mam pewne wieści, ale myślę, że możemy z nimi poczekać, aż poczujesz się lepiej.

Moja matka nie jest osobą, która odkłada przekazywanie wieści na później. Pewnego razu przerwała jedno z moich przyjęć urodzinowych, aby ogłosić wszem i wobec, że jej ustawa została przegłosowana. Patrzę, jak odgarnia kosmyk ciemnych włosów za ucho i uśmiecha się do mnie.

– Co to za wieści? – pytam. – Równie dobrze możesz mi powiedzieć teraz.

W tym momencie drzwi sklepu się otwierają, dzwoni dzwonek taty i do środka wchodzi uśmiechnięta od ucha do ucha Ama. Czuję, że na jej widok z twarzy odpływa mi cała krew.

– Elliot! Jak miło cię widzieć! – szczebiocze radośnie. – Och, najmocniej przepraszam. – Udaje, że dopiero teraz dostrzega moją matkę. – Nie zauważyłam, że masz klientkę. Poczekam!

Kiedy się odwraca, żeby spojrzeć na orchidee stojące pod przeciwległą ścianą, widzę, że do szyi ma poprzyklejane grudki ziemi, a we włosach – płatek róży.

Moja matka też to widzi.

A więc to właśnie w ten sposób zejdem z tego łez padołu...

Moja mama odwraca się do mnie powoli, unosząc wysoko brwi. Kiedy nie przychodzi mi do głowy absolutnie nic, co mógłbym w tej sytuacji powiedzieć, i uparcie milczę, prosi:

– Elliot, może przedstawiłbyś mnie swojej przyjaciółce?

Odchrząkuję, ale nie pomaga – gardło mam zaciśnięte, a głos – schrypnięty.

– Amo, poznaj moją mamę.

Ama odwraca się, z całych sił starając się wyglądać na zaskoczone niewiniątko.

– Och, senator Gilbert! To prawdziwy zaszczyt móc panią poznać.

Podają sobie ręce, a ja myślę tylko o tym, że pod paznokciami Amy też jest pewnie mnóstwo ziemi.

– Ama jest konsultantką ślubną – wyjaśniam. – Kiedyś pracowała dla Whitney Harrison. Często ze sobą... współpracujemy. Znała tatę.

Czuję się, jakbym miał biegunkę.

Mama uśmiecha się do niej.

– Och, cudownie! Jakiego rodzaju przyjęcia weselne organizujesz, jeśli mogę spytać?

Trzeba przyznać, że Ama z łatwością przechodzi do rzeczy, mówiąc mamie dokładnie, czym się zajmuje i co oferuje swoim klientom. Moja matka pyta o konkretny ślub, na którym była w ubiegłym roku, i dobrze zgaduje, że był to jeden z projektów Amy.

Dogadują się świetnie, a ja pocę się jak mysz.

– Wpadłam tylko, żeby spytać Elliota, czy nie zostawiłam tu przypadkiem wczoraj torebki – wyjaśnia Ama całkiem przekonująco.

– Zostawiłaś! – Wyjmuję ją spod lady.

– Ależ ze mnie oferma! – Ama bierze ją ode mnie. – Wspaniale było móc panią poznać, pani senator. Elliot? Widzimy się w ten weekend na ślubie Bigg-Mosby – dodaje pośpiesznie.

Kiedy wychodzi przez frontowe drzwi, skupiam się bez reszty na bezsensownym klikaniu przypadkowych stron na komputerze.

– Jest naprawdę urocza – mówi mama. – I ładna.

– Tak? Hm, no, tak, chyba tak. Pewnie masz rację. I niska.

– Elliot, gdy wychodziła, wyjęła z torebki kluczyki do auta. To nie jest coś, czego brak człowiek rejestruje następnego dnia...

Zaciskam usta i przygryzam wewnątrz policzka.

– No więc – mama zaczyna powoli – chyba nie musisz mi się tłumaczyć, jeśli się z kimś spotykasz, ale...? – Zawiesza głos.

– Ona nie jest moją dziewczyną – mówię prędko, przypominając sobie, jak bardzo Ama nalegała na to, żeby nie traktować naszej znajomości jako związku. – Ale... naprawdę ją lubię.

Na twarzy mamy pojawia się uśmiech.

– W takim razie cieszę się, że ją poznałam. Czy jest szansa, że jeszcze kiedyś się z nią spotkam?

Kiwam głową, a na policzki występuje mi silny rumieniec.

– Jasne. No to... Co to za wieści?

Mama się obraca – tak, jak robi to zazwyczaj podczas omawiania ważnych spraw: nowy temat, nowa energia, nowy uśmiech. Podchodzi bliżej lady i odchrząkuje.

– Stefan mi się oświadczył. Wczoraj wieczorem.

Jestem zaskoczony, mimo że się tego spodziewałem – prędzej czy później.

– To wspaniała wiadomość! Gratulacje, mamie – mówię ze szczerym uśmiechem.

Stefan jest naprawdę w porządku. W zeszłym miesiącu poprosił mnie o błogosławieństwo, a ja z radością mu go udzieliłam. Są razem od dwóch lat. Ich pierwsza randka miała miejsce dwie noce przed śmiercią mojego taty i naprawdę doceniam to, że Stefan był z nią przez cały ten czas.

– Nie musisz udawać, jeśli czujesz się z tym nieswojo... – mówi mama, a ja przewracam oczami. Tak samo się zachowywała, gdy byłem mały: możesz się złościć, jeśli chcesz. Możesz oblać biologię, jeśli sprawi ci to przyjemność.

– Nie czuję się nieswojo. Lubię go.

– To dobrze – kwituje, a po chwili dodaje nieco łagodniej: – Nikt nie powinien czekać na szczęście ani sekundy dłużej, niż musi. – Uśmiecha się i ponownie obraca. – Czy mogę liczyć na pomoc Blooming, jeśli chodzi o kwiatowe dekoracje na naszym ślubie?

– Oczywiście! – Wyciągam kalendarz. – Czy macie już jakąś wstępną datę?

– Chciałabym to załatwić przed końcem roku – mówi rzeczowo. „Załatwić”. Cała mama. – Może w grudniu?

– To dość szybko, ale dla mnie OK – odpowiadam.

– Jak sądzisz, czy powinnam zatrudnić Amę?

Spoglądam na nią, aby sprawdzić, czy mówi poważnie.

– Wolałbym nie.

Parska śmiechem.

– Dlaczego? Czy to nie byłoby świetne dla jej wizerunku? Myślę, że to byłaby dobra reklama.

– Dosłownie przed chwilą powiedziała ci, czym dokładnie się zajmuje. W jej portfolio nie ma wesel polityków z Sutter Club.

– Ale to, co opisywała, brzmiało fantastycznie. – Zdejmuje wyimaginowane kłaczki ze swojej bluzki. – I pracowała z tą pretensjonalną suką, więc jestem pewna, że zna już członków Sutter Club i ich gusta.

Mamie nigdy się nie podobało, że Whitney naciągnęła tatę na tę zniżkę. Nie mówiąc już o tym, że zanim do zespołu Whitney dołączyła Ama, jej projekty były kompletnie nijakie i miała w zwyczaju

namawiać tatę na totalnie tandetne aranżacje, zamiast słuchać jego rad.

Wzdycham.

– Jeśli uważasz, że to dobry pomysł, to jestem pewien, że Ama doceni tę szansę.

W oczach mamy pojawia się błysk, gdy uśmiecha się do mnie i pyta:

– Czy mógłbyś dać mi jej numer?

Ama

SIERPIEŃ

Po dwóch miesiącach wchodzimy do studia baletowego i rozpoczynamy remont generalny. Załatwianie ostatnich pozwoleń trwało dość długo, ale w końcu mamy wszystkie potrzebne papiery i możemy przystąpić do pracy na poważnie. Kiedy nie spotykam się z klientami lub dostawcami usług, wpadam do Weatherstone i przyswajam stanowczo za dużo kofeiny.

Wychowywałam się w dostatku, ale nigdy nie byłabym w stanie wydać tak olbrzymich kwot na coś takiego. To w pewnym sensie... odurzające. Pleśń na jednej ze ścian? Bum! Kasa i problem znika. Wykonawca narzekający na ramy czasowe? Trach! Odpowiednia suma i zatrudniają dodatkowego pracownika. Kary za skargi na hałas i pozwolenia na parkowanie? Wyślij mi rachunek, Jeeves!

Ma się rozumieć, wszystko musi być zatwierdzone przez Hazel i Jackie, ale kiedy podałam im szacunkowy koszt przekształcenia tej przestrzeni w salę weselną w ciągu dwóch miesięcy, uwzględniłam dwadzieścia procent rezerwy na tego rodzaju kwestie. Dzięki temu wciąż mieszczę się w budżecie.

Dzisiaj jadę sfinalizować sprawę transportu gości z Ogrodu Różanego na przyjęcie. Zawieramy umowę z firmą, która na jesieni organizuje przejażdżki na wozach z sianem i zgadza się dostosować odpowiednio swoje środki transportu. Kiedy powiedziałam Jackie, że wymyśliłam, jak zapewnić jej przejazd czymś w rodzaju powozu, wybuchła płaczem, ale teraz muszę się upewnić, że będą wyglądały mniej jak wózki zwożące ciała z pól bitew z okresu rewolucji francuskiej, a bardziej jak powóz Kopciuszka.

A to oznacza konieczność zaangażowania Elliota w kolejny projekt.

Spotykam się z nim po raz pierwszy od miesiąca – czyli tak naprawdę wcale nie minęło aż tak dużo czasu, ale wydaje mi się on wiecznością po tym, co przeżyłam przez ostatnie pół roku. Zamiast robić to, co wcześniej – czyli wpadać do jego sklepu na szybki numerek i burzę mózgow – wysyłam mu moje pomysły w e-mailach, ale nie jestem w stanie ocenić, jak bardzo jest zarobiony, gdy nie mogę patrzeć na jego twarz i nie słyszę, jak wzdycha przez telefon.

Podczas żadnej z ostatnich wizyt w Blooming nie zauważyłam, żeby miał asystenta, więc nie wiem, czy ma dość czasu, aby się ze wszystkim uwinąć. Jego kuzyn Ben pomagał zazwyczaj przy ślubach, ale nie jest florystą, tylko zwykłym pomocnikiem. A ten ślub to naprawdę mnóstwo roboty. Jeden z najbardziej ukwieconych projektów, przy jakich kiedykolwiek pracowałam. Może to dlatego, że tak długo błąkałam się po metaforycznej pustyni, ale jest jak orzeźwiający żółty gatorade, którego nigdy nie mam dość. Być może przesadziłam odrobinę z ilością kwiatów, którymi ma być przystrojona sala, lecz nie mogłam się powstrzymać, gdy się dowiedziałam, że Elliot zgodził się pracować dla dziewczyn. Dodanie jeszcze jednego projektu do listy może być dla niego zbyt dużym obciążeniem, ale póki co nie narzekał.

Na razie.

Podjeżdżam do magazynu, w którym przechowywane są wozy, i nie jestem zaskoczona, gdy widzę furgonetkę Elliota zaparkowaną obok auta ekipy filmowej. Hazel i Jackie dotrą na miejsce dopiero za dziesięć minut, więc może to dobra okazja, aby zapytać Elliota, czy nie żądam od niego zbyt wiele.

W środku widzę Beę instruuującą Vince'a, właściciela firmy organizującej przejażdżki wozami z sianem i człowiekiem, od którego mamy wynająć transport. Witam się z ekipą, którą zdążyłam już całkiem dobrze poznać, i przygotowuję się do rozmowy z Elliotem. Dyskutuje właśnie o czymś z dźwiękowcem. Trudno powiedzieć, czy faktycznie się dogadują, czy Elliot po prostu go toleruje – znam go na tyle, aby wiedzieć, że w obu przypadkach miałby tę samą beznamietną minę.

– Dzień dobry – witam się z nimi. – Czy mogłabym chwilę porozmawiać z Elliotem sam na sam?

Dźwiękowiec odchodzi, a Elliot wlepia wzrok w przestrzeń w okolicach mojego ucha.

– Jeszcze tylko dwa miesiące! – zagaduję. – Chciałam się tylko upewnić, że nie obarczam cię zbyt dużą ilością roboty.

Zerka na mnie, marszcząc niepewnie brwi.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli, że to naprawdę wielkie przyjęcie. A ja wciąż proszę cię o więcej i więcej. Czy aby na pewno dasz sobie ze wszystkim radę?

Prawdopodobnie mogłabym policzyć wszystkie jego rzęsy w czasie, jaki zajmuje mu powiedzenie:

– Nie przewiduję żadnych problemów.

Uśmiecham się z przymusem.

– Ale jeśli jakieś się pojawią, to mi powiesz?

– Nie będzie żadnych problemów.

Mija mnie, aby zabrać swoje rzeczy z furgonetki, a ja udaję, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, gdy witam się z Beą.

Kiedy przyjeżdżają Jackie i Hazel, widzę po ich minach, że spodziewały się powozu, a nie wozu.

– Oto jaki jest plan – informuję je, gdy kamery są już włączone. – Zastąpimy te bele siana wyściełanymi ławkami. – Wspinam się na wózek i zaczynam wyjaśniać, gestykułując: – Elliot zamontuje trzy oplecione różami łuki – które będą nawiązaniem do Ogrodu Różanego. Przybierze je bukszpanem. – Odwracam się i rozsiadam się wygodnie na beli siana. – Przejedziecie dziesięć przecznic powozem konnym przystrojonym kwiatami. Myślę, że to będzie równie urocze, co nietuzinkowe.

Hazel kiwa głową, a Jackie się uśmiecha, ale mam wrażenie, że z pewnym przymusem.

– Elliot? – rzucam. – Czy chciałbyś coś dodać?

Patrzy na Jackie i mówi:

– Gwarantuję, że to nie będzie nic prząsnego.

To ją uspokaja i przekonuje do pomysłu, tak jak się spodziewałam.

Jeden z kamerzystów rusza za mną, aby nagrać rozmowę z Vince'em, a drugi zostaje z Jackie i Hazel podczas omawiania ich obaw, jak nazywa to Bea. Elliot idzie ze mną, żeby wyjaśnić, jak zamierza mocować łuki, i podpisać umowę, i wszystko idzie świetnie, dopóki Vince nie mówi:

– Nie ładujcie na nie więcej niż dziesięć osób, a wszystko powinno być OK.

Patrzę na niego znad papierów i unoszę wysoko brwi.

– Myślałam, że rozmawialiśmy o piętnastu gościach na każdy powóz...

– Dziesięcioro dorosłych to optymalna liczba. – Vince drapie się po brodzie. – Piętnaście jest w porządku, gdy mówimy o ważących po trzydzieści kilo dzieciakach.

– To nam trochę komplikuje sprawy, bo nagle zaczyna nam brakować miejsca dla jednej trzeciej gości. Dlaczego nie wspomnieliście o tym w e-mailach?

Czuję, że jeden z kamerzystów skupia się na mnie, podczas gdy druga kamera nagrywa Vince'a, który wzrusza ramionami.

– Nie wiedziałem, do czego będą potrzebne. Piętnaście dorosłych osób... Konie mogłyby się zmęczyć.

Obliczam, jak długo goście będą musieli czekać w Ogrodzie Różanym, aż powozy z pierwszą partią wrócą, aby zabrać resztę na przyjęcie.

– Chcemy wynająć dwanaście wozów i koni, aby sprostać liczbie gości, ale teraz wychodzi na to, że potrzebujemy dodatkowych sześciu. Ile jeszcze moglibyście wypożyczyć?

– Cóż, to będzie październik. Pełnia sezonu na przejażdżki wozami z sianem, farmy dyń i tak dalej – mówi Vince, jakby to rozwiązywało nasz problem.

– Ile jeszcze wozów możecie nam wypożyczyć? – powtarzam.

– Muszę mieć pozostałe osiem koni, aby prowadzić biznes. To sobota w suchym okresie jesieni, więc tego dnia będę miał pełne obłożenie.

Skupiam się jedynie na tym, że ma jeszcze osiem koni. Kątem oka widzę, jak Elliot szybko sprawdza coś w telefonie.

– Ile chcielibyście za wynajęcie sześciu dodatkowych koni? – pytam.

– Nie mogę wam dać sze...

– Nie chcę ich za darmo! – parskam. – Zrobił nam się tu poważny problem. Nie pamiętam żadnej wzmianki o ograniczeniach wagowych w naszej korespondencji.

– Prowadzę biznes sezonowy, złotko – mówi, a ja odruchowo zaciskam dłonie w pięści. – Mam tylko osiem tygodni w roku na wynajem tych wozów i koni, a ty chcesz mnie koniecznie pozbawić źródła zarobku w sobotę...

– Czy masz już klientów akurat na ten konkretny dzień? – rozlega się głęboki głos Elliota. Wciąż szybko pisze coś na swoim telefonie.

– Jestem pewien, że ktoś...

– Świetnie, w takim razie, gdy sprawdzisz pocztę, zobaczysz rezerwację dla pięćdziesięciu osób od Elliota Blooma na sobotę, siódmego października. – Podnosi wzrok na Vince'a i macha telefonem. – Wszystko z góry opłacone. Będziemy potrzebowali tego dnia koni i powozów w Ogrodzie Różanym.

Mrugam szybko, gapiąc się na niego z otwartymi ustami. Vince również. Głęboko w klatce piersiowej czuję dziwny ucisk – ból, ale z rodzaju tych przyjemnych. Kamerzyści i Bea również są wniebowzięci.

Vince podnosi ręce i mówi:

– No dobra. W porządku. – I wraca do swojego biura, aby zaktualizować dokumentację.

– Świetna akcja! – pieje Bea, wyraźnie pod wrażeniem. – Uwielbiam dramaty, których nie muszę inscenizować!

– Wystaw nam fakturę – mówię cicho do Elliota, a on kiwa tylko głową.

Sprawdzam, co u Jackie i Hazel. Podstłuchiwały.

– To było niezłe! – komentuje Hazel. – Wiecie co? Wy dwoje powinniście się bzykać.

Rumienię się, a Jackie dodaje:

– Dokładnie o tym ci mówiłam!

Próbuję skupić myśli. Jackie wetknęła już nos w moje życie erotyczne, a teraz zrobiła to także Hazel. Traktują mnie jak jedną ze swoich przyjaciółek, a nie kogoś, kogo zatrudniły do organizacji swojego ślubu. I chociaż nie zawsze zgadzam się z procedurami Whitney, to jeden z przypadków, w których chciałabym mieć więcej przestrzeni dla siebie i prywatności.

Oglądam się przez ramię, by się upewnić, że Elliota nie ma w zasięgu słuchu.

– Cieszę się, że wam się to podobało, ale nic z tego.

Już, już mam drastycznie zmienić temat, gdy Jackie mówi:

– Bo masz chłopaka? Daj spokój, sama powiedziałaś, że nie interesują cię długoterminowe związki.

Otwieram i zamykam usta, nie mogąc wydobyć słowa.

– Słucham?

Hazel sprawia wrażenie lekko zawstydzonej.

– Próbowałam już ciągnąć Elliota za język. Wiem, jestem wścibska, przepraszam. – Śmieje się, a ja mam wrażenie, że już nigdy w życiu nie będę w stanie się roześmiać. – Powiedział, że raz, kiedy do ciebie zadzwonił, byłaś z kimś w łóżku...

Dostaję zaćmienia. Czuję się jak komputer, który się zawiesił.

– Czy... Kiedy to było?

– Nadal jesteś z tym kimś? – pyta mnie Jackie z szelmowską miną. – Bo jeśli to nic poważnego, to naprawdę myślę, że Elliot byłby chętny do... współpracy. Jesteś taka cholernie seksowna, a on zawsze tak na ciebie patrzy...

– Przepraszam. – Zaciskam dłonie, czując, że zaczynam się dusić. – Elliot powiedział, że byłam z kimś w łóżku? Co to, kurwa, miało być? Dlaczego... To nie jego sprawa, czy...

Hazel wzrusza ramionami.

– Wspomniał, że zadzwonił do ciebie wcześniej rano i usłyszał, jak z kimś rozmawiasz. – Krzywi się. – Wybacz. Chyba naprawdę nie powinnam była drążyć tematu... To nie moja sprawa.

Mam ochotę krzyczeć. Mar. Mar, która została u mnie po tym, jak przeholowałyśmy z drinkami, i pytała o śniadanie. Nie ma zbyt niskiego głosu, ale to jedyna osoba, u boku której zdarza mi się od czasu do czasu budzić od dwóch lat.

Na mojej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Jestem po prostu zbita z tropu, bo z nikim nie sypiam. Eee... – przetykam ślinę i niemal się krztuszę. – No to... Elliot powiedział, że mam chłopaka?

– Cóż, że się z kimś spotykasz. Nie, że kogoś masz – uściśla. – Myślę, że on wie, że nie wchodzisz w długoterminowe związki.

Czuję, jakby nagle wszystkie moje wnętrzności zamieniły się ze sobą miejscami. Jest mi niedobrze i kręci mi się w głowie.

– Tak powiedział?

– Ale nie sformułował tego tak, jakby to było coś złego czy coś. Jakby cię potępiał – zastrzega natychmiast Hazel. – Boże, nic podobnego! – Patrzy na Jackie i się krzywi. – Rany, próbuję tylko zeswatać ze sobą dwoje fantastycznych ludzi, a wszystko idzie na opak!

– Pracował z tobą wcześniej! – podsuwa Jackie. – Może po prostu to zauważył? Potwierdzam to, co mówi Hazel. Kiedy mi o tym powiedziała, wcale nie brzmiało to, jakby wypowiadał się o tobie nagannie. Może bardziej jak... uściślenie, że ten koleś w twoim łóżku nie był twoim chłopakiem albo...

Wybucham śmiechem i ściskam ich ramiona, chociaż mam wrażenie, że straciłam czucie w palcach.

– Nic się nie stało. Nie obraziłam się! Wciąż jestem po prostu zdezorientowana tym rzekomym facetem w moim łóżku. – Chichoczę bezradośnie. – Ale spokojna głowa, nie musicie się trudzić swataniem naszej dwójki. Oboje wiemy aż za dobrze, że nie jesteśmy... kompatybilni.

Patrzę przez ramię, jak Elliot wsiada do furgonetki. Uruchamia silnik i cofa, nie zaszczycając nas ani jednym spojrzeniem.

– Z tego, co zauważyłam – mówię cicho – jemu akurat zależy na prawdziwych związkach.

Elliot

TRZY LATA, TYDZIEŃ I SZEŚĆ DNI TEMU

Kot Amy jest koszmarny.

Zamknęliśmy drzwi sypialni, żeby Lady Cat-ryn nie weszła do środka, a mimo to budzą mnie pacnięcia futrzastej łapy w twarz. Najwyraźniej potrafi otwierać drzwi.

Jestem zbulwersowany tym odkryciem – i nie omieszkuje poinformować o tym Amy – ale ona tylko kiwa sennie głową i zrzuca kota z łóżka.

– Lubisz je w ogóle? – pytam. – To znaczy, koty?

– Mm-hmm – mamrocze, zwijając się w kłębek u mojego boku. – To moje ulubione zwierzaki.

Chwilę później zasypia, a ja gapię się na kota, który siedzi między mną a drzwiami sypialni i macha wściekle ogonem.

Wbrew temu, co o niej sądziłem, Ama ma lodówkę i kuchenkę, a rano je inne rzeczy oprócz tego słodkiego szajsu. Ale przed dziewiątą szarpie mnie za rękaw, żebym się ubrał – w drodze do kwiaciarni musimy wstąpić do J Street Donuts.

Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, co właściwie nas łączy. Wiem tylko to, co mi wcześniej powiedziała: że jeśli chcę, aby to nadal

trwało, nie powinienem na siłę szukać dla tego nazwy. Wciąż z lękiem czekam na moment, w którym ona zmęczy się moją obecnością lub przestraszy tego niezobowiązującego układu. Ale kiedy w zeszłym miesiącu opróżniłem u siebie dwie szuflady i sześć wieszaków, żeby mogła zostawić u mnie nieco rzeczy, była zachwycona. I póki co nie wykazuje żadnych oznak znużenia moją osobą. Przez ostatnie trzy tygodnie spędzała dziewięćdziesiąt procent swojego czasu w Blooming, pracując w kącie nad swoimi e-mailami lub projektami i wybiegając po lunch dla nas około południa.

– Nie musisz tu zostawać, jeśli masz coś do załatwienia – mówię jej pewnego październikowego dnia, patrząc jak zegar odmierza czas do piątej.

Spogląda na mnie z miejsca, w którym klepie coś z zapamiętaniem na swoim laptopie.

– Ależ skąd! Uwielbiam tu pracować. Czuję się... zainspirowana, wiesz?

Wpatruję się w nawóz i zapasowe doniczki, i wazony piętrzące się po obu jej stronach.

– Okej...

– Mogłabym tu wstawić biurko i pracować tu non stop! – Gestem wskazuje na bałagan wokół niej i gnijące listwy przypodłogowe, a ja staram się pojąć, o co jej chodzi.

– Dopóki nie będę musiał cię utrzymywać... – Wracam do lady, aby wypisać fakturę. – W sumie mogłabyś to zrobić – rzucam przez ramię – To znaczy, wstawić tu biurko. To niewiele, ale... jeśli nie przeszkadza ci zapach nawozu... i obiecasz nie jeść pączków...

– Mówisz poważnie?

Wychodzi z zaplecza i przystaje w progu, a kiedy się na nią oglądam, widzę, że na jej ustach błąka się uśmiech.

Wzruszam ramionami.

– Pewnie. Lubię, kiedy jesteś w pobliżu. Sprawiasz, że każdy dzień staje się bardziej... interesujący.

Błyszczą jej oczy.

– A gdybym miała odbywać tu spotkania? Oczywiście nie teraz, gdy to wszystko tak wygląda – dodaje prędko. – Ale... gdybyś poszedł dalej w stronę instalacji... a ja zaczęłabym oferować niestandardowe pakiety w twoim imieniu?

Marszczę brwi.

– Właściwie już to robimy, prawda?

– Ale nie oficjalnie. Gdybyś... Gdybyś kiedyś zdecydował się urządzić na zapleczu salon wystawowy, wówczas mogłabym się w nim spotykać z klientami. – Mówi coraz szybciej; pomysły wypływają strumieniem z jej ust, a dłonie gestykulują, jakby rzucała zaklęcia. – To nie byłoby partnerstwo w sensie biznesowym, ale mogłoby być... mogłoby... Sama nie wiem. Być czymś nowym. Czymś, co tak naprawdę robi się tylko w San Francisco i Los Angeles. Jeśli chcą Amę Torres, dostaną Elliota Blooma. Jeśli chcą Blooming – bum! Zapraszamy do Amy Torres. – Zaczerpuje tchu. – No dobra, to brzmi... trochę bardziej oportunistycznie, niż planowałam, ale...

– To tak, jakby mieć Starbucksa w centrum swojego domu towarowego – mówię, domyślając się, do czego zmierza.

– Dokładnie! Coś jak: „Och, w sumie teraz, skoro już tu jestem, to wiesz co? Mam ochotę na Unicorn Frappuccino” albo „Tak naprawdę chciałam tylko latte, ale tuż obok jest obuwniczy”. – Jej oczy rozświetla jakiś wewnętrzny blask, a ja przytakuję, lecz zachowuję ostrożność. Jakby proponowano mi właśnie podejrzenie dobrą ofertę.

– Hm, sama nie wiem – mówi, przeczesując włosy dłonią. – Może to odrobinę zbyt snobistyczne lub wykluczające? Mógłbyś stracić wielu klientów z grona konsultantów ślubnych i koordynatorów wydarzeń, jeśli uznaliby, że pracujesz wyłącznie ze mną.

– I vice versa – zauważam. – Ty nie będziesz mogła pracować wówczas z innymi kwiaciarniami lub twórcami spersonalizowanych zamówień.

– Nie chcę pracować z nikim innym – ucina. – Chcę tylko tego, co najlepsze.

Przełykam głośno ślinę. Mam ochotę jej powiedzieć, że jestem najlepszy tylko wtedy, gdy pracuję razem z nią. Ale myślę, że ona o tym wie. Sądzę, że ma jasny obraz sytuacji.

– Zastanowimy się nad tym po ślubie mojej mamy – mówię, a ona uśmiecha się do mnie. – No, wiesz, wszystko zgodnie z prawem. Ze względów biznesowych być może będziesz musiała mi płacić za czynsz walutą inną niż tylko seks.

– Pączkami?

Piorunuję ją wzrokiem.

– Absolutnie nie.

Przez resztę dnia realizuję zamówienia, a ona kończy dzwonić do dostawców usług, nim wybierze się na spotkanie z moją matką. Kiedy zgodziłem się, aby zorganizowała jej ślub, nie wziąłem pod uwagę kilku rzeczy. Mianowicie między innymi tego, że obecnie moja mama i Ama spotykają się na kawie lub rozmowach z dostawcami usług średnio raz w tygodniu. Nie ma powodu, żebym im towarzyszył, bo Ama jest święcie przekonana, że jej fortel z udawaniem, że zostawiła torebkę, był bardzo sprytny. Nie ma pojęcia, że moja mama wie, że ze sobą sypiamy. Tak czy inaczej, w każdy czwartek moja matka i moja nie-dziewczyna idą do kawiarni w centrum miasta, aby planować ślub mojej rodzicielki, a ja gapię się wówczas tępo w ścianę kwaciarni, przez całą godzinę nerwowo podrygując kolanem.

Mama chce, żeby ślub odbył się przed końcem roku, i ma budżet pozwalający zorganizować wszystko w błyskawicznym tempie. Ama zasugerowała dwa w jednym: sylwestrowe przyjęcie z klasą, i ten pomysł bardzo się mojej mamie spodobał. Ogólnie rzecz biorąc, moja nie-dziewczyna bardzo się stara, żeby wszystko wyszło tip-top. Czasami pojawia się u mnie o jedenastej wieczorem – albo sypiąc pomysłami jak z rękawa, albo ściągając już niemal w progu džinsy. Czasem jedno i drugie. Doprowadziło to do tego, że kiedy dostaję od niej SMS-a, że zaraz będzie, nie wiem, czy zaparzyć filiżankę kawy i posprzątać, czy przygotować się mentalnie na seks.

Ama lubi pracować na podłodze obok mojego stolika do kawy – lubi też pieprzyć się na nim, więc sami rozumiecie mój dylemat. Upodobała go sobie chyba głównie dlatego, że sama nie ma stolika do kawy. Ja kupiłem swój w salonie IKEA i mam go od czasów studiów. Kompletnie nie pasuje do pozostałych mebli. Pewnego wieczoru, po tym, jak ustaliliśmy, jak powinny wyglądać główne kwiatowe elementy ozdobne – i po tym, jak odbyliśmy gorącą sesję na moim szorstkim dywanie – mówię:

– Potrzebuję nowego stolika do kawy.

– Och, czy w takim razie mógłbyś podarować mi ten? – W jej oczach widzę nadzieję i niemal dziecięcą radość, jakbym właśnie

oznajmił jej, że dostanie na Gwiazdkę wymarzony domek dla Barbie.

– Naprawdę go chcesz? Ten rupieć?

– Tak! Sprawি, że będę o tobie myśleć. O całym tobie. – Unosi sugestywnie brwi i całuje mnie tak namiętnie, że kończymy, pieprząc się na stoliku do kawy po raz drugi w tym tygodniu.

Następnego dnia kupujemy nowy stolik, a dzień później zawozimy mój stary do jej domu.

Tej nocy leżę z nią w łóżku, bawiąc się jej włosami. Już listopad. Jesteśmy ze sobą w nie-związku od trzech miesięcy, a ostatni raz spałem sam sześć tygodni temu.

Czekam na dzień, w którym powie, że z nami koniec. Co i rusz lekko naginam ustalone przez nią zasady. Proponuję wycieczkę do Napa przed rozpoczęciem sezonu ślubnego w przyszłym roku. Mój plan się jej podoba. Pytam, czy chciałaby, żebym pomógł jej w przyjęciu urodzinowym Mar, które planuje. „Oczywiście, że tak!” – odpowiada. Jej matka się zaręcza, a ona mówi tak, jakbym miał się zajmować na przyjęciu nie tylko kwiatami. Jakbym zamiast tego miał jej na tym ślubie... towarzyszyć jako partner. Jakby miała przedstawić mnie swoim bliskim i znajomym.

A największym pogwałceniem jej zasad jest to, że wciąż planuje naszą wspólną przestrzeń na moim zapleczu, coraz mocniej wpisując się w moje życie, coraz wyraźniej odmalowując w ten sposób naszą wspólną przyszłość. Jakby nie myślała o tym, że to się kiedyś skończy.

Po ślubie mojej matki w przyszłym miesiącu zapytam ją, czy moglibyśmy redefiniować zasady. Może sobie nie wierzyć w związki, ale prawda jest taka, że właśnie tym jest nasz układ: związkiem. Może nie mieć ochoty przedstawiać mnie innym jako swojego chłopaka, ale chciałbym zabrać ją kiedyś na kolację z moją matką i Stefanem. Może nie musi definiować długoterminowości, ale dla mnie wieczność brzmi całkiem nieźle.

Jeśli nie będzie chciała nagiąć swoich zasad, to nie będę miał nic przeciwko. Ale musi wiedzieć, że ja już myślę o tym, co nas łączy, jako o związku długoterminowym. Oczyma duszy widzę szyldy naszych firm, wycieczki za miasto i tańczenie do wolnych kawałków – nawet jeśli ona nie chce nazywać tego po imieniu.

Stuka z roztargnieniem palcem w telefon, wyciągnięta w łóżku obok mnie. Odwracam się w jej stronę.

– Co najbardziej lubisz w ślubach?

– Oświadczyń – odpowiada bez namysłu.

Patrzę na nią uważnie.

– Czyli tę część, z którą nie masz nic wspólnego?

Mruga szybko i podnosi na mnie wzrok.

– Och, hm, cóż. Tak, chyba tak. – Odkłada telefon i przekręca się na bok, żeby spojrzeć mi w oczy. – A co miałeś na myśli? Kwiaty, jedzenie, DJ-ów?

Wzruszam ramionami.

– Nie. Chciałbym po prostu wiedzieć, co sprawia, że organizowanie przyjęć daje ci taką frajdę.

– Najbardziej lubię dostosowywać szczegóły przyjęcia do danej pary. Uwielbiam, gdy czuję, że naprawdę mi się to udało. A historia oświadczyń jest czymś, co mówi mi, czego potrzebują.

Odgarniam kciukiem grzywkę z jej oczu.

– Dlaczego? – Przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią. – Bo człowieka naprawdę poznajesz wtedy, kiedy się boi, wiesz? A każdy, kto twierdzi, że nie bał się oświadczyń, kłamie. I sądzę, że osoba, która przyjmuje oświadczyń, też przeżywa taką chwilę. Moment, w którym jest bezgranicznie przerażona. W którym się zastanawia, czy powiedzenie „tak” to właściwa decyzja. Czy ten, kto im się oświadcza, naprawdę chce to zrobić. „Nie mogę uwierzyć, że czekał aż dziesięć lat – czy to aby nie zły znak? Czy wywierałam na niego presję?”

Potok pytań wylewa jej się nieprzerwanie z ust.

– Myślę również, że bardzo wiele mówią o parze okoliczności, w jakich odbyły się zaręczyny. W szczególności o przyszłym panu młodym – lub osobie, która się oświadcza.

Nie potrzebuję dalszych wyjaśnień. To, co mówi, ma wiele sensu.

– Kiedy opowiadają mi o oświadczyńach – ciągnie – mam pewien wgląd w ich życie jako pary. To naprawdę bezcenne. Któregoś razu pewna para nie chciała mi opowiedzieć swojej historii! Stwierdzili, że wolą zachować to w tajemnicy, i przysięgam na Boga,

to był najgorszy ślub, jaki kiedykolwiek organizowałam! To było jeszcze za czasów Whitney.

Śmieje się i ponownie sięga po telefon.

Serce zaczyna walić mi jak młotem, a ja nie rozumiem dlaczego, dopóki nie wypowiadam tych słów:

– A ty? Jak to sobie wyobrażasz?

Odwraca się ponownie w moją stronę.

– Masz na myśli oświadczyzny?

Kiwam głową i czuję instynktownie, że za bardzo zbliżam się do wytyczonej granicy. Chciałbym, żeby ta chwila trwała w nieskończoność. Gdybym tylko nie musiał o to pytać... ale muszę to zrobić. Jakby ziarno zasiane w moim sercu tkwiło w jego wnętrzu zbyt długo, niezdolne przebić się na powierzchnię i wykiełkować, pnąc się ku światłu.

– Co byś wolała? Niespodziankę czy coś skrupulatnie zaplanowanego? Intymnie czy w obecności tłumów? – pytam. – Jak sobie wyobrażasz tę chwilę?

Gdy na mnie patrzy, jej spojrzenie jest dziwnie łagodne i zastanawiam się, czy kryje się za nim strach, o którym wcześniej mówiła. „Czy on naprawdę chce to zrobić?”

– Nie wyobrażam jej sobie – odpowiada. – Nigdy sobie tego nie wyobrażałam. Nie chcę tego.

Chyba słyszę, co chce przez to powiedzieć. Myślę, że ją rozumiem. Sądzę, że nie ma w tu żadnych komplikacji – ani żadnych uproszczeń. „Nie chcę oświadczyń”. Koniec kropka.

Zwłaszcza, gdy się pochyla i mnie całuje, odrzucając telefon na bok, a potem przesuwając dłońmi po moim tatuażu z kadupulem. Zsuwa na niego usta i muska wargami moją pokrytą tuszem łopatkę. Robiła to już dziesiątki razy, niemal jakby czuła potrzebę, żeby pocałować każdy z moich tatuaży na dobranoc. Przyciska miękkie wargi do mojego uda i łydki. Jej język śledzi kształt fioletowego kwiatu na moich żebrach. Ssie dwa umieszczone na moich ramionach, a potem w końcu zsuwa się w dół, do mojego wyprężonego członka. Przesuwa po nim ustami, a ja znowu się w niej zatracam. Pieści mnie językiem, a ja wplątam palce w jej włosy.

Ale wiem, co chciała mi wcześniej przekazać.

Nie chce oświadczyń. Żadnego widowiska.

Odkładam to na dzień, w którym w końcu powie, że możemy rozmawiać o nas razem w kategoriach wieczności.

Ama

PAŹDZIERNIK

Tydzień ślubu jest zazwyczaj bardzo pracowity, ale tym razem to naprawdę ogrom pracy. Czasami czuję się, jakbym walczyła z Goliatem i odpierała jeden atak za drugim. Jestem przytłoczona koniecznością radzenia sobie z kolejnymi wyzwaniem – od informacji od agentki Hazel, która aktualizuje swoją listę gości tydzień wcześniej, aż po dogląkanie końca przebudowy studia baletowego. W zasadzie płacę Mar za przesiadywanie w Weatherstone, aby mogła być moją skrzynką kontaktową w sprawie detali, których potrzebują robotnicy. Jakiś czas temu zerwała z Michaelem, więc fakt, że ma co robić, jest jej w pewnym sensie na rękę. To była jej decyzja, ale nadal jest cała roztrzęsiona. Na szczęście mam sporą praktykę we wspieraniu kobiet w takich sytuacjach.

Dobłą i złą stroną tego tygodnia jest to, że Elliot przebywa na miejscu przez kilka godzin każdego dnia, a ponieważ prace koordynuje Mar, nie muszę się z nim widywać. Podczas gdy sala weselna jest budowana w pocie czoła przez robotników, ja towarzyszę Jackie i Hazel, pilnując dopięcia wszystkich innych szczegółów na ostatni guzik. Gdyby to był normalny ślub, wszystko

szłoby gładko, ale cała ta historia z przebudową studia to naprawdę duże przedsięwzięcie.

Nawet nie zwracam sobie głowy konsultowaniem się z Elliotem w sprawie zatwierdzenia jego ostatecznych projektów. Rozmawiam o tym z Jackie, ale obie zgadzamy się, że można mu zaufać. Nie może zainstalować parkietu do środy z obawy, że kwiaty do soboty zwiędną, ale jest na miejscu z ekipą każdego dnia i monitoruje inne instalacje, dwukrotnie wszystko sprawdzając. Mar donosi, że dobrze dogaduje się z robotnikami i omawia z nimi konieczne zmiany. Jego dyplom architekta okazuje się darem niebios.

Kiedy inspektor przychodzi w czwartek po południu, aby sprawdzić naszą nową podłogę zbudowaną wokół parkietu, Elliot odpowiada na wszystkie jego pytania. To jedyny raz, kiedy widzę go w tym tygodniu. Trudno mi to docenić, bo inspektor wydaje się robić wszystko, co w jego mocy, byleby nam nie wydać odpowiedniego zezwolenia, ale jestem na to odpowiednio przygotowana. Mam wszystkie zgody, wymiary i certyfikaty. Od miesiąca nie robię nic innego – praktycznie żyję i oddycham ślubem Jackie i Hazel.

Mam już za sobą wrześnie wesela – w tym jedno, podczas którego w połowie przyjęcia zrobiło mi się słabo – i w równej mierze marzę o krótkiej przerwie, którą będę miała po przyszłym tygodniu, co się jej boję. W ciągu ostatnich sześciu tygodni osiem lub dziewięć par dzwoniło do mnie i wysyłało mi e-maile w sprawie spotkań. Dostałam też liczne propozycje wywiadów – wszyscy, którzy słyszeli o kręceniu programu lub którzy śledzą profile Hazel w mediach społecznościowych, są bardzo podekscytowani jej nadchodzącym ślubem. Musiałam przełożyć każde spotkanie na przyszły tydzień. Mam nadzieję, że do niego dożyję.

Wczoraj wysłałam Jackie i Hazel – żeby odsapnęły i zajęły się sobą – na depilację woskiem w Dirty Bird i mani-pedicure w Nature Love, moich ulubionych miejscach. Dzisiaj odbył się brunch w domu rodziców Jackie. Elliot przywiózł kwiaty, rzucił półgębkiem, że Ben wróci, aby wszystko odebrać, i tyle go widziałam. Żałuję, że nie mogłam wyjść razem z nim. Czas nas goni: muszę się spać, żeby dopilnować próbnej kolacji przed przedostatnią wizytą w Ogrodzie Różanym.

W Firehouse zjawiamy się w południe, czyli najwcześniej, jak tylko się da. Chciałam, żeby Mar przyszła tu ze mną, by mi pomóc, ale w studiu baletowym trwają ostatnie poprawki, więc nadal czuwa nad przebiegiem prac. Daję Jake'owi dodatkowe siedemdziesiąt pięć dolców, żeby poszedł ze mną rozładowywać samochody.

Pracownicy Firehouse, niech Bóg ma ich w swojej opiece, nie są na nas kompletnie przygotowani. Gdy jednak zaczynam targać samodzielnie stoliki na miejsca, męska część obsługi chętnie śpieszy mi na pomoc, bo jestem w obcisłych dżinsach i szpilkach. Jake niosący naręcze serwetek, które trzeba wyprasować, mamrocze:

– Florysta i ekipa filmowa już tu są.

Biorę od niego połowę serwetek, żeby widzieć jego twarz.

– Mów wyraźnie, Jake. Podobno jesteś aktorem?

– Przepraszam. Florysta...

– Słyszałam, co powiedziałaś. Nie o to mi chodziło. Zapytaj George'a, czy mógłby się z tobą zamienić, żebyś pomógł w przynoszeniu kwiatów, a potem zaprowadź ekipę filmową, gdzie trzeba.

– Kim jest George? – pyta.

– To facet z wypożyczalni. Duży, rude włosy.

Oddała się prędko, a ja zaczynam przynosić krzesła. Mam pudełko z winietkami i makaronikami dla każdego z gości, ale najpierw muszę ustawić talerze. Gdy rozmawiam z szefem kuchni, mijają mnie dwa wielkie wazony dźwigane przez silne ramiona. Na widok mojej miny Jake wzrusza ramionami i mówi:

– Nie pozwolił mi sobie pomóc.

Jestem zbyt rozproszona totalnie niesamowitymi aranżacjami z proteami, które tacha Elliot, żeby w pełni dotarło do mnie znaczenie jego słów. Tymczasem Elliot ostrożnie stawia je na miejscach – w dwóch rogach naszej części restauracji. Kiedy się odwraca, aby wrócić na parking, odgarnia włosy z twarzy, a ja widzę ciemne kręgi pod jego przekrwionymi oczami.

Ten widok naprawdę mną wstrząsa. Wiem, że to widomy znak tego, że zarywał nocki. Co oznacza, że naprawdę włożyłam na jego barki za dużo.

– Ama? Słyszysz mnie?

Odwracam się i widzę przed sobą Beę.

– Przepraszam, nie! Na Boga, te kwiaty są naprawdę piękne, prawda?

– Są cudowne! – potwierdza z uśmiechem. – Chciałabym tylko poprosić ekipę o nakręcenie alternatywnego materiału z przygotowań. Jedną kamerę, robiącą szerokie ujęcie i nagrywającą non stop przez następne sześć godzin, umieściłabym w rogu. A potem, gdy stół zostanie już nakryty, może moglibyśmy przeprowadzić z tobą ostatni wywiad, ponieważ wiem, że jutro nie będziesz dostępna?

– Oczywiście. Dzięki! – Odchrząkuję i nachylam się w jej stronę. – Widzisz tego dzieciaka, tam w rogu? To mój przybrany brat, Jake. Jest aktorem. Jeśli mógłby jakoś pomóc, byłoby super – daj mu tyle czasu ekranowego, ile tylko zdołasz.

Bea mruga, odrobinę zdziwiona.

– Jasne!

Podczas gdy Elliot i jego kuzyn Ben przynoszą resztę kwiatów, Jake zostaje oddelegowany do nakrywania stołów. Wciąż kursuje w tę i z powrotem, kiedy Bea sadza mnie przy stole obok modelowego nakrycia, które przygotowałam dla Jake'a, aby porozstawiał resztę rzeczy zgodnie z wzorem.

Kiedy kamerzyści i dźwiękowcy są już na miejscu, Bea mówi:

– Wiem, że zrobiliśmy już intro, ale nakręćmy jeszcze jedno. Oświetlenie i sceneria są tu o wiele lepsze niż w poprzednim miejscu. Przedstaw się więc, opowiedz o tym, od jak dawna się tym zajmujesz – i tak dalej.

Kamerzyści zaczynają nagrywać, a ja odgarniam włosy za ucho.

– Nazywam się Ama Torres i jestem konsultantką ślubną Hazel i Jackie. Pracuję w branży ślubnej od ponad ośmiu lat, a to mój czwarty rok prowadzenia własnej firmy.

– Doskonale! – komentuje zachęcająco Bea. – Co sprawiło, że postanowiłaś wybrać akurat tę branżę?

– Od zawsze uwielbiałam śluby – wyjaśniam. – Odkąd sięgam pamięcią.

Elliot ponownie przechodzi za jednym z kamerzystów, a ja staram się skupić uwagę na Bei i reflektorach.

– Czy jest jakiś konkretny ślub, który pamiętasz z dzieciństwa? Być może sypałaś kwiatki na weselu którejś ze swoich cioć, a może

stoi za tym jakaś inna, osobista historia?

– Śluby mojej matki – mówię prosto. Przypominam sobie, że mam przeformułować poprzedni wywiad i powiedzieć: – Pamiętam dobrze, że uwielbiałam przyjęcia weselne mojej matki.

Bea pyta:

– Czy to właśnie w ten sposób poznałaś swojego przybranego brata, Jake'a?

Widzę, jak na dźwięk swojego imienia Jake odwraca się w naszą stronę.

– Nie, poznaliśmy się stosunkowo niedawno. – Prawdopodobnie nie powinnam tego mówić, ale światło kamery rozprasza mnie, podobnie jak kroki Elliota, który krząta się wokół stołu. – Moja matka wychodziła za mąż... kilkakrotnie, więc uczestniczyłam w wielu przyjęciach weselnych.

Widzę, jak Bea przechyla głowę na bok, i zdaję sobie sprawę z tego, że tego również nie powinnam była mówić. Wpuściłam się sama na minę.

– Ile razy twoja matka wychodziła za mąż?

Słyszę, jak Jake prychnął, a potem dodaje usłużnie:

– Całe mnóstwo!

Wszystkie głowy zwracają się w jego stronę, a on robi skruszoną minę.

– Przepraszam – mamrocze. – Ja...

– Czy mógłbyś pójść spakować mój samochód, Jake? – pytam lodowatym tonem.

Spogląda na mnie z miną zbitego psa, po czym otrząsa się i zawstydzony wybiega na zewnątrz.

Jednak Bea wciąż wbija we mnie wzrok.

– Ile dokładnie?

– Moja matka wychodziła za mąż... szesnaście razy! – Śmieję się, jak zawsze, gdy to mówię. – Można powiedzieć, że kocha wesela tak samo jak ja!

– I dlatego zostałam konsultantką ślubną?

– Tak, chyba można tak powiedzieć. – Czuję, jak mój uśmiech staje się sztuczny. Bea gestem prosi mnie o powtórzenie. – Chyba właśnie dlatego zostałam konsultantką ślubną.

Mam wrażenie, że oczy Bei lśnią niezdrowym blaskiem, niemal jak żółte ślepie wygłodniałego wilka między drzewami w lesie. Zaczynam się pocić.

– Jak się z tym czułaś? Dorastając w takich okolicznościach? Czy myślisz, że to miało jakiś wpływ na twoje życie osobiste?

Otwieram usta, ale z mojego gardła wydobywa się jedynie chrapliwy pisk. Uśmiecham się szeroko, lecz do oczu napływają mi łzy.

– Czy naprawdę zamierzasz puścić to na wizji? – Słyszę burkliwy głos dobiegający z plamy rozmytego światła. – Czy odcinki twojego programu nie trwają przypadkiem po pół godziny?

Gdy skupiam wzrok, widzę Elliota stojącego za plecami Bei z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Eee, hm, racja – mamrocze zmieszana producentka. – Ale ślub Hazel Renee będzie wyemitowany w dwóch odcinkach. Myślę, że to świetna okazja dla Amy, jeśli damy jej więcej czasu antenowego. Gdy widzowie ją poznają, stanie się bardziej rozpoznawalna!

– Świetnie. Zapytaj o jej ulubiony kolor. Albo ulubiony smak gatorade. Zapytaj ją o pączki! – podnosi głos. – Ale nie wnikaj w jej życie osobiste. Naprawdę musisz drążyć ten temat?

Nie mogę oddychać.

– Nikt nie przyjedzie do Sacramento, żeby ją zatrudnić, bo jej matka rozwiodła się... piętnaście czy szesnaście razy. Zatrudnią ją z powodu tego – mówi, wskazując na nakrycie stołu i dekoracje. – Będą ją chcieli z powodu rozmachu jutrzejszego przyjęcia, więc dlaczego nie zachowasz czasu antenowego na rzeczy, które naprawdę mają znaczenie?

W końcu kamerzysta opuszcza kamerę i światło przestaje mnie razić.

Kiedy zaczynam widzieć wyraźniej, Elliot odchodzi, aby przynieść kilka kolejnych wazonów.

– Przepraszam – mamroczę. – Potrzebuję chwili, żeby się pozbierać. – Zrywam się na równe nogi i biegnę w przeciwną stronę, do krótkiego korytarzyka prowadzącego do biur restauracji. Bea wykrzykuje w ślad za mną przeprosiny, ale jej nie słucham.

Z trudem łapię dech, przyciskając knykcie do oczu, aby powstrzymać łzy.

Nie wiem dlaczego, ale efekt jest wręcz przeciwny. Wzbierają mi w oczach mocniej, gwałtowniej – czy to z powodu zażenowania ekscesami mojej matki, czy może wzruszenia interwencją Elliota. Opieram się o ścianę, kładę ręce na kolanach i próbuję uspokoić oddech.

Nie miał żadnego interesu w tym, aby się wtrącić. On, osoba, która doświadczyła tego wszystkiego na własnej skórze. Wie dokładnie, jaki wpływ miały tamte przeżycia na moje życie osobiste. Nie musiał tego robić.

Nie wiem, jak długo tkwię w korytarzu. Wiem za to, że kiedy płaczę, puchnę jak rozdymka. Tak naprawdę potrzebuję lodowego okładu na oczy i usta, zanim znów będę mogła pokazać się światu, ale skoro w tej sytuacji nie mam co na to liczyć, potrzebuję po prostu czasu.

Na końcu korytarza jest okno, które otwieram, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Cofam się, gdy widzę na parkingu jednego z kamerzystów – tego samego, który filmował mój wywiad – palącego przy samochodzie, i Elliota stojącego obok.

Chowam się pod ścianą, zerkając lękliwie na zewnątrz. Kamerzysta się rozgląda, jakby nie chciał zostać przyłapany, po czym naciska jakiś guzik na swojej kamerze. Karta pamięci wyskakuje ze slotu, a on podaje ją ukradkiem Elliotowi, jakby właśnie sprzedawał narkotyki. Elliot wkłada ją do kieszeni i jakby nigdy nic idzie do swojej furgonetki, zabierając z niej ostatnie wazony, aby zanieść je na górę.

Elliot

DWA LATA, DZIEWIĘĆ MIESIĘCY, TYDZIEŃ I JEDEN
DZIEŃ TEMU

Sylwester

W noc przed ślubem mojej matki Ama nie zmrużyła oka ani na chwilę.

Wiem o tym, bo i mnie nie daje spać.

O drugiej nad ranem potrząsa mną.

– Hej. Hej!

Przecieram twarz dłonią.

– Co się stało?

– Muszę wziąć kąpiel.

Patrzę na nią mętным wzrokiem.

– Dobra.

– Nie masz wanny – zauważa.

– Nie mam.

– No to... jedziesz ze mną czy zostajesz tutaj?

Robię głęboki wdech i tłumię ziewnięcie.

– Chyba... Chyba mogę jechać z tobą.

Uśmiecha się i mówi:

– Super – a potem obraca się w moją stronę, przywiera do mnie całym ciałem i całuje mnie tak mocno, że nagle jestem bardziej niż przytomny. Wplątuje dłoń w jej włosy, przytrzymując jej głowę, i odwzajemniam pocałunek. Delektuję się uczuciem jej ciała przyciśniętego do mojego boku, sposobem, w jaki jej biodra zaczynają na mnie napierać.

– Wykąpiesz się ze mną? – szepcze w moje usta.

– A czy zmieszczę się w twojej wannie? – chichoczę.

Sięga w dół, kładzie dłoń na moim kroczu i mówi żartobliwie:

– Och, wierz mi, sprawię, że się zmieścisz!

Wstaje, zaczyna się ubierać i zbierać rzeczy potrzebne na jutrzejszy dzień. Mój fiut nadal jest twardy jak skała i wciąż próbuję włożyć dżinsy, gdy czeka, gotowa, przy wyjściu.

Gdy jedziemy moją furgonetką do jej domu, buzia nie zamyka jej się ani na chwilę: bez przerwy papla o planach na jutrzejszy dzień i o tym, co potencjalnie może pójść nie tak. Kiedy docieramy na miejsce, jest już tak mocno skupiona na ślubie, że zaczynam tracić nadzieję, że w najbliższym czasie będę uprawiał seks lub spał.

Ale Ama wchodzi do domu, wita się z kotem i zaczyna się rozbierać, recytując z pamięci listę rzeczy do zrobienia na rano. Kiedy zdejmuje dżinsy, patrzy na mnie i pyta:

– No to... kąpiel?

– Eee... Jasne.

Idę za nią do łazienki i się rozbieram, podczas gdy ona odkręca wodę i narzeka na firmę cateringową.

– Jeżeli jeszcze raz spieprzą podawanie dań, to już więcej ich nie zatrudnię – mówi, sięgając po sól do kąpieli. – Myślisz, że w ogóle darzą mnie jakimś szacunkiem? Bo mam wrażenie, że mnie totalnie olewają!

Kiwam głową. Zgadzam się z każdym jej zdaniem. Słucham. Godzę się z tym, że właśnie przejechałem ponad dwadzieścia kilometrów o drugiej trzydzieści nad ranem, aby wcisnąć się do jej wanny i wysłuchać jej słowotoku. Nie ma problemu. Zdaję sobie jednak również dojmująco sprawę z tego, że w każdej chwili mogę zasnąć, poślizgnąć się i utonąć. Tak czy inaczej, jest okej. Chyba.

Zapala świece, gasi światło i włącza muzykę w telefonie. Ale jest też coraz bardziej zdenerwowana rozplanowaniem miejsc siedzących.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę od asystenta gubernatora coś na temat tego, że źle go usadziłam, oszaleję.

Wskazuje wannę, a ja podchodzę do niej i zanurzam się w ciepłej wodzie o temperaturze idealnej do zaśniećcia. Wspieram głowę o kafelki i słucham, jak utyskuje na jedną z koleżanek mamy ze szkoły średniej, która nie odpowiedziała na zaproszenie.

Wchodzi do wanny i siada między moimi nogami, a poziom wody się podnosi, zbliżając się niebezpiecznie do krawędzi. Ama wciąż trajkocze jak najęta, gdy opiera się plecami o moją klatkę piersiową i ujmuje jedną z moich dłoni, umieszczając ją między swoimi udami.

– Czy chcesz... Czy chcesz od tego wszystkiego odsapnąć? – mamrocze.

– Odsapnąć? Co masz na myśli?

– Możesz się po prostu zrelaksować. Przestań się skupiać na czymkolwiek.

Pozwalam moim palcom błędzić po jej ciele, aby zrozumiała przesłanie.

Odwraca się do mnie przez ramię i rzuca:

– Właśnie się relaksuję.

Odważam się uśmiech i mówię:

– Kontynuuj.

– Kolejna paląca kwestia to menadżerka lokalu. – Opiera głowę na moim ramieniu i zaczyna dyszeć, w przerwach psiocząc na ramy czasowe i protekcyjny ton e-maili.

– Jeśli ona myśli... Jeśli myśli, że może mnie wyrolować, to... to...

Kiedy dochodzi z cichym jękiem pod dotykiem moich palców, jest najcichsza od ostatniej pół godziny. Przez chwilę myślę, że zasnęła, ale wtedy odwraca do mnie twarz i mnie całuje.

– Dziękuję – mamrocze. – Zawsze wiesz, czego potrzebuję.

Odgarniam jej włosy z twarzy i pytam:

– Czego jeszcze potrzebujesz? Jak wygląda twoja lista rzeczy do zrobienia?

Zwiera mi się ze swoich trosk i żali. Nie przerywam jej. Po prostu pozwalam jej wyrzucić z siebie wszystko, co leży jej na sercu. Kiedy milknie, sięgam po korek i go wyjmuję. Owijam ją ręcznikiem i zanoszę do sypialni. Upewniam się, że budzik jest ustawiony na odpowiednią godzinę i przygotowuję kawę. Gdy odsuwam kołdrę, aby położyć się obok niej, obraca się w moją stronę i pyta sennie:

– Co, jeśli o czymś zapomniałam?

– Nie zapomniałaś.

– A jeśli coś pójdzie nie tak?

Przyciągam ją do siebie, a ona wtula się we mnie.

– Nie ma takiej opcji. A jeśli nawet, to z pewnością coś wymyślisz. Jesteś niesamowita. – Całuję czubek jej głowy. – Absolutnie-Niesamowita-Ama.

Parska śmiechem, a ja mam to na końcu języka: niemal wyznaję, że ją kocham.

Ale nie robię tego, bo nie wiem, czy ona chciałaby to usłyszeć. Myślę, że moglibyśmy być razem przez czterdzieści lat i mieć dwadzieścioro dzieci, a ona nadal nie chciałaby tego usłyszeć. Tulę ją więc w ramionach, aż jej oddech staje się równy, miarowy, i szepczę to bezgłośnie jak modlitwę.

Drugi ślub mojej matki jest... piękny. Przy każdej nadarzającej się okazji moja mama mówi gościom, że zawdzięcza to wszystko swojej konsultantce ślubnej i rodzonemu synowi. Sutter Club – miejsce imprez przeznaczone tylko dla członków elity Sacramento – jest lokalem, w którym często odbywają się śluby, ale nie takie. Wszystko, dosłownie wszystko jest wyjątkowe i po prostu wiem, że przyjaciele mojej matki będą polecać konsultantkę ślubną Laury Gilbert przez wiele lat.

Ama jest zestresowana aż do pierwszego tańca. Kiedy rozbrzmiewają takty *At Last*, widzę, jak się rozluźnia. Spogląda na mnie – po raz pierwszy od naszej wspólnej bardzo porannej kąpieli.

Wcześniej ustawiliśmy z Benem dekoracje kwiatowe w salach, w których odbywają się ceremonia i przyjęcie, a potem musiałem wziąć prysznic i się przebrać, więc tak naprawdę od początku imprezy się nie widzieliśmy. Podczas serwowania drinków i kolacji byłem zmuszony wysłuchiwać, jak przyjaciele mojej mamy pytają,

czy się z kimś spotykam, a potem natychmiast próbują mnie z kimś umówić. Bezustannie miałem ochotę wykrzyknąć całej sali, że tak: jestem w szczęśliwym związku z kobietą moich marzeń – i że ona jest tuż obok! Jestem pewien, że będę musiał odrzucić kilka telefonów z propozycjami randek w ciemno w ciągu następnego miesiąca, ale dam radę.

Gdy pierwszy taniec dobiega końca, Ama podchodzi do DJ-a i powierza mu kontrolę nad dalszą częścią przyjęcia. Wstaję od stołu, przy którym niemal nic nie zjadłem, i idę za nią do kuchni.

– Idealnie – mówię, całując ją w policzek.

Uśmiecha się do mnie.

– Tak sądzisz? Wszystko chyba wyszło dobrze, co?

– Perfekcyjnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek odwaliałaś lepszą robotę.

Wybuchła euforycznym śmiechem i informuje mnie, że zaraz wróci.

Gdy DJ zaczyna serwować smętne ballady, przeplatane skocznymi kawałkami, kręcę się z pobliżu kuchni. Kiedy wraca, leci *The Way You Look Tonight*, a ja patrzę jej głęboko w oczy.

– Czy uznałabyś to za zbyt nieprofesjonalne, gdybym poprosił do tańca konsultantkę ślubną mojej matki?

Przygryza wargę, ale bez zastanowienia daje mi się zaciągnąć na parkiet.

Odruchowo spodziewam się, że będzie nalegała, abyśmy trzymali się na uboczu, tak jak przez ostatnie pół roku, jednak pozwala mi poprowadzić się na środek sali, tylko przelotnie zerkając na moją matkę. Uśmiech nie schodzi jej z twarzy – ani na chwilę. Kolejny raz muszę skupić się na jej łagodnym spojrzeniu i ciepłe jej ciała, aby powstrzymać się od wyznania: „Kocham cię”. Wiem, że z czasem będzie to coraz trudniejsze.

– O czym myślisz? – pyta.

– O tym... jak bardzo jestem szczęśliwy.

Parska, jakbym powiedział coś nieskończenie głupiego.

– Ja też jestem szczęśliwa. – Przez chwilę zastanawia się nad czymś, a potem zaczyna szperać w swojej torebce – chociaż mikrej, to wypchanej po brzegi. – Mam dla ciebie niespodziankę.

– Tak?

Wyciąga kopertę, podaje mi ją, a następnie obejmuje mnie za szyję, abyśmy mogli dalej tańczyć. W kopercie jest kartka. Widzę, że to wydrukowany e-mail.

Szanowna pani Amo Torres,
dziękujemy za kontakt. Tak, mamy franklinię, którą pielęgnujemy. Nie jest ona częścią ekspozycji, ale skoro Pani przyjaciel jest jej fanem, jestem skłonny rozważyć umożliwienie mu wizyty i obejrzenia kwiatu (pod nadzorem) w dowolnym momencie w przyszłości.

Proszę dać mi znać, jeśli kiedykolwiek zechce Pani nas odwiedzić, a chętnie Panią oprowadzę.

Z poważaniem

Frank Hitchkins

kierownik Arnold Arboretum na Uniwersytecie Harvarda

Mrugam nieprzytomnie, czytając tekst na kartce raz po raz. Kiedy na nią patrzę, uśmiecha się nerwowo.

– To jak, masz ochotę na małą wycieczkę? – pyta ze śmiechem. – Myślałam o jesieni, kiedy jej liście czerwienieją. Harvard jest jednym z niewielu arboretów, w których mają franklinię, a ja... – Przełyka ślinę i kładzie dłoń na moim prawym przedramieniu, w miejscu, w którym mam ją wytatuowaną. – Chciałabym, żebyś ją zobaczył.

Wewnątrz mnie coś wzbiera. Fala przemożnego, obezwładniającego wzruszenia. I nie chodzi o to, że nigdy wcześniej nie dostałem niesamowitego prezentu – w dzieciństwie otrzymywałem ich całe mnóstwo. Ale to niespodzianka od kogoś, kto zna mnie w sposób, w jaki nie zdołałby mnie poznać nikt inny – od kogoś, kto wdarł się do mojego wnętrza i na dobre się tam rozgościł.

Ponownie spoglądam na e-mail. Franklinia. Jakimś cudem Ama domyśliła się, że to mój ulubiony kwiat, mimo że nigdy jej o tym nie powiedziałem.

Podnoszę wzrok i widzę moją matkę stojącą kilka metrów dalej. Jest wpatrzona w Stefana jak w obrazek – nigdy w życiu nie widziałem, aby tak na kogoś patrzyła. I dostrzegam też, że ma dokładnie ten sam wyraz twarzy, jaki widziałem u siebie w lustrze co najmniej kilka razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

W mojej klatce piersiowej zadzierzguje się ciasny węzeł silnych emocji. Oczy mnie pieką, a gardło mam zbyt mocno ściśnięte, abym zdołał wykrztusić choć słowo. Ale gdy patrzę na nią – na nią – widzę, że nie potrzebuje moich podziękowań. Bo doskonale wie – widzi – jak celnie trafiła ze swoim prezentem.

Uśmiecha się do mnie łagodnie i mówi:

– Myślę, że... myślę, że chyba się w tobie zakochuję.

Serce wali mi jak młotem. Nie mogę uwierzyć, że powiedziała to pierwsza. Nie mogę uwierzyć, że dała mi pozwolenie na to, abym wyznał jej, co czuję.

Spogląda na mnie z wahaniem, jakby się bała, czy odwzajemnię jej nieśmiałe wyznanie.

Ziarno zasadzone w moim sercu pęcznieje, przebijając się przez zaskorupiałe warstwy i wzbijając ku słońcu. Słyszę, jak moja matka śmieje się z czegoś, co powiedział Stefan, ale nie mogę oderwać wzroku od Amy. W jej śmiechu słyszę, że jest szczęśliwa. W uszach rozbrzmiewa mi echo jej słów: „Nikt nie powinien czekać na szczęście ani sekundy dłużej, niż musi”.

Miała rację. Jeśli ma się pewność, że to coś, co będzie już „na zawsze”, po co czekać?

Patrzę w świetliste, brązowe, piękne oczy Amy i mówię bez namysłu:

– Wyjdź za mnie.

Mruga.

W całym ciele czuję mrowienie, a w piersi dziwny ucisk, ale nie boję się.

Uśmiecha się do mnie i zaczerpuje gwałtownie tchu.

– Co takiego? Nie!

Na początku nie słyszę odmowy, bo krew zbyt mocno tętni mi w skroniach. Ale widzę, jak jej uśmiech blednie, a brwi się ściągają. W ściśniętym od natłoku emocji gardle zaczynam czuć palący smak żółci.

Kładę dłoń na jej talii.

– Ama...

– Dlaczego miałbyś... – Kręci głową. Widzę, jak jej klatka piersiowa gwałtownie unosi się i opada. – Mówiłam ci, że tego nie

chę. – Wbija we mnie oskarżycielskie spojrzenie, pod wpływem którego narasta we mnie wstyd.

– Ty... tak, pamiętam, jak mówiłaś, że nie wierzysz w instytucję małżeństwa, ale... to było wcześniej... Przed tym, jak...

– Co masz na myśli? Przed... tobą? – Mruży oczy, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

– Tak – mamroczę. – Tak, przede mną. Zanim dałaś... nam szansę.

– Nigdy nie zamierzałam dać szansy małżeństwu, Elliot. Tego nigdy nie było w planach – cedzi.

Zdejmuje dłoń z mojego ramienia i rozgląda się dookoła, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że jesteśmy na środku sali podczas przyjęcia weselnego.

Chcę stąd wyjść. Mam ochotę stąd uciec i staranować swoją furgonetką ceglana ścianę, ale wiem, że jeśli wyjdę, już nigdy więcej jej nie zobaczę. Po prostu to wiem.

– Jaki powinien więc być następny krok, Ama?

Jej oddech jest urywany, nierówny.

– Słucham?

– Kiedy czujesz do kogoś coś takiego, co ty czujesz do mnie, jaki według ciebie powinien być następnym logiczny krok? – pytam, starając się stłumić ten palący ból narastający w mojej klatce piersiowej, żeby nie wybuchł płomieniem, który mógłby ją sparzyć. – Kontynuujemy to, co robimy, przez następne siedemdziesiąt lat? Może wprowadzisz się to mnie, ale... to wszystko?

Jej nozdrza falują gwałtownie.

– Nie wiem! Mówiłam ci, że związki to nie moja bajka.

– A jednak jesteśmy tu, ty i ja. – Wpatruje się we mnie, jakbym ją w jakiś sposób rozczarował. – To znaczy... Czy dobrze rozumiem? – Wybucham pustym śmiechem. – Chcesz, żebyśmy prowadzili wspólnie interesy, ale nie chcesz, żebyśmy byli razem?

– To biznes, a nie zaręczyny, Elliot.

– Chcesz jechać ze mną do Napa w przyszłym miesiącu i do Bostonu jesienią, ale „nic długoterminowego”?

Otwiera szeroko oczy i usta. Widzę, że próbuje coś powiedzieć, ale nie może znaleźć odpowiednich słów. Wygląda na bezgranicznie przerażoną.

– Nie wiem – mamrocze w końcu. – Nie wiem, Elliot. Wszystko szło tak dobrze... Było idealnie tak, jak było. Ale wiedziałeś, że nie chcę wychodzić za mąż, a i tak... musiałeś to powiedzieć?

Wiem, że ma rację. Pamiętam, co mówiła, ale po prostu... myślałem, że to się zmieni. Z czasem. W tej chwili w mojej klatce piersiowej kłębi się tak wiele uczuć, czuję taki żal, że właśnie w tym momencie tyle tracę, że nie umiem okiełznać rozpierającego mnie gniewu.

– A dlaczego właściwie tak jest? Z powodu twojej mamy? Ponieważ czternaście razy podejmowała złe decyzje, a ty uważasz, że „takie jest po prostu życie”? – Piorunuje mnie wzrokiem, ale nie mogę przestać mówić. – Naprawdę sądzisz, że to dziedziczne, Ama? Że jeśli się pobierzemy – do diabła, jeśli choć wypowiesz słowo „związek”! – to otworzysz jakieś tajemne drzwi do czternastu własnych małżeństw?

– Nie, to dlatego, że małżeństwa się... rozpadają! Związki się kończą!

Potrząsam głową i ją poprawiam:

– Mogą się skończyć. Nie muszą. A ty nie chcesz nawet zaczynać, bo się boisz, że to dobiegnie końca? – Po chwili milczenia podejmuję nieco łagodniej: – Ama, jeśli tego, co nas łączy, nie można nazwać związkiem, to... czym... kim właściwie dla siebie jesteśmy?

Przygryza wargę, a z jej oka spływa samotna łza.

– Nie wiem... Nie wiem, co właściwie robię. To był błąd.

Czuję, że próbuje się wycofać, ale nie pozwalam jej na to, zaciskając mocniej dłoń na jej talii. Jej próba ucieczki – fizycznej ucieczki ode mnie – uświadamia mi, że robi to również wewnętrznie.

– Ama, zaczekaj.

Zaciska usta. Jej oczy błyszczą od łez. Czuję, że drży, i zdaję sobie sprawę, jak bardzo to wszystko spieprzyłem.

– Kocham cię – powtarzam. – Kochałem i nadal kocham. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że mógłbym cię stracić, ale... chciałem po prostu czegoś więcej – tylko przez chwilę. To wszystko – mówię prędko, jakbym nie chciał „czegoś więcej” przez te ostatnie sześć miesięcy. Czegoś, co potrwa dłużej. Ściskam ją mocniej w talii. – Przeholowałem. Nigdy nie sądziłem, że usłyszę, jak mówisz,

że mnie kochasz... A jednak tak się stało. Pomyślałem, że mógłbym mieć wszystko... Ale postąpiłem zbyt pochopnie. Zapomnijmy o tym.

– Nie możesz tego cofnąć – szepcze.

– Spójrz na mnie – proszę. – Niczego takiego nie powiedziałem, OK?

– Zawsze będę wiedziała, czego chcesz i czego nie mogę ci dać – mówi, a po jej policzku spływa kolejna łza.

– Bzdura! Chciałbym, żebyś oddała tego swojego cholernego kota, ale tego nie zrobisz, więc i tak mamy już problem i...

– Nie próbuj z tego żartować – syczy.

W pobliżu rozbłyskuje flesz, a gdy oboje odwracamy się w stronę źródła światła, widzimy fotografa ślubnego robiącego zdjęcie parze za nami. Kiedy skupia obiektyw na nas, Ama kładzie mi dłonie na ramionach i patrzy na coś nad moim uchem. Kolejny błysk.

Wpatruję się w nią, starając się wyrzucić ten widok w pamięci. Przesuwam dłoń po jej biodrze, kładę na jej plecach i przyciągam ją bliżej do siebie. Nie protestuje.

– To się nigdy nie wydarzyło – szepczę jej nagłaco do ucha. – Nigdy więcej tego ode mnie nie usłyszysz.

Milczy, a potem delikatnie potrząsa głową.

– Nigdy nie powinnam była się w to angażować.

Jej słowa są jak cios pięścią w splot słoneczny. Zaciskam zęby, żeby nie zacząć krzyczeć.

– Jesteśmy współpracownikami w tej branży – podejmuje, mamrocząc w okolice mojej szyi. – To całkowicie nieprofesjonalne. Zawsze to robię...

Parskam śmiechem – gorzkim i bardziej szyderczym, niż bym chciał.

– Zawsze angażujesz się w półroczne związki ze swoimi dostawcami usług?

Odsuwa się, a ja tym razem jej na to pozwalam. Wygląda na zrezygnowaną i znużoną.

– Mylę interesy z życiem prywatnym. Wszystko psuję.

W gardle wzbiera mi palący gniew.

– Czy to słowa Whitney?

– Ona ma rację. Nigdy nie przetrwam w tej branży, jeśli nie będę się zachowywała profesjonalnie.

– Świetnie. Wprost cudownie. A więc rozstajemy się, bo chcesz być lepszą konsultantką ślubną, tak?

Jej spojrzenie jest zimne jak lód.

– Rozstajemy się, bo mi się oświadczyłeś. I dlatego, że nigdy nie powinnam była się z tobą pieprzyć. To wszystko było jednym wielkim błędem.

Cofa się o kolejny krok, zwiększając dzielący nas dystans, i uwalnia się z moich objęć. Wyciągam rękę, próbując ją zatrzymać, ale bezskutecznie.

– Muszę sprawdzić, jak idzie w kuchni – mamrocze, a potem odwraca się na pięcie i znika w tłumie.

Stoję na parkiecie z wydrukowanym e-mailem w jednej ręce i wspomnieniem ciepła jej ciała w drugiej.

Wkładam kartkę do kieszeni i idę w przeciwnym kierunku.

Ama

DZIEŃ ŚLUBU

W sobotę budzę się cała zapłakana. To był jeden z tych snów, których nie da się do końca pojąć ani się ich nie pamięta, ale gdy się kończą, człowiek jest zdruzgotany. Naklejam zimne żelowe plastry pod oczy, żeby zmniejszyć opuchliznę, i o szóstej rano zabieram się do roboty.

O siódmej Mar pisze do mnie:

Nie zapomnij o balii dziadunia – cokolwiek to znaczy.

– Kurwa. – Gapię się w telefon jak sroka w gnat.

Poprosiłam ją, żeby mi o niej dziś przypomniała. I cieszę się, że to zrobiłam.

Staroświecka balia, w której podczas przyjęcia będą przechowywane piwa rzemieślnicze. Czy pasuje do motywu przewodniego? Nie. Czy jej włączenie w dekoracje uszczęśliwi Kim Nguyen? Cóż, oby.

Będziemy musieli ją dostarczyć na miejsce w południe, kiedy pojedę z Ogrodu Różanego do sali weselnej, aby nadzorować

ostatnie przygotowania. Zajmie mi to dwadzieścia minut, ale jak zwykle brakuje mi dziś rąk do pomocy. Jake i Sarah zostają w Ogrodzie Różanym. Mar będzie w studiu baletowym. A ja w razie potrzeby będę towarzyszyła pannom młodym.

O ósmej rano dostaję SMS-a od Bei z pytaniem, czy jest coś, co mogłaby dziś sfilmować, zanim ekipa uda się do wynajętego domu, w którym panny młode będą się szykowały do ślubu. Wysyłam ją do Ogrodu Różanego. Będzie tam z pewnością mnóstwo katastrof, które zaspokoją jej apetyt na sensację. Zawsze tak jest.

Ceremonia ma się odbyć o czternastej, a my możemy wejść do Ogrodu Różanego nie wcześniej niż o jedenastej, ale docieram na miejsce o dziesiątej trzydzieści. Rozglądam się po parku, robię głęboki wdech i mówię sobie, że wszystko pójdzie jak z płatka. Będzie idealnie. Pogoda jest fantastyczna – jest rześko i słonecznie. Przygotowania Hazel i Jackie idą zgodnie z planem. A kiedy George i jego ekipa z Michelangelo's Rentals podjeżdżają ciężarówką z krzesłami i filarami, nawet ich ustawianie przebiega sprawnie.

Jake zjawia się piętnaście po jedenastej, przepaszając za swój wczorajszy wybryk. Sprawia wrażenie skruszonego i maksymalnie skupionego, gotowego wypełniać skrupulatnie wszystkie moje polecenia. Nie proszę o więcej.

Kiedy podjeżdża furgonetka z kwiatami – bez łuku ślubnego i bez Elliota – to pierwsze tego dnia odstępstwo od planu. Niepokoi mnie to. Pytam jego kuzyna Bena, gdzie się podziewa Elliot, ale on mówi tylko:

– Kazał mi tu przyjechać i zapytać, gdzie wszystko ustawić.

Puls mi przyśpiesza, ale pozwalam, aby Ben i Jake zaczęli rozstawiać kwiaty.

Daję Elliotowi czas do dwadzieścia po, a potem nie wytrzymuję i piszę do niego:

Czy wszystko w porządku?.

Odpisuje niemal natychmiast:

Daj mi 10 minut.

Zaczynam przygryzać nerwowo wewnętrzną stronę policzka. Elliot nigdy się nie spóźnia. Myślę o ciemnych kręgach pod oczami, które zauważyłam u niego wczoraj, i o tym, jak naskoczył na ekipę od reality show. Cały czas powtarzał mi, że potrzebuję asystenta, ale teraz to on potrzebuje najwyraźniej kogoś do pomocy.

Kwadrans później jego czarna furgonetka podjeżdża do strefy rozładunkowej, a kwiatowy łuk pyszni się dumnie na pace niczym wojownik powożący rydwanem. Jake podbiega, aby pomóc go zdjąć, ale Elliot każe mu się cofnąć. Powoli odwiązuje linki i zestawia łuk na ziemię. Spotykam się z Elliotem przy tabliczkach z oznakowaniami miejsca ceremonii, które ustawiłam w trawie, gdy człapie wolno, dźwigając ostrożnie instalację.

– Jest piękny! – zachwycom się. To nie jest kłamstwo, ale tak naprawdę nie poświęcam samemu łukowi zbyt wielkiej uwagi. Jestem zbyt zajęta próbą oszacowania poziomu stresu i zmęczenia Elliota.

– Jest wkurzający – burczy w odpowiedzi.

– Jakież kłopoty?

– Złamał się na pół jakąś godzinę temu.

Serce zamiera mi na chwilę w piersi. Spoglądam w górę i dopiero teraz dostrzegam pęknięcie.

– Czego potrzebujesz?

– Niczego. Wszystko będzie OK. Zanim podjadę na miejsce przyjęcia, skoczę do sklepu po szpachlę i farbę, a jeśli będzie czas, przylutuję pręt, żeby ustabilizować konstrukcję.

Kiwam głową, jakby jego słowa mnie uspokoiły – jakbym oczyma duszy nie widziała już sceny rodem z horroru, w której Jackie i Hazel mówią sobie „tak”, podczas gdy ich łuk pęka i jedna część wbija się celebrantowi w serce.

Sprawdzam godzinę.

– Muszę lecieć. Mam do załatwienia kilka spraw, więc jeśli będziesz czegoś potrzebował...

– Leć.

Odwracam się na pięcie i pędzę do samochodu. Jest już po wpół do dwunastej i muszę sprawdzić, czy konie i wozy są gotowe, zajrzeć do panien młodych i zadzwonić do Mar, żeby zapytać, czy trzeba jeszcze czegoś dopilnować.

Kiedy w końcu jestem już w drodze do domu babci Jackie, aby odebrać balię, mam już półgodzinną obsuwę i ledwo zdążyłam zajrzeć do dziewczyn. Jedynym pocieszeniem jest to, że Mar twierdzi, iż w studiu baletowym wszystko idzie idealnie.

Podjeżdżam pod adres przesłany mi przez Kim Nguyen w e-mailu, na którego ledwie rzuciłam okiem. Jej matki nie będzie w domu, więc znajdę balię za domem. Kiedy podchodzę bliżej i skręcam za róg, stoję jak wryta.

To nie jest żadna balia. Tylko wanna. Pieprzona wanna!

Otwieram i zamykam usta, gapiąc się na nią w osłupieniu. Nie umiem wyartykułować żadnych słów, a nawet gdybym zdołała coś wykrztusić, to komu właściwie miałabym się poskarżyć?

Wyciągam telefon i czytam e-mail od Kim, szukając w nim słowa „wanna”. Przeklinam pod nosem, gdy widzę, że faktycznie pisała o „staroświeckiej wannie”. Zastanawiam się, dlaczego właściwie uznałam, że to balia, która zmieści się na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Może jakoś opacznie zinterpretowałam słowa Kim, gdy opisywała mi ją po raz pierwszy? Nie słuchałam jej uważnie? Czy nie rozłożyła przypadkiem ramion, pokazując, jaka jest duża?

Teraz, gdy patrzę na tego zabytkowego grzmota, widzę, że, po pierwsze, w życiu nie zmieści się na stole, który postawiliśmy przy barze, a po drugie... cóż, to pierdolona wanna!

Klaszczę w dłonie.

– No dobra. W porządku.

Szczęście w nieszczęściu, że ktokolwiek ją tu wystawił, zostawił ją na wózku, którego użył, aby ją tu przywieźć. Najtrudniejszą częścią będzie władowanie jej na tylne siedzenie mojej camry...

Ponownie zerkam na e-mail od Kim.

Żeby ją podnieść, będziesz potrzebowała od czterech do sześciu mężczyzn!

Przymykam oczy, wciągam powietrze przez nos i przywołuję mentalnie energię „czterech do sześciu mężczyzn”.

Najpierw wracam biegiem do samochodu i podprowadzam go tyłem na podjazd. Nie ma mowy, żeby sąsiedzi matki Kim patrzyli, jak robię coś tak kolosalnie idiotycznego. Ustawiam go tak, aby tylna kanapa znalazła się na wysokości wanny i przesuwam przednie

siedzenia do przodu. To się może udać. Lwie nóżki mogą stanowić problem, ale myślę, że zmieści się na tylnym siedzeniu. Najlepiej byłoby, gdyby udało mi się obrócić ją na bok, ale nie sądzę, żebym zdołała to zrobić – nawet pomimo mojej determinacji.

Podwożę ją na wózku pod drzwi auta i robię głęboki wdech.

Oczyrna duszy widzę, jak podjeżdżam pod salę weselną i płacę pracownikom cateringu po pięćdziesiąt dolców za wyjście do strefy rozładunkowej. Wyobrażam sobie, jak Mar i ja przerabiamy część z barem, aby wkomponować w nią wannę – być może stawiając ją na jakimś podwyższeniu, aby ludzie nie musieli się schylać po butelki.

Ale rozważam też scenariusz, w którym zostawiam tę wannę tutaj i wracam do załatwiania ważniejszych spraw. I widzę też wyraz twarzy Kim Nguyen, prawdziwego anioła w porównaniu z członkami rodziny Hazel... Kim Nguyen, która poprosiła mnie o jedną jedyną rzecz... Kim Nguyen, która uprzedzała mnie, że do dźwignięcia tego cholerstwa będę potrzebowała czterech do sześciu silnych chłopów...

Zdejmuję szpilki, zginam się w pół i napieram...

Na początku nic się nie dzieje. Żadnych postępów. A potem szybko wydarzają się dwie rzeczy: przednia część wanny unosi się prawie na tyle wysoko, aby jedna z lwich nóg stanęła na podłodze mojego samochodu. Jestem podekscytowana. I wtedy wózek, który przechylił się pod ciężarem, umożliwiając podniesienie wanny, wysuwa się spod niej i wjeżdża pod mój samochód.

Wanna opada. Wprost na moją bosą stopę.

Słyszę chrupnięcie podobne do tego, które rozległo się, gdy spadłam z roweru w szóstej klasie. Moją nogę przeszywa błyskawica oślepiającego bólu. Krzyczę i upadam, lądując ciężko na pupie obok samochodu. Napędzana adrenaliną matki podnoszącej samochód terenowy, żeby wydobyć spod niego swoje dziecko, napieram zdrową stopą na bok wanny, żeby zsunąć ją z tej przygniecionej. Cofam się, pełznąc jak krab i oddycham szybko, płytko, próbując znowu jasno myśleć.

Moja prawa stopa jest już wściekle różowa i spuchnięta. Gdy próbuję poruszyć palcami, krzyczę z bólu. Przygryzam wargę, a po policzkach spływają mi łzy.

Wanna... nadal jest w idealnym stanie, z wyjątkiem tego, że leży na boku na podjeździe – zamiast w moim samochodzie.

A ja? Nie mogę chodzić. Nie mogę nawet wstać. Mój telefon jest w samochodzie. Mam słuchawkę w uchu, ale nie mogę z niej dzwonić – tylko odbierać połączenia. A ślub zaczyna się za półtorej godziny. Mieni mi się w oczach i zdaję sobie sprawę z tego, że się hiperwentyluję.

Uderzam w płacz. Próbuję stłumić szloch i zakrywam usta dłonią, starając się nie zaalarmować sąsiadów, dopóki się nie upewnię, że to absolutnie konieczne.

Kładę się na podjeździe i wpatruję w niebo, obserwując chmury przesuwane się powoli nad moją głową i wyobrażając sobie siebie pośród nich.

Zmuszam się do spowolnienia oddechu i próbuję rozważyć dostępne opcje. Mogłabym zacząć krzyczeć, żeby wezwać pomoc. Sąsiedzi zadzwoniliby po karetkę, ale ja nadal miałabym pogruchotaną stopę i wannę na podjeździe. Jeśli pojedę do szpitala, nie zdążę na ślub.

Mogłabym też spróbować dotrzeć do telefonu i... coś wymyślić.

Obracam się na bok i próbuję uklęknąć. Ból przeszywa moją stopę, nawet gdy nie wywieram na nią nacisku. Próbuję przepętląć kawałek, ale po chwili muszę się zatrzymać, sapiąc, jakbym przebiegła maraton.

Ponownie przewracam się na plecy, wspierając stopę na boku wanny. W moim gardle zaczyna wzbierać histeryczny śmiech, gdy sobie uświadamiam, w co się właśnie wpakowałam. Ślub zaczyna się za półtorej godziny, a ja jestem w proszku. Na własne życzenie. Ślub, dzięki któremu moja kariera miała wystrzelić w kosmos.

Budżet moich marzeń. Ekipa filmowa, oczy całego Los Angeles śledzące organizowane przez nas wydarzenie, życiowa szansa dla Elliota.

Łzy spływają mi po skroniach i wsiąkają we włosy. „Dam sobie jeszcze minutę, a potem spróbuję się pozbierać” – postanawiam.

W moim lewym uchu rozbrzmiewa melodia i szlocham, gdy dociera do mnie, że ktoś do mnie dzwoni. Stukam w słuchawkę.

– Halo?

– Potrzebuję szpachli – mówi Elliot, pośpiesznie przetykając zgłoski. Tłumię cisnący mi się na usta okrzyk. – Skończyła się. Czy mogłabyś kupić po drodze, czy może wróciłaś już do ogrodu?

– Nie. Elliot... potrzebuję pomocy.

Po drugiej stronie zapada głucha cisza. Zaczynam dygotać, gdy przychodzi mi do głowy, że połączenie zostało zerwane... I wtedy Elliot pyta:

– Gdzie jesteś? Co się stało?

– Jestem w domu babci Jackie i... uszkodziłam sobie nogę. Nie mogę... Nie mogę chodzić ani prowadzić.

– Prześlij mi adres.

– Nie mam telefonu. Odebrałam przez słuchawkę. To na Titan Court, w Tahoe Park. – Słyszę, jak odpala silnik furgonetki i wpadam w panikę. – Czeka! Jedź do Ogrodu Różanego i wyślij Jake'a...

– Nie, jadę po ciebie.

– Elliot, ślub...

– Nie odbędzie się bez żadnego z nas, więc najwyżej po prostu się spóźnimy.

Zaczynam znowu szlochać.

– Zadzwoń do Mar. Powiedz jej, żeby jechała do dziewczyn. I będziemy jeszcze potrzebować trzech silnych facetów. Czy masz coś na pace?

– Słucham?

– Odbierałam... jedną rzecz i okazała się za ciężka. Czy ktoś mógłby tu przyjechać i to załadować?

– Jezu Chryste, Ama...

Zaczerpuję gwałtownie tchu, słysząc, że zdradza go sposób, w jaki wymawia samogłoski – tak jak kiedyś, gdy wymawiał moje imię „Emma”.

Po chwili milczenia pyta:

– Jak ciężka i jak ważna jest ta... rzecz?

– To wanna. Wielka pieprzona wanna. I prawdopodobnie wcale nie jest ważna, ale wszystko musi pójść zgodnie z planem, Elliot. To już prawie finisz... To ważne dla Jackie, a wiesz, jak wiele z tego ślubu zagarnęli dla siebie agentka Hazel i jej reality show. – Łamię mi się głos i zaczerpuję głęboko tchu, żeby się uspokoić. – Nie miała decydującego głosu w zbyt wielu kwestiach. To prawie jak nie jej ślub.

– W porządku – mówi po dłuższej chwili.

Rozłącza się i znów jestem sama. Siadam i opieram się o bok samochodu, a potem ostrożnie sunę w górę, dopóki nie stoję na jednej nodze. Stopa pulsuje ostrym bólem, a w moich uszach raz po raz rozbrzmiewa to paskudne chrupnięcie.

Wydaje mi się, że mijają lata, zanim moja słuchawka znów sygnalizuje połączenie. Stukam w nią i odbieram.

– Elliot?

– Tu Mar. Co się stało?

– Chyba złamałam stopę. Nie mogę chodzić.

Przeklina szpetnie.

– To... Cóż, nic się nie dzieje. Masz jeszcze dугą stopę, tak? Skombinujemy ci kule i załatwione. Może Elliot ozdobi ci je czymś ładnym i będzie super!

– Jedziesz do dziewczyn?

– Tak – potwierdza. – Co mam im powiedzieć?

– Nic! Nie wspominaj im o tym ani słowem. Wymyśl coś – jakieś problemy w miejscu ślubu z zamianą miejsc, jeśli będą naciskały, ale cokolwiek zrobisz, nie ściągaj na siebie uwagi ekipy filmowej.

Wzdycha, a ja widzę w myślach, jak pociera czoło.

– Jasne, w porządku.

– A, i Mar? – zagaduję. – Czy Michael nie mieszka przypadkiem w Tahoe Park?

– Masz na myśli mojego eks? Twojego byłego przybranego brata?

– Mieszka tu, prawda?

– Ama, cokolwiek chodzi ci po głowie, nie rób tego.

– Hej, pracuję z moim byłym od sześciu miesięcy! Sama powiedziałaś, że to będzie „profesjonalne”...

– Ani mi się waź! – syczy.

– Proszę, zapytaj po prostu, czy w ciągu najbliższych dziesięciu minut nie mógłby wpaść na Titan Court.

– To podłe, nawet jak na ciebie.

Uśmiecham się.

– Obiecuj mu lodzika.

Rozłącza się. Zauważam telefon na przednim siedzeniu mojego auta i już, już mam po niego sięgnąć, gdy podjeżdża czarna

furgonetka. Wyskakują z niej trzy osoby – Elliot i dwójka moich asystentów, którzy pomagają mi tego dnia – Jake i Sarah.

– Nie, nie! – protestuję natychmiast. – Jedno z nich musi być w Ogrodzie Różanym!

Sarah robi balona z gumy do żucia.

– Wszystko ogarnięte. Poprosiłam wiolonczelistę, żeby zadzwonił do nas, jeśli coś się wydarzy.

Jake zwraca jej uwagę na złą wymowę, a ja zamykam ze znużeniem oczy.

Elliot idzie szybkim krokiem w moją stronę, nie zaszczycając wanny nawet jednym spojrzeniem. Przykuca przede mną, a ja zaciskam usta, żeby ukryć drżenie warg. Sięga do mojej kostki, ale nawet lekkie muśnięcie palców wywołuje niewyobrażalny ból.

– Możesz na niej stać? – pyta Jake.

Kręcę głową.

– Dzięki, że przyjechaliście – mówię do mojego byłego przybranego rodzeństwa. – Mam nadzieję, że zaraz zjawi się jeszcze jedna osoba. Musimy tylko załadować wannę na samochód Elliota. Gdzieś pod moim samochodem powinien być wózek.

Jake zaczyna szukać wózka, podczas gdy Sarah robi zdjęcie mojej stopy. Odwracam się do Elliota.

– Nic mi nie jest. Załadujemy wannę, a potem prawdopodobnie będę mogła prowadzić samą lewą nogą...

– Zabieram cię do szpitala – wchodzi mi w słowo.

– Nie. Nie ma mowy. Niedługo zaczyna się ślub. I wciąż musimy kupić szpachlę, tak?

– Jake pojedzie po nią moim autem. Ja zawiozę cię do szpitala. Koniec dyskusji.

– Elliot... – Spoglądam na niego. – To wykluczone.

– Eee... Cześć! Czy jest tu może Ama? – rozlega się czyjś głos.

Gdy oglądam się ponad dachem mojego wozu, widzę Michaela. Umięśnionego tak samo idealnie, jakim go zapamiętałam.

Staję na jednej nodze i macham do niego.

– Dzięki, że przyjechałeś! Czy dałbyś radę pomóc nam w załadowaniu na samochód jednej ciężkiej rzeczy? Mała przysługa i nie będę ci już zawracać głowy!

– Usiądź – mówi Elliot, kładąc rękę na moim ramieniu. Zdejmuję ją z niego i uśmiecham się promiennie do Michaela, mimo że prawdopodobnie wyglądam jak ktoś, czyja kariera właśnie wali się na jego oczach w gruzy.

Jake trzyma wózek i z powątpiewaniem popatruje to na furgonetkę Elliota, to na wannę.

Opieram się o samochód i zaczynam skakać.

– Pomogę wam ją podnieść....

Nagle świat obraca się o dziewięćdziesiąt stopni i jestem w powietrzu. Otaczają mnie ciepłe, silne ramiona – Elliot okrąża samochód i niesie mnie do drzwi po stronie pasażera.

– Oszczędzaj siły... – mamroczę, bo nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy. – Ta cholerna wanna jest naprawdę ciężka.

Krzywi się, otwiera drzwi i delikatnie sadza mnie na fotelu. Kiedy je zamyka, robię głęboki wdech i dziękuję Bogu, że przynajmniej znowu mam telefon.

Widzę dwadzieścia SMS-ów od Bei, Jackie, Hazel i Mar. Najpierw wybieram numer Jackie, zrzucając połączenie na słuchawkę i obserwuję przez przednią szybę, jak Elliot i mała armia mojego byłego przybranego rodzeństwa wjeżdża furgonetką na podjazd i przygotowuje się do podniesienia wanny.

Jackie odbiera z okrzykiem.

– Ama! Czy wszystko w porządku? Mar mówiła, że jest jakiś problem w studiu baletowym... – Krzywię się, patrząc, jak Michael i Elliot wchodzi pod wannę, podczas gdy Jake wciąga ją na pakę furgonetki. Sarah ze znużoną miną trzyma wózek.

– Cześć, tak. Hej! Wszystko w porządku! Już wracam. Czy czegoś potrzebujecie?

– Nie – zaprzecza, ale wymawia to słowo dziwnie powoli i wiem, że kłamie. – Ja tylko... Boże, wiem, że to zabrzmiało głupio, ale naprawdę przydałoby mi się w tej chwili twoje towarzystwo. Trochę się denerwuję, a przy tobie czuję się zawsze spokojniejsza i...

Słyszę stęknienia mężczyzn dźwigających wannę. Elliot krzyczy do Michaela, aby wyskoczył na pakę i pomógł Jake'owi, a ja zaczerpuję gwałtownie tchu, gdy zostaje pod wanną sam.

– Ama?

Zamykam oczy.

– Jackie, masz całkowitą rację. Powinnam tam być. Niczego nie pragnę bardziej niż tego, żebyś czuła się teraz spokojna i szczęśliwa, wierz mi. Daj mi dziesięć minut, a potem będziesz mnie miała na wyłączność i wszystko sobie przegadamy, okej?

Jackie śmieje się i mówi:

– Jasne!

Rozłączam się, a kiedy otwieram oczy, wanna jest już na pace samochodu Elliota, a wszyscy są cali i zdrowi. Otwieram drzwi i dziękuję im wylewnie za pomoc.

Michael jest mokry od potu i piorunuje wannę wzrokiem.

– Lepiej, żeby to był kluczowy element ślubnych dekoracji.

Uśmiecham się blado.

– Na przyjęciu będzie w niej stało piwo rzemieślnicze. – Teraz to mnie piorunuje wzrokiem. – I wszyscy dostaniecie po sześciopaku, w podziękę za wasze sześciopaki – wysiłam się na kiepski żart. – A skoro już o tym mowa... – Gestem przywołuję Elliota do samochodu. – Trzeba ją wnieść na dach. Po schodach.

Marszczy brwi i odwraca się do mojego byłego przybranego brata.

– Michael, prawda? – Podaje mu rękę. – Ama powiedziała mi, że da ci sto dolców, jeśli pomożesz nam ją wnieść.

Otwieram usta, a potem zamykam je z kłapnięciem i uśmiecham się szeroko, nieszczerze.

– Hm, no, tak.

Michael się zgadza, Elliot rozmawia przez chwilę z Jakiem, wręczając mu kluczyki do swojej furgonetki, a tymczasem Michael podchodzi do mnie i kuca obok auta.

– Spadła ci na nogę? – pyta. Kiwam głową i przypominam sobie, że był w szkole medycznej. – Czy możesz ją choć trochę obciążać?

– Nie.

Posykuje i kręci głową.

– Stopę trzeba szybko unieruchomić. Włożyć w gips czy coś w tym stylu – dodaje, gdy Elliot pojawia się w zasięgu słuchu.

– Właśnie zamierzamy to zrobić – mówi Elliot i klepie Michaela w ramię. – Dzięki za pomoc.

– Wielkie dzięki! – wtóruję mu. – Jeśli mogłabym ci się jakoś odwdzińczyć...

Nie udaje mi się dokończyć zdania, bo Elliot zatrzaskuje drzwi po stronie pasażera. Spoglądam na niego, gdy gestem odprawia Jake'a i Sarah. Dzwonię do Mar.

– Jak tam? – pytam, gdy odbiera.

– Wszystko gra – zapewnia mnie. – To znaczy, no wiesz, jak na ślub bez konsultantki ślubnej chyba wszystko idzie póki co jak po maśle.

– To cudownie. Za chwilę będę. Michael nam pomógł, więc może rozważ, czy nie warto byłoby ponownie się z nim zejść, co? – Jęczy, a ja dodaję: – Poza tym będzie zaraz w studiu baletowym z Jakiem i Sarah. Dzięki, pa!

– Ama, co u... – zaczyna mówić, ale się rozłączam.

Elliot otwiera drzwi po stronie kierowcy, wskakuje do auta i wyciąga do mnie rękę, prosząc o kluczyki. Tulę je do piersi.

– Jedziemy do ogrodu – mówię stanowczo.

– Nic podobnego. Jedziemy do szpitala.

– Elliot...

– Ama, daj mi kluczyki. – Jego głos rozbrzmiewa w moim małym samochodzie tak głośno, że zaskoczona, podaję mu je potulnie. Odsuwa siedzenie, aby zrobić miejsce na swoje długie nogi i odpala silnik. Na desce rozdzielczej zapalają się wszystkie kontrolki.

– Jaja sobie robisz z tym samochodem?!

– Jeździ? Jeździ! Jest okej!

Kręci bez słowa głową i wyjeżdża z podjazdu. Ku mojemu przerażeniu skręca w lewo – nie w stronę Ogrodu Różanego. Moja stopa pulsuje przenikliwym bólem, a ja przywołuję w myślach plan godzinowy dalszej części dnia. Czuję nagły ucisk w klatce piersiowej, gdy dociera do mnie, że nie dam rady. Nie zdążę ze wszystkim, jeśli pojedziemy do szpitala. Ale wiem, że Elliot nie zawróci.

Kręci mi się w głowie. Jedyłą rzeczą, która sprawia, że nadal zachowuję jako taką przytomność, jest tętniący ból w stopie. Czy ceremonia może się odbyć beze mnie? Tylko ja potrafię dopilnować, żeby wszystko poszło zgodnie z planem, bo tylko ja znam wszystkie szczegóły. Nie wiem nawet, czy Jake ma zaktualizowany harmonogram.

– Wszystko będzie dobrze. – Głos Elliota dociera do mnie jak przez mgłę, sprowadzając mnie na ziemię. – Ale najpierw musimy się

zająć tobą.

Odwracam głowę, żeby zaprotestować, i widzę, że patrzy na mnie. Oczy ma ciemne i czujne, a ja czuję, że się w nich zatracam.

– Jesteś ważniejsza niż ślub, Ama.

Myli się, ale na dźwięk jego słów w moim brzuchu trzepocze stado motyli, a moje serce pęcznieje od radości.

Obserwuję przemykające za oknem rozmyte budynki. Jedziemy w milczeniu do szpitala, a ja wsłuchuję się w oddech Elliota.

Elliot

DWA LATA, DZIEWIĘĆ MIESIĘCY, TYDZIEŃ I JEDEN
DZIEŃ TEMU

Sylwester

Krażę, oszołomiony, po korytarzach Sutter Club. Jest tu mnóstwo zakamarków, drzwi i miejsc, w których można się zgubić, ale ja chodzę w kółko, próbując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.

Oświadczyłem się.

Oświadczyłem się, a ona ze mną zerwała.

Zerwała ze mną, co sprawiło, że zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle kiedykolwiek byliśmy razem.

I żałuję tego, co zrobiłem, każdą cząstką siebie. Czy naprawdę nie mogłem zadowolić się jej wyznaniem, że się we mnie zakochała? Musiałem pójść o krok... Cóż, o sto kroków dalej?

Próbuję się do niej dodzwonić – ze dwadzieścia razy. Piszę do niej SMS-y. Wiem, że jeśli będę się kręcił po Sutter Club wystarczająco długo, to ją znajdę. Trwa przyjęcie weselne, które organizuje. Nie może być daleko.

Kiedy ponownie mijam parkiet, szukając jej pośród osób zgromadzonych wokół niego, dostrzega mnie moja matka. Macham jej i idę dalej. Zachodzę do kolejnego zakamarka, gdy mama w końcu mnie dogania.

– Co się stało? – pyta bez ogródek.

Znowu czuję się jak dziecko. Jestem nieszczęśliwy, a ona jest aniołem w bieli, który sprawi, że wszystko znów będzie lepsze. Nie wiem, co jej powiedzieć, bo „oświadczyłem się” brzmi teraz kompletnie nedorzeczenie. Czyste szaleństwo.

– Widziałam, jak tańczyłeś z Amą – zagaja, podchodząc do mnie. – Tworzycie razem świetną parę.

– Nie jesteśmy parą. – Pomijam oczywiste „już”. Mama i tak zachowywała się do tej pory zaskakująco taktownie – nie wypytywała mnie o szczegóły ani nie wyrażała swoich opinii niepytana.

Ale widzę to wypisane na jej twarzy – to samo współczucie, z jakim patrzyła na mnie, gdy wróciłem do domu w piątej klasie posiniaczony i pobity. W tamtym czasie natychmiast, niczym superbohaterka, wcielała się w rolę senator Gilbert, dociekliwie tropiąc źródło niesprawiedliwości, która mnie spotkała, dzwoniąc do szkoły i obdzwanając rodziców.

Teraz... może mi jedynie współczuć. Nie ma żadnej wyższej instancji, do której mogłaby się zwrócić, aby złożyć skargę. Nie ma ustawy, którą mogłaby uchwalić.

– Rozumiem – mówi po chwili. – W końcu pracujecie razem...

Jej słowa godzą w moje serce niczym nóż. Całkiem jakby wszyscy oprócz mnie widzieli doskonale, dlaczego od samego początku to był taki zły pomysł.

DJ wzywa moją mamę na parkiet – pora na rzucanie bukietu – i gestem daję jej znać, że powinna iść. Uśmiecham się do niej zachęcająco, ale gdy tylko odchodzi, opieram się o ścianę obok szafy i pozwalam, by łzy spływały swobodnie po moich policzkach.

Moją klatką piersiową wstrząsają spazmy szloch – czuję się pusty i mam wrażenie, że już nic nie zdoła nigdy wypełnić tej pustki. Jeszcze dziś rano tuliłem ją w ramionach, gdy spała, i wiedziałem, że wszystko jest w idealnym porządku. Wcisnąłem się w jej życie na siłę, ale zadziałało – i funkcjonowało świetnie aż do teraz. Aż do momentu, w którym koncertowo to spieprzyłem.

Z bólu nie mogę oddychać, a gardło mam zaciśnięte od niemego krzyku, którego nie mogę z siebie wydobyć. Wyciągam z kieszeni starą chusteczkę taty i ocieram mokrą twarz. Wpatruję się w wyhaftowane na niej inicjały i żałuję, że go tu nie ma. On by wiedział. Powiedziałby mi, co mam robić.

Kiedy znów mogę oddychać, odklejam się od ściany i idę poszukać wina. Przez całą noc mam nadzieję, że na nią wpadnę, ale ona nie wraca. Piszę do niej w kółko i sam sprzątam po przyjęciu, jakby to było w planie od samego początku, wymyślając głupie wymówki, gdy pytają o nią kolejni dostawcy usług.

Ama

DZIEŃ ŚLUBU

Elliot jedzie na ostry dyżur. Ignoruje mnie uparcie, nawet gdy uderzam w błagalny ton. Kiedy przenosi mnie na wózek inwalidzki, znów rozmawiam przez telefon: tym razem z Vince'em – pytam go, dlaczego nie ma jeszcze koni, o czym poinformował mnie Jake.

– Vince? Vince – nie daję mu dojść do słowa. – Chcesz mi powiedzieć, że nie miałeś wystarczająco dużo czasu, aby przygotować się na korki? Serio?

Elliot prowadzi wózek do rejestracji, a ja słucham wymówek Vince'a. Podaje moje imię i nazwisko oraz inne informacje, a ja wyciągam kartę ubezpieczenia zdrowotnego.

– Vince, udawajmy przez chwilę, że jesteśmy twoimi regularnymi klientami. Wyobraźmy sobie, że nie tylko wynajęliśmy twoje konie, ale też wykupiliśmy na dziś przejażdżki wozami z sianem. Wyobraź sobie świat, w którym to wszystko istnieje... i natychmiast dostarcz swoje pieprzone dupsko do parku!

Rozłączam się i uśmiecham do pielęgniarki za biurkiem.

– Dzień dobry! Jaki jest obecnie czas oczekiwania?

Unosi brew.

– Kochanie, to nie jest restauracja.

– Hm, cóż, tak. Chodzi po prostu o to, że... jeśli potrzebuję prześwietlenia, to jak długo będę czekać? Mniej więcej.

Patrzy na mnie z dezaprobatą i wskazuje na poczekalnię, która wygląda na podejrzenie pełną.

Elliot prowadzi mnie tam i ustawia wózek obok krzesła, na którym siada.

– Musisz na chwilę wyluzować.

– Ślub zaczyna się za godzinę! – W moim głosie słychać przerażenie. – Jak mam się „wyluzować”?!

– Powiedz mi, co masz jeszcze do zrobienia. Czym trzeba się zająć?

Głos ma spokojny i patrzy mi w oczy. Ponownie zatracam się w nich na chwilę i przypominam sobie okoliczności ślubu jego matki – to, jak nie dałam mu spać przez całą noc, jak zmusiłam go do wysłuchiwania moich litanii, jak stopniowo, powoli, uspokajałam się przy nim i wyciszyłam. To wspomnienie sprawia, że ściska mnie w gardle, a policzki oblewa gorący rumieniec.

– Ustalmy priorytety – proponuję z namysłem. – Łuk ślubny jest prawdopodobnie uszkodzony. Florysta musi przyjechać na miejsce i go naprawić. – Powstrzymuję się od besztania go i trzymam się faktów. – Muszę potwierdzić, że urzędnik przybył na miejsce. I sprawdzić ostatni raz, czy w Ogrodzie Różanym wszystko w porządku. – Nagle do głowy przychodzi mi jeszcze jedna rzecz i zamykam oczy. – Muszę rozłożyć programy na krzesłach...

– Kontynuuj – prosi, powstrzymując mnie przed wpadnięciem w spiralę paniki.

– Muszę zajrzeć do Jackie i Hazel. Jackie świruje. Słyszałam to w jej głosie. Z Hazel nie rozmawiałam od wczorajszego wieczoru. Muszę się upewnić, że ekipa filmowa nie zabiera im cennego czasu i nie wytrąca ich z harmonogramu. – Wciągam powietrze w płuca i spoglądam na niego. – Whitney. Mogę zadzwonić do Whitney i zapytać, czy mogłaby przysłać kogoś do pomocy...

– Nie. – Jego głos jest zimny, a spojrzenie wręcz lodowate. – Nie ma mowy, nie oddasz jej twojego wielkiego dnia. Po moim trupie, Ama.

Jego słowa wstrząsają mną do głębi. Moja stopa pulsuje bólem, a serce zaczyna mi walić jak młotem, gdy patrzy mi głęboko w oczy.

– Kontynuuj – powtarza stanowczo.

Przełykam ślinę.

– Muszę się upewnić, że Vince i konie dotarli na miejsce. Sprawdzić salę weselną. Nawet tam dziś nie zajrzałam! Muszę zdobyć więcej lodu, skoro wiem, że balia okazała się wanną. Muszę umieścić ją wyżej i...

– Wyżej? – pyta, a ja zdaję sobie sprawę, że nie chodzi tylko o to, żebym się uspokoiła. On naprawdę mnie słucha.

– Balia miała stać na stole obok baru. Teraz, gdybym miała ją postawić na ziemi, ludzie musieliby się do niej schylać – prawdopodobnie nie byłaby nawet odpowiednio wyeksponowana. Musi być bardziej widoczna albo... sama nie wiem.

Kiwa głową, a ja robię głęboki wdech i podejmuję:

– Muszę przeprowadzić ostateczne kontrole cateringu. Powinam jeszcze raz sprawdzić, czy wszystko w porządku u George'a i Mar. Powiedziałam im, jak ustawić stoły, ale muszę to zobaczyć na własne oczy.

Nie poucza mnie, że powinnam im zaufać. Nie mówi, co powinno znaleźć się na liście, a co nie.

– To wszystko, zanim uroczystość się rozpocznie. Co masz do zrobienia później?

Powoli ogarnia mnie panika, gdy dociera do mnie, że mogę ze wszystkim nie zdążyć. Niemal się zachłystuję, a Elliot wyciąga dłoń i kładzie ją uspokajająco na moim kolanie. Spoglądam na nią. Faktycznie się uspokajam... ale potem widzę swoje podrapane kolana i brudną sukienkę.

– Muszę się przebrać.

– Doszliśmy do momentu samej ceremonii – mówi rzeczowo. – Co dalej?

– Jake prowadzi Hazel boczną uliczką na tyły ogrodu. Mar czeka z druhami w wynajętym domu. Daję znak muzykom, że mogą zaczynać. Instruuje Mar. Następnie sygnalizuję Jake'owi i Mar, aby wysłali panny młode – idą na miejsce ceremonii z przeciwnych kierunków i spotykają się w pół drogi. Przez cały czas gra muzyka. Nadjeżdża powóz Jackie i Hazel, a potem reszta transportu dla

gości. Zostaję, dopóki ostatni gość nie wsiądzie, a Sarah czeka, aż George zacznie wszystko zwijać, podczas gdy ja i Jake udajemy się na przyjęcie.

– W porządku. Zaczniemy od tego – mówi, wstając z krzesła. – Dzwonisz do Jake’a w sprawie urzędnika – odlicza na palcach. – Potem do Mar w kwestii harmonogramu przyjęcia weselnego, a później ponownie do Vince’a. Ja jadę teraz do Ogrodu Różanego naprawić łuk. Poproszę Bena, żeby ogarnął wannę – lód i odpowiednie ustawienie. – Urywa na chwilę. – Czyli dokładnie to samo, co przydałoby się twojej stopie.

Prycham, a w jego oczach widzę dziwny błysk.

– Kiedy już wszystkich obdzwonisz – kontynuuje – zadzwonisz do mnie i zdalnie będziesz wydawała instrukcje dotyczące ceremonii.

Mój żołądek skręca się na samą myśl o tym. To... nierealne.

– Czy nie mogłabym po prostu pojechać z tobą?

– Nie, dopóki twojej stopy nie obejrzy lekarz.

Czuję się dziwnie odrętwiała. Czuję, że wszystko, nad czym pracowałam przez siedem miesięcy – a nawet dłużej – rozpada się na kawałki.

Elliot pochyla się w moją stronę i myślę, że chce ująć w dłoń moją twarz, ale zamiast tego ostrożnie wyłuskuje z ucha moją słuchawkę.

– Co robisz? – pytam.

– Jeśli mam być dzisiaj zastępcą konsultantki ślubnej, to potrzebny mi jej sprzęt.

W jego zachowaniu jest coś... dziwnie heroicznego. Rzuca mi ostatnie spojrzenie przez ramię i idzie w kierunku automatycznych szklanych drzwi. Czuję, jak węzeł strachu zadziergnięty w mojej piersi lekko się rozluźnia – może faktycznie nam się uda? Może będzie jak za dawnych czasów, gdy razem tworzyliśmy magię...

Nagle Elliot odwraca się na pięcie i idzie w moją stronę śpiesznym krokiem. Jestem przerażona – na pewno coś się stało...

– Jak... – Gapi się tępym wzrokiem na słuchawkę w swojej dłoni. – Jak właściwie tego używać?

Ama

DZIEŃ ŚLUBU

Urządник jest już na miejscu. Pierwsi goście – co za podli ludzie! – przybyli dwadzieścia minut przed czasem. Mar mówi, że u druchen i panien młodych wszystko okej, ale Jackie płacze podczas robienia makijażu. Już, już mam do niej zadzwonić, kiedy oddzwania Vince.

– Już jesteśmy – burczy.

– Świetnie. Czy mogę porozmawiać z woźnicą powozu ślubnego?

Informuję go o przybliżonej porze, o której powinien podjechać. Ustalę, w jaki sposób dam mu znać, że pora ruszać.

Bea wciąż do mnie wydzwaniała, ale uparcie nie odbieram. Wysłała mi wiadomość, a ja zerkam na nią:

Chcę tylko pomóc. Wiem, że pewnie myślisz, że szukamy sensacji, ale jeśli będziesz potrzebowała dodatkowej pary rąk do pomocy, to śmiało dawaj znać. Naprawdę zależy mi na tym ślubie!

Przygryzam wargę, próbując zdecydować, co zrobić w tej sytuacji.

Kiedy wpatruję się w telefon, dostaję powiadomienie z Instagrama: Hazel Renee relacjonuje na żywo. Klikam i widzę jej cudowną twarz.

– A więc dziś jest dzień mojego ślubu – szczebiocze. – Nie mogę pokazać wam naszych strojów ślubnych, ale możecie być pewni, że będzie prawdziwy ogień! Jestem naprawdę podekscytowana i wiem, że Jackie też. Wszystko jest... – Rozgląda się po pustym pokoju, w którym się znajduje. Rozpoznaję, że to piętro wynajętego lokalu w pobliżu parku. – Wszystko jest super, ale nikt nie wie, gdzie jest nasza konsultantka ślubna! – Wybucha śmiechem, a ja czuję, jak w moim żołądku formuje się zimna, ołowiana kula. Rozchylam wargi.

– To takie dziwne! – ciągnie tymczasem Hazel. – Ale domyślam się, że jest po prostu bardzo zajęta.

Nie mogę oddychać. Zasycha mi w ustach. Nie mogę uwierzyć, że właśnie... właśnie powiedziała milionom swoich fanów, że jestem nieobecna w dniu jej ślubu! Obserwującym, którym reklamowała mnie od miesięcy.

Zamykam Instagram i gapię się w ścianę. Mój telefon dzwoni – mam nadzieję, że to Elliot.

Połączenie przychodzące: Whitney Harrison...

Kiedy szybko naciskam zieloną słuchawkę na ekranie, czuję się jak dziecko.

– Hej!

– Ama? Właśnie obejrzałam na Instagramie coś dziwnego...

– Hm, tak, ja też to widziałam. Jestem... Jestem w szpitalu.

– Och, Ama... Ama, to twój wielki dzień! To nie może być prawda!

Z trudem przełykam ślinę. Te kilka słów idealnie podsumowuje wszystko, co się stało.

– Zaraz wracam na miejsce. Muszę tylko zrobić prześwietlenie...

– Ama – mówi cicho, jakby wchodziła do innego pomieszczenia. – Jeśli to tylko złamana kość, to nie rozumiem, o co tyle zamieszania. Załóż temblak, weź kulę – cokolwiek! Dlaczego właściwie czekasz na prześwietlenie?

– Ja... Tak, jasne. Po prostu...

– Czy potrzebujesz pomocy? Mam przyjechać do Ogrodu Różanego? Mogę tam być za chwilę i wszystkim się zająć. Wyręczę cię...

Mrugam, zdumiona. Gardło mam tak ściśnięte, że ledwie udaje mi się wykrztusić:

– Nie masz przypadkiem dzisiaj czterech wesel?

– Mhm, mam jedno, późnym wieczorem. Pamiętasz, jak pokazywałam ci mój kalendarz? Dzisiaj nic ważnego.

Zaciskam powieki, spod których wymykają się łzy. Mam ochotę krzyczeć. Chcę ją zapytać, dlaczego próbowała pomieszać mi szyki. Ale chciałabym też ją poprosić, żeby pojechała do Ogrodu Różanego. Ponieważ Jackie i Hazel potrzebują obecności i pomocy konsultantki ślubnej.

Rozlega się sygnał i spoglądam na telefon. To Elliot. Pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy zasugerowałam, że skontaktuję się z Whitney. To, jak nieugięty był zawsze w kwestii tego, że mnie wykorzystała. Mówię sobie twardo, że jej nie potrzebuję. Mam jego.

– Whitney, muszę kończyć. Dzięki za propozycję pomocy, ale mamy wszystko pod kontrolą.

Rozłączam się i odbieram telefon od Elliota.

– Jestem na miejscu – informuje mnie. – Zamierzam naprawić łuk, a potem powiesz mi, co zrobić z programami.

– Okej.

Słyszę, jak się krząta – trzask drzwi jego furgonetki, odgłosy parku... Skrzeczenie?

– Ama, mamy tu gęsi.

– Szlag. Poproś Jake'a, żeby się tym zajął.

Zaledwie pięć minut później Elliot melduje, że łuk ślubny został naprawiony. Bez przerwy spoglądam na zegarek. Martwię się, że wszystko jest na styk. Mówię mu, jak rozłożyć programy ślubne („Pod kątem, Elliot”), a on potwierdza przyjęcie moich instrukcji, ale mam dziwne podejrzenie, że zostaną rozłożone tak, jak uzna za stosowne – czyli jak najszybciej. Byle jak.

Słyszę, jak ktoś go woła i pyta: „Gdzie Ama? Co się dzieje?”. To Bea.

– Wszystko w porządku. Coś jej niespodziewanie wypadło, ale mamy wszystko pod kontrolą – odpowiada ostro Elliot.

– Jasne, rozumiem. Czy możemy wysłać do niej ekipę? Cokolwiek się dzieje, moglibyśmy pomóc lub przynajmniej włączyć to do programu...

– Nie.

– W porządku – mówi Bea. – Wiem, że nie mam umowy z tobą, tylko z Amą, ale musimy sfilmować wszystkie wloty i upadki dzisiejszego dnia.

– Kompletnie mnie nie interesuje, co musicie sfilmować – odpowiada Elliot. – Moim priorytetem jest ten ślub. Drugim są kwiaty, które na niego przygotowałem.

– Oczywiście, panie Bloom...

– Chcesz wiedzieć, gdzie na mojej liście znajdujecie się wy i wasze kamery? O wiele, wiele niżej. Może na pozycji dwudziestej? Dwudziestej pierwszej, jeśli na tym ślubie będzie druhenka sypiąca kwiatki.

Przysłuchuję się jego perorze, tłumiąc rozbawione parsknięcie.

– Zdecydowanie brakuje panu finezji, panie Bloom – mówię. Słyszę, jak dyszy, i domyślam się, że zostawił Beę i dokądś idzie.

– Zajrzę teraz do dziewczyn.

– W porządku. Potwierdź, proszę, u Mar, że na miejscu przyjęcia wszystko okej.

– Jasne.

Dziwnie jest słuchać przez telefon, jak robi normalne, prozaiczne rzeczy – idzie lub narzeka na zatłoczony chodnik. To w pewnym sensie intymne i w jakiś dziwny sposób za tym tęsknię, mimo że nigdy wcześniej tego w pełni nie doświadczyłam.

– Ama, mamy tu gliny...

Mrugam, wpatrując się w mężczyznę siedzącego naprzeciwko mnie, przytrzymującego przy łokciu zakrwawiony ręcznik.

– Eee... Okeej... Sprawdź, co się dzieje.

– Dzień dobry – słyszę głos Elliota. – Moje nazwisko Elliot Bloom. Jestem tymczasowo odpowiedzialny za to wydarzenie. W czym mogę pomóc?

– Panie Bloom – odpowiada mu szorstki głos. – Czy mają państwo pozwolenie na zamknięcie tej ulicy?

Zaczerpuję gwałtownie tchu i sięgam odruchowo do swojej saszetki, w której spoczywają wszystkie niezbędne zgody.

Szlag. Niech to szlag!

– Mamy – mówi gładko Elliot. – Za chwilę je panu okażę. Czy mogę jednak zapytać, czy pojawił się jakiś problem? Czy to po prostu rutynowa kontrola?

– Mieliśmy informację o zamknięciu H Street, ale nie McKinley Boulevard. To może być nieporozumienie, ale chciałbym zobaczyć dla pewności pozwolenia.

– Oczywiście. Mam właśnie na linii koordynatorkę imprezy. Już to wyjaśniam. Ama?

Spuszczam głowę i mamroczę:

– Mam je przy sobie. W mojej saszetce...

– Panie władzo, ma je nasza koordynatorka. Niedługo tu będzie – kłamie. – Właśnie idę do lokalu, w którym...

– Przykro mi, panie Bloom, ale muszę zobaczyć pozwolenie. W przeciwnym razie będę musiał odblokować McKinley.

– A czy nie wystarczyłoby samo zdjęcie pozwolenia?

Funkcjonariusz najwyraźniej zaprzecza, bo Elliot prosi mnie:

– Ama? Zaczekaj chwilę – i na łączu zapada martwa cisza. Zerkam na ekran, żeby sprawdzić, czy się rozłączył, ale nie – połączenie nadal trwa. Wyciszył mnie? Próbuje właśnie przekupić policję z Sacramento? A może ma jakieś powiązania z mafią i nie chce, żebym się o nich dowiedziała?

W ciszy rozlega się głos pielęgniarki wywołującej moje nazwisko. Macham ręką i wołam, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Gdy dostrzega, że nie jestem w stanie do niej podejść, idzie do mnie.

– Złotko, zabierzemy cię teraz na prześwietlenie.

– Fantastycznie! Dziękuję. Mam właśnie ważny telefon. Prowadzę przyjęcie weselne. Zdalnie, z ostrego dyżuru – wyjaśniam, siląc się na lekki ton. – Czy mogę podczas badania rozmawiać przez telefon?

– Przyjęcie weselne? – Unosi wysoko brwi. – Potrącił cię samochód nowożeńców czy coś?

– To byłoby znacznie mniej krępujące, ale zasadniczo coś w tym stylu. – Uśmiecham się z przymusem, podczas gdy ona wyprowadza wózek z holu i wiezie mnie korytarzem. – Możesz zatrzymać telefon,

ale kiedy przyjdzie pani doktor, poproszę, żebyś się rozłączyła, aby mogła cię zbadać.

Zerkam na telefon i widzę, że Elliot nadal nie odwiesił połączenia. Nagle słyszę ciche kliknięcie.

– Halo? Elliot?

– Z kim rozmawiam? – pyta kobiecy głos.

Zanim udaje mi się wyartykułować odpowiedź, słyszę nowy męski głos.

– Tu oficer Bell z policji w Sacramento.

– Oficerze Bell – mówi kobieta. – Dzień dobry. Z tej strony senator Laura Gilbert z senatu stanowego.

Zasłaniam usta dłonią. Kiedy pielęgniarka widzi moje wybałuszone oczy, pyta:

– Panna młoda zwiła sprzed ołtarza?

Kręcę głową i słucham Laury, nie wiedząc, czy zdaje sobie sprawę z tego, że jestem na linii.

– Panie władzo, słyszałam, że jest jakiś problem z pozwoleniem. Wiem, że robi pan dokładnie to, co powinien. Doceniam pańską pracę. Chciałam jedynie zapytać, co mogłabym zrobić, aby pomóc.

Oficer Bell odchrząkuje.

– Ach, pani senator! Musimy zobaczyć pozwolenie na zamknięcie tej ulicy. Nie ma go w naszych rejestrach.

– Czy możemy przesłać zdjęcie pozwolenia?

– Przykro mi, pani senator, ale...

– Mogę zadzwonić do kogoś z rady miasta i potwierdzić, że jest w systemie. Czy tak będzie w porządku?

– Jest sobota, psze pani...

– Proszę mi mówić senator Gilbert. Czy chciałby pan, abym zadzwoniła do kogoś z rady miejskiej, aby mógł pan z nim bezpośrednio porozmawiać? Mogę też zadzwonić do komendanta Adamsa z policji w Sacramento, aby wyjaśnić to nieporozumienie. Mam jego prywatny numer.

Wyobrażam sobie funkcjonariusza Bella drapiącego się po brodzie.

– Ja... Nie, pani senator. To nie będzie konieczne. Sam skontaktuję się z komendantem Adamsem i poproszę go o ponowne sprawdzenie rejestrów.

– To wspaniale, funkcjonariuszu Bell. Miło mi to słyszeć. – Z tymi słowy Laura się rozłącza.

Pielęgniarka macha do mnie, mówiąc, że lekarka wkrótce przyjdzie. Pokazuję jej uniesiony kciuk.

Z głośnika dobiega ponownie głos Elliota:

– Ama? Jesteś tam?

– Ktoś poleciał na skargę do mamuu-sii! – nucę drwiąco.

– Bo ktoś inny zapomniał pozwolee-niaa! – odcina się. – Jestem pod domem dziewczyn. Drzwi są otwarte?

– Powinny.

Słyszę, jak puka i wchodzi do środka. Słyszę kroki i głosy: ktoś dopytuje o mnie, o bukiety, o leki na uspokojenie...

– Gdzie jest Hazel? – pyta Elliot.

Przedziera się przez gromadkę rozszczebiotanych dziewcząt i wbiega po schodach na górę, potem ponownie puka do drzwi.

– Hazel? Ama dzwoni, żeby sprawdzić, czy wszystko okej.

– O mój Boże, gdzie ona jest? – słyszę głos Hazel. Czyżby pobrzmiwały w nim nuty poirytowania?

– Musi coś załatwić i rozdysponowała zadania, aby dotrzymać harmonogramu.

– O co chodzi?

– Nie mów jej! – proszę. I tak już czuję się koszmarnie upokorzona, że tak bardzo naraziłam ten ślub na szwank, nie czytając dokładnie e-maila od Kim Nguyen i próbując sama podnieść wannę, i nie zapewniając sobie wystarczającej liczby asystentów. To ich dzień, a ja napytałam sobie biedy, skupiając na sobie uwagę niemal wszystkich zainteresowanych. I nie chcę, żeby jej obserwatorzy dowiedzieli się również o tym.

– Coś jej w ostatniej chwili wypadło. Kazała mi najpierw przyjść do was, bo wie, że od rana was zanieczyściła.

– To znaczy... – zaczyna Hazel, ale urywa i po chwili podejmuje: – Spokojnie, wszystko gra. Chciałabym po prostu wiedzieć, co się dzieje.

Instruuje Elliota, aby powiedział jej: „To dzień twojego ślubu”.

Powtarza za mną.

– Teraz powiedz jej: „Oto co się dzieje”. I uśmiechnij się do niej!

– Oto co się dzieje – mówi. – I uśmiechnij się do niej!

– Tego nie miałaś jej mówić! – syczę. – Tylko to zrobić! To ty miałaś się uśmiechnąć!

– A wówczas... wszyscy będą się uśmiechać – improwizuje niezdarnie, a ja się krzywię.

Słyszę, jak Hazel mówi:

– Okeeej...

– Ama jest pod telefonem, jeśli będziecie musiały się z nią skontaktować – mówi Elliot, a potem słyszę, odgłos zamykanych drzwi. – Gdzie Jackie? – pyta kogoś na korytarzu.

– Ostatnie drzwi!

Znowu pukanie i dźwięk otwieranych drzwi.

– Elliot! Co się dzieje? Czy to już czas na bukiety? – W jej głosie słychać histerię, od której natychmiast skacze mi ciśnienie.

– Wow! Jackie! Wyglądasz niesamowicie – komplementuje ją, a ja niemal widzę tę scenę.

– Dzięki. Ja po prostu... Boże, Elliot. Gdzie, do cholery, jest Ama?!

– Powiedz jej. Powiedz jej, ale nie Hazel – proszę.

Odkasłuje.

– Ama... doznała urazu. – Jackie zaczerpuje gwałtownie tchu. – Jest teraz w szpitalu na badaniach.

Rozlega się ciche kwilenie i pociąganie nosem, a ja zamykam oczy, gdy zdaję sobie sprawę z tego, że Jackie znów zaczyna płakać. Tylko nie to! Jest już umalowana! Modłę się w duchu, aby spray utrwalający Hazel Renee zdał egzamin.

– Hej, spokojnie, już dobrze. Nic jej nie jest. – Słyszę kroki, gdy Elliot do niej podchodzi. – Jackie, wszystko jest pod kontrolą. Dzisiaj jest dzień twojego ślubu!

– Mm-hmm – mamrocze głosem stłumionym od natłoku emocji. – Po prostu... Naprawdę się denerwuję. A Hazel nie chciała, żebyśmy się wcześniej widziały, mimo że poprosiłam ją, żebyśmy mogły... – Łka. – Nie chcę, żeby to zabrzmiało, jakbym nie była wdzięczna za wszystko, co ty i Ama przygotowaliście na dzisiejszy dzień, ale... Mam wrażenie, że to już nawet nie jest mój ślub.

Uciskam palcami grzbiet nosa.

– Szlag.

– Wiem, co masz na myśli – mówi współczująco Elliot. – To musi być dla ciebie naprawdę trudne.

– A ona... zamiast siedzieć tutaj i trzymać mnie za rękę, wrzuca filmiki na Instagram! A ja po prostu... Ciągle myślę, że... Co, jeśli to zła decyzja? Co, jeśli pewnego dnia przestanę ją kochać?

– Daj mi ją – proszę. – Daj jej moją słuchawkę.

Słyszę, jak Elliot stuka w urządzenie – odgłos rozbrzmiewa w moim uchu niczym huk wystrzału.

– Jackie... – mówi łagodnie.

– Elliot, daj mi ją!

Słyszę ponowne stuknięcie w słuchawkę i podejrzewam, że próbuje się rozłączyć lub mnie wyciszyć. Ale wciąż słyszę, jak Jackie pociąga nosem.

– To tak nie działa – mówi Elliot. – Ludzie tacy jak ty czy ja nie mogą tak po prostu się odkochać.

Wstrzymuję oddech. Włoski na całym ciele stają mi dęba.

– Widzę, jak bardzo kochasz Hazel – dodaje tymczasem Elliot. – Wierz mi: wiem, że kiedy kocha się kogoś, kto jest bez reszty skupiony na swojej karierze, czasami można się czuć zaniedbywanym.

Zaciskam powieki i milczę jak zaklęta, błagając go w myśli, aby kontynuował.

– Czasami po prostu odliczasz dni, godziny, dopóki osoba, którą kochasz, nie będzie mogła ponownie poświęcić ci całej swojej uwagi – mówi. – A jeśli to się kończy, Jackie? – Zniża głos. – Wciąż odliczasz. Miesiące, które minęły. Dokładną liczbę dni. Całkiem jakbyś liczyła chwile, które spędziłaś, nie będąc dla tej osoby ważna. Ale nie łudź się, że pewnego ranka się obudzisz i poczujesz, że już jej nie kochasz.

Trudno mi złapać dech. Mam wrażenie, że moje płuca odmawiają posłuszeństwa i nie słyszę już nic poza głosem Elliota i waleniem mojego serca.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi i do gabinetu wchodzi lekarka. Wyrzucam przed siebie desperacko rękę i daję jej rozpaczliwe znaki, błagając, żeby była cicho. Mruży z zakłopotaniem oczy, a ja wskazuję na mój telefon, mówiąc bezgłośnie „przepraszam!”.

– Boże – mamrocze Jackie. – Elliot, nie powinnam była namawiać cię, żebyś umówił się z Amą. Nie wiedziałam, że wciąż jesteś zakochany w Kate...

Tym razem czuję się, jakby antyczna wanna spadła mi prosto na głowę. Kate. Dziewczyna „po mnie”. Czy to naprawdę możliwe, że Elliot ma na myśli ją, a nie mnie?

Odchrząkuje.

– Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że sędzę, że akurat ty na pewno się nie odkochasz – mówi. – Minęły lata, a ja wciąż mogę ci powiedzieć, ile dokładnie dni minęło, odkąd ostatni raz byłem... jej potrzebny. Odkąd ostatni raz pomogłem jej przetrwać noc.

Wciągam bezgłośnie powietrze w płuca. Mówi o mnie. Rozłączam się – usłyszałam już wszystko, co chciałam usłyszeć. Patrzę na lekarzkę oczami mokrymi od łez i przebąkuję:

– Przepraszam, jestem... konsultantką ślubną i jestem tu, zamiast na ślubie.

Pani doktor jest starszą kobietą o życzliwych oczach.

– Och! Czyżbyś właśnie wysłuchała, jak składają przysięgę?

Przygryzam wargę i kiwam niemrawo głową.

Ama

DZIEŃ ŚLUBU

To pęknięcie włoskowate kości śródstopia – cokolwiek to znaczy. Lekarka szybko zabiera mnie na prześwietlenie, bo przez cały czas płaczę, że przegapię całe wydarzenie.

Gdy wracam z rentgena, dzwoni Elliot, a ja ponownie instruuje go w kwestii wskazówek dotyczących ceremonii. Pamięta wszystko, co powiedziałam w poczekalni, a teraz muszę tylko mu zaufać i wierzyć, że wie, jak liczyć takty muzyki. Dyryguję wszystkim za jego pośrednictwem, podczas gdy pielęgniarki prowadzą mnie z powrotem do gabinetu lekarskiego, a kiedy mówię:

– Teraz wysyłacie panny młode! – jeden z pacjentów na korytarzu patrzy na mnie, jakbym uciekła z oddziału psychiatrycznego.

Gdy ceremonia się rozpoczyna, Elliot się rozłącza, aby móc maksymalnie skupić się na czekających go zadaniach, a ja wysyłam mu numer telefonu kierowcy powozu ślubnego. Lekarka wręcza mi kule i ortezę i umawia na wizytę w poniedziałek, żeby założyli mi gips. Biorę środki przeciwbólowe, które mi dają, i zamawiam Ubera.

W szpitalnym kiosku kupuję parę butów na płaskim obcasie, aby wzuć jeden z nich na sprawną stopę.

Elliot pisze na czacie grupowym do mnie, Mar, Sarah i Jake'a, aby poinformować nas, że powóz z młodą parą już odjechał, a pierwszy powóz dla gości jest podstawiony, więc ustawiam miejsce docelowe Ubera na studio baletowe. Informuję kierowcę o zamkniętych ulicach wokół parku, na co on odpowiada:

- To niedorzeczne!
- To w końcu wesele – rzucam niewinnie.
- Co za geniusz to wymyślił?!

Zaciskam usta i wyglądam przez okno, podczas gdy on podąża za znakami objazdu.

Podjeżdża pod budynek boczną uliczką i podrzuca mnie pod tylne wejście, którym wchodzi pracownicy firmy cateringowej. Pomaga mi wysiąść i podtrzymuje mnie, gdy gramolę się z taksówki o kulach, więc wybaczam mu te kąśliwe uwagi.

Kiedy wchodzę na krawężnik, jakieś dwadzieścia metrów ode mnie zatrzymuje się furgonetka Bei. Robię głęboki wdech, żeby się uspokoić, dogłębnie zdając sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie wyląduję na kanale TLC w ortezie i o kulach. Dwóch kamerzystów i dźwiękowiec wyskakują z wozu, chwytając swój sprzęt i pędząc, aby być na miejscu, gdy pojawią się pierwsi goście. Właśnie sięgam do klamki, gdy Bea wysiada po stronie kierowcy, a drzwi po stronie pasażera się otwierają i moim oczom ukazuje się nie kto inny, tylko Whitney Harrison we własnej osobie.

Wstrzymuję oddech. Jest ubrana w jasnoniebieską sukienkę od Stelli McCartney – jej ulubiony strój, który wkłada na wywiady lub ważne przyjęcia. W jednej ręce trzyma iPada, a w uchu ma słuchawkę bezprzewodową. Rozmawia krótko z Beą, kiwa głową i obrzuca taksującym spojrzeniem budynek, w którym odbywa się impreza.

Wygląda jak konsultantka ślubna z prawdziwego zdarzenia. Wygląda jak... konsultantka ślubna Hazel i Jackie.

Powiedziałam jej, żeby nie przyjeżdżała, a ona i tak się zjawiała. Próbuje wciągnąć powietrze, a moje myśli krążą jak oszalałe.

Bea zauważa mnie jako pierwsza. Uśmiecha się z taką ulgą, że nie wiem, co o tym myśleć. Gdy podbiega do mnie, Whitney

spogląda na ulicę, czekając na przybycie pierwszych gości.

– Ama, o mój Boże! – Bea ujmując delikatnie mój łokieć, aby pomóc mi iść. – Co się stało?

– Co tu robi Whitney Harrison? – pytam wyzutym z emocji głosem.

Całkiem jakby mnie usłyszała, Whitney się odwraca, widzi mnie i macha mi bez troski na powitanie.

– Co masz na myśli? – pyta Bea, ściągając brwi. – Mówiła, że zadzwoniłaś do niej z prośbą, żeby dopilnowała wszystkiego na przyjęciu.

– Elliot ma się tym zająć – warczę.

– Tak, ale... Cóż, Whitney zaopiekowała się Hazel. Towarzyszyła Jake'owi w parku, a na sygnał dla panien młodych...

Gdy człowiek jest wkurzony i chce prędko dotrzeć na miejsce, kule znacznie utrudniają szybki marsz, ale jakimś cudem w miarę sprawnie udaje mi się pokonać dystans dzielący mnie od Whitney.

– Co tu robisz? – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Ama, o mój Boże! – szczebiocze słodko. – Czy jest złamana, kochanie?

– Mówiłam ci, że mam wszystko pod kontrolą! Powiedziałam, że nie potrzebuję twojej pomocy.

Whitney robi tę samą minę, którą rezerwowała dla przyszłych panien młodych, pytających, czy ma jakieś tańsze pakiety – jakby się nade mną litowała.

– Ama... Wszystko wskazuje na to, że jednak mnie potrzebujesz. Co to za ślub bez konsultantki ślubnej? – Śmieje się, jakby to był przedni żart.

– Wszystko było dograne idealnie i...

– Oczywiście, Elliot całkiem nieźle sobie poradził, zważywszy na jego niewielkie doświadczenie, ale Hazel Renee najwyraźniej nie była z ciebie zbyt zadowolona. – Wyciąga rękę, żeby uścisnąć moje ramię, ale bezceremonialnie ją odsuwam. – Ama...

– Dlaczego zarezerwowałaś na dziś termin u wszystkich dostawców usług? – pytam bez ogródek.

Przechyla głowę na ramię.

– O czym ty mówisz?

– Wiem, że zaplanowałaś dziś co najmniej trzy fikcyjne wesela – po tym, jak podałam ci datę ślubu. Po tym, jak przyszłam do ciebie po radę.

– Ama, opuściłaś moją firmę na dobrych warunkach – wzdycha. – Zawsze będę cię wspierać, ale nie zamierzam odrzucać z twojego powodu zleceń. Zarezerwowałam terminy po naszej rozmowie. A ty? Jak długo czekałaś, żeby skontaktować się z tymi dostawcami po wizycie w moim biurze? Jak długo miałam zwlekać z rezerwacjami?

Do gardła podchodzi mi żółć i kwas.

– Co się stało z tymi trzema weselami? Dzisiaj masz tylko jedno. Tak mi powiedziałaś.

– Odwołali. – Wzrusza ramionami, jakby nigdy nic. Jakby nic się nie wydarzyło. – Wiesz, że ludziom zdarza się zmienić zdanie. Pewnego dnia, kiedy zaczniesz pracować na taką skalę jak ja, zobaczysz, że to nic niezwykłego: odwołanie trzech przyjęć ślubnych naraz. Tak po prostu bywa. Życie.

Nie wierzę jej. W uszach dźwięczy mi głos Elliota sprzed lat, mówiącego, że skopowała moje projekty, że za mało mi płaciła. Czuję jej paznokcie wbijające się jak szpony w moje ramię, słyszę jej głos syczący mi do ucha: „Zachowuj się jak profesjonalistka!”, podczas gdy moja ręka pulsuje bólem, z oczu kapią łzy, a na pośladku wciąż czuję dotyk łapy tamtego gnoja. Nagle spływa na mnie jakiś nieziemski spokój. Widzę już wszystko jasno, jestem pewna siebie i skupiona.

– Masz rację – mówię cicho. – Pewnego dnia dowiem się, jak to jest: organizować cztery wesela jednego dnia. Pewnego dnia zrozumieć, jak to jest rezerwować miejsca w takim pośpiechu, że zapominałam o rozmowie, którą odbyłam dwa dni wcześniej. – Kiwam głową i uśmiecham się do niej. – Bo już jestem na dobrej drodze, Whitney. Strzeż się – nadchodzi Ama! Pnę się coraz wyżej i nic, co zrobisz, aby sabotować mój biznes, mnie nie powstrzyma. Jestem warta dziesięciu takich jak ty. Zawsze byłam dla ciebie warta tyle, co dziesięć osób, i miałaś rację, obawiając się, że wejdę na twój rynek.

Widzę, jak w chłodnym spojrzeniu jej błękitnych oczu coś się zmienia. Podchodzę do niej bliżej, ignorując ból, który przeszywa moją nogę i mówię:

– A teraz odpiardol się od mojego ślubu.

Zaciska usta i mierzy mnie lodowatym wzrokiem, ale ja już się jej nie boję. Słyszę stukot końskich kopyt, gdy zbliżają się pierwsze powozy. Dopiero teraz widzę, że jedna z kamer Bei jest skierowana na naszą dwójkę.

Whitney nachyla się do mnie i cedzi gniewnie:

– Myślisz, że wolno ci tak do mnie mówić? To ja cię stworzyłam! Ilu klientów do ciebie odesłałam? A ty odpłacasz mi w taki sposób? Wydaje ci się, że wchodzisz na mój rynek? Mój rynek?! Organizowałam przyjęcia na terenie kraju, podczas gdy ty puszczałaś się na wieczorach panieńskich i flirtowałaś z moimi dostawcami, aby uzyskać te same zniżki!

Rozdziawiam szeroko usta, a potem z mojego gardła wypływa śmiech.

– Nie wiem, co jest zabawniejsze: to, że myślisz, że San Francisco i Lake Tahoe czynią z ciebie taką światową osobę, czy to, że sądzisz, iż jesteś jedyną konsultantką ślubną, która dostaje w branży zniżki. Żegnaj, Whitney. Muszę lecieć na przyjęcie. Pa!

Wyciąga rękę i chwyta mnie za ramię.

– Nie waż się odchodzić, dopóki ci na to nie pozwolę, niewdzięczna, puszczańska zdziro!

Widzę moment, w którym Whitney zdaje sobie sprawę z tego, że jesteśmy filmowane. To zdecydowanie najwspanialszy moment w moim życiu. Pod warstwą korektora robi się blada jak ściana i odwraca głowę w stronę zbliżającego się do nas kamerzysty. Dosłownie odbiera jej mowę.

Kładę protekcyjnym gestem dłoni na jej ramieniu, tak jak dawniej miała w zwyczaju postępować wobec mnie.

– Whitney, daj spokój. Bądź profesjonalistką!

Wykrzywia twarz w grymasie wściekłości i niemal słyszę, jak zgrzyta zębami. Odwraca się na pięcie i wchodzi na ulicę – w chwili, w której zza rogu wyłania się pierwszy koń. Podskakuje jak użądłona, wrzeszczy dziko, koń staje dęba, a ja zaczerpuję gwałtownie tchu, zakrywając usta dłonią. Whitney czmycha z drogi – w samą porę – ale woźnica musi poświęcić chwilę, aby uspokoić spłoszone zwierzę.

Gdy tylko szok mija i uświadamiam sobie, jak komiczna była ta scena, odwracam się do Nicka, kamerzysty.

– Masz to? – pytam z uśmiechem. Kiwa głową, również się uśmiechając.

Robię głęboki wdech i przywołuję na twarz szeroki uśmiech, aby powitać pierwszych gości, przepaszając za ten incydent z koniem. Bea wciąż stoi na chodniku, uśmiechając się od ucha do ucha.

– No to... Pewnie nie możesz wykorzystać tego nagrania, co? – pytam. – Whitney raczej nie podpisze teraz umowy.

– Już podpisała. – Kąciki ust Bei drgają w psotnym uśmiechu. – W salonie ślubnym. Kiedy zwróciła się do mnie w sprawie wywiadu.

Mrugam, zaskoczona.

– Przeprowadziłaś z nią rozmowę? Co powiedziała?

Bea podchodzi bliżej.

– Powiedziała, że pracowałaś pod jej okiem. Że nauczyła cię wszystkiego, co wiesz. I... że masz zbyt małe doświadczenie, aby zorganizować ślub na taką skalę.

Moje policzki zalewa gorący rumieniec. Zaciskam usta.

– Wyobrażam sobie więc – podejmuje Bea – jakie to będzie wspaniałe w zestawieniu z tym, co się właśnie tutaj wydarzyło. – Spogląda na mnie z uśmiechem. – Uwielbiam dobre dramy!

– Cóż, nie ma za co. – Wspieram się na kulach. – Chodźmy się zabawić.

Bea spotyka się ze swoją ekipą, a ja kuśtykam do tylnych drzwi, ponieważ nie chcę, aby kule i poplamiona sukienka przyciągały zbyt wiele uwagi. Koordynatorka cateringu wita mnie tak, jakbym przez cały czas była na miejscu i wszystkiego pilnowała. Następuje krótka wymiana zdań na temat mojej ortozy i kul, ale wkrótce przechodzę przez prowizoryczną kuchnię i wchodzę na baśniowe wesele, które sama zorganizowałam.

Mimo że zaplanowałam wszystko, co mnie otacza, widok tego starego studia tanecznego, które zamieniliśmy w wymarzone miejsce na przyjęcie weselne, nadal wprawia mnie w osłupienie. Kwieciste żyrandole Elliota są oświetlone z boków miękkimi diodami LED, a po bokach stoją jego kolumny z wazonami pełnymi protei. Nie było czasu, żeby Hazel i Jackie mogły wszystko wcześniej obejrzeć, ale sala jest dobrze przygotowana na ich wielkie wejście, bo obsługa pokieruje gości na dach na drinki, zanim przybędą. Kiedy dziewczyny się zjawią, zastaną wszystko w nienaruszonym stanie.

Gdy do środka wchodzi pierwszy gość, przechodzę przez salę i sprawdzam każde nakrycie i każdy element dekoracji. Przesuwam to i owo, układam równo noże, ale tak naprawdę... Cóż, jest niemal idealnie.

Któryś z gości schodzi po schodach i przywołuje gestem swoją towarzyszkę:

– Chodź! Musisz to koniecznie zobaczyć!

A ja wiem, po prostu wiem, że ma na myśli parkiet.

Po potwierdzeniu, że ostatnie powozy z gośćmi dotarły na miejsce i wszyscy udali się na dach, aby wypić zdrowie młodej pary, podchodzę do schodów. Kręcę z niedowierzaniem głową, patrząc na windę, którą zainstalowaliśmy, aby spełnić normy budowlane. Wzdycham i naciskam przycisk, żeby ją przywołać. Chichoczę przy tym pod nosem – co za ironia losu!

Kiedy jestem na górze i ponownie kuśtykam o kulach, po raz pierwszy od czwartku widzę dach.

Jest absolutnie niesamowity. Goście nieśmiało stąpają po wspaniałym parkiecie Elliota, jakby bali się po nim chodzić. Niektórzy z nich pokazują na dół, kiwają do przyjaciół, robią zdjęcia. Stoliki barowe są ustawione w perfekcyjnym układzie, a bukszpan po bokach dachu wszystko cudownie ożywia. Widzę, jak kelnerzy roznoszą przystawki, a goście przymykają z rozkoszą oczy po pierwszym kęsie. Widzę długą kolejkę do baru i poklepuję się mentalnie po plecach za to, że znam zwyczaje hollywoodzkich pijusów.

Widzę też zabytkową wannę wypełnioną piwem rzemieślniczym i doskonale wyeksponowaną – na Bóg wie czym, ale ma to metr wysokości i wygląda idealnie przykryte białym obrusem. A obok wanny stoi dumna mama Jackie, z dłonią na jej rancie, i opowiada o niej każdemu, kto chce słuchać.

– Balia, taa – mamroczę pod nosem. I wtedy w końcu widzę Mar.

Stoi w kącie, omiatając wszystko wzrokiem, jakby skanowała salę w poszukiwaniu punktów, w których mogła coś przeoczyć. Jej spojrzenie pada na mnie i zrywa się, pokonując dzielący nas dystans w kilku długich susach. Gdy do mnie dociera, przytula mnie mocno.

– Ama!

– Udało ci się, słońce! Genialnie sobie poradziłaś!

– To tobie się udało! – Odsuwa się ode mnie. – To twoje dzieło.

W tym momencie mistrz ceremonii bierze mikrofon i odchrząkuje.

– Panie i panowie, lada chwila nastąpi wielki moment. Para młoda jest już prawie na miejscu!

Tłum wiwatuje, a ja zerkam na zegarek.

– Już?

– Tak – potwierdza Mar. – Elliot dopilnował, żeby wszystko było na czas.

Kiedy drużyny w końcu docierają na górę, widzę zachwyty na ich twarzach, gdy wychodzą w jesienne popołudnie. Bea i jej ekipa wszystko skrzętnie rejestrują. Niecałe pięć minut później słyszę z dołu okrzyk Jackie, ale zanim zdążę wpaść w panikę, Hazel zaczyna się śmiać.

Żałuję, że nie mogę być tam z nimi, aby zobaczyć ich reakcję na niegdyś zamieszkaną przez nietoperze, opuszczoną ruinę, którą dla nich przerobiłam na salę ślubną. Ale wiem, że Bea wszystko nagra.

– Ama.

Odwracam się i widzę Laurę Gilbert. Serce podchodzi mi do gardła.

– Pani senator. Bardzo dziękuję za dzisiejszą pomoc z pozwoleniami.

Macha nonszalancko ręką.

– Drobiazg. I mów mi, proszę, Laura.

Wykluczone.

Po chwili pani senator podejmuje:

– Jestem pod wielkim wrażeniem. Mój ślub był oczywiście fantastyczny, ale to... Czuć w tym poświęcenie i pasję. Cieszę się, że namówiłam Jackie, aby cię zatrudniła.

– Ja również – mówię z uśmiechem. – I jestem zaszczyczona.

– Cóż... – Pochyla się konspiracyjnie w moją stronę. – Nie mogłam pozwolić, żeby cała zasługa została przypisana tej jędrzy!

Już, już mam jej powiedzieć, że w takim razie z pewnością spodoba jej się materiał nakręcony przez ekipę filmową, gdy dodaje:

– I naprawdę się cieszę, gdy widzę ciebie i Elliota pracujących znowu razem. Tak świetnie się dogadujecie!

Głos więźnie mi w gardle.

– Mam na myśli interesy – uściśla, a kiedy puszcza do mnie oko, mam niejasne wrażenie, że tracę na kilka sekund przytomność.

Mistrz ceremonii ponownie stuka w mikrofon.

– Witamy Hazel Renee i Jackie Nguyen, po raz pierwszy oficjalnie jako młodą parę!

Skupiam uwagę na szczycie schodów i pozwalam Laurze Gilbert wślizgnąć się w tłum.

Goście wiwatują, a gdy na górę wbiegają Hazel i Jackie, ta ostatnia szlocha ze wzruszenia, a jej przyjaciele i rodzina się śmieją, jakby każdy się tego spodziewał. Zastanawiam się, czy płakała podczas ceremonii. Muszę kogoś o to zapytać.

Hazel staje jak wryta i rozgląda się, oniemiała. Widzę, jak chciwie chłonie każdy szczegół otoczenia, ściskając ramię swojej żony i aż promieniejąc z zachwytu. Odchodzi od ustalonego scenariusza: daje mistrzowi ceremonii znak, aby podał jej mikrofon, a potem wciąga Jackie na parkiet i stają ramię w ramię na środku dachu.

– Chcę tylko powiedzieć... Muszę to zrobić, chociaż wiem, że to jeszcze nie pora, żebym zabierała głos – zaczyna, a goście wybuchają śmiechem. Jackie nadal pociąga co chwila nosem, ocierając łzy. – Ale nasza konsultantka ślubna nie pozwalała nam oglądać tego miejsca przez ostatnie dwa miesiące. Nie chcecie wiedzieć, co tu było, kiedy widziałyśmy je przed zmianami! I mam nadzieję, że to w pewnym stopniu wyjaśnia, dlaczego Jackie jest taka wzruszona.

Rozlegają się uprzejme chichoty, ale są zbyt ciche, aby zagłuszyć szloch Jackie, która ociera rzęsy wierzchem dłoni, a potem zaczerpuje gwałtownie tchu.

– Wanna mojego dziadka! – wyrywa się z jej gardła.

Mrowienie wdzięczności pulsuje w moim ciele, a najsilniej w mojej nieszczęsnej stopie.

Hazel podejmuje tymczasem:

– A za tym wszystkim stoi nasza konsultantka ślubna. Stworzyła to dosłownie z niczego! Niestety, dzisiaj nie może być z nami...

Jackie podrywa gwałtownie głowę i wskazuje na mnie.

– Ama tu jest!

Zaczynam jednocześnie płakać, machać i kuśtykać w ich stronę. Jackie i Hazel wychodzą mi na spotkanie i mnie przytulają. To jak tornado pytań i odpowiedzi, wdzięczności i radości, a ja czuję się tak przytłoczona tym wszystkim, że jestem zaskoczona, że w ogóle zauważam Elliota wchodzącego na dach i szukającego ustronnego miejsca, w którym mógłby przez chwilę odsapnąć. Sprawia wrażenie skrajnie zmęczonego, nie przebrał się od rana i wygląda na sponiewieranego, ale jakimś cudem przydaje mu to tylko uroku.

Zauważa mnie w objęciach Hazel i Jackie, a kiedy jego wzrok pada na moją ortezę, ściąga z dezaprobatą brwi i pochmurnieje. Ups! Wygląda na to, że mam kłopoty...

Daje znak mistrzowi ceremonii, aby kontynuował i zaprosił gości do baru po drinki, a potem wskazał im numery stolików na tablicy, po czym zachęcił do udania się na dół na swoje miejsca. Proponuję Jackie i Hazel, by zostały tu jeszcze kilka minut i jako ostatnie zeszły do stołu nowożeńców. Instruuje zespół fotografów, aby uwieczniali każdą chwilę.

Gdy już wszyscy schodzą z dachu, zjeżdżam windą i zajmuję miejsce w kącie, skąd mam dobry widok na całą salę. Mar z ulgą oddaje mi krótkofalówkę i idzie po krzesło dla mnie. Wkładam słuchawkę do ucha, naciskam przycisk i mówię:

– Tu Ama.

– Bogu niech będą dzięki! – odpowiada mi natychmiast Jake.

– Sarah, jak tam sytuacja w Ogrodzie Różanym? – pytam. – Czy George kończy się już pakować?

– Kim jest George? – pyta ospale.

Robię głęboki wdech, przypominając sobie, że nie mogę jej zabić, dopóki przyjęcie nie dobiegnie końca.

– Jest koordynatorem wynajmu sprzętu. – Kiedy nie odpowiada, dodaje: – Duży, rude włosy, po pięćdziesiątce. Powinnaś czekać, aż jego zespół skończy pakować swoje rzeczy.

– Ach, tak. Już prawie się ze wszystkim uwinął – melduje.

– Świetnie – mówię. – Chcę, aby Jake spotkał się z Vince'em i jego ludźmi i się upewnił, że wszystko jest w porządku. Jake, będziesz musiał zdemontować łuki. Przyślę ci Mar.

Mar jęczy, a potem niechętnie kiwa głową.

– Ja mogę iść. Niech Mar zostanie – rozlega się głos Elliota. Szukam go wzrokiem, ale nie mogę go znaleźć.

– Super, dzięki! Przydadzą mi się... stopy Mar. Dasz mi znać, gdyby pojawił się jakiś problem z rozmontowaniem łuków?

– Tak.

Odwracam się do Mar i mówię przez krótkofalówkę:

– Mogłabyś sprawdzić, czy jest wystarczająca ilość przystawek? – Gdy rusza na obchód, dodaję: – W porządku. Wracam do akcji. Wszyscy odwaliliście dziś kawał świetnej roboty. Myślę, że panny młode są naprawdę zachwycone, a to wszystko dzięki wam!

Następna godzina mija jak podczas wszystkich przyjęć – w mgnieniu oka. Jedzenie jest gotowe na czas, ale goście kręcą się w pobliżu baru na dole, więc zwlekamy kwadrans i przekazujemy barmanom informację, że wkrótce zostanie podany posiłek. Po tym, jak trzeci barman zatrzymuje mnie, aby zapytać, co mi się stało, zostawiam kule i kuśtykam bez nich. Zespół grający na żywo ma jakiś problem z kablem, a basista jest o włos od wyprawienia się do sklepu Guitar Center, gdy ktoś stuka mnie w ramię.

– Potrzebujesz kabla sześć i trzydzieści pięć milimetrów?

Gdy podnoszę wzrok, widzę barczystego, ciemnowłosego faceta o przenikliwym spojrzeniu, ubranego w czarną skórzaną kurtkę. Ma długie rzęsy i idealnie wyrzeźbiony podbródek. Rany... Niezłe ciacho!

– Tak! – potwierdzam piskliwie, zdając sobie sprawę, że jest ode mnie o ponad metr wyższy. W jego dłoni dostrzegam futerał na wiolonczelę. – Och! Czy ty jesteś... Xander? Nasz wiolonczelista? – Kiwa głową. – Wiem, że moja asystentka poprosiła cię, abyś miał wszystko na oku. Bardzo ci za to dziękuję! Mieliśmy naprawdę poważny problem – w normalnych okolicznościach nigdy nie poprosilibyśmy o taką przysługę...

– Jasne. Nie ma sprawy.

Czekam, aż powie coś więcej, ale możliwe, że właśnie trafiłam na kogoś jeszcze bardziej mrukliwego niż Elliot.

– No to... mówisz, że masz na zbyciu kabel?

Przyklęka, aby otworzyć futerał, i wyciąga kabel z bocznej kieszeni. Gdy piszę SMS-a do basisty, aby dać mu znać, że kryzys zażegnany, Xander mówi:

– To naprawdę fajne wesele.

Uśmiecham się do niego. Wygląda na to, że prawienie komplementów sprawia mu niemal fizyczny ból.

– Dzięki! Cieszę się, że dałeś radę przylecieć. Baw się dobrze, a ja zwrócę później twój kabel.

Potrząsa głową.

– Jadę zaraz na lotnisko. Zatrzymaj go. – Bez dalszych wyjaśnień podnosi futerał, ściska na pożegnanie ramię Hazel i wychodzi.

Hazel dostrzega, że marszczę brwi i podchodzi do mnie.

– Przepraszam, jeśli był wobec ciebie gburowaty. Od zawsze był humorzasty, nawet gdy byliśmy dziećmi.

– Och, nic podobnego! – wyprowadzam ją z błędu. – Tak naprawdę to właśnie uratował nam tyłek.

– Już wkrótce będziesz widywała go częściej. On i ja mamy dziesiątki wspólnych przyjaciół, którzy są zaręczeni.

Szturcham ją łokciem.

– Dlaczego twoi przyjaciele z Los Angeles i Nowego Jorku mieliby chcieć brać ślub w Sacramento?

– Myślisz, że wiecznie będziesz się ograniczała tylko do Sacramento? Ama, mam dziesięć par z Nowego Jorku, które już się zastanawiają nad skorzystaniem z twoich usług! Chciałabym cię przedstawić niektórym z nich dziś wieczór.

W żołądku czuję dziwne łaskotanie i obrzucam wzrokiem swoją brudną sukienkę i ortezę.

– Super! Wiesz, chciałam cię przeprosić za to, że zniknęłam dziś tak bez ostrzeżenia...

Macha lekceważąco ręką.

– Nic się nie stało. Właściwie to... – Wzdycha teatralnie. – Zrobiłam dziś relację na żywo na Instagramie, w której chyba byłam wobec ciebie niesprawiedliwa.

– Serio? – pytam niewinnie.

– Chciałabym to naprawić. – Wyciąga telefon i otwiera Instagram. Robi sobie ze mną selfie i zanim się obejrzę, dołącza do nas Jackie. Ustawiają się po obu moich stronach i cmokają mnie jednocześnie w policzki, a ja szczerzę się jak ostatnia idiotka.

Kiedy dwie minuty później dostaję powiadomienie, że zostałam oznaczona, podpis pod zdjęciem Hazel brzmi: „To moja konsultantka

ślubna, Ama Torres. Pracuje w Sacramento, ale Los Angeles – strzeż się!”. Następna część relacji to fotki z przyjęcia i przejażdżki powozem. Ostatnia klatka to niebieskie tło z moim imieniem i nazwiskiem, adresem e-mail i stroną internetową, wypisanymi białymi literami.

Kręcę z niedowierzaniem głową i uśmiecham się pod nosem. To nie jest relacja, która zniknie w otchłani Instagrama, odejdzie w zapomnienie. Już na zawsze będzie częścią zdjęć ślubnych, które opublikuje Hay. Wciąż nie mogę uwierzyć, że dostałam to zlecenie, ale jeszcze bardziej nadziwić się, że mogę nazywać Hazel Renee swoją przyjaciółką. I Jackie Nguyen. Świat się nie skończył, gdy pozwoliłam sobie zbliżyć się do nich. W rzeczywistości stał się piękniejszy i lepszy.

Kiedy tort zostaje pokrojony, wychodzę na ulicę i wciągam głęboko w płuca chłodne październikowe powietrze. Moja stopa daje mi się porządnie we znaki. Mam obolały tyłek od porannego upadku, a mój organizm się buntuje, bo nic dziś nie jadłam.

Gdy drzwi za moimi plecami się otwierają, odwracam się gwałtownie i widzę Elliota. Podaje mi moją słuchawkę.

– I jak się czujesz po swoim debiucie w roli konsultanta ślubnego? – zagaduję żartobliwie. – Podobało ci się?

– Hm, nie. Chyba zostanę przy kwiatkach. – Podaje mi butelkę wody i wyjmuję z kieszeni dwie tabletki przeciwbólowe.

Łykam je łączywie i popijam wodą.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Whitney się zjawiała? – pytam.

Przechyla głowę.

– Powiedziała, że do niej zadzwoniłaś.

– Nie zrobiłam tego.

Wyraźnie pochmurnieje.

– Och. Wspominałaś o niej na ostrym dyżurze, więc założyłem, że...

– Posłałam ją do diabła. A Bea wszystko nagrała – oznajmiam z dumą.

Kąciki jego ust drgają.

– To chyba jedyny powód, dla którego muszę obejrzeć ten głupi program, kiedy już zostanie wyemitowany.

Uśmiecham się do niego.

– Dziękuję ci za dziś. I... nie tylko. Ten ślub... to przyjęcie... to jest obłędne. Kwiaty są przecudowne. Nie mogę uwierzyć, że zmusiłam cię do zrobienia tego wszystkiego.

– Nie zmusiłaś mnie. Ja... mam nadzieję poszerzyć ofertę Blooming, więc to wszystko jest dla mnie tak samo „szalone”.

Kiwam głową.

– Świetnie. Jesteś... jesteś naprawdę niezwykły, Elliot. – Do oczu napływają mi łzy. – I nie zdołam ci nigdy wystarczająco podziękować za to, że zająłeś się wszystkim pod moją nieobecność. Zawsze mi powtarzałeś, że potrzebuję więcej rąk do pomocy, ale naprawdę sądziłam, że mam wszystko pod kontrolą...

Mam tak ściśnięte gardło, że ledwie jestem w stanie mówić. Nagle opada na mnie cały ciężar tego, co się dzisiaj wydarzyło.

– Mogło pójść naprawdę źle – mówię. – Byłam... Nie mogłam dostać się do telefonu. Musiałam czekać, aż ktoś do mnie zadzwoni – albo krzyczeć, wzywając sąsiadów na pomoc... I wtedy zadzwoniłeś.

– Bo złamał mi się łuk – rzuca lekko.

– Racja. – Uśmiecham się, pociągając nosem. – Może tobie również przydałby się teraz ktoś do pomocy.

Odwzajemnia mój uśmiech i zdaję sobie sprawę, że uśmiecha się do mnie pierwszy raz, odkąd poprosił mnie o rękę. Serce ściska mi się w piersi z żalu i tęsknoty za jego obecnością w moim życiu. Tak bardzo mi go brakuje... Nawet teraz, gdy jestem blisko niego. W uszach dźwięczy mi to, co powiedział Jackie. Nie wiem, czy on wie, że to słyszałam. Ale ja wiem, co usłyszałam.

Stoimy obok siebie pod ceglany budynkiem. Utykając, robię krok naprzód i wspinam się na palce. Pochyla głowę i nasze wargi się stykają, a ten prosty gest sprawia, że serce pęka mi z bólu. Przez chwilę szlocham w jego usta, wplatając dłonie w jego włosy. Otacza mnie ramionami i czuję, jak jego dłonie szukają końcówek moich włosów, tak jak kiedyś, ale teraz moje włosy są krótsze. Przytulam się do niego i nagle wszystko znów wydaje się w jak najlepszym porządku. Pachnie ziemią i różami, a ja jestem tak niska bez butów na obcasach, że muszę stać na palcach, aby zniwelować nieco

różnicę wzrostu. Jego usta napierają na moje, a ja zaczynam łkać jeszcze mocniej.

– Kocham cię – szepczę w jego skórę. – Elliot, ja... ja...

Przytrzymuje mnie w objęciach, podczas gdy ja czekam na jego odpowiedź.

W końcu zsuwa ręce z moich żeber i ostrożnie odsuwa mnie od siebie. Nie patrzy mi w oczy, kiedy mówi:

– Nie mogę. Nie... Nie ponownie. Ja nie...

Ze spuszczoną głową się cofa i znika za rogiem, skręcając w alejkę. Próbuję za nim kuśtykać. Wołam go po imieniu, ale się nie odwraca.

Ama

DWA LATA, DZIEWIĘĆ MIESIĘCY, TYDZIEŃ I JEDEN
DZIEŃ TEMU

Sylwester

Schodzę z parkietu i jak na autopilocie idę przed siebie. Mam ochotę biec, byle dalej i dalej stąd, aż schronię się w innym kraju, ale znajduję pusty magazynek w opustoszałym korytarzu – i to wystarczy.

Słuchawka w moim uchu sygnalizuje przychodzące połączenie i wiem, że to on. Wyrywam ją gniewnie z ucha i wrzucam do plecaka. Gdy drzwi się za mną zamykają, opieram się o nie plecami, wdychając zapach wybielacza i środków czystości. „Wyjdź za mnie”.

Nadal słyszę wyraźnie brzmienie jego głosu. Kiedy przymykam powieki, widzę jego ciemne oczy wpatrujące się we mnie jak w obraz, na który chce patrzeć przez resztę życia.

Wszystko zepsuł. Zrujnował wszystko tymi kilkoma głupimi słowami.

Przyciskam dłonie do oczu i skupiam się na oddychaniu.

A może to moja wina? Może to ja jestem problemem. Może faktycznie istnieją kolejne kroki, które są oczywiste dla wszystkich – oprócz mnie.

„Jaki powinien więc być następny krok, Ama?”.

Czego się spodziewałam? Przypuszczam, że tego, że szybko się sobą znudzimy. Sześć miesięcy to szmat czasu. Sądzę, że czekałam, aż to się skończy – tak jak wszystko. Ale on ma rację w wielu punktach, chociaż trudno mi się do tego przyznać. Naprawdę planowałam naszą wspólną przyszłość. Nie miałam nic przeciwko temu, aby zagościł w moim życiu już na zawsze – nie oczekując, że to się pewnego dnia skończy.

Mam tak ściśnięte gardło, że mimowolnie sięgam do niego, wpijając w nie paznokcie.

– Co się stało? – na dźwięk głosu dobiegającego zza drzwi niemal podskakuję.

Rozpoznaję głos Laury Gilbert i przykładam dłoń do ust. Czy ona wie, że tu jestem? Przyciskam ucho do drzwi.

– Widziałam, jak tańczyłeś z Amą – podejmuje Laura. – Tworzycie razem świetną parę.

– Nie jesteśmy parą.

Elliot. Odsuwam się od drzwi. Serce wali mi tak głośno. Boję się, że za chwilę mnie usłyszą. Nie widziałam, jak schodził za mną z parkietu, ale teraz... jest tutaj.

– Rozumiem – mówi Laura. – W końcu pracujecie razem...

Jej słowa brzmią gorzko. Są zimne. Dokładnie to mu powiedziałam.

Wpatruję się w drzwi, wiedząc, że Elliot jest po drugiej stronie. Przyciskam do nich dłoń, na wpół pragnąc je otworzyć, aby znowu być przy nim.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Nachylam się i czekam, aby się przekonać, czy nadal tam są.

Słyszę dziwny szum i dudnienie. To echo śmiechu Elliota – pustego, bezradosnego. Oddycha głęboko i słyszę, jak powietrze więźnie mu w gardle.

Chwilę później wydobywa się z niego zbolaty jęk. Zamieram, nasłuchując czegoś tak prywatnego, czego nigdy nie dał mi

doświadczyć, mimo że ja wiele razy wyplakiwałam mu się w ramię, sfrustrowana i zła.

Zaczerpuje haust powietrza, a ja pozwalam sobie na to samo.

Może wcale nie musi tak być? Powiedział, że nie musimy nic zmieniać – że moglibyśmy o tym zapomnieć. Ale w głębi duszy wiem, że nie mogłabym wymazać tego z pamięci. Już na zawsze wrył mi się w nią widok bólu w jego oczach, gdy mu odmawiałam. Zawsze będę wiedziała, że zaszył się w opuszczonym kącie klubu, aby opłakiwać nasze rozstanie.

Pociąga nosem i słyszę, że się uspokaja. Odchrząkuje, a potem słyszę cichnące echo jego oddalających się kroków.

Sięgam do klamki, aby za nim pójść...

I opuszczam dłoń.

Nawet nie wiem, co miałabym mu powiedzieć. Nie chcę, żeby cokolwiek się zmieniło – a on tak. Czy nie wrócilibyśmy do punktu wyjścia?

W głębi klatki piersiowej czuję przeszywający ból. Mam wrażenie, jakby mięsień pracujący niestrudzenie za moimi żebrami był przemęczony – szamocze się rozpaczliwie, odmawiając wykonywania kolejnych regularnych skurczów. Ocieram oczy i po cichu wychodzę ze schowka. Szybko przekradam się do wyjścia i wymykam się na ulicę.

Docieram do samochodu i zanim zdążę zmienić zdanie, jadę do domu, w karygodny sposób porzucając obowiązki konsultantki ślubnej. Wrócę, gdy będzie po wszystkim, ale na razie muszę się od niego uwolnić.

Skręcam w swoją ulicę i zwalniam. Czy naprawdę muszę uciekać? Zastanawiam się nad tym wszystkim, co wydarzyło się w przeciągu ostatniej pół godziny. Co by się właściwie zmieniło? Jasne, wszystko może się skończyć. Oczywiście, to mogłaby być koszmarnie zła decyzja – ale czy coś byłoby inaczej niż teraz?

Czy jeśli jestem przeciwna instytucji małżeństwa, oznacza to jednocześnie, że jestem również przeciwna byciu razem – tak długo, jak oboje będziemy żyć? Perspektywa spędzenia wieczności u boku Elliota pod każdym względem różni się od wszystkich innych rodzajów wieczności, o których kiedykolwiek myślałam. To... pocrzepiająca, komfortowa myśl. Jak ciepłe kąpiele, niedzielne

poranki i kwiaty o idealnych płatkach. Ale nadal nie mogę znieść myśli o tym, że moglibyśmy być razem, opierając się jedynie na uczuciach – zmiennych i kapryśnych.

Mogłabym go spytać, czy chciałby być ze mną już na zawsze, bez białej sukienki i świstka papieru.

Hamuję i w chwili, gdy obracam kierownicę, aby zawrócić, widzę samochód mojej matki zaparkowany przed moim domem. Zaciekawiona, podjeżdżam i parkuję za nią. Macha do mnie i wysiada z auta, a ja robię to samo.

– Mamo? Co się stało?

Uśmiecha się, ale jej spojrzenie jest dziwnie puste.

– Bob i ja... – Potrząsa głową i wie, że nie musi mówić nic więcej.

– Dlaczego? – pytam, nagle rozpaczliwie pragnąc poznać odpowiedź na to pytanie. Nigdy wcześniej o to nie pytałam, ale jestem zdesperowana: chcę usłyszeć od niej, co takiego sprawia, że związki dobiegają końca.

Wzrusza ramionami.

– Nasze drogi prowadzą w odmiennych kierunkach. Łatwiej jest zakończyć to w tym momencie, zanim odejdziemy od siebie za daleko.

Myślę o kierunku, w którym podąża Elliot, i o tym, że chcę, aby nasze drogi biegły w tę samą stronę. O przestrzeni, którą chciałam zorganizować dla siebie w jego życiu, w jego pracy, w jego sklepie. A teraz to wszystko... bezpowrotnie przepadło. Kiwam głową, udając, że rozumiem.

– A ...co to właściwie oznacza?

– Bob chciał zacząć szukać domu poza Kalifornią. Ja nie – mówi. – Nie ma potrzeby, aby jedno z nas zrzekało się dla drugiego własnych pragnień, skoro pewnego dnia wszystko i tak się rozpadnie.

Poświęcenie. Albo wrócimy do tego, co było, i Elliot się poświęci, albo się pobierzemy i ja to zrobię.

– Czy kiedy wiesz, że coś się nie uda – pytam niepewnie – to sama to kończysz? Czy robią to... oni?

– Hm... To zależy – wzdycha. – Dzisiaj to byłam ja. – Wyjmuje z samochodu swoją torbę. – Dlaczego pytasz?

Stoję na środku ulicy z kluczykami nadal zaciśniętymi w dłoni. Ignoruję jej pytanie.

– Myślisz, że któryś z nich będzie tym jedynym? Tym... na zawsze?

Pochyliła głowę w moją stronę.

– Być może. Ale nie sędzę. – Zarzuca torbę na ramię i zastanawia się nad czymś przez chwilę. – Nie istnieją partnerzy idealni. Są tylko obietnice i śluby. To pierwsze można złamać. Drugie...

– ...to tylko impreza – kończę za nią, a ona się do mnie uśmiecha.

Zamyka drzwi samochodu, a ja patrzę, jak wchodzi na ganek. Spoglądam na kluczyki w mojej dłoni.

Mogłabym złożyć Elliotowi obietnicę, którą prędzej czy później złamię. Ale dlaczego miałabym go na to narażać? Po co zgadzać się na małżeństwo – czy nawet powrót do tego, co było wcześniej – skoro wiem, że to się kiedyś skończy? Skończy się, bo on chce czegoś, w co ja nie wierzę.

Wiatr targa moimi włosami, które opadają mi na twarz. Po co zaczynać, skoro wiadomo, że wszystko dobiegnie końca prędzej czy później?

Chowam kluczyki i idę za mamą do drzwi, a potem piszę do moich asystentów w Sutter Club SMS-a, że dziś nie wrócę.

Ama

DZIEŃ PO ŚLUBIE

W niedzielę rano w mojej skrzynce odbiorczej pojawia się e-mail od „Sacramento Magazine” z prośbą o zgodę na artykuł o mnie i o ślubie Hazel Renee. Tuż pod nim jest wiadomość od TheKnot.com, w której proszą o wyłączność.

To niesamowite widzieć, jak to wszystko nabiera rozpędu. Staje się realne. To dokładnie to, czego pragnęłam – z tą różnicą, że wcześniej myślałam, że będę w pełni mobilna i wezmę udział w ślubie, o którym mowa. Mimo to jestem na dobrej drodze, żeby rozkręcić karierę.

Nie sądziłam natomiast, że następnego ranka po tym wielkim wydarzeniu będę się kuliła w łóżku w pozycji embrionalnej, gorzko żałując, że pocałowałam Elliota Blooma. Że to właśnie on będzie ponownie moim powodem do zmartwień.

O dziewiątej rano rozlega się pukanie do drzwi i wpuszczam Mar z pudełkiem pączków. Jest rozgadana i podekscytowana, i wspomina wszystkie cudowne momenty z wczorajszego wieczoru.

– Czy mogłabym cię zatrudnić na stałe? – pytam, wchodząc jej w słowo. – To znaczy nadal zajmowałabyś się głównie fotografią, ale

czy zgodziłabyś się być moją asystentką na etat?

Wzrusza ramionami.

– Wiesz, wczoraj było naprawdę super, ale nie sędzę, żeby to było coś dla mnie. – Uśmiecha się do mnie znad filiżanki kawy. – Z kolei Jake...

– Uch. Nie. – Zamykam oczy.

– Ależ właśnie tak, Ama. Ma obsesję na tym punkcie! Pomyśl o sobie, kiedy byłaś młoda. Czy nie robiłaś głupich rzeczy przez pierwsze lata w tej branży?

Z krańców pamięci napływa wspomnienie białej chusteczki. Ból posiniaczonych knykci.

– Hmm, tak, masz rację.

– Daj mu szansę wyrosnąć z tego etapu miotania się – mówi Mar. – Dobrze ci zrobi, gdy będziesz miała pod ręką skorego do pomocy dzieciaka, który w razie potrzeby skoczy dla ciebie po coś do sklepu.

Kiwam głową, przeżuwając czekoladowego pączka.

– No to... Co obiecałaś Michaelowi w zamian za wczorajszą pomoc?

– Nie, nie, nie! – Odstawia kubek. – Myślisz, że przyszedłam tu, żebyś zatrudniła Jake'a i ponarzekać na byłego? Nic z tych rzeczy! Chcę wiedzieć, co kombinujecie z Elliotem.

– Nic – informuję ją beznamiętnie. – On... Bardzo mi wczoraj pomógł. Ale... – Waham się, choć wiem, że Mar zna mnie na wylot i potrafi mnie przejrzeć. Nieważne, jak skrzętnie spróbuję coś przed nią ukryć. – Pocałowałam go, a on uciekł.

Otwiera szeroko oczy, ale szybko maskuje oszołomienie. Ponownie podnosi kubek do ust.

– Hm, no dobra. Jasne, to... Rozumiem. – Upija łyk, starając się zachować kamienną twarz. – A więc zasadniczo zrobił to, co ty kiedyś.

– Nie. Nie! Ostatnim razem... oświadczył mi się.

– A co oznaczał ten pocałunek, jeśli nie oświadczyzny, Ama?

Pierś przeszywa mi błyskawica bólu. Przypominam sobie ślub jego matki, kiedy zapytał, dokąd zmierza nasz związek, jeśli nie do małżeństwa.

– Ponieważ – kontynuuje Mar – wiem, że nie pocałowałaś go tylko po to, aby znów zaciągnąć go do łóżka. I wiem, że jesteś na tyle mądra, aby wiedzieć, że on nie będzie chciał po prostu znów się z tobą spotykać bez zobowiązań.

– Serio tak myślisz? – Chowam twarz w dłoniach. – Że jestem wystarczająco mądra? Bo czuję się... jak skończona idiotka.

Milczymy, dopóki nie nabieram pewności, że mogę znów na nią spojrzeć. Czeka, patrząc, jak przygryzam wargę i zastanawiam się przez dłuższą chwilę, aż w końcu pyta:

– Czego właściwie chcesz? Gdybyś nie musiała ponosić żadnych konsekwencji, czego byś oczekiwała?

– Być z nim – mówię cicho i mimowolnie pociągam nosem.

– Jak długo?

Zaciskam usta i patrzę jej w oczy.

Wjeżdżam na parking Blooming o dziewiątej trzydzieści. W niedzielę otwiera o dziesiątej, ale nie mogę się doczekać spotkania z nim. Podjeżdżam z lewą stopą na pedale, bo na prawej nadal mam ortezę. Nie wzięłam prysznic. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle umyłam zęby.

Kuśtykam o kulach do drzwi. Zaglądam przez szybę do środka, żeby sprawdzić, czy się pojawił, a potem idę na parking za kwiaciarnią. Furgonetka Elliota już tu stoi. Dobijam się do drzwi na zaplecze.

Kiedy otwiera, na jego widok dosłownie zapiera mi dech w piersi. Ma na sobie jedną z moich ulubionych koszul i obcisłe dżinsy – te same, w które ledwo mogłam zmieścić dłoń. Mruga zaskoczony, a potem otwiera drzwi szerzej, aby mnie wpuścić. Gdy przeciskam się obok niego, moje kule stukają o podłogę w niezręcznej ciszy.

– Co cię sprowadza? – pyta, marszcząc brwi.

Opieram kule o ścianę i odwracam się do niego.

– Popeliłam błąd – mówię wprost.

Zaciska usta.

– Możemy zapomnieć o tym pocałunku.

– Nie mam na myśli zeszłej nocy. Ten pocałunek... Zrobiłam to świadomie, z rozmysłem – wyjaśniam. – Mam na myśli... tamtą sytuację, kilka lat temu.

Spogląda mi przelotnie w oczy, po czym krzyżuje ręce na piersi i czeka, aż będę gotowa podjąć:

– Pocałowałam cię, bo za tobą tęsknię. Ponieważ wciąż cię pragnę. – Serce wali mi jak oszalałe i patrzę, jak przetyka ślinę, ale nadal nie wykonuje żadnego ruchu. – Bo nie powinnam była wychodzić ze ślubu twojej matki i nie powinnam była proponować wspólnego oglądania franklinii, a potem dać ci odczuć, że nie możemy myśleć o wspólnej przyszłości. Bo to, co nas łączyło, było... trwałe. Nadal jest. Po prostu... nie chciałam ślubu.

Wbija wzrok w stół warsztatowy – stary, sfatygowany, który jest jedyną rzeczą przypominającą jego samego w tej nowoczesnej, jasno oświetlonej pracowni o białych ścianach.

– Powiedziałaś mi, co myślisz, ale ja nie chciałem się z tym pogodzić – mówi cicho. – To była moja wina.

– Nieprawda. – Kuśtykam naprzód i chwieję się, a on szybko mnie podtrzymuje. Chwyta mnie za łokieć, a ja nakrywam jego palce dłonią. – Nie byłam na to gotowa. Byłeś pierwszą osobą, z którą związałam się na dłużej, a ja dorastałam w przekonaniu, że nie istnieje ten jeden jedyny, wymarzony partner. Ale... teraz chcę tylko jednego.

Zsuwa dłoń z mojego łokcia, jednak zanim zdąży się odsunąć – zanim zdąży cokolwiek powiedzieć – cofam uszkodzoną nogę i klękam na prawe kolano. Spoglądam na niego w pracowni, w której kiedyś się kochaliśmy, z miejsca, w którym zakochałam się nie tylko w jego pracy, ale i w nim samym, i mówię:

– Pragnę tylko ciebie.

I jestem gotowa. Teraz. Nie potrafię zinterpretować wyrazu jego twarzy. Oczy pieką mnie od łez i jego obraz staje się niewyraźny, rozmazany. Uściślam więc, parafrazując słowa, które powiedział do mnie tamtej nocy:

– Ożeń się ze mną.

Elliot

TERAZ

Minęły dwa lata, dziewięć miesięcy, tydzień i trzy dni, odkąd byliśmy w tym pomieszczeniu na tyłach kwaciarni, a gdy tylko przekroczyła jego próg, wraz z nią wróciły wszystkie wspomnienia. Patrzę na nią klęczącą przede mną na jednym kolanie, ze stopą w tej nieszczęsnej ortezie i oczami pełnymi nadziei.

Wciąż czuję wczorajszy dotyk jej ust na moich. To, jak przyłgnęła do mnie całym ciałem. Widmo tego przelotnego kontaktu wisiało nade mną przez całą noc, skutecznie uniemożliwiając mi zaśnięcie.

„Ożeń się ze mną”.

Odchrząkuję, żeby się nie zadławić, i cofam się o krok. Widzę, jak rzędzie jej mina.

– To nie jest... To nie jest konieczne – odpowiadam pośpiesznie, jednak moje własne słowa brzmią w moich uszach drętwo i zwyczajnie głupio.

Ona nadal klęczy przede mną. Czeka na odpowiedź. Gdy widzę, jak traci pewność siebie, serce mi pęka, ale... nie mogę na to pozwolić. Nie mogę pozwolić, aby znów zmieniła wszystko w moim

życiu jednym pocałunkiem. Tak właśnie postąpiliśmy poprzednim razem. I do czego nas to doprowadziło?

Ama uwielbia wielkie gesty. Myślę o e-mailu dotyczącym franklinii – o tym, jak chciała mi coś dać, a ja w zamian zażądałem od niej za dużo. Na myśl o tym, że wciąż mnie pragnie i ma nadzieję na coś więcej, w mojej piersi budzi się jakieś dawno zapomniane uczucie, jakaś utracona częśćka mnie, która wówczas umarła – i teraz domaga się powrotu na swoje miejsce. Ale Ama... Ama nie chce wychodzić za mąż. Nie tak naprawdę.

Nadal przede mną klęczy, więc ja również przyklękam i chwytam ją za łokcie, żeby pomóc jej wstać. Ale ona powstrzymuje mnie i zmusza, żebym został w dole.

– Twierdzisz, że to nie jest konieczne – powtarza moje słowa. – Co masz na myśli?

Jej oczy są wilgotne od łez. Z tak bliska czuję odurzający zapach jej włosów.

– To nie... – Potrząsam głową, wpatrując się w miejsce za jej uchem. – Nie musisz tego robić.

Czuję, jak wpija palce w moje ramiona. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, w których widzę dziwny lęk, niemal przerażenie.

– Słyszałam, jak rozmawiałeś z Jackie. Próbowaleś wyciszyć rozmowę, ale ci się nie udało.

Pieprzone słuchawki! Mój umysł w pośpiechu przywołuje w myśli wszystko, co wtedy powiedziałem. O tym, że nigdy nie przestanę jej kochać, że muszę być jej przydatny i liczyć dni... Budzić się rano i odliczać każdy dzień, który minął od naszego rozstania. Trzy lata, cztery miesiące, dwa tygodnie i dwa dni od naszego pierwszego pocałunku. Trzy lata, dwa miesiące i dwa dni, odkąd pierwszy raz u niej nocowałem. Dwa lata, dziewięć miesięcy, tydzień i jeden dzień, odkąd popełniłem ogromny błąd.

Patrzę jej w oczy, modląc się w duchu, aby nie odgadła, o czym myślę. Nagle odwraca wzrok.

– W porządku – mówi. – Rozumiem. To był ktoś inny. Wybacz. Pogubiłam się, ale możemy o tym zapomnieć.

Wciąż próbuję nadażyć za zagmatwanym tokiem jej myśli, gdy zaczyna się podnosić. Pomagam jej wstać, przygotowując się mentalnie do upewnienia się, że dobrze mnie zrozumiała.

– Ama...

– Czy możemy znowu razem pracować? – pyta prędko. – Jasne, wiem już, że nie możemy być razem, ale śluby... Nasza współpraca jest zbyt niesamowita, Elliot, i nie sądzę, żebym znowu chciała to stracić – mówi pośpiesznie.

Wypuszczam z sykiem powietrze z płuc. Przeczesałam dłonią włosy i staram się nie roześmiać.

– Cała ty! Wiecznie skupiona bez reszty na pracy. Ty... – Uśmiecham się i kręcę głową. – Właśnie mi się oświadczyłaś i natychmiast przeszłaś do interesów.

Patrzę, jak próbuje ustalić, czy to dobrze, czy źle, i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zbliżamy się nieuchronnie do tego momentu. Znowu mnie potrzebuje. Znowu mnie pragnie. A ja nigdy nie przestałam jej kochać.

Chcę to powiedzieć na głos, ale ostatnim razem zrobiłem to dla siebie, nie dla niej.

Odwraca wzrok, a ja patrzę, jak opuszki jej palców machinalnie przesuwiają się po wgłębieniach wyrytych w stole inicjałów. Stuka w nie delikatnie.

– Wiesz, ten stół do niczego teraz nie pasuje – mówi cicho. – Powinieneś go wymienić.

– Nie mogłem się zmusić do tego, żeby się go pozbyć. – Wracają wspomnienia: ona leżąca na stole, płatki róż przyklejające się do jej skóry, gdy szarpie mnie za włosy, aby przyciągnąć mnie bliżej. Trzy lata, dwa miesiące i pięć dni temu.

Podchwytuje mój wzrok i wiem, że wspomina te same chwile. Nie odwracam spojrzenia, próbując jej pokazać, że zachowałem go dla wspomnień o niej. Że nigdy nie pozbędę się tej części, która przypomina mi o naszych wspólnych chwilach.

– O kim rozmawiałeś z Jackie? – pyta szeptem, błędząc wzrokiem po mojej twarzy.

Robię krok do przodu i wyciągam rękę, aby musnąć palcami jej policzek. Pochyliła się w moją stronę.

– O kimś, kogo poznałem pięć lat, cztery miesiące, trzy tygodnie i pięć dni temu.

Z jej piersi wyrywa się szloch. Podnosi rękę, żeby zakryć usta, ale chwytam ją za nadgarstek i przyciągam bliżej, przysuwając twarz

do jej twarzy.

Tym razem, kiedy się całujemy, nie mam wrażenia, że to pożegnanie, pomyłka czy coś, o czym trzeba będzie pomyśleć rano. To po prostu... początek.

Ama

TERAZ

Tym razem, kiedy się całujemy, skupiam się bez reszty na jego smaku. Na sposobie, w jaki przeczesuje palcami moje krótsze włosy, jakby wczoraj się nauczył, że nie powinien sięgać do moich pleców po kosmyki, których już tam nie ma. Na tym, w jaki sposób jego ramię owija się wokół mojej talii i dźwiga mnie, próbując odciążyć moją uszkodzoną stopę.

Otwieram usta pod naporem jego warg i mam wrażenie, że zaraz padnie milion pytań. Przyciąga mnie do siebie bliżej, a potem obraca i kładzie delikatnie na swoim starym stole roboczym. Jego dłonie przesuwają się po moich udach, a z jego gardła wyrywa się rozbawione parsknięcie.

– Akurat dziś musiałaś włożyć dżinsy!

Spoglądam w dół na ortezę nasuniętą na prawą nogawkę spodni. Uśmiecham się do niego.

– A ty? Czy włożyłeś dziś te dżinsy z jakiegoś konkretnego powodu?

Sięgam dłonią do jego rozporka i pocieram go sugestywnie.

– Nie spodziewałem się ciebie – usprawiedliwia się.

– Czyżby? – Całuję go i sięgam do jego koszuli. Podwijam ją niecierpliwie i szepczę: – Pokaż mi go. Chcę zobaczyć twój nowy tatuaż.

Moja dłoń wędruje w kierunku jego lewej piersi i barku – do miejsca, w którym widziałam ostatnio nowy tatuaż wyzierający spod jego kołnierzyka. Zastyga w bezruchu i bąka:

– Ja... ja nie...

– Muszę go zobaczyć. Proszę... Co to jest?

Podciągam koszulę wyżej i odsłaniam tatuaż. To amarylis. Rozchylone płatki zakrywają jego serce. Łodyga pnie się aż na ramię. Czuję, że nie mogę oddychać.

– Amarylis? – pytam. – Ale przecież ten gatunek nie wyginął...

Przeczesuje dłonią włosy i widzę, że to tajemnica, której nie miałam poznać.

– To... Nigdy nie chodziło o wyginięcie. Moje tatuaże... – Wypuszcza powietrze z płuc. – To kwiaty, których nie mógłbym mieć. Takie, których nie można wykorzystać w aranżacjach ani sprowadzić do kwiaciarni. – Spogląda na mnie. – Te, które prawdopodobnie znikną, zanim zdążę je pokochać.

Robię drżący wdech. Moje palce śledzą krawędzie płatków amarylisa, Czerwonej Perły. Opuszczam twarz i całuję barwne obrazki na jego ciele – tak jak dawniej. Czuję, jak napina mięśnie brzucha – jak kiedyś.

– Głuptas z ciebie, Elliocie Bloom – szepczę w jego skórę.

Czuję, jak jego pierś drży od śmiechu.

– Tak. Chyba masz rację. – Odsuwa mi włosy z oczu. – Nie zamierzam się z tobą ożenić.

Mrugam kilkakrotnie i przetykam ślinę.

– W porządku.

– Ale chcę się z tobą spotykać.

Tłumię cisnący mi się na usta uśmiech i spoglądam na niego spod opuszczonych rzęs – dokładnie w ten sposób, którego rzekomo nienawidzi. Pochyla się, aby znów mnie pocałować, i zsuwa ręce na moje kolana.

Gdy Elliot Bloom mnie całuje, dzieje się naprawdę wiele rzeczy. Rzeczy, których nie jest nawet świadom. Rzeczy, o których nigdy mu nie powiem. Jęczy gardłowo, co kompletnie mnie rozbraja. Przyciąga

mnie do siebie tak blisko, jak tylko to możliwe, co doprowadza mnie do szaleństwa. Całuje jak ktoś, kto nie całował zbyt wielu kobiet – i chociaż odnaleźliśmy już wspólny rytm, nadal zdumiewa mnie, że się gubi lub kompletnie traci koncentrację, kiedy rozpinam mu rozporek. Tak jak teraz.

Spogląda na moje ręce, jakby chciał mnie powstrzymać, ale jeśli istnieje coś, co kocham najbardziej na świecie, to właśnie wkładanie dłoni w jego dżinsy. Jego oddech przyśpiesza, oczy zachodzą mu mgłą i wygląda, jakby nie mógł uwierzyć, że naprawdę chcę go dotknąć. Czuję, jak pęcznieje, twardnieje i rośnie.

– Ama... – mruczy, a ja znów go całuję.

Jego dłonie szarpią rąbek mojej koszulki, a gdy już ją zdejmuje, zsuwa usta na moją szyję. Przeszywa mnie dreszcz. Przypominam sobie, że uwielbiał robić mi malinki, a ja musiałam potem je zakrywać. I jego reakcję, gdy znalazł takie, których nie udało mi się zamaskować.

Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl i muszę, po prostu muszę mu o tym powiedzieć.

– Elliot – mówię, odpychając go od siebie. – Nie byłam z nikim w tym roku. Powiedziałeś Jackie, że kogoś mam, ale ja... – przetykam ślinę. – Sądzę, że tamtego ranka, gdy do mnie zadzwoniłeś, słyszałeś po prostu Mar.

Patrzę, jak porusza mimowolnie ustami i patrzy mi pytająco w oczy.

– Jasne – mówi, niemal nieufnie. – Ale nawet, gdyby było inaczej...

– Nie było – zaprzeczam z mocą. – Nie mogłabym... Nie byłabym w stanie... – Opuszczam wzrok na jego tatuaż z amarylisem, żeby nie musieć na niego patrzeć. – Próbowałam kilka razy, ale nie poszło zbyt dobrze, więc... – Robię głęboki wdech. – A ty? Spotykałeś się z kimś? Z Kate? Czy to było na poważnie? To znaczy... o Boże, przepraszam. Nie musisz...

– Nie. To nie było nic poważnego.

Patrzę na niego, zaglądając mu głęboko w ciemne oczy.

– Nie byłem z nikim, odkąd... Odkąd się rozstaliśmy.

Kiedy wsuwa palce pod moje kolana i napiera na nie, dopóki nie kładę się na wznak na stole, jestem bliska zalania się łzami. Szybko

rozpina moje dżinsy i je zsuwa. Brakuje mi tchu, jestem bez reszty przytłoczona emocjami, które kłębią się w mojej piersi. Zrywa ze mnie jeden but, ściąga jedną nogawkę dżinsów i kładzie dłoń na moim brzuchu, aby mnie przytrzymać, podczas gdy jego pełne usta lądują na koronce między moimi udami.

Niemal krzyczę, przyciskając dłoń do ust.

– Ell...

Odsuwa koronkę na bok, a potem czuję na sobie ponownie jego język. I tak jak kiedyś, mój mózg przestaje współpracować z resztą ciała. Ledwie zdaję sobie sprawę z tego, że dżinsy zwisają smętnie z mojej nogi. Nie mogę nawet otworzyć oczu, gdy jego usta penetrują zakamarki mojej cipki, całując ją, liżąc i ssąc.

– Tęskniłam za tobą – mruczę w sufit.

– Jestem tu. – Wibracje jego głosu sprawiają, że podkurczam kolana, przyciągając je do klatki piersiowej, a on szybko rozchyła moje uda, rozkładając je szeroko. Gdy jego język zagłębia się we mnie, zaczynam łapczywie zaczerpywać tchu, a z jego gardła wydobywa się jęk.

Nigdy z nikim nie dochodziłam tak szybko jak z nim. I nie chodzi tylko o wielkość jego penisa. To chwile takie jak ta, kiedy się nie śpieszy, doprowadzając mnie do szaleństwa, dopóki nie tracę zmysłów.

Uderzam dłońmi w blat.

– Czy myślałeś o tym, kiedy pracowałeś przy tym stole? – wykrztuszam z siebie.

Odpowiada niemal natychmiast:

– Za każdym razem.

Moje uda zaczynają spazmatycznie drgać. Wspinam się na skraj urwiska, z którego zawsze spycha mnie w otchłań nieopisanej rozkoszy.

– To była najgorsza zawodowa decyzja w moim życiu – mówi. – Zatrzymać ten stół.

Śmieję się, a potem jego wargi zaciskają się wokół mojej łechtaczki i krzyczę. Słyszę samą siebie: przeklinającą, mamroczącą bezsensowne słowa o miłości i wieczności, próbującą desperacko zaczerpnąć ponownie tchu.

Nie przestaje. Wsuwa we mnie dwa palce, a ja dygoczę. Jego usta ssą mnie, jego palce wsuwają się we mnie i wysuwają, a ja znów rozpadam się na kawałki, trzęsąc się i szlochając. Nie mogę utrzymać bioder nieruchomo. Napieram cipką na jego usta i proszę o więcej.

Kiedy się wycofuje i szybko zsuwa dzinsy, mówi:

– Za chwilę dojdę. Nie mogę...

– Chodź do mnie. Wejź we mnie... – łkam.

Moje uda wciąż się trzęsą, gdy przyciąga mnie do krawędzi stołu, podchodzi bliżej i wbija się we mnie jak taran. Jęczy, a ja nie mogę uwierzyć w to, jak bardzo pomyliłam się co do rozmiaru jego członka. Próbowałam dopasować do niego moje zabawki erotyczne – ale mi się nie udało. Oczy uciekają mi w głąb czaszki i znowu dochodzę. Nie mogę skupić się na niczym innym, jak tylko na przyjemności rozchodzącej się echem w moim ciele, na dźwięku jego bioder uderzających o moją skórę.

Słyszę jego krzyk i wiem, że też dochodzi. Ale przyciskam pięść do ust, żeby nie krzyknąć ponownie, żeby się opamiętać.

Chwyta mnie za nadgarstek i zabiera dłoń z moich ust, wsuwając się we mnie raz, dwa razy, a ja wydaję z siebie okrzyk, od którego powinnam się spalić ze wstydu – gdybym tylko nadal była przy zdrowych zmysłach.

Kiedy dyszymy w jednym rytmie, pochyla się nade mną, zsuwa na bok miseczki mojego stanika i składa pocałunki na moich piersiach. Całkiem jakby nagle przypomniał sobie, że powinien być czuły i poświęcić im więcej uwagi. Jakby zapomniał o tym i chciał mi to wynagrodzić. Moją skórę przechodzi przyjemne mrowienie.

– Kocham cię – szepczę.

Wbija we mnie spojrzenie swoich ciemnych oczu.

– To już drugi raz, kiedy mi to mówisz.

Policzki palą mnie żywym ogniem, gdy sobie uświadamiam, że jeszcze nie odwzajemnił mojego wyznania. Od tamtego momentu. Od ślubu jego matki.

– Och, no tak. Mogę to cofnąć, jeśli...

– Jestem po prostu wściekły, że pomyślałaś, że możesz tu wejść ot tak, oświadczyć mi się i powiedzieć, że mnie kochasz. – Uśmiecha się, a jego nos dotyka mojego policzka.

– Wiesz, wygląda na to, że pewne rzeczy naprawdę się nie zmieniają, prawda? – mówię. – Zawsze robiłam tu, co chciałam.
Przeczesa mi włosy nad uchem.
– Właśnie dlatego cię kocham.

Ama

PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ

Rano budzę się albo w łóżku Elliota, albo w swoim, ale zawsze w jego objęciach. Obracam się i przesuwam palcami po jego brwiach, dopóki się nie obudzi. Kiedy rozchyła powieki, pytam:

– Ożenisz się ze mną?

Kręci głową. Albo mamrocze: „Nie”. Albo odwraca się i każe mi spierdalać.

A ja pytam:

– No to kiedy?

– Może jutro – odpowiada za każdym razem.

Lubię brać Lady Cat-ryn w ramiona, gdy Elliot jest zrzędlivy, i upuszczać ją na jego brzuch.

Dawniej, między ósmą a dziesiątą rano, mogłam zasiadać do laptopa i zaczynać dzień w dowolnym momencie. Teraz to wykluczone. Program specjalny TLC został wyemitowany trzy miesiące temu. Mam zarezerwowane terminy na dwa lata z góry, a za rok, kiedy Jake będzie odpowiednio przygotowany, planuję brać na soboty po dwa przyjęcia. Elliot i ja jedziemy do Blooming codziennie o ósmej rano i od razu zabieramy się do pracy.

I nie chodzi tylko o to, że ślub Hazel i Jackie został fantastycznie nagłośniony dzięki *Fabulous Dream Weddings*, sprawiając, że znalazłam się w centrum uwagi. Tylko o to, że bez względu na to, jak zaciekle walczyli jej prawnicy, Whitney nie mogła zmusić Bei do usunięcia jej z odcinka. Jej wybuch był transmitowany w telewizji – łącznie z nazwaniem mnie zdziwą i puszczalską. A jeśli to nie zrujnowało jej reputacji, to zrobił to mem z koniem.

Whitney, niemal strатовana przez konia, jest teraz prawdziwym złotem internetów. To, w jaki sposób odskoczyła, krzyknęła i opamiętała się w jednym ujęciu, stało się wiralem, który szybko rozprzestrzenił się w sieci. Widziałam co najmniej kilka różnych podpisów:

Gdy dostajesz rachunek w barze...

Wchodzę w 2024 jak...

Kiedy ona mówi, że chce zobaczyć twój folder z porno...

Koniara spotykająca prawdziwego konia.

Ja też doczekałam się mema. Co prawda nie zdobył takiej popularności, jak ten z Whitney, ale: „Whitney, daj spokój. Bądź profesjonalistką” przez jakiś czas krążyło na Twitterze. A w dniu emisji odcinka z relacją ze swojego ślubu Hazel Renee napisała na Twitterze: „Strzeżcie się – nadchodzi Ama!”. Słowa, które powiedziałam Whitney, kiedy poinformowałam ją, że powinna się mnie bać.

Dwa tygodnie później Elliot zastąpił różaną ściankę w salonie wystawowym napisem „Nadchodzi Ama!”, ułożonym z białych róż na różowym tle. Nie powiedział mi o tym – zachowywał się jakby nigdy nic. To kwiaty z jedwabiu, więc teraz wszystkie przyszłe pary młode, które spotkają się ze mną po raz pierwszy w moim biurze w Blooming, zobaczą moje firmowe hasło.

Wygospodarowałam w pracowni nieco miejsca dla siebie. Mam tu biurko z laptopem i wizytownikiem obok fragmentu parkietu Jackie i Hazel wiszącego na ścianie jak sztuczne okno – zasuszyliśmy kwiaty, aby były trwałym przypomnieniem tamtego dnia.

Moje biuro jest jak Starbucks w sercu domu towarowego.

– Czternasty czerwca to świetna data – mówię do pary siedzącej naprzeciwko mnie na krzesłach. – Wpisuję was do kalendarza.

– Cudownie! – cieszy się kobieta. Ma na imię Beth. Opada na oparcie krzesła, jakby wszystkie jej problemy właśnie zostały rozwiązane jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I być może tak właśnie jest. – Tak się cieszę, że udało nam się wstrześcić!

– Pamiętajcie jednak – zastrzegam – ze jeśli czerwiec przyszłego roku to dla was zbyt późno, zawsze możecie poszukać innego konsultanta, który ma wolne terminy w tym roku.

– Nie, nie! – protestuje przyszły pan młody, machając ręką. – Nie ma takiej opcji. Beth powiedziała jasno: ty albo nikt.

Beth energicznie kiwa głową, a ja się uśmiecham.

– Świetnie! Bardzo miło to słyszeć!

– Myślisz, że... – Beth pochyla się w moją stronę. – Czy myślisz, że moglibyśmy wykorzystać jakiś ciekawy lokal, coś w stylu tego, w którym zorganizowałaś ślub Hazel Renee?

– Oczywiście. Możemy omówić budżet i waszą listę życzeń na następnym spotkaniu, ale wyślij mi swoją tablicę z Pinteresta i zaczniemy wszystko planować!

Elliot wchodzi do salonu, wycierając ręce w ściereczkę.

– Muszę zawieźć instalację na szkolny bal, ale wrócę za godzinę.

Kiwam głową i wstaję z krzesła.

– Odbierzesz je w drodze powrotnej? – pytam, a on przewraca oczami. – Proszę... Wiesz, że Jake ma teraz zajęcia...

– Czekoladowy i ten z syropem klonowym?

Uśmiecham się do niego i staję na palcach, aby pocałować go na pożegnanie. Kiedy odwracam się do Beth i Robbiego, mówię:

– A tak przy okazji, nie jesteście zobowiązani do zawierania umowy z Blooming, jeśli chodzi o kwiaty. Omówimy opcje dostawców usług na następnym spotkaniu.

– Ale to fajne! – komentuje Robbie. – Jesteście jak zgrany zespół. Podoba mi się to!

Beth ponownie pochyla się w moją stronę.

– Widziałam na Twitterze Hazel Renee, że to ona i jej żona was ze sobą zeswatały! To naprawdę niesamowita historia!

Uśmiecham się półgębkiem.

– To prawda. Hazel i Jackie były doskonałymi swatkami. – Puszczam do Elliota oko, a on uśmiecha się kwaśno.

Wynosi różaną ściankę zamówioną przez St. Joseph's jako tło do zdjęć, a Robbie się upiera, że mu pomoże w załadowaniu jej na pakę.

Beth odwraca się tymczasem do mnie.

– To musi być trudne: planować najszczęśliwszy dzień innych par z chłopakiem. Kiedy się pobierzecie?

Uśmiecham się do niej, opieram łokcie na blacie i wspieram brodę na splecionych dłoniach.

– Też go ciągle o to pytam.

– Ach, a więc należy do tych, którzy nie lubią zobowiązań? – pyta z uśmiechem.

– Coś w tym stylu – mówię. – No to... Opowiedz mi o waszych zaręczynach. To moje ulubione historie!

Gdy Beth mówi wszystko, co muszę wiedzieć, aby zorganizować jej idealny ślub, oceniam, że to całkiem fajna historia. Prawdopodobnie ich związek przetrwa.

Uwielbiam dobre opowieści o oświadczeniach, ale która z nich jest moją ulubioną? Cóż, dam wam znać, kiedy on powie: „Tak”.

Od Autorki

Kiedy dorastałam, powszechnie uważano, że Sacramento jest miejscem, z którego koniecznie trzeba wyjechać – przynajmniej w moim otoczeniu. Teatr był w Nowym Jorku. Plaże – w Los Angeles. Spragnieni kultury i rozrywki szukali jej dwie godziny drogi na zachód, w San Francisco. Uniwersytet w Sacramento? Kto o nim słyszał?! Dorastałam wśród ludzi, którzy utrzymywali zgodnie, że Sacramento to świetne miejsce na założenie rodziny, ale jeśli ktoś chciał zostać artystą, nie miał tu czego szukać. I tak właśnie stało się w moim przypadku. Ale jak w większości staroświeckich historii miłosnych, w których dziewczyna musi wrócić z Nowego Jorku do domu i nauczyć się kochać swoje rodzinne miasto z pomocą szorstkiego i mrukliwego stolarza, mechanika lub bosmana, również i ja wróciłam do Sacramento. A owym gburowatym bosmanem okazało się dla mnie *Forget Me Not*.

Osadzenie tej historii w Sacramento nie wydawało mi się niczym niezwykłym, dopóki nie napisałam jednej czwartej książki. Nagle wszystko stało się bardzo konkretne i realne, i nie było sposobu, aby usunąć z niej moje rodzinne miasto. Niewiarygodnie łatwo było określić, gdzie Ama kupuje pączki, gdzie Elliot zabiera ją na randkę, do jakiej szkoły średniej chodziła Ama i co myślą o tym inni. Niektóre rzeczy ustalałam instynktownie, na przykład lokalizację kwaciarni Elliota – to sklep, w którym odbierałam bukietki i kosaże na szkolne bale, choć teraz jest zamknięty. Jakies siedemdziesiąt pięć procent miejsc wspomnianych w tej książce istnieje naprawdę, a z pozostałej jednej czwartej około piętnastu procent to miejsca, które albo zamknęły swoje podwoje, albo są żarcikiem, który zrozumieją tylko

mieszkańcy Sacramento. Niektóre nazwy są sprytnie zawoalowane, aby chronić moje miasto, ale ci, którzy wiedzą, z pewnością domyślą się, o co chodzi.

Gdy dorastałam, oglądałam liczne śluby odbywające się w Ogrodzie Różanym w McKinley Park, w którym rozgrywa się duża część tej książki. Nigdy nie byłam dziewczynką, która marzyła o dniu swojego ślubu, ale kiedy usiadłam i spróbowałam wyobrazić sobie, jak miałby wyglądać idealny ślub w Sacramento, okazało się, że moje myśli nieuchronnie dryfują w kierunku Ogrodu Różanego i Midtown. Czy właśnie w ten sposób chciałabym kiedyś wziąć ślub? Pewnie nie. Ale wiem, że chciałabym, aby zaplanowała go Ama.

To było dla mnie niezwykle ważne, że Ama nie wyjechała z miasta na studia czy w poszukiwaniu wielkiej kariery, aby potem powrócić do Sacramento, jakby to był przymus. To coś, czego zawsze żałowałam po powrocie do rodzinnego miasta po kilku latach – że czułam się, jakbym poniosła porażkę, jakby moja próba wydostania się z Sacramento się nie powiodła. Marzenia Amy z *Forget Me Not* zawsze były związane z miejscem, w którym mieszkała. Nie żyła życiem dziewczyny z wielkiego miasta, która musiała wrócić do domu, aby się zakochać. Wiedziała, że może osiągnąć wszystko, czego pragnie, mieszkając dwie przecznice na wschód od miejsca, w którym dorastała. I, oczywiście, dorzuciłam do powieści szorstkiego i mrukliwego bosmana, który jest właścicielem kwiaciarni... Ale czy można mieć do mnie o to pretensje?

Pytania do dyskusji

1. Pod koniec książki zarówno Ama, jak i Elliot zmieniają zdania na temat ślubu – ich role zostają odwrócone. Ama jest otwarta na to doświadczenie i codziennie oświadcza się Elliotowi, a on uparcie odmawia. Jak myślicie, na co czeka Elliot? Czy nadal uważa, że Ama tak naprawdę wcale nie chce ślubu? Co waszym zdaniem mogłaby zrobić, aby przekonać go, że jest inaczej?
2. Kiedy po raz pierwszy poznajemy Elliota, mówi, że nienawidzi kwiatów, ale podczas kolejnego spotkania z nim dowiadujemy się, że nauczył się je cenić. Czy kiedykolwiek zdarzyło wam się bez entuzjazmu wypełniać zadanie w pracy lub obowiązek rodzinny, który następnie zrozumieliście i go pokochaliście?
3. Jak myślicie, dlaczego Ama zmieniła zdanie na temat małżeństwa?
4. Zarówno Ama, jak i Elliot podejmują się realizacji wielkich projektów bez większego wsparcia. Jak myślicie, dlaczego każdemu z nich trudno jest poprosić o pomoc?
5. W książce wspomniany jest przelotnie grecki mit o Amarylis. Czy w tej historii dostrzegacie jakieś podobieństwa do związku Amy i Elliota? Kto jest kim?
6. Jak myślicie, dlaczego Ama ma trudności z dostrzeżeniem, że Whitney była wobec niej dwulicowa? Czy uważacie, że Ama jest jej winna lojalność?
7. Przekonania i zwyczaje matki Amy i ojca Elliota mają wpływ na życie ich dzieci. W przypadku Amy to właśnie matka ukształtowała jej sposób postrzegania związków i małżeństwa, a śmierć ojca Elliota zmieniła ścieżkę kariery jego syna. W jaki sposób wasi rodzice wpłynęli na wasze życie – a może nawet napisali za was jego

scenariusz? Czy sądzicie, że dzieciom trudno jest odciąć się od wartości, oczekiwań i planów rodziców?

8. W pierwszym rozdziale Ama mówi, że śluby to nie to samo co małżeństwa, że są tylko chwilą w czasie. Co o tym sądzicie? Czy uważacie, że ludzie przywiązują do ślubów zbyt dużą wagę? Czy uważacie, że panna młoda nie powinna decydować się na organizowanie ceremonii ślubnej i przyjęcia, skoro nie jest pewna, czy jej małżeństwo przetrwa?

9. W historii widzimy, jak media społecznościowe zarówno pomagają, jak i przeszkadzają różnym postaciom. Czy uważacie, że media społecznościowe są pożyteczne? Jakie kryją w sobie pułapki, które mogą zaszkodzić czyjejsz karierze lub reputacji? Jak media społecznościowe wpłynęły na wasze życie – zarówno w dobry, jak i zły sposób?

10. Ama nieustannie powtarza, że powinna zachowywać się jak profesjonalistka. Czy uważacie, że jej zachowanie jest nieprofesjonalne? Czy sądzicie, że niektóre zawody pozwalają na taki „nieprofesjonalizm”, na przykład zaprzyjaźnianie się z klientami?

Podziękowania

OMG, TO KSIĄŻKA! Nie mogę uwierzyć, że kupiliście moją książkę lub ściągnęliście jej piracką wersję! To naprawdę niesamowite!

Na samym wstępie powinnam prawdopodobnie podziękować Ali Hazelwood. Możliwe, że taki punkt znajduje się w umowie, którą z nią podpisałam. Tak więc dziękuję Ci, Alison, za przekonanie mnie do opublikowania (zupełnie innej) historii, kiedy przeglądałyśmy artykuły w internetowym sklepie z zabawkami – jak przystało na dorosłe kobiety, którymi wszak jesteśmy. Bez Twoich namów, wskazówek i wsparcia czytelnicy nigdy nie mieliby okazji ściągnąć pirackiej wersji mojej książki!

Gaia Banks – moja agentka, moja Matka Ziemia – zasługuje na całe morze mojej miłości za to, że zapaliła się jak choinka w Boże Narodzenie, kiedy powiedziałam jej o pomysłach na tę książkę. Muszę podziękować jej dziecku za to, że pojawiło się na świecie dokładnie we właściwym czasie, dzięki czemu wspomniana książka istnieje w taki sposób, w jaki istnieje. Dziękuję ci, Gaia, za wiarę we mnie – i za to, że czuwałaś po godzinach pracy podczas Tego Tygodnia, pomimo różnicy czasu. Dziękuję wszystkim w Sheil Land Associates, w tym Maddie i Albie.

Ogromne podziękowania dla wszystkich z Forever i HarperCollins UK – za wiarę w *Forget Me Not*, zwłaszcza dla moich NIESAMOWITYCH redaktorek Junessy Vilorii i Marthy Ashby, które kibicowały tej książce całym sercem. Dziękuję za wytykanie mi kiepskich żartów i przypominanie, że nie wszyscy żyją w mojej głowie, jak zawsze zakładałam. Dziękuję zespołom marketingowym i reklamowym, zwłaszcza Danie Cuadrado i Queen Estelle, za

kreatywność i pasję, które w to włożyłyście. Dziękuję również Beth, Sabrinie, Leah, Stacey i Danieli, a także wszystkim, o których zapomniałam z Forever i HarperCollins UK – a jest ich pewnie naprawdę sporo, bo w chwili, gdy piszę te słowa, rozmawiałam dosłownie tylko z trzema z Was! Dziękuję Lori Paximadis! Dziękuję moim niemieckim, polskim i brazylijskim redaktorkom: Marii Runge, Alicji Oczko i Frini Georgakopoulos – za to, że postanowiłyście zaryzykować!

Dziękuję wszystkim pannom młodym, których druzną byłam – a jest ich wiele. Choć nie jestem jeszcze na poziomie *27 sukienek*, moja przyszłość rysuje się jasno.

Jestem całkiem przekonana, że w wielu miejscach tej książki tekst brzmi, jakbym nie wiedziała, o czym w ogóle piszę, ale są osoby, które zrobiły wszystko, co w ich mocy, aby pomóc mi w różnych kwestiach. To Cat Dionisio, Michelle Adamsky, Angelica Whaley, Ashley Mortensen i Adriana Daft z domu Zerio (aczkolwiek, ma się rozumieć, wszystkie potknięcia to oczywiście ich wina, dziękuję Wam bardzo!).

Jedynym sposobem, aby przetrwać proces wydawniczy, pandemię lub publikowanie podczas pandemii, są przestrzenie zapewniające wsparcie. Dziękuję moim przyjaciółkom z Gremlins, MW, Krampus, Words Are Hard, a zwłaszcza Claire, Jen, Ali i Kate Goldbeck z The Edge Chat, które życzyły mi i tej książce dobrze, kiedy ja sama nie byłam w stanie tego robić. Dziękuję Ci, Lucy – za to, że zawsze mnie wspierałaś i nastawiałaś na sukces. Dziękuję Annie Conathan za bycie najlepszą trenerką i za przedstawienie mnie mojej Bogini Stwórczyni. Mar, Cat i Amanda – dziękuję za bycie moimi cheerleaderkami, kibickami, doradczyniami w czasie kryzysów egzystencjalnych, za bycie pierwszymi testowymi czytelniczkami i najlepszymi przyjaciółkami – fandomowymi czy nie.

Specjalne podziękowania dla Fran, nie tylko za samorodek, który stał się tą książką, ale i za jej bezinteresowną kreatywność, która nakłania tak wielu ludzi do tworzenia dobrych historii (śledźcie ją na @galacticidiots w aplikacji z iksem!). Dziękuję Abby Jimenez za wczesny blurb! Nikicie Jobson za TĘ okładkę! (emotka z oczami w kształcie serduszek) Dziękuję za każde dzieło sztuki, które w swojej uprzejmości stworzyłaś do moich fanfików. Jestem

zaszczycona, że zaprojektowałaś okładkę mojej książki, i cieszę się, że zyskujesz uznanie, na które zasługujesz.

Dziękuję wszystkim, którzy znają mnie jako Juls lub LovesBitca8. Pisanie fanfików nie stanowi drogi do wydawania książek. To częśćka mnie, która już na zawsze pozostanie we mnie. Dziękuję członkom Rights and Wrongs i przyjaciołom z RoR. Dziękuję wszystkim, którzy zostawili komentarz, lajka lub skontaktowali się ze mną, aby powiedzieć, że to, co robię, ma znaczenie.

Dziękuję Sacramento za to, że jest miejscem, z którego zawsze chce się wyjechać, ale w którym zostawia się kawałek swojego serca. Polecam odwiedzić to okropne, cudowne miasto (byle nie latem) i wybrać się do Ogrodu Różanego w McKinley Park.

Dziękuję Jennifer Borasi, Richardowi Weldonowi i Joshui McKinneyowi za nauczenie mnie, jak pisać i jak cieszyć się słowami. Dziękuję mojej rodzinie, zwłaszcza babci Glo, po której odziedziczyłam spaczony umysł i przewrotne poczucie humoru, oraz babci Marion, z którą łączy mnie tylko jedno wspomnienie – o tym, jak podarowałam jej kwiatek. I wreszcie, co najważniejsze, dziękuję moim rodzicom za wiarę we mnie, kiedy chciałam być aktorką, kiedy pragnęłam być autorką musicali i teraz, kiedy zostałam pisarką. Do trzech razy sztuka? Dziękuję mamie za tytuł tej książki i tacie za przeczytanie mojej *edytowanej* wersji.

Spis treści:

[Okładka](#)
[Strona tytułowa](#)
[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)
[Rozdział 23](#)
[Rozdział 24](#)
[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Od Autorki](#)

[Pytania do dyskusji](#)

[Podziękowania](#)